

Aby rozpocząć lekturę,  
kliknij na taki przycisk ,  
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym  
LITERATURA.NET.PL  
kliknij na logo poniżej.



**HONORIUSZ  
BALZAC**

# **Fizjologia Małżeństwa**

*PRZEŁOŻYŁ I WSTĘPEM OPATRZYŁ  
TADEUSZ ŻELEŃSKI-BOY*

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

## OD TŁUMACZA

*Fizjologia małżeństwa*<sup>1</sup> nosi datę 1824–1829; przypomnijmy w paru słowach, kim był Balzac w owej epoce. Jako dwudziestoparoletni chłopiec (ur. w 1799), wbrew woli rodziny, która nie wierzyła w jego talent, przybywa do Paryża z postanowieniem zdobycia piórem sławy i majątku. Pasując się z oporem stylu, kleci, dla wprawy i zarobku, szereg romansideł, których nigdy nie podpisał swoim nazwiskiem; wreszcie, znużony tą zbyt powolną drogą do niezależności, rzuca się w przedsiębiorstwa, które kończą się bankructwem<sup>2</sup>, po czym znów wraca do pióra. Tym razem talent jego, zmęczniały, pogłębiony pracą nad sobą, doświadczeniem życia, zwycięża. Pierwszy jego triumf to *Szuanie* (1829), a tuż po tej powieści *Fizjologia małżeństwa*, która narobiła ogromnej wrzawy i uczyniła Balzaka patentowanym spowiednikiem kobiecego serca.

„Spowiednik” ów z wyglądu przypominał raczej jednego z owych mnichów, których z lubością maluje Rabelais, pisarz w owej epoce wielce bliski sercu Balzaka. Krępy, gruby, hałaśliwy, rubaszny, z okiem sypiącym iskry geniuszu, kipiący werwą, Balzac posiada jednak równocześnie zakątki serca, w których wschodzą kwiaty tkliwego i delikatnego uczucia. I w tej książce, tak bujnej, tak pełnej soku, czegoż bo nie znajdziemy obok siebie! Zawiesiste *joivialitates*<sup>3</sup> i głębokie rzuty oka w rodzące się nowe społeczeństwo; zaduma artysty, szelmostwo obserwatora; to znów czasem westchnienie gorącego i czułego kochanka, zamkniętego przez naturę–macochę w grubej skorupie... I cóż za klawiatura tonów! Mamy tu w skrócie jakby wszystkie warstwy kultury galijskiej: od Rabelais’go i Moliera, poprzez XVIII wiek Chamforta i XVIII wiek Russa, aż do naszych czasów, w które wybiega wzrok myśliciela, wyprzedzając<sup>4</sup> swoją epokę. A wśród tego, od czasu do czasu, niby świst bicza, jakieś krótkie, urwane, wzgardliwe zdanie, rzucone przez Napoleona podczas prac nad kodeksem w Radzie Stanu... Bo po tym można by odgadnąć, że książka ta poczęła się w młodości pisarza, iż lektura zajmuje w niej co najmniej tyleż miejsca, co bezpośrednio przeżycia. Mamy wrażenie, że patrzymy na młodego Balzaka, gdy, jak ów d’Arthez, jak Lucjan w *Straconych złudzeniach*, trawi dnie całe w Bibliotece Św. Genowefy, łykając, pochłaniając wszystko, a potem, z nabrzmiałą głową wędruje przez ulice Paryża, bezwiednie porządkując i ożywiając chaos książkowych wrażeń genialną intuicją obserwatora.

---

<sup>1</sup> Pełny tytuł oryginału brzmi: „Fizjologia małżeństwa, czyli rozważania filozofii eklektycznej nad szczęściem i nieszczęściem w małżeństwie”.

<sup>2</sup> Patrz: Dwaj poeci, „od tłumacza”. (Przypis tłumacza).

<sup>3</sup> *J o v i a l i t a t e s* (łac.) – burleski, farsy.

<sup>4</sup> Kiedy się czyta np. „Małżeństwo koleżeńskie” Lindsaya, uderza nas, ile myśli tej książki, która dziś jeszcze jest książką przyszłości, znajduje się już w „Fizjologii małżeństwa” Balzaka. (Przypis tłumacza).

Przede wszystkim tedy Rabelais, ów praojciec, patriarcha literatury francuskiej. Do niego, do tego – jak pisze – „wspólnego naszego patrona”, nawiązuje Balzac swoje dzieło w pierwszym „rozmyślaniu”; jego wprost słowami apostrofuje czytelnika. Było snadź jakieś powinowactwo duchowe między tymi dwoma pisarzami, dwoma synami Turenii; a niebawem Balzac da temu powinowactwu wyraz, kreśląc swoje trzy dziesiątki „trefnych opowiadań” („*Contes drolatiques*”) w starej francuszczyźnie i w stylu Rabelais’go.

Otóż wśród pięciu ksiąg dzieła Rabelais’go jedna (III) poświęcona jest w całości niemal roztrząsaniu arcydrażliwych problemów matrymonialnych. Panurg, zamierzający wstąpić w związki małżeńskie, uważa za właściwe zasięgnąć rady wszystkich, którym przypisuje jakąś kompetencję w tym przedmiocie: od znachorów i astrologów aż do lekarza, prawnika, filozofa i kapłana. Biedny człowiek! po każdej konsultacji mina przeciąga mu się coraz bardziej:

„Pozostaje mała wątpliwość do usunięcia. Mała, powiadam, mniej niż nic. Zali żona nie przyprawi mi rogów? – Z pewnością nie, mój przyjacielu – odparł Hipotades – jeśli taka będzie wola boska. – O miłosierdzie boże, racz nam być ku pomocy – wykrzyknął Panurg. – Dokądże wy mnie odsyłacie, dobrzy ludzie? Do trybów warunkowych, do jeżeli, do dialektyki, kędy czyhają same sprzeczności i niemożliwości. Gdyby mułek latał, mułek miałby skrzydła. Gdyby ciocia miała wasy, byłby wujaszek. Jeśli Bóg pozwoli, nie będę rogalem: będę rogalem, jeśli Bóg pozwoli. Gdybyż to jeszcze był warunek zależny ode mnie: tedy nie rozpaczalibyśmy o tym. Ale wy mnie zdajecie na prywatne rozporządzenia Pana Boga, odsyłacie mnie do departamentu jego drobnych przyjemności. Ojczulku szanowny, kiż diabli mieszać do tego imię boskie?

–...Hm – rzekł brat Jan – nie każdemu dano jest nosić rogi. Jeśli będziesz rogalem,

*Ergo*<sup>5</sup> śliczniutka będzie twoja żona,  
*Ergo* uprzejmą dla cię będzie ona;

*ergo* będziesz miał wielu przyjaciół; *ergo* będziesz zbawiony. To jest topika monachalna. Tylko ci to na lepsze wyjdzie, grzeszniku. Nigdy tak dobrze czuć się nie będziesz jak wtedy. Nic ci nie ubędzie. Dostatku ci się przymnoży. Jeśli tak ci jest przeznaczone od losów, zali chciałbyś się im przeciwzić? Powiedz, kusię przywiedły, kusię sparciały, kusię zateęchły... [Tu spiętrza Rabelais 148 przymiotników!]... kuś–kusię diabelski, Panurgu, mój stary druhu: skoro ci tak jest przeznaczone, czy chciałbyś wstecz cofnąć gwiazdy w ich biegu? wyważyć z zawiasów wszystkie kręgi niebieskie? Igarstwo zadawać poruszającemu je Intellektowi, stępieć wrzeczona Parek, wysadzać je z panewek, szkalować ich szpulki, plątać kądziel, gmatwać kłębki?

Niechże cię febra ściśnie, kusiuniu! Porwałbyś się na większe dzieło i zuchwalsze, niż niedyś Olbrzymi. Chodź no, kusieńko. Czy wolałbyś być zazdrosnym bez przyczyny, czy rogalem bez świadomości?

– Nie chciałbym – odparł Panurg – być ani tym, ani tym...”

Otóż Balzac podejmuje niejako ideę takiej konsultacji, przeniósłszy ją w nowoczesne warunki życia i obyczajów; przeprowadza ją najbardziej drobiazgowo, przydając jej całe brzemie niby „naukowego” aparatu, iżby wynik tej ankiety tym większym ciężarem runął na głowę biednego żonkosia. Ale jest zasadnicza różnica: Rabelais dworuje sobie po prostu z pewnej niedoli ludzkiej, która najbardziej, od wieków, pobudzała do drwin i konceptów; poza tym małżeństwo i jego losy niewiele go obchodzą. Ani on sam, ani jego epoka nie zaprzętała się tymi rzeczami. Inaczej zgoła Balzac. Przyszły twórca *Komedii ludzkiej* widzi w małżeństwie,

---

<sup>5</sup> *E r g o* (łac.) – zatem, a więc.

w rodzinie czynnik społeczny pierwszorzędnej wagi: w kobiecie – takiej, jak ją urobiło nowoczesne społeczeństwo – potężną sprężynę większości naszych działań i poczynań. Stąd powaga, z jaką przystępuje do roztrząsania najbardziej ulotnych, zdawałoby się, drobiazgów, tylko w części jest żartem, w części zaś wyrazem Balzakowskiej koncepcji życia, którą potwierdzi całe jego późniejsze dzieło. Dobrze czytając, znaleźlibyśmy w *Fizjologii małżeństwa*, w zarodku, niemal całą *Komedię ludzką*.

I jeszcze jedno. Nie biorąc zbyt dosłownie „pedagogicznej” i reformatorskiej misji, którą Balzac podejmuje w swej książce, nie możemy jej wszelako przeoczyć. Między starymi mistrzami a nim przeszedł wiek XVIII ze swą namiętnością reform. Nazwiska Diderota, Russa raz po raz zjawiają się na tych kartach. Balzac, nie gardząc Rabelaisowską trafnością na temat małżeństwa w ogóle, kreśli zarazem satyrę małżeństwa takiego, jakim zrobiły je nasze obyczaje, w szczególności małżeństwa francuskiego jego epoki, a tym samym współdziała – więcej może, niżby się zdawało – w ewolucji pojęć i obyczajów.

Jakim było owo małżeństwo, przeciw któremu wytacza nasz „doktor nauk małżeńskich” aż nazbyt ciężkie niekiedy armaty? Pozwolę sobie uczynić to, co czyni niejednokrotnie Balzac w swojej książce: sięgnę aż w wiek XVIII, aby zeń przytoczyć bardzo znamienity przykład. Chodzi tu o małżeństwo hrabiny d’Houdetot, owej bohaterki *Wyznań* Russa, muzy *Nowej Heloizy*, którego opis posiadamy w *Pamiętnikach* pani d’Epinay. Pamiętników tych, pod innym względem mało wiarogodnych, w tym wypadku nie mamy powodu podejrzewać.

Otóż pewnego dnia pan de Villemur, wuj pana d’Houdetot, zjawił się u pana de Bellegarde zagadując go o małżeństwo. Pan de Bellegarde, jako ludzki i „postępowy” ojciec, odparł, iż życzy sobie przede wszystkim, aby przyszły mąż podobał się jego córce. Celem poznania, cały dom pana de Bellegarde wybrał się nazajutrz na obiad do państwa de Villemur. Rodziny prawie się nie znały; młoda para nie widziała się na oczy. Posadzono młodych przy sobie; na razie nie miało się jeszcze mówić o niczym; mimo to przy deserze głośno już przegadywano o małżeństwie. Wreszcie, z końcem obiadu, pan de Villemur wypalił wprost z oświadczeniami. Jednakże ciotka panny młodej zauważyła, iż rzeczy idą zbyt szybko: cóż będzie, jeżeli młodzi pokochają się, a układy nie wypadną po myśli? Pan de Villemur uznał tę chwalebłą ostrożność: „Doskonale – odpowiedział – niechajże młodzi pogwarzą ze sobą, a my tymczasem omówimy punktację”. Zaczem wyszczególniono wszystkie kwestie majątkowe z obu stron, licząc w to wartość klejnotów. „Brawo! – rzekł pan de Villemur – porozumieliśmy się tedy. Skoro więc nie ma przeszkód, podpiszmy dziś wieczór, zapowiedzi ogłosimy w niedzielę, od dalszych otrzymamy dyspensę i w poniedziałek weselisko”. I tak się stało. Po ślubie okazało się, że nowożeniec kocha inną kobietę z którą zachował stosunki aż do śmierci; był przy tym gracz, brutal i roztrwonil znaczną część mienia żony<sup>6</sup>.

Małżeństwo za czasów Balzaka nie było może już takim, ale wiele zachowało jeszcze z tego obyczaju, przynajmniej w tych sferach, którymi się nasz „prawodawca małżeński” zajmuje. Jest niemal wyłącznie kwestią układów rodzinnych, zgodności majątkowej; to dwaj rejenci flirtują i gruchają z sobą, dochodzą do porozumienia, po czym rzuca się sobie w objęcia dwoje obcych ludzi, aby szli razem przez życie. Jeden rys zwłaszcza przetrwał do czasów Balzaka: to kontrast między zupełną nieświadomością życia, sztucznym oglupieniem, w jakim utrzymywano młodą dziewczynę, a nieograniczoną prawie swobodą, do której przechodziła jako mężatka, wnosząc w małżeństwo fantastyczne i opaczne pojęcia o życiu oraz niezdrowo rozkołysaną wyobraźnię. Wspomniałem już: nie chcę roli Balzaka jako „reformatora”

---

<sup>6</sup> Należy tu wszelako nadmienić trzy rzeczy: 1. iż to samo mogłoby się zdarzyć po paroletnich konkurach; 2. że małżeństwo samej pani d’Epinay, która poślubiła z wzajemnej skłonności krewniaka swego, znanego jej od dziecka, wypadło jeszcze gorzej; 3. iż po długiej ewolucji obyczajowej doszliśmy do czegoś bardzo podobnego owym osiemnastowiecznym procederom, mianowicie do małżeństwa przez anons w dzienniku. (Przypis tłumacza).

w tym dziele brać poważniej, niż bierze ją on sam; ale czyż, w istocie, przeobrażenie obyczajów nie poszło po linii jego żądań i wywodów? Czyż coraz większa samodzielność, męskie niemal wychowanie panien nie zdobywa sobie z każdym dniem terenu? Czyż ostatni nawet, najbardziej zakorzeniony z przesądów, przesąd dziewictwa – nie doznał mocnych uszczerbków (przynajmniej u nas) w tych ostatnich czasach?

Przygotowując, po trzynastu latach, tę książkę do powtórnego wydania, bardziej może niż dawniej wrażliwy byłem na jej słabsze momenty; niejeden żart wydał mi się przyciężki lub w wątpliwym guście; nieraz uderzył mnie nadmiar elementu książkowego w tym utworze. Wynagrodzi nam to autor, wróciwszy jeszcze raz, w drugiej połowie swego życia, do tego niewyczerpanego tematu: *Małe niedole pożycia małżeńskiego* będą wyłącznie prawie owocem bezpośredniej i żywej obserwacji. Ale na ogół, jak zawsze u Balzaka, bujność jego myśli, talentu zwycięża, tak iż prawie bez zastrzeżeń mogę tu powtórzyć kilka słów wstępnych, którymi wprowadzałem nieśmiało tę książkę (pierwszy mój przekład z literatury francuskiej) w jej pierwszym polskim wydaniu:

„Tak samo jak wielkie dzieło Balzaka, *Komedia ludzka*, stało się kamieniem węgielnym rozwoju nowoczesnej literatury francuskiej, a poniekąd i europejskiej, w której powieść obyczajowa tak przemożnie zdobyła sobie miejsce, tak samo w *Fizjologii małżeństwa* znajdziemy już w zaczątku pierwiastki, z których miał się rozwinąć późniejszy psychologiczny romans francuski: filozofię «trójkąta małżeńskiego», legendę «niezrozumianej kobiety», sylwetę «kobiety trzydziestoletniej», owej klasycznej bohaterki francuskiego romansu w czasie jego rozkwitu. Książka ta, tak ciekawa z punktu historii literatury, i jako lektura nie straciła dawnego uroku. Będąc zbiorem aforyzmów, spostrzeżeń i anegdot, powiązanych za pomocą na wpół śmiejącej się, na wpół nielitościwie głębokiej i przenikliwej filozofii życiowej, dzieło to nie ucierpiało prawie zupełnie od «zęba czasu», który okazuje się nieraz tak nieubłaganym względem najświetniejszych nawet utworów powieściowych minionych epok. Treścią jego, wedle stów autora: «to, o czym cały świat myśli, a o czym nikt nie ma odwagi mówić głośno». Autorowi, co prawda, odwagi tej nie zbrakło ani na chwilę, jednak nawet najdrażliwsze ustępy książki okupuje głębokie przeświadczenie Balzaka, będące niejako dogmatem jego artystycznej twórczości, że wspólne życie ludzkie, a w szczególności to, co nazywamy szczęściem, zależy może w wyższym stopniu od nieuchwytnych i mieniających się gry życiowych drobiazgów niż od wielkich linii charakterów. Słowem, książka ta jest jedynym może w swoim rodzaju żartem, prowadzonym bez utraty oddechu, przez kilkaset stronic, z których niemal każda zawiera tyle myśli, obserwacji i prawdy życiowej, ile by ich można życzyć niejednemu poważnemu dziełu”.

BOY

Kraków, w maju 1921

## DEDYKACJA

Zwraca się twoją uwagę, czytelniku,  
na słowa (strona 52): „Człowiek o wyższym  
umyśle,  
dla którego książka ta jest przeznaczona...”.  
Czyż to nie znaczy po prostu: „dla ciebie”?

AUTOR



## OSTRZEŻENIE

Kobieta, która, znęcona tytułem, doznałaby pokusy rozchylenia tych kartek, niech sobie oszczędzi trudu; czytała już tę książkę, sama o tym nie wiedząc; najprzenikliwszy bowiem mężczyzna nie potrafi powiedzieć o kobietach ani tyle dobrego, ani tyle złego, ile one same o sobie myślą. Gdyby jednak ostrzeżenie (o nie zdołało odwieść kobiety od zamiaru przeczytania tego dzieła, wówczas prosta delikatność powinna by ją ustrzec od znęcania się nad autorem, z chwilą gdy ten, wyrzekając się dobrowolnie najpochlebniejszego dla artysty poklasku, wyrył niejako na nagłówku książki przezorny napis, zdobiący drzwi niektórych zakładów:

DAMOM WSTĘP WZBRONIONY

## WSTĘP

„Małżeństwo nie jest zgoła wytworem natury. – Pojęcie rodziny na Wschodzie różni się najzupełniej od rodziny w pojęciu zachodnim. – Człowiek jest niewolnikiem przyrody, a społeczeństwo ludzkie na niej jest zaszczerpione. Prawa ludzkie są na usługach obyczajów, obyczaje zaś zmieniają się.

Małżeństwo może zatem podlegać stopniowemu doskonaleniu, któremu podlegają wszystkie rzeczy ziemskie”.

Słowa te, rzucone przez Napoleona w Radzie Stanu podczas dyskusji nad Kodeksem Cywilnym, uderzyły niegdyś żywo autora tej książki. One to może, bez udziału jego świadomości, stały się zawiązkiem dzieła, z którym obecnie staje przed publicznością. Faktem jest, iż przed laty, gdy autor, będąc zaledwie młodzieńcem, poświęcał się studiom nad prawem francuskim, jedno słowo czyniło na nim zawsze szczególne wrażenie: w i a r o ł o m s t w o. Ilekroć słowo to, tak poważnie rozpierające się w Kodeksie, przybierało w wyobraźni autora żywą postać, wlekło za sobą nieodłącznie posępny orszak. Rozpacz, hańba, nienawiść, niewola, tajemne zbrodnie, krwawe wojny, rodziny osierocone, katastrofy, wszystko to stawało nagle jak żywe przed oczyma autora, ile razy wzrok jego spoczął na tym sakramentalnym słowie: w i a r o ł o m s t w o! Z czasem, stykając się stopniowo z najwyżej cywilizowanymi warstwami, spostrzegł autor, iż złagodzenie surowych praw małżeńskich za pomocą wiarołomstwa jest faktem dość powszechnym. Stwierdził również, iż liczba złych małżeństw przewyższa o wiele liczbę małżeństw szczęśliwych, i doszedł – pierwszy, jak sądzi – do wniosku, iż ze wszystkich wiadomości ludzkich znajomość małżeństwa jest, jak dotąd, najmniej posunięta. Jednakowoż była to tylko przelotna refleksja młodego człowieka i, podobnie jak tyle innych, przepadła gdzieś w odmętach kłębiących się myśli, na kształt kamienia rzuconego w jezioro. Tymczasem, bez intencji autora, spostrzeżenia gromadziły się ciągle, tworząc w jego wyobraźni jakby rój myśli, mniej lub więcej trafnych, o istocie spraw małżeńskich. W ten sposób kielkuje w duszy ludzkiej Dzieło, nie mniej tajemniczo, jak wyrastają trufle wśród wonnych równin perygordzkich. Z pierwotnej świętej grozy, jaką budziło w autorze pojęcie wiarołomstwa, i ze zbieranych mimochodem spostrzeżeń urodził się pewnego poranku leciutki szkic idei. Był to żart, nie wolny od złośliwości, na temat małżeństwa: miłość budząca się między parą małżonków po raz pierwszy po dwudziestu siedmiu latach pożycia.

Autor, ubawiony tym pamflecikiem, spędził rozkosznie cały tydzień, grupując koło tego niewinnego żartu obfitość spostrzeżeń i poglądów, które, nagromadzone bezwiednie, odkrywał nagle w sobie ku własnemu zdumieniu. Swawolna ta zabawka rozwiała się w zetknięciu z chłodem krytycznych uwag, a posłuszny ich powadze – autor utonął znowu w beztroskim próżniactwie. Niemniej jednak nikłe ziarenko wiedzy i żartu nie przestało samoistnie dojrzewać w glebie jego myśli. Każde zdanie wzgardzonego dzieła coraz głębiej i trwalej zapusz-

czało korzonki. Zaniebany pomysł stał się podobny gałązce porzuconej w zimowy wieczór na piasku, którą nazajutrz znajduje się pokrytą białymi, dziwacznymi krystalizacjami, wyrzeźbionymi przez kapryśny szron mroźnego poranka. W ten sposób zaczątek dzieła utrzymał się przy życiu i stał się punktem wyjścia mnóstwa myślowych rozgałęzień. Był to niby wielki polip, poczęty sam przez siebie. Wrażenia młodości, spostrzeżenia, które autor gromadził mimo woli, pchany ku temu jakąś natrętną siłą, oplatały się koło najdrobniejszych wydarzeń. Co więcej, z czasem chaos myśli począł zespalać się w zgodną harmonię, pulsować organicznym życiem, w końcu stał się prawie żywą istotą i rozpoczął wędrówki w fantastyczne krainy, po których wyobraźnia lubi wodzić owe przez siebie poczęte kapryśne twory. Wśród zajęć i zabaw świata wszędzie towarzyszył autorowi jakiś głos wewnętrzny. W chwilach gdy oddawał się całej rozkoszom obserwacji, śledząc kobietę w tańcu, rozmowie, uśmiechu, głos ten natrętnym szeptem podsuwał mu najcyniczniejsze komentarze. Jak Mefistofeles na straszliwej orgii w Brocken pokazuje Faustowi palcem złowrogie postacie, tak autor czuł obecność jakiegoś demona, który w pełni odurzeń balowej atmosfery trącał go poufale po ramieniu i szeptał: „Widzisz ten czarujący uśmiech? To uśmiech nienawiści...” Czasami demon puszył się na kształt Kapitana z dawnych komedii Hardy’ego<sup>7</sup>: potrząsał purpurą haftowanego płaszcza i usiłował nadać nową świetność wyblakłym świecidłom i szerniałemu szychowi dawnej sławy. To znów wybuchał szerokim i rubasznym, iście Rabelaisowskim śmiechem i kreślił palcem na murze słowo, które mogłoby służyć jako dopełnienie owego: „Pij!”, jedynej wyroczni, jaką raczyła objawić boska Flaszka<sup>8</sup>. Częstokroć ten Trilby<sup>9</sup> literacki pojawiał się na stosach książek i zakrzywionymi palcami ukazywał złośliwie dwa żółte tomiki, których tytuł lśnił się i mienił. A skoro ujrzał autora w naprężeniu ciekawości, wówczas sylabizował głosem drażniącym jak dźwięk harmonijki: „Fizjologia małżeństwa”! Prawie zawsze jednak demon nachodził autora późnym wieczorem, w godzinie sennych marzeń. Wówczas, kuszący jak rusałka, melodią słów pełnych słodyczy starał się obłaskawić duszę, którą już wziął w niewolę. Czarujący i szyderski, gibki jak kobieta, okrutny jak tygrys, w czułości niebezpieczniejszy był niż w nienawiści, każda jego pieszczota zostawiała krwawe ślady pazurów. Pewnej nocy zwłaszcza, wyczerpawszy arsenał czarów, zdobył się na ostatni wysiłek. Zbliżył się, przysiadł na łóżku, podobny zakochanej dziewczynie, która milczy wstydliwie, lecz której oczy błyszczą gorączkowo i zdradzają wreszcie słodką tajemnicę.

– Oto – szeptał – masz tu prospekt na pas bezpieczeństwa, za pomocą którego będzie można przechadzać się po Sekwanie suchą nogą. Ten tom to sprawozdanie Akademii o ubraniu, które pozwoli spacerować bez obawy sparzenia wśród jasnych płomieni. Czyż nie wymyślisz nic, co by mogło uchronić małżeństwo od niebezpieczeństw zimna i gorąca? Słuchaj dalej! Oto „Sztuka przechowywania środków żywności”; „Sztuka zapobiegania dymieniu kominów”; „Sztuka wiązania krawata”; „Sztuka ćwiartowania mięsa”...

Tu w ciągu minuty wyliczył obfitość książek tak oszołamiającą, iż autorowi poczęło ćmić się w oczach.

– Każdy dzień – ciągnął dalej – pochłania te setki, tysiące książek, a przecież nie cały świat buduje, nie cały świat jada, nosi krawaty i pali na kominku, natomiast cały świat po trochu żeni się i idzie za męż!... Ale patrz, patrz tylko!...

Tu nagle czarnoksiężskim gestem odsłonił w oddali jakby olbrzymi ocean, w którym wszystkie książki całego wieku poruszały się, niby fale morskie, jednostajnym rytmem. Osiemnastki uderzały o brzeg raz po raz, ósemki szumiały poważnie, zanurzały się na dno i wypływały powoli, przeciskając się z trudem przez gęstą warstwę tomików in 12° i in 32°, które, roztrącane, rozbijały się w lekką i ruchliwą pianę. Przewalające się fale roiły się od

<sup>7</sup> A l e x a n d r e H a r d y (1560–1631)–francuski autor dramatyczny, niezwykle płodny.

<sup>8</sup> B o s k a F l a s z k a – aluzja do ostatniej (V) księgi „Gargantui i Pantagruela” Rabelais’go.

<sup>9</sup> T r i l b y – przydomek wzięty z powieści Karola Nodier „Trilby ou le Lurin d’Argail”, wydanej w r. 1822.

dziennikarzy, korektorów, papierników, drukarzy, agentów, roznosicieli, których głowy na przemian tonęły, to znów wynurzały się z morza książek. Wszystko krzyczało tysiącem głosów na kształt kąpiących się uczniów. Tam i z powrotem krążyło w łodziach kilku ludzi, których zadaniem było wylawiać książki, holować je do brzegu i składać przed jakąś wysoką, czarno ubraną osobą o pogardliwym wyrazie twarzy, sztywną i chłodną: księgarze – publiczność. Bies ukazał palcem łódź strojną w nowiutkie chorągwie, pędzącą pełnymi żaglami, z rozpostartym afiszem miast flagi; po czym, wybuchając sardonycznym śmiechem, odczytał przeszywającym głosem: „Fizjologia małżeństwa”.

W owym czasie autor zakochał się: odtąd bies zostawił go w spokoju, nie czując się widać na siłach utrzymania placówki zajętej przez kobietę. Upłynęło lat kilka, wolnych od innych udręczeń oprócz udręczeń miłości, i autor mógł mniemać, iż wyleczył jedną chorobę za pomocą drugiej. Jednakże pewnego wieczora znalazł się przypadkowo w którymś z paryskich salonów. Wśród rozmowy toczącej się przy kominku zabrał właśnie głos jeden z mężczyzn i rozpoczął grobowym tonem następujące opowiadanie:

– Wypadek ten zdarzył się w Gandawie podczas mego pobytu w tym mieście. Pewna dama, wdowa od lat dziesięciu, dotknięta nieuleczalną chorobą, spoczywała na łożu śmierci. Trzech dalekich krewnych oczekiwało jej ostatniego tchnienia; nie odstępowali jej w obawie, aby nie rozporządziła majątkiem na rzecz miejscowego klasztoru. Chora leżała w milczeniu, na wpeł już zgasła; śmierć zdawała się pełzać po niemej i wyblakłej twarzy. Widzicie ten obraz: w zimową noc, trzech krewniaków, otaczających w milczeniu łoże umierającej. Prócz nich przy łóżku stara dozorczyńni, potrząsająca znacząco głową, i lekarz, który, widząc, iż choroba dobiega kresu, sięga jedną ręką po kapelusz, drugą zaś czyni wymowny gest, jak gdyby chciał powiedzieć: „Nic tu już nie mam do roboty”. Uroczystą ciszę przerywał tylko głuchy świst deszczu, który, zmieszany ze śniegiem, siekł po zamkniętych okiennicach. By oczy umierającej ochronić od blasku, umocował najmłodszy ze spadkobierców zasłonę przy świecy obok łóżka, tak iż świetlny krąg sięgał ledwie śmiertelnej poduszki, od której odrzynała się żółkła twarz chorej, niby spełzła pozłota głowy Chrystusa na szerniałym srebrze krzyża. Jedynie migotliwe błękitne płomyki kominka oświetlały posępny pokój, w którym za chwilę rozegrać się miał dramat. Nagle żarzące się polano stoczyło się na posadzkę, jakby zwiastując katastrofę. Zbudzona hałasem, chora podnosi się i otwiera szeroko oczy, błyszczące jak u kota. Wszyscy wpatrują się w nią w osłupieniu. Ona śledzi wzrokiem toczącą się główkę i nim ktokolwiek mógł pomyśleć o powstrzymaniu niespodzianego i jakby w przystępie naglego szału wykonanego ruchu, wyskakuje z łóżka, chwyta szczypce i odrzuca żarzący węgiel. Dozorczyńni, lekarz, krewni rzucają się ku niej, chwytają – i za chwilę leży już w dawnej pozycji, z głową zwieszoną na poduszkę i zanim upłynęło kilka minut, umiera, z oczami nawet po śmierci wlepionymi w kwadrat posadzki, na który stoczyła się główka.

Ledwie hrabina Van Ostroem wydała ostatnie tchnienie, trzej spadkobiercy obrzucili się nieufnym wzrokiem i, nie myśląc już o zmarłej ciotce, skierowali oczy na tajemniczą posadzkę. Byli to Belgowie: rachunek zatem odbywał się w ich głowach nie mniej chyżo od tego spojrzenia. W kilku słowach wymienionych półgłosem postanowiono, że żaden z nich nie opuści pokoju. Lokaj poszedł po robotnika. Kiedy trzej Belgowie, pochyleni nad kosztowną posadzkę, usłyszeli pierwsze uderzenie dłuta, zadane ręką terminatora, dusze krewniaków zadrgały wzruszeniem. Deski puściły!

– Ciotka poruszyła się!... – rzekł najmłodszy.

– Nie, to tylko migotanie światła!... – odparł starszy, którego oczy śledziły równocześnie i skarb, i umarłą.

Znaleźli, dokładnie w tym miejscu, na które potoczyło się żarzące polano, duży przedmiot, starannie otoczony warstwą gipsu.

– Dalej! – zawołał najstarszy.

Pod uderzeniem dłuta ukazała się głowa ludzka. Po jakimś szczątku ubrania rozpoznano w niej hrabiego, który, w przekonaniu całego miasta, umarł rzekomo na Jawie, serdecznie oplakiwany przez wdowę.

Opowiadający tę dawną historię był to wysoki, chudy mężczyzna o drapieżnym oku i ciemnych włosach. Uderzyło autora niejakie podobieństwo między owym mężczyzną a demonem, od którego doznał był tyłu udręczeń; jednakże nieznanemu brakło rozszczępionego kopyta. Nagle zabrzmiało w uszach autora słowo wiarołomstwo; i oto, jakby na dźwięk dzwonu, zbudziły się w jego wyobraźni najposępniejsze postacie orszaku, który niegdyś, w ślad za tymi czarnoksiężskimi głoskami, przesuwiał się przed oczyma jego duszy.

Od tego wieczoru fantasmagorie nie istniejącego dzieła rozpoczęły na nowo swoje przesładowanie. W żadnej epoce nie oblegało autora tyle kuszących pomysłów do nieszczęsnej książki. Jednakże opierał się mężnie biesowi, mimo że ten wplatał uporczywie najdrobniejsze wydarzenia życia w owo nie istniejące dzieło i, niby urzędnik celny, wszystko znaczył swoją szyderską pieczęcią.

W kilka dni później autor znalazł się w towarzystwie dwóch pań<sup>10</sup>. Pierwsza była w swoim czasie jedną z najświetniejszych i najwytworniejszych kobiet dworu Napoleona. Restauracja zastała ją na wysokim szczeblu społecznym i straciła ją; wówczas usunęła się w zupełne zaciśnięcie. Druga, młodsza, cieszyła się podówczas w Paryżu rozgłosem modnej piękności. Żyły w przyjaźni, gdyż ambicje i próżnostki czterdziesto- i dwudziestodwuletniej kobiety rzadko ścierały się na jednym terenie. Autor dla jednej z tych dwóch pań nie wchodził w rachubę, druga zaś umiała go przeniknąć, obecność jego zatem nie przerwała dość szczerze rozpoczętej rozmowy, zawodowej niejako – rozmowy o rzemiośle kobiety.

– Czy zauważyłaś, droga, że kobiety potrafią szaleć jedynie dla głupców?

– Cóż znowu, księżno? Jakże pogodzisz to twierdzenie z absolutnym brakiem sympatii, jakie zdradzają dla swoich mężów?

„Ależ to istne opętanie! – rzekł, do siebie autor. – Czyżby tym razem diabeł przebrał się w spódnice?...”

– Nie, moja kochana – mówiła dalej księżna – bynajmniej nie żartuję. Wyznaję, że nieraz wprost lękam się o samą siebie, odkąd nieco chłodniej rozglądam się pamięcią wśród osób, które znałam niegdyś. Inteligencja, dowcip mają zawsze w sobie coś zbyt świetnego, co nas drażni; a mężczyzna bogato nimi obdarzony przestrasza nas może nieco. Jeżeli przy tym jest dumny, wówczas nie będzie okazywał zazdrości, co także nie może się nam podobać. Może wolimy podnosić mężczyznę ku sobie niż wspinać się ku niemu... Prawda, że talent dzieli z nami swoje triumfy, ale mężczyzna wyzuty z niego daje nam bardziej bezpośrednio rozkosze... Każda z nas, bez wyjątku, woli słyszeć naokoło szept: „Cóż to za piękny mężczyzna!” niż oglądać swego kochanka kroczącego do Instytutu.

– Zlituj się, księżno, przestań! Przerażasz mnie doprawdy.

I młoda piękniejsza poczęła naprędce szkicować portrety kochanków, za którymi szalały znajome panie z jej świata, lecz – nie znalazła wśród nich ani jednego mężczyzny błyszczącego umysłem.

– Ależ – zawołała – klnę się na mą cnotę, toż ich mężowie więcej są warci...

– Tak, ale są ich mężami! – odparła z niezachwianą powagą księżna.

– Czyż katastrofa, która grozi każdemu mężowi we Francji, byłaby nieuniknioną? – zapytał autor.

---

<sup>10</sup> W towarzystwie dwóch pań – w pierwszej z nich balzakiści dopatrują się księżny d’Abrantès, autorki głośnych pamiętników i jednej z pierwszych miłości Balzaka, w drugiej pani O’Donnell, której Balzac przez pewien czas był wielbicielem.

– Naturalnie! – odparła śmiejąc się księżna. – Już sama zaciekłość, jaką niektóre kobiety ścigają te, które uległy owemu pełnemu szczęściu nieszczęściu, dowodzi, jak bardzo im dokuczają własna powściągliwość. Jedna poszłaby w ślady Lais, gdyby nie strach przed piekłem; druga zawdzięcza swą cnotę oschłości serca; inna niezdarności pierwszego wielbiciela; tamta...

Autor przerwał potok wynurzeń, zwierając projekt dzieła, prześladowający go tak uparcie. Obie panie przyjęły zamiar z sympatią, obiecując wiele wskazówek. Młodsza żartując złożyła natychmiast pierwszy fundusz przedsiębiorstwa, podejmując się matematycznie udowodnić, iż kobiety bezwarunkowo cnotliwe są to jedyne rozsądne istoty na świecie.

Naówczas, wróciwszy do domu, autor zawołał do swego demona:

– Przybywaj! Jestem gotów. Spisujmy cyrograf!

Demon nie zjawił się.

Jeżeli autor kreśli tu biografię własnej książki, nie czyni tego bynajmniej z podszeptu zarozumiałości. Spisuje fakty, które mogą posłużyć jako przyczynek do historii myśli ludzkiej i ułatwią niewątpliwie zrozumienie samego dzieła. Dla niejednego anatoma myśli nie będzie może obojętną wiadomością, iż dusza jest rodzaju żeńskiego. I tak, dopóki autor odpędzał od siebie myśl o zamierzonej książce, książka zjawiała się wszędzie. Jedną kartkę znajdował na łóżku chorego, inną na wykwintnej kanapce buduaru. Spojrzenia kobiet wirujących w zakrętach walca budziły w nim natłok myśli; każde słowo, każdy gest zapładniały jego oporną wyobraźnię. W dniu, w którym sobie powiedział: „Dobrze więc! Niech się stanie to dzieło, które mnie ściga i prześladowuje!...” – wszystko pierchło; podobny owym trzem Belgom, autor, schylając się, aby podnieść skarb, znalazł jedynie martwy szkielet.

Miejsce kuszącego demona zajęła jakaś postać o słodkawym i wyblakłym wejrzeniu. Obejście jej było uprzejme i dobrodusze, a wywody wolne od szpilek krytyki. Postać ta płodziła więcej słów niż myśli i zdawała się nade wszystko obawiać hałasu. Może to był domowy geniusz naszych czcigodnych posłów, zajmujących fotele w centrum Izby?

– Czy nie byłoby lepiej – mówiła ta postać – zostawić wszystko, jak było? Czyż istotnie jest tak źle? W małżeństwo trzeba wierzyć, jak się wierzy w nieśmiertelność duszy, a ty z pewnością nie masz zamiaru sławić w swej książce szczęścia małżeńskiego. Zresztą chcesz wyprowadzić wnioski na podstawie tysiąca małżeństw paryskich, które, ostatecznie, są tylko wyjątkiem. Może ci się zdarzy spotkać mężów gotowych ustąpić ci własnej żony, ale żaden syn nie ustąpi ci matki... Niejeden, dotknięty twymi poglądami, może podać w podejrzenie czystość twych obyczajów, uczciwość intencji. Zresztą, aby dotykać skrofulów społecznych, na to trzeba być królem Francji lub co najmniej Pierwszym Konsulem...

Jakkolwiek Rozsądek – on–ci to był – zjawił się autorowi w postaci możliwie najpowabniejszej, nie znalazł mimo to pasłuchu: bo oto już w oddali Szaleństwo potrząsało błazeńskim berłem Panurga i autor zapragnął włączyć tym berłem. Gdy je pochwycił, okazało się tak ciężkie jak maczuga Herkulesa. Co więcej, dobry proboszcz z Meudon<sup>11</sup> porzucił je w stanie niezbyt zachęcającym dla młodego człowieka, dla którego niepokalana świeżość rękawiczek stanowi punkt honoru o wiele drażliwszy niż napisanie dobrej książki.

– Cóż, dzieło nasze gotowe? – spytała pewnego dnia młodsza z owych dwóch współpracowniczek autora.

– O pani! Czyż łaska twoja zechce mi nagrodzić wszystkie nienawiści, które rozpętam?

Zrobiła niezdecydowany ruch, na który autor odpowiedział gestem zniechęcenia.

– Cóż znowu? Wahasz się pan? Ależ pisz, drukuj, wydawaj bez najmniejszej obawy! Dziś oceniamy książkę daleko więcej z kroju niż z materii.

Jakkolwiek autor przypisuje sobie jedynie skromną rolę sekretarza owych dwóch dam, on sam, starając się ująć w pewną całość ich oderwane spostrzeżenia, podjął rozwiązanie niejed-

---

<sup>11</sup> P r o b o s z c z z M e u d o n – tj. Rabelais.

nego zadania. W zakresie małżeństwa jedna rzecz zwłaszcza była do zrobienia, mianowicie sformułowanie tego, o czym cały świat myśli, a czego nikt głośno nie mówi; jednakowoż, czerpiąc w ten sposób książkę z mózgowicy całego świata, czyż nie naraża się autor na to, iż nie spodoba się ona nikomu? Może jednak eklektyzm ten zdoła ocalić książkę w oczach publiczności. Wśród żartu i szyderstwa autor starał się zaszcześcić niejedną pocieszającą refleksję. Prawie zawsze kusił się o poruszenie nowych i ukrytych sprężyn duszy. Biorąc w obronę interesy najbardziej materialne, analizując je lub potępiając, zdołał może skierować uwagę czytelnika na źródło niejednej intelektualnej rozkoszy. Byłoby pretensjonalnością twierdzić, iż humor jego nie przekroczył nigdy granic wytwornego smaku; raczej liczył on na rozmaitość usposobień, w nadziei utrzymania równowagi między uznaniem a przyganą. Temat sam przez się był tak poważny, iż autor usiłował przeplatać go wciąż anegdotą; dziś bowiem jedynie anegdota pozwala książce przemycić morał i służy mu niejako za odtrutkę.

W dziele tym, całkowicie opartym na spostrzeżeniach i analizie, nie zawsze dało się uniknąć znużenia czytelnika i uciekania się do nieszczęsnego ja autora; autor nie taił przed sobą, iż ze wszystkich niebezpieczeństw, jakie mogą grozić książce, te dwa są najgroźniejsze. Starał się przeto rozłożyć materię dzieła w ten sposób, aby dozwolnić czytelnikowi częstych wypoczynków. System ten uświęcony został przez pisarza, który niegdyś roztrząsał istotę smaku w dziele dość pokrewnym z tymi wywodami, mającymi na celu wyświetlenie istoty m a ł ż e ń s t w a. Z niego pozwolę sobie zaczerpnąć słów kilka dla oddania myśli wspólnej obu tym dziełom; będzie to niejako hołd dla poprzednika, którego śmierć zbyt szybko nastąpiła po dniach jego powodzenia.

„Gdy pisząc mówię o sobie w liczbie pojedynczej, oznacza to swobodną gawędę z czytelnikiem: wolno mu wtedy krytykować, sprzeczać się, powątpiewać, śmiać się nawet; lecz skoro występuję uzbrojony w majestatyczne my – wówczas obwieszczam, wówczas trzeba w milczeniu pochylić głowę”. (Brillat–Savarin, przedmowa do „Fizjologii smaku”)<sup>12</sup>.

H. B....c

*5 grudnia 1829*

---

<sup>12</sup> Anthelme Brillat–Savarin (1755–1826) – wydał swą „Fizjologię smaku, czyli rozważania o gastronomu transcendentalnej” w r. 1825.

CZEŚĆ PIERWSZA  
*Roztrząsania ogólne*

*Będziemy przemawiali przeciw  
niedorzecznym prawom poty, póki nie  
wywalczymy ich naprawy; nim to jednak  
nastąpi, będziemy im ślepo posłuszni.*

(Diderot, „Przyczynek do Podróży Bouga-  
inville’a”).



## ROZMYŚLANIE PIERWSZE

### *Przedmiot*

FIZJOLOGIO, czego żadasz ode mnie?

Czy chcesz dowieść, że małżeństwo wiąże na całe życie dwoje istot zupełnie sobie nie znanych?

Że żyć – znaczy pragnąć, a żadne pragnienie nie oprze się więzom małżeństwa?

Że małżeństwo jest instytucją niezbędną dla społeczeństwa, lecz przeciwną naturze?

Że rozwód, ten cudowny balsam na niedole małżeństwa, stanie się jednogłośnym żądaniem ludzkości?

Że mimo wszystkich braków małżeństwo jest najistotniejszym źródłem własności?

Że stanowi doskonałą rękojmię bezpieczeństwa dla rządów?

Że jest coś wzruszającego w tym połączeniu dwojga istot dla wspólnego dźwigania ciężaru życia?

Że śmieszne jest żądanie, aby jedna myśl kierowała wolą dwóch jednostek?

Że małżeństwo czyni z kobiety niewolnicę?

Że nie istnieje małżeństwo zupełnie szczęśliwe?

Że małżeństwo ukrywa stek zbrodni i że znane wypadki morderstwa nie są najcięższymi w ich liczbie?

Że bezwzględna wierność jest niemożliwa, przynajmniej dla mężczyzny?

Że gdyby dało się przeprowadzić ściśle ocenienie kwestii, wykazałoby ono, iż zasada dziedziczenia stanowi raczej źródło rozterki niż spokoju?

Że wiarołomstwo sprawia więcej złego, aniżeli dobre przynosi małżeństwo?

Że niewierność kobiety sięga samych początków społeczności i że to nieustające przemycnictwo nie zdołało naruszyć istoty małżeństwa?

Że prawa miłości łączą dwoje istot węzłem tak silnym, iż żadne prawo ludzkie nie zdoła go rozerwać?

Że jeżeli istnieją małżeństwa zapisane w księgach kościelnych, istnieją inne, złączone wolą natury, harmonią lub przeciwieństwem charakterów, jak również własnościami fizycznymi; że zatem niebo i ziemia są ze sobą w ustawicznej sprzeczności?

Że zdarza się spotkać mężów niepospolitych fizycznie i umysłowo, których żony biorą kochanków brzydkich, marnych lub głupich?

Wszystkie te zagadnienia mogłyby, w danym razie, natchnąć do niejednej książki; ale książki te już istnieją, a zagadnienia te od dawna przesądzono.

Czegóż więc chcesz ode mnie, Fizjologio?

Czy odsłaniasz mi nowe podstawy życia? Czy chcesz stwierdzić, że kobieta powinna być wspólną własnością? Ależ to już było! Próbował tego Likurg i niektóre szczepy greckie; próbowali Tatarzy i inne dzikie plemiona.

Czy powiesz, że kobiety trzeba zamykać pod kluczem? Turcy już to zrobili, a dziś wypuszczają je na wolność.

Czy może każesz wydawać dziewczęta za mąż bez posagu i wykluczyć je od dziedziczenia?... Angielscy pisarze i moralisci udowodnili, że byłaby to, obok rozwodu, najpewniejsza rękojmia szczęścia w małżeństwie.

Czy chcesz powiedzieć, iż jakaś malutka Agar niezbędną jest w każdym stadle? Na to nie potrzeba specjalnej ustawy. Paragraf, który potępia wiarołomną żonę bez względu na miejsce zbrodni, mężczyznę zaś karze jedynie w wypadku skalania domu rodzinnego, zostawia pole dla pozadomowych przyjaciółek.

Sanchez<sup>13</sup> napisał szczegółową rozprawę o małżeństwie z punktu konfesjonału; omówił każdy szczegół uciech małżeńskich, czy i o ile są one dozwolone i legalne; zakreślił wszystkie moralne, religijne i cielesne obowiązki; słowem, gdyby kto chciał dziś wydać na nowo tę olbrzymią księgę *in folio*, zatytułowaną „De Matrimonio”, dzieło to zmieściłoby się ledwie w dwunastu naszych tomach.

Bezlik jurystów zgromadził skrzętnie konflikty zachodzące w małżeństwie. Istnieją nawet dzieła o kongresie prawniczym, poświęconym temu przedmiotowi.

Legion lekarzy ogłosił niemniejszy legion dzieł o małżeństwie z punktu widzenia wiedzy i sztuki lekarskiej.

Czymże zatem może być w XIX wieku dzieło poświęcone fizjologii małżeństwa, jeśli nie mdłą kompilacją lub czczą gadaniną głupca, spisaną dla głupców? Oto już sędziwi kapłani, ująwszy w rękę złotą wagę, zważyli na niej najdrobniejsze wątpliwości; starzy, uczeni prawnicy, nałożywszy najsilniejsze okulary, zbadali i rozgraniczyli wszystkie zawikłania; starzy lekarze poprowadzili pewną ręką skalpel poprzez wszystkie rany; osiwiali sędziowie, zasiadłszy na wysokich krzesłach, osądzili wszystkie sporne kwestie; pokolenia całe przeciągnęły zostawiając za sobą echo okrzyków szczęścia lub rozpacz; wiek każdy rzucił swój głos do urny; księgi, natchnione przez Ducha Świętego, i inne, spisane przez największych poetów i myślicieli, objęły wszystko, od Ewy do wojny trojańskiej, od Heleny do pani de Maintenon, od żony Ludwika XIV do La Contemporaine<sup>14</sup>.

Czegóż więc chcesz ode mnie, Fizjologio?

Czy masz zamiar nakreślić szereg mniej lub więcej udanych obrazków, aby dowieść, iż pobudką małżeństwa u mężczyzny może być:

Ambicja: wypadki dobrze znane;

Brzydota: gdy mężczyzna obawia się, iż kiedyś mógłby się znaleźć bez kobiety;

Cnota: jak książę de St-Aignan, który nie mógł się zdobyć na popełnienie grzechu;

Dobroć: aby wydobyć dziewczynę z niewoli przykrej i despotycznej matki;

Energia młodej osoby, która upatrzyła sobie męża;

Fatalność; ależ zawsze!

---

<sup>13</sup> Tomas Sanchez (1550–1610) – jezuita hiszpański, autor dzieła „Disputationes de Sancto Matrimonio Sacramento”, przeznaczonego dla spowiedników.

<sup>14</sup> Francoise d’Aubigné, margrabina de M a i n t e n o n (1635– 1719) – wychowawczyni dzieci Ludwika XIV, zyskała wielki wpływ na króla i poślubiła go potajemnie w r. 1684; L a C o n t e m p o r a i n e (1778–1845) – głośna awanturka; nie zdobywszy sukcesu jako aktorka, wydała cały szereg pamiętników i wspomnień, którymi zyskała sobie rozgłos.

Gniew: gdy się ktoś żeni, aby wydziedziczyć spadkobierców;  
Honor: gdy młoda panienka była nieco nieostrożna;  
Interes: to najczęściej;  
Kłopoty: znaczy spaść z deszczu pod rynną;  
Lekkomyślność niedowarzonego studenta;  
Łakomstwo: aby zgarnąć majątek po starej babie;  
Miłość: aby się z niej tym pewniej wyleczyć;  
Naśladownictwo utartego zwyczaju;  
Obowiązki względem n a s z y c h dzieci;  
Proces: jako sposób ukończenia takowego;  
Rozsądek... to przytrafia się jeszcze doktrynerom;  
Starość: aby raz koniec zrobić;  
Testament: gdy zmarły wuj obciąży sukcesję obowiązkiem poślubienia kuzynki;  
Uraza do niewiernej kochanki;  
Wdzięczność: przy czym oddaje się zazwyczaj więcej, niż się otrzymało;  
X: brakuje (może dlatego, iż tak rzadko figuruje na początku wyrazu, wzięto tę literę jako symbol niewiadomej);  
Yatidi, co oznacza po turecku godzinę spoczynku i wszystko, co jest z nią związane;  
Zakład: przykładem lord Byron...  
Ależ te wszystkie przypadki dostarczyły już tematu trzydziestu tysiącom komedii i stu tysiącom romansów.

Fizjologio, po raz trzeci i ostatni, czego ty chcesz ode mnie?

Wszakże w tej kwestii wszystko jest wytarte bardziej niż bruk uliczny, pospolitsze niż kramy targowe. Małżeństwo to temat tak ograny jak figura Barabasza na przedstawieniach pasyjnych; wszystkie odwieczne refleksje, jakie z nim się łączą, walają się po literaturach całego świata; nie wpadniesz na pomysł tak rozsądny ani na koncept tak szalony, który by kiedyś nie znalazł już swego autora, wydawcy, księgarza i czytelnika.

Pozwólcie mi się odezwać do was słowami Rabelais'go, naszego wspólnego patrona:

„Jak się macie, dobrzy ludziska, niech was Bóg ma w swojej opiece. Gdzie jesteście? Nie mogę was dojrzeć. Poczekajcie, niech nawdzieję okulary. Aha, już was widzę. Wy wszyscy, wasze żony, dzieci, jesteście w dobrym zdrowiu? To mnie bardzo cieszy”.

Ale nie dla was piszę, moi drodzy. Skoro macie już dorosłe dzieci, nic nie mamy z sobą do mówienia.

„Aha, i wy tu jesteście, opilce znamienite, zacne podagryki, drapichrusty, wy, kochasie wymuskane, wy, co pantagruelizujecie przez cały dzień boży, co umiecie tak ładnie odmawiać wasze sprośne godzinki: do trzech razy, do sześci, do dziewięci, na nieszpory, na jutrznię, ile tylko się zmieści”.

Nie do was to zwraca się ta. „Fizjologia małżeństwa”, skoro nie jesteście żonaci. Czego wam i na przyszłość życzę, amen.

„Nuże, wy! liżyobrazki, nabożnisie, obłudniki, świętoszki i inne takie ludzie, które przybrały twarze w maski, aby świat tumanić!... Precz mi stąd, lisy farbowane! Wynoście się, kałużniciane głowy! Do kroćset diabłów, jeszcze was tu widzę!...”

Któż zatem zostanie ze mną, jeśli nie te dobre dusze, które jeszcze kochają starą wesołość? Nie one płaksy, które przy lada okazji lubią się mazać wierszem i prozą, które chcą odnaleźć

własne mdłości w odach, sonetach i elegiach; nie te mydłki wykarmione na niebieskich migdałach; ale owi dawni kompani Pantagruela, którym nie trzeba dwa razy powtarzać, gdy chodzi o to, by sobie nieco podpić i podworować, którzy umieją znaleźć smak w książce Rabelais'go „O grochu ze słoniną, cum commento” albo w książce „O dostojęństwie rozporka”, słowem, którzy cenią jeszcze te piękne stare dzieła, nie gardzące żadnego rodzaju tłustością, „letkie w dotknięciu, śmiałe w potykaniu”.

Nie można się już śmiać z rządu, moi mili, odkąd znalazł sposób, by z nas wycisnąć tysiąc pięćset milionów podatku. Nasi zacni opaci i biskupi, mnichy i mniszeczki nie są jeszcze dość bogaci, aby warto było dobrać się do ich piwniczek; ale niech no nadciągnie święty Michał, który samego diabła przepędził z nieba, a wróć jeszcze dawne dobre czasy. Tymczasem zostało nam we Francji jedno tylko małżeństwo, w którym można jeszcze znaleźć przedmiot do śmiechu. Uczniowie Panurga, was tylko chcę za czytelników. Wy jedni umiecie w porę wziąć książkę do ręki i w porę ją odłożyć, nie wydziwiać próżno, w pół słowa zrozumieć, o co chodzi, i wyssać pożywny szpik z kości pacierzowej.

Owi ludzie patrzący przez mikroskop, którzy widzą tylko jeden punkcik, owi mądrzy cenzorzy czyż naprawdę wszystko już powiedzieli i wszystko przepatrzyli? Czy zawyrokowali już ostatecznie, że książka o małżeństwie jest tak niemożliwa do napisania, jak nie podobna ze stłuczonego garnka zrobić nowy?

– Tak, mości błaznie. Ściskaj małżeństwo, ile ci się podoba, zawsze zeń wyjdzie tylko radość dla kawalerów, a strapienie dla mężów. To wieczysty morał. Milion zadrukowanych stron nie wynajdzie innej treści.

Jednakże spróbuję postawić mą pierwszą tezę: Małżeństwo jest walką na śmierć i życie, przed którą oboje małżonkowie proszą nieba o błogosławieństwo, gdyż chcieć kochać się wiecznie jest najzuchwalszym z zamiarów; jakoż walka rozpoczyna się niebawem, a zwycięstwo, to znaczy wolność, przypada zręczniejszemu z przeciwników.

– Zgoda. Ale cóż w tym nowego?

Zatem zwracam się do mężów świeżo, dziś lub wczoraj upieczonych; do tych, którzy, wychodząc z kościoła albo z urzędu gminnego, oddają się nadziei zachowania żony tylko dla siebie; do tych, u których czy to egoizm, czy jakieś nieokreślone uczucie powoduje, iż na widok nieszczęść bliźniego powiadają sobie: „Mnie się to nie trafi!”

Zwracam się do tych marynarzy, którzy, choć widzieli moc statków idących pod wodę, mimo to puszczają się na morze; do dziarskich chłopców, którzy, sami rozbiwszy niejedną cnotę małżeńską, mimo to odważają się żenić. A oto mój temat, wieczyście nowy, wieczyście stary!

Mężczyzna, młody lub starszy, zakochany lub nie, na mocy kontraktu wciągniętego bez zarzutu do ksiąg w kancelarii mera, w parafii i w niebiesiech, nabywa na własność młodą dziewczynę o długim, jedwabistym warkoczu, czarnych i wilgotnych oczach, mikroskopijnej nóżce, drobnych i delikatnych paluszkach, koralowych usteczkach, ząbkach lśniących jak kość słoniowa, pełnej a gibkiej kibici, wypieszczoną jak lalczka, powabną i drżącą ze wzruszenia; dziewczynę białą i niewinną jak lilia, a obsypaną przez naturę najbardziej kuszącymi ponętami. Długie, ciemne rzęsy przedziwnie łagodzą jarzący blask oczu; twarzyczka mieni się barwami białej i czerwonej kamelii; dziewicza płeć ledwie widocznym puszkim przypomina owoc dojrzewającej brzoskwini; delikatna siatka żyłek zwiastuje ciepło krążące pod tą nieskałaną powłoką; cała postać pulsuje życiem i wabi życie ku sobie, oddycha rozkoszą i miłością, promieniuje naiwnością i wdziękiem. Młoda dziewczyna kocha męża lub bodaj wierzy, że kocha...

On, zakochany, myśli w tej chwili: „Te oczy mnie tylko widzieć będą w całym świecie, pod moim tylko uściskiem zadrzą miłośnie te słodkie usteczka, dla mnie ta drobna rączka chowa drażniące skarby swych pieśczoł, ja jeden poruszę westchnieniem to dziewicze łono, ja pierwszy obudzę do życia tę uśpioną duszę. Po tych jedwabnych puklach będą się ślizgać

moje tylko dłonie, ja, w godzinie upojeń, składać będę na tej drżącej główce delikatne pocałunki. Przy mym łożu każę czuć śmierci i bronić jego nieskalanej czystości przed niegodnym rabusiem; ten ołtarz miłości spłynie krwią zuchwalca lub moją własną. Na nim spoczywa mój spokój, cześć, szczęście; od jego czystości zależy honor nazwiska i los moich dzieci; tego ołtarza bronić będę jak lwica młodych. Biada śmiałkowi, którego stopa naruszy moje legowisko!”

Dobrze więc, odważny zapaśniku, z serca przyklaskujemy twemu postanowieniu. Do dziś żaden geometra nie odważył się na morzu małżeńskim wykreślić geograficznej szerokości i długości. Próżno wypytywałbyś osiwiatych mężów o niezliczone mielizny, rafy podwodne, skaliste wybrzeża, wichry, prądy i huragany, na których rozbiły się ich łodzie: milczą, tak wstyd im własnego pogromu. Brak więc dotąd mapy, brak busoli pielgrzymom żeglującym po morzu małżeństwa... to dzieło niech im posłuży za mapę i busolę.

Nie mówiąc o pończosznicach i kupcach korzennych, iluż spotykamy ludzi, którzy tracą drogi czas na nieustanne odgadywanie ukrytych sprężyn, kierujących czynnościami kobiet? Czyż nie byłoby zatem aktem wysokiej filantropii ułożyć im, zgrupować w rozdziały i skatalogować wszystkie tajemne zagadki i zawikłania małżeństwa? Dobrze zredagowany spis rzeczy pozwoli im śledzić uderzenia serca własnych żon z taką samą ścisłością, z jaką tabliczka logarytmów wskazuje wyniki działań arytmetycznych.

I cóż wy na to przedsięwzięcie? Czy nie jest nowe i śmiałe? Czyż znalazł się kiedy filozof, który by uczył, jak powstrzymać kobietę od zdradzania męża? Czyż to nie będzie komedia nad komediami? Nowe *speculum vitae humanae*?<sup>15</sup> To już nie owe jałowe roztrząsania, których bezcelowość wykazaliśmy przed chwilą. Dziś w dziedzinie nauk moralnych, jak w wiedzy ścisłej, świat żąda faktów, spostrzeżeń. Tych będziemy mieli zaszczyt dostarczyć.

Zacznijmy więc od stwierdzenia stanu rzeczy; od ocenienia sił każdej ze stron walczących. Nim wyprowadzimy na plac urojonego szermierza, rozpatrzmy się w cyfrze nieprzyjaciół, policzmy tych kozaków, którzy chcą zalać jego maleńką ojczyznę.

Dalej więc w drogę z nami, kto łaska! Uśmieje się do syta, komu będzie do śmiechu. Podnoście kotwicę, rozpinajcie żagle! Oto punkt wyjścia naszej podróży: mały, okrągły punkcik. Znamy go, prawda? To już wielka korzyść; nie każdy pisarz mógłby powiedzieć to samo o swojej książce.

A jeśli przyjdzie nam ochota śmiać się wśród płaczu, a płakać wśród śmiechu, jak boski Rabelais pił wśród jedzenia, a jadł wśród picia; jeśli nam się spodoba pomieszać, na jednej stronicy, Heraklita z Demokrytem; jeśli sobie zadrwimy ze stylu i z kunsztownych okresów?... Co?... niech no ktoś z załogi spróbuje szemrać!... Hola! precz mi z pokładu, stare móżgownice sypiące trocinami! Precz z klasykami w powijakach! Do wody romantyków w śmiertelnych gzałach! i dalej! na pełne morze!...

Powie ktoś, iż przypominam owych jowialistów, którzy, krztusząc się już naprzód, mówią: „Opowiem wam historyjkę; zobaczycie, będziecie się pokładać ze śmiechu!...” Nie, moi państwo, nie pora na żarty, gdy mowa o małżeństwie. Nie widzicie, że autor ma zamiar roztrząsać małżeństwo poważnie, jako lekką chorobę, na którą wszyscy jesteśmy narażeni, i że ta książka ma być jej monografią?

– Dobrze, panie autorze, ale w takim razie przypominasz co najmniej owych pocztalionów, którzy, ledwie ruszyli palą raz po raz z bata dlatego jedynie, iż wiozą bogatych Anglików. Nie przebiegniesz ani pół mili w tym galopie, a już będziesz musiał zleźć z kozła, aby poprawić uprząż lub dać się wydychać koniom. Po cóż zatem dać w surmy przed wygraną bitwą?

Ejże, drodzy pantagrueliści, czyż nie wystarcza dziś nadać się powodzeniem, aby je zdobyć w istocie? Czymże jest dziś wielkie dzieło, jeśli nie obszernie rozprawionym drobiazgiem? Czemuż nie miałbym sięgnąć po liście laurowe choćby po to, aby nimi ozdobić do-

---

<sup>15</sup> *Speculum vitae humanae* (łac.) – zwierciadło życia ludzkiego.

brze korzenną szyneczkę, po której tak miło przepłukać gardło winkiem. Chwilkę jeszcze, pilocie! Nie odbijaj od brzegu, nim się nie porozumiemy co do pewnej małej definicji.

Czytelnicy, jeśli od czasu do czasu, nie częściej niż w życiu, spotkacie w tym dziele słowo *c n o t a* lub *k o b i e t a c n o t l i w a*, wiedźcie, iż słowo to nie oznacza tu nic więcej prócz owej przykrej łatwości, z jaką kobieta zamężna przechowuje skarby serca wyłącznie dla męża; chyba że to samo słowo spotkacie użyte w znaczeniu ogólnym, czego rozróżnienie zostawia się wrodzonej bystrości każdego.

## ROZMYŚLANIE DRUGIE

### *Statystyka małżeńska*

Od lat dwudziestu wysiła się rząd, aby obliczyć, ile na cały obszar ziemi francuskiej przypada hektarów lasu, pola, winnic lub ugoru. Nie poprzestając na tym, stara się ustalić liczbę i gatunki wszelakiego bydła. Uczeni posunęli się jeszcze dalej: policzyli sęgi drzewa, kilogramy mięsa, hektolitry wina, nawet ilość jaj i kartofli spożywanych codziennie przez ludność Paryża. Natomiast, rzecz dziwna, nie znalazł się jeszcze nikt, kto by, czy to w imię honoru małżeńskiego, czy w interesie kandydatów do tego świętego stanu lub z idealnych pobudek moralności i chęci doskonalenia instytucji spróbował ustalić liczbę uczciwych kobiet we Francji. Jak to? Więc ministerium francuskie mogłoby w razie potrzeby odpowiedzieć z całą ścisłością, ilu w danej chwili posiada ludzi pod bronią, ilu szpiegów, ilu urzędników, ilu uczniów w szkołach; natomiast, gdyby kto zapytał o liczbę cnotliwych kobiet... milczenie – próżnia! Przypuśćmy, że nagle królowi Francji przychodzi fantazja, by wśród poddańek poszukać sobie dostojnej małżonki? Cóż wtedy?! Rząd nie byłby w stanie przedstawić, nawet w przybliżeniu, liczby białych owieczek godnych szaczonego wyróżnienia, tak iż trzeba by się chyba uciekać do publicznego konkursu! Śmieszne, doprawdy.

Widocznie zatem, zarówno w naukach politycznych jak i moralnych, starożytni zostaną zawsze dla nas niedoścignionymi mistrzami. Historia poucza nas, iż kiedy Asverus zapragnął pojąć żonę spośród cór Persji, wybrał Ester, jako najpiękniejszą i najcnotliwszą. Musieli zatem ministrowie znaleźć jakiś sposób, aby śmietankę najprzedniejszych dziewic perskich wydzielić z całej ludności kobiecej. Niestety, Biblia, zwykle tak ścisła i jasna w omawianiu kwestii małżeńskich, tym razem nie przekazała potomności owego proceduru.

Spróbujmy zatem uzupełnić owo niezrozumiałe zaniedbanie rządu, ustalając liczebne stosunki płci żeńskiej we Francji. Wzywamy wszystkich przyjaciół moralności publicznej, aby śledzili bieg naszej pracy, i poddajemy pod ich sąd nasze metody. Obliczenia będziemy się starali prowadzić ściśle, lecz bez pedanterii, tak aby każdy z łatwością mógł za nami podążyć aż do celu.

Ludność Francji obliczają powszechnie na trzydzieści milionów.

Niektórzy przyrodnicy twierdzą, iż liczba istot płci żeńskiej przewyższa cyfrę mężczyzn – lecz ponieważ nie brak i przeciwnych zapatrywań, przeto, posługując się rachunkiem prawdopodobieństwa, przyjmujemy piętnaście milionów jako liczbę kobiet we Francji.

Z tej ogólnej sumy przyjdzie nam zaraz z początku odrzucić okrągłą liczbę dziewięciu milionów istot, które, jakkolwiek, biorąc rzecz powierzchownie, okazują pewne podobieństwo do kobiety, jednak po głębszej rozwadze musiały być z tego obliczenia wyłączone.

Oto powody:

Uczeni przyrodnicy określają nazwą *C z ł o w i e k* jedynie pewien gatunek rodzaju Dwurękich, ustalony przez Dumérila w „Zoologii analitycznej” na str. 16, a który to gatunek Bory-Saint-Vincent uważał za stosowne uzupełnić włączając weń grupę Orangów.

Jakkolwiek jednak zoologowie widzą w pojęciu Człowieka jedynie zwierzę ssące o trzystu dwóch kręgach, posiadające kość gnykową i którego półkule mózgowe wyposażone są większą niż u innych ssawców ilością zwojów;

Jakkolwiek nie uznają w łonie tego gatunku innych różnic, Jak tylko różnice wytworzone działaniem klimatu a dające podstawę do podzielenia gatunku Człowiek na piętnaście różnych ras, o nazwach naukowych, których wyliczania możemy sobie oszczędzić – to jednak sądzimy, że i fizjologowi przysługuje prawo stworzenia działów i poddziałów, a to na podstawie stopnia inteligencji oraz pewnych specjalnych warunków moralnej i materialnej egzystencji.

Przyznajemy zatem, iż owe dziewięć milionów istot, o których mowa, przedstawiają niewątpliwie na pierwszy rzut oka wszystkie cechy przypisywane gatunkowi ludzkiemu; stwierdzamy, iż posiadają wymaganą ilość kręgów, kość gnykową, jarzmową itp.; nie bronimy bynajmniej panom uczonym z Ogrodu Zoologicznego pomieścić je w rodzaju *D w – u r ę k i c h*; ale widzieć w nich kobiety!... Nie, na to nasza „Fizjologia” nie zgodzi się nigdy.

W naszych oczach i w oczach czytelnika, dla którego książka ta jest przeznaczona, kobieta stanowi nader rzadką odmianę gatunku Człowieka, o pewnych odrębnych cechach fizjologicznych.

Odmiana ta jest rezultatem troskliwych i długowiekowych starań ludzkości; jest kosztownym owocem, jaki dzięki potędze złota i dobroczynnemu ciepłu cywilizacji udało się wyhodować. Poznać można kobietę po pewnych szczególnych właściwościach. Skóra jej jest biała, miękka i niezmiernie delikatna, toteż otacza ją drobiazgową czystością i staraniem. Palce jej lubią się przesuwać jedynie po miękkich, puszystych i pachnących przedmiotach. Podobna gronostajowi, jak on ginie niekiedy z bólu, gdy ktoś niebacznie splami jej białą tunikę. Lubi godzinami całymi gładzić długie i miękkie sploty swoich włosów i nasycać je odurzającym zapachem; lubi szlifować różowe paznokcie i wycinać je we wdzięczne formy migdałów, lubi często zanurzać w kąpieli delikatne członki. W nocy tylko najmniejsze puchy służą jej za posłanie, we dnie najcenniejsze dywany, toteż horyzontalna pozycja jest przez nią ulubiona. Głos jej napawa dziwną słodyczą, ruchy czarują wdziękiem, wymowa odznacza się zadziwiającą płynnością. Stroni od uciążliwej pracy, a jednak mimo pozorów słabości są ciężary, które unosi i którymi igra ze zdumiewającą łatwością. Unika blasku słońca i chroni się przed nim za pomocą wymyślnych przyrządów. Chodzić – to dla niej już ciężkie utrudzenie; czy jada? – to tajemnica; czy podlega innym ziemskim potrzebom? – to niezgłębiona zagadka. Istotą jej ciekawość: kto potrafi ukryć przed nią choćby najmniejszą drobnostkę, ten z łatwością ujmie ją w pułapkę, gdyż dusza jej w ciągłej jest pogoni za Nieznanem. Religia jej to miłość; podobać się temu, kogo kocha, to jej myśl wyłączna. Być kochaną – oto jedyny cel wszystkich jej czynności, jak jedynym celem każdego ruchu – wzbudzać pożądanie. Stąd myśl jej pracuje bez ustanku nad odkryciem coraz nowych sposobów błyszczenia. Potrafi żyć i poruszać się jedynie w atmosferze zbytku i wykwintu; dla niej to młoda Hinduska przedzie delikatny włos kóz tybetańskich; dla niej Tarara tka swoje przeźrocze gazy; dla niej w pracowniach Brukseli pomykają czółenka naładowane nitkami najcieńszego lnu; dla niej Visapur wydiera z łona ziemi najświetniejszym blaskiem migocące kamienie, a Sévres złoci misternie najbielszą glinę porcelany. Ona to dniem i nocą przemyśliwa nad nowym strojem; życie spędza na krochmaleniu sukien i kunsztownym mięciu chusteczek. Wyświeżona i strojna,



spieszmy olśniewać oczy nieznanym mężczyznom, których hołdy pochlebiają jej dumie, których pragnienia, przez nią obudzone, napawają ją rozkoszą, jakkolwiek ich osoby są jej zupełnie obojętne. Godziny wykradzione pielęgnowaniu własnego ciała lub rozkoszy spędza na śpiewaniu najśodszych melodii; dla niej to Francja i Włochy tworzą swe cudne koncerty, a Neapol zaczarowuje w struny duszę drgającą harmonią. Oto istota, która jest królową świata, a niewolnicą własnego kaprysu. Obawia się małżeństwa, gdyż grozi zepsuciem figury, ale daje mu się ująć, ponieważ wabi obietnicą szczęścia. Jeśli ma dzieci, to sprawa czystego przypadku; skoro podrosną, starannie je ukrywa.

Czyliż te rysy, zaczerpnięte na los szczęścia z tysiąca innych, znajdziemy u owych istot o rękach czarnych jak ręce małpy, o skórze stwardniałej i popękanej jak stary pergamin, o twarzy spalonej żarem słonecznym i szyi pomarszczonej jak u starej indyczki? Ciało ich okryte łachmanami, głos szorstki i chrypliwy, spojrzenie tępe, woń odrażająca; w nieustannej myśli o kawałku suchego chleba, wciąż pochylone ku ziemi, okopują, włóczą, żną, wiążą, zbierają zboże, zaczynają chleb, drą łyka; spiąją po jamach ledwie okrytych słomą, wspólnie z mężczyznami, dziećmi i bydłem domowym; skąd się biorą dzieci, tym sobie nie zaprzatają głowy. Płodzić ich jak najwięcej, aby jak najwięcej rzucić na pastwę nędzy i trudu – to całe ich zadanie; miłość – jeśli tu można mówić o miłości – i jest dla nich jedną z prac gospodarskich lub co najwyżej spekulacją.

Niestety! jeśli muszą istnieć na świecie sklepikarki, spędzające dzień cały na sprzedawaniu szmalcu i łójówek; żony rolników dojące krowy, nieszczęsnice zaprzęgnięte we wszelkich warsztatach jak bydło pociągowe lub dźwigające na plecach motykę, kosz lub worek; jeśli istnieje na świecie aż nazbyt liczny zastęp tych poziomych istot, dla których życie ducha, wykwiut kultury, rozkoszne burze serca są na zawsze niedostępnym rajem, mamyż uznać je za kobiety dlatego, iż kaprys natury wyposażył je również kością gnykową i trzydziestoma dwoma kręgami? Niechże raczej pozostaną dla fizjologa w gatunku... Orangów! My przemawiamy tutaj tylko w imieniu tych i dla tych, którzy, wolni od trosk życia powszedniego, wszystek czas i siły duszy poświęcić mogą miłości; dla tych wybranych, w których beztroska i dobrobyt stworzyły szlachetny kult miłości; do tych uduchowionych, którzy posiadli na własność Chimery. Przekleństwo wszystkiemu, co nie żyje życiem ducha, wszystkiemu, co nie jest młodością i wdziękiem, co nie kipi ogniem namiętności! Oto jawny wyraz tajemnych uczuć naszych filantropów, o ile umieją czytać lub mogą jeździć własnym powozem. Zapewne, prawodawca, urzędnik, ksiądz lub poborca podatkowy mogą w tych dziewięciu milionach wyklętych przez nas istot widzieć jednostki administracyjne, wierne owieczki, podsądnych i podatników; ale człowiek uczucia, buduarowy filozof, zajądając ze smakiem pulchną bułeczkę, zasianą i zebraną przez te nieszczęsne istoty, wykluczy je jednak wraz z nami bezwarunkowo z gatunku Kobieta. Dla nas nie istnieje inna kobieta, jak tylko ta, która może nas natchnąć miłością, istota, którą wypielegnowała kultura wieków i pomazała ją na kapłankę Myśli, a w której błogosławione próżniactwo rozwinęło potęgę wyobraźni; słowem, tylko ta istota, której dusza, śniąc o miłości, stwarza sobie obraz zarówno najwyższych rozkoszy duchowych jak fizycznego upojenia.

Ścisłość nakazuje nam zaznaczyć, iż spośród owych dziewięciu milionów żeńskich pariasów znajduje się tu i owdzie jakieś kilka tysięcy dziewcząt, które kaprys Amora wyposażył skarbami wdzięków; te dopływają prędzej czy później do Paryża lub innych wielkich centrów i niejednokrotnie uda im się tam zdobyć przyzwoitą pozycję; lecz na te dwa lub trzy tysiące uprzywilejowanych przypada sto tysięcy innych, które marnieją w służbie lub staczają się na dno ostatecznego upadku. W każdym razie w obliczeniach naszych weźmiemy w rachubę owe Pompadurki w ludowym wydaniu.

Tę pierwszą podstawę rachunku oparliśmy na statystycznym fakcie, że Francja liczy osiemnaście milionów ludzi biednych, dziesięć milionów mniej lub więcej zamożnych i dwa miliony bogatych.

Istnieje zatem we Francji jedynie sześć milionów kobiet, które są, były lub będą przedmiotem uczuciowego zainteresowania mężczyzny.

Poddajmy teraz tę elitę filozoficznemu rozumowaniu.

Bez zbytnej obawy protestów ośmielamy się przypuszczać, iż małżonkowie liczący wyżej dwudziestu lat pożycia pod wspólnym dachem śpią już zazwyczaj spokojnie, nie lękając się wtargnięcia pod ten dach miłości wraz ze skandalicznym procesem o naruszenie wiary. A zatem z owych sześciu milionów należy nam odciągnąć około dwu milionów kobiet, bardzo skądinąd interesujących, gdyż, licząc z górą czterdzieści wiosen, niejedno na świecie widziały; ponieważ jednak zalety ich nie są zazwyczaj w stanie poruszyć niczyjego serca, nie wchodzi zatem w rachubę w obecnie nas zajmującej kwestii. Damy te, o ile nie zdołają utrzymać się na powierzchni dzięki szczególniejszym zaletom towarzyskim, stają się pastwą nudy, za którą idzie dewocja, pieski, kotki i inne namiętności, które obrażają już tylko Pana Boga.

Obliczenia dokonane przez urząd statystyczny nakazują nam dalej odciągnąć z ogólnej cyfry dwa miliony dziewcząt, mniej lub więcej nieletnich. Stworzenia te, śliczne i miłe jak cukierki, rozpoczynają dopiero abecadło życia i bawią się niewinnie z rówieśnikami, nie przeczuwając, że ci mali mężczyźni, którzy są teraz przedmiotem ich śmiechu, staną się kiedyś przyczyną ich płaczu.

A teraz, z pozostałej cyfry dwóch milionów, któryż rozsądny człowiek nie pozwoli nam wyłączyć stu tysięcy biednych dziewcząt ułomnych, szpetnych, chorych, rachitycznych, skrofulicznych, ociemniałych, ubogich a starannie wychowanych, które to dziewczęta, pozostawszy w stanie panieńskim, nie mogą w żaden sposób stać się kamieniem obrazy dla świętych praw małżeństwa?

Któż nam nie ustąpi drugich stu tysięcy: szarytek, tercjarek, zakonnicek, nauczycielek, panien do towarzystwa, etc.? Zaokrąglimy jeszcze to świątobliwe zgromadzenie włączając w nie dość trudną do ścisłego określenia liczbę młodych dziewcząt, które już wyrosły z niewinnych zabaw wieku dziecięcego, lecz są zbyt młode, by już obrywać płatki pomarańczowego kwiatu.

Wreszcie z owego półtora miliona istot, które ostały się na dnie probierczego tygielka, musimy odrzucić jeszcze pięćset tysięcy, która to liczba przypada na córki Baala, źródło rozkoszy dla ludzi mało wybrednych. W tę cyfrę zamkniemy, razem z nimi – i bez wielkiej obawy, aby się jedne od drugich zepsuły – damy na utrzymaniu, modystki, panny sklepowe, kelnerki, aktorki, śpiewaczki, chórzystki, baletniczki, figurantki, panny służące etc. Istoty te wzbudzają wprawdzie naokoło wiele namiętności, lecz uważałyby za wysoką niewłaściwość zawiadaniać mera, rejenta, księdza i cały tłum gapiów o dniu i godzinie, w której mają zamiar oddać się wybrańcowi serca. To postępowanie, słusznie potępiane przez świat, z natury wścibski i ciekawy, ma jednak tę zaletę, iż nie zobowiązuje ich w niczym względem danego mężczyzny, względem pana mera i względem Świetnego Sądu. Nie naruszając zatem w niczym publicznej przysięgi, kobiety te nie mają nic wspólnego z książką poświęconą wyłącznie legalnemu małżeństwu.

Pomyśli niejeden z czytelników, iż nazbyt skąpo obliczono ten ostatni towar; być może; ale w takim razie cyfra ta, zbyt umiarkowana, wyrówna pozycje, które poprzednio mogły wydawać się komuś odmierzone zbyt hojnie. I tak, jeśli ktoś z miłości do bogatej wdowy zechce ją przemycić do pozostałego miliona, może ją śmiało urwać z pozycji siostr miłosierdzia, panienek ułomnych lub figurantek Opery. Wreszcie, przyjęliśmy dla ostatniej kategorii cyfrę nie większą niż pięćset tysięcy, ponieważ, jak już mieliśmy sposobność napomknąć, liczbę tę powiększa znacznie zastęp rekrutujący się z owych dziewięciu milionów kobiet z prostego ludu. Z tej samej przyczyny pominęliśmy klasę robotniczą i drobny przemysł. Kobiety tych dwu grup społecznych są jedynie wyrazem usiłowań, jakie czyni dziewięć milionów Dwurękich rodzaju żeńskiego, aby się podnieść ku wyższym regionom cywilizacji. Bez tej drobia-

zgowej ścisłości w obliczeniach całe to statystyczne rozmyślanie mogłoby niejednemu z czytelników wydać się czężą zabawką.

Myśleliśmy już, aby za pomocą jakiejś stutysięcznej grupki stworzyć rodzaj kasy amortyzacyjnej gatunku Kobieta, coś niby asylum dla kobiet, które popadną w stan przejściowy, np. dla wdów; ale po namyśle zdecydowaliśmy się operować okrągłymi cyframi.

Nic łatwiejszego jak udowodnić ścisłość naszej analizy; wystarczy jedno zestawienie:

Życie kobiety dzieli się na trzy okresy, rozgraniczone bardzo wyraźnie. Okres pierwszy zaczyna się w kolebce a kończy wiekiem kobiecej dojrzałości; drugi obejmuje cały czas, w którym kobieta zdalna jest do małżeństwa; trzeci wreszcie liczy się od krytycznego wieku, w którym natura, w sposób dość brutalny, nakazuje zmysłom milczenie. Te trzy okresy, równe mniej więcej co do czasu trwania, dzielą oczywiście i ogólną sumę kobiet na trzy prawie równe cyfry. Jeśli zatem pominiemy ułamki, których dokładne obliczenie zostawiamy uczonym matematykom, wypadnie, iż wśród sześciu milionów kobiet przypada dwa miliony na wiek od roku do osiemnastu lat, dwa miliony od osiemnastu do czterdziestu i dwa miliony kobiet starszych. Owe dwa miliony kobiet, wiekiem zdolnych do małżeństwa, podzielił kapryśny układ stosunków społecznych na trzy wielkie grupy, a mianowicie: te, które dla wyżej wyszczególnionych przyczyn za mąż nie wychodzą; te, o których cnotę mężczyźni niewiele się troszczą, i wreszcie ów milion prawych małżonek, który ma być przedmiotem dalszych rozważań.

Widzimy zatem z tego dość dokładnego zestawienia żeńskiej ludności, iż we Francji istnieje jedynie niewielkie, około miliona liczące stadko białych owieczek, do której to uprzywilejowanej obórki wszystkie wilki usiłują się zakraść.

Przesiejmy teraz jeszcze przez jedno sito ten milion kobiet, tak starannie już przebrany.

Aby dojść do najściślejszego poglądu na to, w jakim stopniu mężczyzna może pokładać zaufanie we własnej żonie, przypuśćmy na chwilę, iż wszystkie te mężatki będą zdradzały mężów.

Przyjmując dla naszych obliczeń tę hipotezę, musimy zaraz z początku odrzucić z naszego miliona jedną dwudziestą młodych osób, które, dopiero co wyszedłszy za mąż, przynajmniej przez czas jakiś zostaną wierne świętej przysiędze.

Następnie jedną dwudziestą kobiet w danej chwili chorych. Cyfra ta, którą potrącamy na rzecz cierpień ludzkich, z pewnością nie jest zbyt wygórowana.

Pewne skłonności, które podobno czynią kobietę obojętną na potęgę męskiego uroku, dalej zmartwienia, cięża, brzydota okroją również jedną dwudziestą naszego miliona.

Postanowienie wiarołomstwa nie wdziera się w serce kobiety jak kula pistoletowa. Choćby nawet wzajemna sympatia zrodziła miłość od pierwszego spojrzenia, zawsze kobieta musi przebyć wewnętrzną walkę, która, zależnie od trwania, wyłączy ją na czas jakiś z ogólnej sumy niewierności. Sądzę, iż obrazilibyśmy uczucia wstydu niewieściego we Francji, gdybyśmy w tym kraju, tak pełnym wojennego ducha, chcieli wyrazić czas tych rozpaczliwych walk w cyfrze jednej dwudziestej ogólnej sumy kobiet; aby więc tę pozycję zaokrąglić, przypuśćmy, iż niejedna z owych poprzednio obliczonych kobiet chorych nawet wśród flaszeczek z lekarstwami nie rozstaje się ze swym ukochanym i że wreszcie odmienny stan kobiety nie zdoła niekiedy odstraszyć zapamiętałego amanta. W ten sposób uzyskaną nadwyżkę oddajemy chętnie na rzecz walczących bohaterek niewieściej cnoty.

Z tych samych przyczyn nie śmielibyśmy podsuwać, iż kobieta opuszczona przez kochanka znajdzie natychmiast *hic et nunc*<sup>16</sup> drugiego; jednak ten czas ugoru, z natury rzeczy krótszy niż poprzedni, obliczamy na jedną czterdziestą.

Te wykluczenia uszczuplą ogólną sumę do cyfry ośmiuset tysięcy kobiet, które w danej chwili zdolne są do naruszenia wiary małżeńskiej.

---

<sup>16</sup> *Hic et nunc* (łac.) – tu i natychmiast.

A teraz któż nie pragnąłby uwierzyć, iż te wybrane kobiety są i pozostaną cnotliwe? Czyż nie są kwiatem ludności całego kraju? Czyż nie olśniewają młodością, wdziękiem, życiem i miłością? Wierzyć w ich cnotę to nasza religia społeczna, gdyż one są ozdobą świata i chwałą Francji. Obecnie zadaniem naszym będzie oznaczyć w tonie tego miliona: liczbę tzw. kobiet przyzwoitych; liczbę kobiet cnotliwych.

Zbadanie tej kwestii i oznaczenie tych dwóch kategorii wymaga jednak osobnych rozmyślań, które będą niejako uzupełnieniem niniejszego.

## ROZMYŚLANIE TRZECIE

### *O kobiecie przyzwoitej*

Poprzednie rozmyślanie doprowadziło nas do pewnika, iż posiadamy we Francji przybliżoną sumę miliona kobiet mających wyłączny przywilej wzbudzania uczuć, do których szanujący się mężczyzna przyznaje się bez wstydu lub które z przyjemnością ukrywa. Wśród tego zatem miliona kobiet musimy, wzięwszy w rękę latarnię Diogenesa, odbyć przechadzkę, aby określić w naszym kraju liczbę kobiet, które zalicza się do „przyzwoitych”.

Poszukiwanie to sprowadzi nas na chwilę z drogi suchych cyfr i obliczeń.

Dwóch wykwintnie ubranych młodych ludzi, których wcięta figurka i zaokrąglone ramiona przypominają drewnianego chłopka do ubijania bruku, których trzewiki nieskazitelną elegancją świadczą, iż wyszły z ręki pierwszorzędnego szewca, spotyka się pewnego poranku na bulwarze, tuż koło pasażu Panoramy.

– A to ty?

– Tak, to ja. Podobny jestem, prawda?

I obaj parszczą śmiechem, mniej lub więcej inteligentnym, zależnie od natury dowcipu, który zagaił rozmowę.

Następnie, skoro się już obrzuca badawczym spojrzeniem żandarma, który w myśli porównywa daną osobę z listem gończym, skoro stwierdzą u siebie wzajem dostateczną świeżość rękawiczek, kamizelek i staranność w zawiązaniu krawata, skoro się upewnią, iż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa żaden z nich nie popadł w nędzę lub nieszczęście, wówczas ujmują się pod ręce i (przyjąwszy, że spotkali się koło Variétés) jeszcze nie zdążyli dojść do Frascati, kiedy już padło z ich ust wzajemne zapytanie, w formie zazwyczaj dość jaskrawej, a którego złagodzony przekład brzmi jak następuje:

– I cóż? Z kimże obecnie...? Z zasady jest to zawsze zachwycająca kobieta. Któryż z paryskich pielgrzymów, lubiących godzinami błędzić po tym kochanym bruku, nie chwycił mimo woli uchem owych tysięcy słów i zdań, rzucanych przez przechodniów i przelatujących w powietrzu niby kule na polu bitwy? Komuż nie utkwił w pamięci ten lub inny z owej niezliczonej ilości wyrazów, zamarzłych, jak u Rabelais’go, w powietrzu? Ale ludzie przeważnie krążą po ulicach tak samo, jak jedzą, jak żyją – nie myśląc o tym. Niewielu jest dość wrażliwych melomanów, dość bystrych fizjonomistów, którzy by umieli rozpoznać tonację tych oderwanych nut, którzy by byli zdolni wyczuć namiętności, jakich te nuty są wykrzyknikiem. Och! błędzić po ulicach Paryża! – cóż za czarowne i rozkoszne zajęcie! Wałęsać się to cała

umiejętność, to istna gastronomia oka. Przechadzać się – to wegetacja; wałęsać się – to życie. Młoda i piękna kobieta, pożerana na ulicy parą gorejących oczu, mogłaby za to żądać wynagrodzenia z daleko większą słusznością niż ów właściciel garkuchni, który chciał ściągnąć dwadzieścia groszy z limuzyńskiego chłopka za to, iż ten szeroko rozdętymi nozdrzami chciwie wciągał pożywne zapachy potraw. Wałęsać się znaczy rozkoszować się, bawić się zbieraniem myśli i spostrzeżeń; podziwiać wspaniałe obrazy miłości, nieszczęścia lub radości życia; przenikać jednym spojrzeniem tysiące egzystencji; znaczy, dla młodego, wszystkiego pragnąć, wszystko posiadać; dla starca – żyć życiem młodych, wcielać się w ich pragnienia. Ileż tedy odpowiedzi nie zdarzyło się usłyszeć wałęsającemu się po Paryżu artyście na owo kategoryczne zapytanie, na którym stanęliśmy przed chwilą!

– Ma trzydzieści pięć lat, ale nie dałbyś jej dwudziestu! – opowiada z błyszczącymi oczyma kipiący życiem i młodością chłopak, który, świeżo wypuszczony z ławki szkolnej, pragnąłby, jak Cherubin<sup>17</sup>, cały świat kobiet przycisnąć do piersi.

– A cóż ty sobie myślisz? Ma batystowe peniuary i pierścionki z brylantami! – odpowiada dependent notarialny.

– Ma powóz i konie, i lożę w Komedii Francuskiej! – objaśnia z dumą młody oficer.

– Co, ja!? – woła inny, nieco starszy, jak gdyby odpowiadając na słowa powątpiewania. – Ależ nie kosztuje mnie ani grosza! Przy moich kwalifikacjach! Czyżbyś ty już był w tym położeniu, szanowny przyjacielu?

Tu następuje lekkie uderzenie dłonią po brzuszku towarzysza.

– Och – mówi drugi – nie możesz sobie wyobrazić, jak ona mnie kocha! Ale też ma męża największego cymbała w świecie! Ach, mój drogi, Buffon<sup>18</sup> opisał po mistrzowsku wszelkie rodzaje zwierząt, ale to dwunogie stworzenie zwane mężem...

Jak miło usłyszeć coś w tym rodzaju, kiedy się jest żonatym!...

– Och, mój drogi, jak anioł!... – oto odpowiedź na jakieś zapytanie, dyskretnie szepnięte do ucha.

– Czy możesz mi powiedzieć, jak się nazywa, lub pokazać mi ją przynajmniej?

– Och, za nic w świecie! Przecież to przyzwoita kobieta.

Gdy studentowi uda się nawiązać romansik z kelnerką, wówczas opowiada o niej z dumą i prowadzi kolegów na śniadanie do jej stolika. Jeśli młody człowiek pała miłością do kobiety, której mąż prowadzi handel jakimś pospolitym towarem, wówczas odpowie rumieniąc się: „To żona pończoszniaka, kupca korzennego, subiekta”, itd.

Ale natychmiast po tym przyznaniu się do miłości w podrzędniejszej sferze, miłości, która urodziła się i wzrosła pośród głów cukru, paczek cynamonu lub flaneli, następuje zawsze pompatyczne wysławianie zamożności damy: tylko mąż zajmuje się handlem, jest bardzo bogaty, ma śliczne meble; Ona odwiedza kochanka w domu, ma kaszmirowy szal, willę, itd.

Słowem, zakochany młody człowiek znajdzie zawsze pod ręką niezbite dowody, aby wykazać, iż jego ideał stanie się już w najbliższej przyszłości przyzwoitą kobietą, o ile nie jest nią dotychczas. To rozróżnienie, będące wytworem towarzyskich wyrafinowań, stało się równie nieuchwytnie do sformułowania jak owa delikatna linia, od której zaczyna się d o b r y t o n. Cóż określamy zatem pojęciem p r z y z w o i t e j k o b i e t y?

Kwestia ta pozostaje w tak ścisłym związku z ambicją kobiet, próżnością kochanków, a nawet mężów, iż ważność jej każe nakreślić tutaj kilka zasadniczych prawideł, będących wynikiem długiej i sumiennej obserwacji.

---

<sup>17</sup> C h e r u b i n – postać z „Wesela Figara” Beaumarchais’go, młody, piękny chłopiec, rwący się do życia i miłości.

<sup>18</sup> Georges–Louis Leclerc de B u f f o n (1707–1788) – przyrodnik i pisarz francuski, autor „Historii naturalnej”.

Nasz milion uprzywilejowanych główek kobiecych stanowi całą masę istot powołanych do zyskania zaszczytnego tytułu przyzwoitej kobiety, jednakże, jak mówi Pismo, wielu jest powołanych, ale mało wybranych. Zasady wyboru mieszczą się w następujących pewnikach:

## AFORYZMY

### I

Przyzwoita kobieta jest bezwarunkowo mężatką.

### II

Przyzwoita kobieta nie przekroczyła lat czterdziestu.

### III

Kobieta zamężna, której względy są d o n a b y c i a, nie jest przyzwoitą kobietą.

### IV

Kobieta zamężna, która posiada własny powóz, jest przyzwoitą kobietą.

### V

Kobieta, która sama zajmuje się kuchnią, nie jest przyzwoitą kobietą.

### VI

Żona człowieka, który doszedł do dwudziestu tysięcy franków rocznej renty, jest kobietą przyzwoitą bez względu na to, jaki rodzaj zatrudnienia był podstawą majątku.

### VII

Kobieta, która mówi dzień powszechny zamiast dzień p o w s z e d n i, gorąc zamiast gorąco, która mówi o mężczyźnie: f a c e t, nie może być nigdy przyzwoitą kobietą, chociażby posiadała największy majątek.

### VIII

Kobieta przyzwoita musi znajdować się w położeniu materialnym pozwalającym kochankowi mniemać, iż nigdy nie stanie mu się ciężarem.

### IX

Kobieta, która mieszka na trzecim piętrze (z wyjątkiem ulic de Rivoli i de Castiglione), nie jest przyzwoitą kobietą.

## X

Żona bankiera liczy się zawsze do kobiet przyzwoitych; natomiast kobieta zasiadająca za kontuarem jest przyzwoitą kobietą tylko wówczas, o ile mąż prowadzi bardzo rozległe przedsiębiorstwo i o ile mieszkanie nie znajduje się tuż nad sklepem.

## XI

Niezamężna siostrzenica biskupa, mieszkająca pod jego dachem, może być do pewnego stopnia uważana za przyzwoitą kobietę, ponieważ, jeśli ma stosunek miłosny, zmuszona jest oszukiwać wuja.

## XII

Kobietą przyzwoitą jest ta, którą mężczyzna obawia się narazić.

## XIII

Żona artysty jest zawsze przyzwoitą kobietą.

Stosując te pewniki, nawet mieszkaniec najzapadłej prowincji potrafi rozwiązać wszystkie trudności, jakie mu się zdarzy napotkać w tym przedmiocie.

Aby kobieta mogła nie zajmować się kuchnią, aby posiadała wykwintne wychowanie, umiejętność zalotnego operowania wdziękami, aby mogła godziny całe spędzać w buduarze, leżąc rozkosznie na miękkiej kanapce i żyjąc życiem ducha, na to musi posiadać na prowincji co najmniej sześć tysięcy, w Paryżu zaś dwadzieścia tysięcy franków rocznego dochodu. Te dwie graniczne cyfry wskażą przypuszczalną liczbę przyzwoitych kobiet, jaką znajdziemy wśród owego miliona, który stanowi rezultat brutto naszej statystyki.

A zatem:

trzysta tysięcy odbiorców, po półtora tysiąca franków każdy, przedstawiają całą sumę pensji, rent dożywotnich i wieczystych, wypłacanych przez skarb państwa, łącznie już z sumą renty hipotecznej;

trzysta tysięcy właścicieli liczących po trzy tysiące pięćset franków rocznie stanowi cały dochód posiadłości ziemskiej;

dwieście tysięcy osób pobierających po tysiąc pięćset franków rocznej pensji wyczerpie nam cały budżet państwowy wraz z budżetem gmin i departamentów, po odliczeniu długu państwowego, funduszy kleru i kosztów utrzymania naszych bohaterów pobierających po pięć su dziennie oraz kosztów ich uzbrojenia, bielizny, prowiantu itd.;

dwieście tysięcy majątków po dwadzieścia tysięcy franków, umieszczonych w obrotach handlowych, przedstawiają całą sumę kapitału, jaką przemysł może rozporządzać we Francji.

Oto i nasz milion mężów.

Ale iluż spomiędzy owych trzystu tysięcy rentierów figuruje w Wielkiej Księdze lub gdzie indziej, z sumą ledwie dziesięciu, pięćdziesięciu, stu, dwustu, trzystu, wreszcie sześciuset franków rocznej renty?

Iluż właścicieli ziemskich płaci nie więcej niż pięć, dziesięć, sto, dwieście lub dwieście osiemdziesiąt franków podatku?

Iluż jest urzędników, których uposażenie nie przekracza sumy sześciuset franków?

Iluż mamy kupców rozporządzających fikcyjnym kapitałem; owych mistrzów obrotowości, którzy, bogaci jedynie kredytem a bez grosza gotówki, podobni są do sita, przez które prze-



siewa się złoto Paktolu, iluż przemysłowców, których cały rzeczywisty kapitał wynosi tysiąc, dwa, cztery, pięć tysięcy franków? Przemysle – cześć ci!

Rozdajmy więcej szczęścia, niż go jest naprawdę na świecie, i podzielmy nasz milion na dwie połowy. Pięćset tysięcy stadeł posiadać będzie od stu franków do trzech tysięcy franków rocznej renty, pięciuset zaś tysiącom kobiet przyznamy owe warunki, jak widzieliśmy niezbędnym, aby stanąć w rzędzie przyzwoitych kobiet.

Według obliczeń, którymi zakończyliśmy poprzednie rozmyślanie statystyczne, wypadnie potrącić z tej sumy sto tysięcy jednostek; możemy zatem uważać za fakt matematycznie udowodniony, iż Francja liczy ledwie czterysta tysięcy kobiet, których posiadanie może dostarczyć owych wybrednych i rozkosznych upojeń, jakich mężczyzna o wybrednym smaku poszukuje w miłości.

W tym miejscu musimy wtrącić małą uwagę pod adresem adeptów, dla których przeznaczone jest to dzieło. Miłość, w naszym pojęciu, nie składa się jedynie z kilku ukradkowych rozmów, natarczywych próśb i nalegań, kilku nocy upojeń i mniej lub więcej umiejętnych pieszczot oraz owego odruchu miłości własnej zwanego zazdrością. Naszych czterysta tysięcy kobiet nie należy z pewnością do rzędu tych, o których można powiedzieć: „Najpiękniejsza dziewczyna pod słońcem nie może dać więcej, niż posiada”. Och, nie! Kobiety, o których mówimy, obdarzone są hojnie całym bogactwem skarbów, które czerpią z naszej rozpalonej wyobraźni, i, przeciwnie, umieją sprzedać bardzo drogo to, czego nie posiadają, aby wynagrodzić powszedniość tego, co mają do oddania.

Czyliż całując rękawiczkę gryzетки potrafiłbyś odczuć większą sumę szczęścia, niżli go dać jest w stanie owo pięciominutowe zadowolenie zmysłów, które znajdziesz w objęciach pierwszej lepszej?

Czy może pogwarka ze sklepową dziewczyną potrafi obudzić w tobie nadzieję jakichś nieziemskich rajów?

W stosunku z kobietą niżej od ciebie położoną wszystkie rozkosze miłości własnej są po jej stronie. Ty sam nie masz poczucia szczęścia, jakie dajesz.

Inna rzecz w stosunku z kobietą stojącą wyżej od ciebie majątkiem lub pozycją: tu podrażnienia próżności są olbrzymie i obustronne. Mężczyzna nigdy nie zdoła podnieść kochanki do siebie; natomiast kobieta faktem swego wyboru stawia kochankę tak wysoko, jak stoi ona sama. „Ja mogę rodzić książąt, gdy książę możesz płodzić jedynie bękartów!” – oto tryskająca prawdą odpowiedź.

Jeśli miłość jest pierwszą z namiętności, to dlatego, iż gra na wszystkich równocześnie. Większy lub mniejszy stopień uczucia zależy od ilości strun, trąconych w naszym sercu paluszkami pięknej kochanki.

Biron<sup>19</sup>, syn złotnika, wstępujący w łóżko księżnej Kurlandii i podsuwający jej do podpisu akt, mocą którego staje się panem kraju, zostawszy wprzód panem serca młodej i pięknej władczyni, oto typ szczęścia, jakiego ma dostarczyć swoim kochankom naszych czterysta tysięcy kobiet.

Aby móc kroczyć, jak po gładkiej posadzce, po masie głów tłoczących się w salonie, trzeba zostać koniecznie wybranym jedną z tych kobiet na świeczniku. A któż z nas nie marzy w skrytości o panowaniu, o władzy?

Ku tej zatem najświetniejszej części narodu zmierzać będą ataki wszystkich mężczyzn, którym wychowanie, zdolności lub zręczność dają prawo grać jakąś rolę w owej uprzywilejowanej warstwie stanowiącej czoło społeczeństwa; w tej klasie jedynie znajduje się kobieta, której serca i cnoty nasz symboliczny Mąż postanowił bronić do upadłego.

---

<sup>19</sup> Ernest Johann B i r o n, właściwie B i r e n (1690–1772) – wszechwładny faworyt księżny kurlandzkiej Anny Iwanowny, późniejszej carowej Anny.

Czy te uwagi, odnoszące się do wyboru arystokracji niewieściej, znajdą zastosowanie i w innych warstwach, czy nie – cóż to znaczy? To, co jest prawdziwe dla tych kobiet, tak wykwintnych w ułożeniu, wysłowieniu i myślach, kobiet, u których wychowanie rozwinęło zamiłowanie do sztuki, zdolność zastanawiania się, czucia, uświadamiania wrażeń, które posiadają tak wydelikacowane poczucie form i zwyczajów i dyktują prawa życiu towarzyskiemu Francji – to samo musi być trafne dla kobiet wszystkich ras i narodów. Człowiek o wyższym umyśle, dla którego książka ta jest przeznaczona, posiada niezawodnie pewną optykę myślową, która pozwoli mu odmierzyć nasilenie światła dla każdej klasy ludności i ocenić, w jakich strefach cywilizacji dane spostrzeżenie nie traci jeszcze swej mocy.

Czy nie jest teraz, z punktu widzenia moralności, rzeczą pierwszorzędного znaczenia określić liczbę cnotliwych kobiet, która może się mieścić wśród tych czarujących istot? Czyż to nie jest kwestia wprost matrymonialno–narodowa?

## ROZMYŚLANIE CZWARTE

### *O kobiecie cnotliwej*

Jądro rzeczy leży może nie w zagadnieniu, ile jest cnotliwych kobiet, ale raczej w pytaniu, czy przyzwoita kobieta może pozostać cnotliwą.

Aby lepiej rozjaśnić ten zasadniczy punkt, odbądźmy z kolei szybki przegląd męskiej ludności.

Z piętnastu milionów mężczyzn odrzucimy od razu dziewięć milionów Dwurękich o trzydziestu dwu kręgach i weźmy pod skalpel analizy tylko pozostałe sześć milionów. Wprawdzie z łona tej fermentującej masy społecznej wyskakują nierzadko postacie, jak Marceau, Masséna, Rousseau, Diderot, Rollin<sup>20</sup>; tutaj jednakże z rozmysłu popełniać będziemy niedokładności. Zobaczymy, jak te świadome błędy rachunku całym ciężarem padną na jego wynik, aby tym mocniej potwierdzić straszliwe rezultaty, które nam odsłoni poznanie mechanizmu publicznych namiętności.

Z sześciu milionów uprzywilejowanych odrzucimy trzy miliony starców i dzieci.

Ta sama pozycja (mógłby ktoś zrobić uwagę) wynosiła u kobiet cztery miliony.

Nierówność ta, jakkolwiek na pozór dziwna, łatwa jest do umotywowania.

Przeciętnym wiekiem, w którym kobieta wstępuje w związki małżeńskie, jest rok dwudziesty; po czterdziestce zaś zazwyczaj stracona jest dla miłości.

Otóż sądzimy, iż niejednemu dziarskiemu chłopakowi zdarza się już w siedemnastej wiosnie mocno nadwyreżyć pergamin kontraktów małżeńskich, i to właśnie najdawniejszych, jak szepcą skandaliczne kroniki.

Sądzimy dalej, iż mężczyzna w pięćdziesięciu dwu latach przedstawia może groźniejsze niż kiedykolwiek niebezpieczeństwo dla cnoty. W tym pięknym okresie życia rozporządza on i całym drogą nabytym doświadczeniem, i całą sumą środków materialnych, jakie mu były w życiu przeznaczone. Namiętność, której wir go pochwyił, jest może ostatnią w jego życiu; toteż jest on nieubłagany i silny jak człowiek tonący, unoszony prądem i chwytający się młodej gałązki wierzbowej, zielonej jeszcze i giętkiej.

---

<sup>20</sup> François-Séverin M a r c e a u (1760–1796) – generał francuski, wyróżnił się w walkach w Wandei i pod Fleurus, dowodził armią Sambry i Mozy, zginął pod Altenkirchen; André M. a s s è n a (1756–1817) – marszałek Francji, jeden z najwybitniejszych wodzów Napoleona; Charles R o l l i n (1661–1741) – humanista i historyk francuski, autor „Historii rzymskiej”.

## XIV

Fizycznie mężczyzna dłużej jest mężczyzną niż kobieta kobietą.

Oдноśnie do małżeństwa różnica czasu między okresem, w którym mężczyzna istnieje dla miłości, a odpowiednim okresem u kobiety wynosi zatem około lat piętnastu. Różnica ta odpowiada trzem czwartym czasu, przez który kobieta niewiernością swą może unieszczęśliwić strapionego małżonka. Reszta jednak wykluczeń, jakie wypadnie uskutecznić na ogólnej sumie mężczyzn, wykaże różnicę zaledwie jednej szóstej, w porównaniu z tą, jaka wynikła z analogicznych odliczeń u kobiet.

Kalkulacje nasze są wielce skromne i ostrożne. Co zaś do przyczyn naszego postępowania, są one tak oczywiste, iż jedynie żądza idealnej ścisłości i chęć uprzedzenia wszelkiej krytyki skłania nas do rozwinięcia takowych.

Faktem udowodnionym dla każdego filozoficznego umysłu, jeśli posiada przy tym choć trochę poczucia rachunkowości, jest, iż Francja liczy przybliżoną cyfrę trzech milionów mężczyzn w wieku od lat siedemnastu do pięćdziesięciu dwóch, wszystkich pełnych życia, obdarzonych wilczymi zębami, wilczym apetytem i przemyśliwających dniem i nocą, jakby swój głód zaspokoić.

Poprzednie spostrzeżenia pozwalają wyłączyć z tej cyfry milion mężczyzn żonatych. Przyjmijmy na chwilę, że ci, zadowoleni i szczęśliwi, podobni naszemu wzorowemu mężowi, ograniczają się wyłącznie do miłości małżeńskiej.

Ale za to z naszych dwóch milionów kawalerów żaden nie potrzebuje mieć ani pięć su renty, aby pretendować do miłości;

ale – aby zakłócić spokojny sen małżonka, wystarczy dla mężczyzny mieć silne postanowienie i głowę na karku;

ale – do tego nie jest potrzebna mężczyźnie ani uroda, ani kształty Apollina;

ale – byleby miał trochę sprytu, przywoity wygląd i umiał się znaleźć w sytuacji, żadnej kobiecie nie przyjdzie na myśl pytać go, skąd przybywa, lecz dokąd chce dojść;

ale – urok młodości jest jedynym paszportem, o jaki miłość pyta;

ale – frak skrojony przez Buissona, rękawiczki od Boivina i para zgrabnych bucików, których szewc, z pewnym niepokojem w duszy, dostarczył na kredyt, do tego dobrze zawiązany krawat wystarczą w zupełności, aby mężczyznę uczynić królem salonu;

ale – jakkolwiek zapał do epoletów i galonów ostygł znacznie, czyż armia nie stanowi sama przez się liczego a groźnego zastępu rycerzy miłości? Nie wspominam już Eginharda<sup>21</sup>, bo ten piastował urząd prywatnego sekretarza, ale czyż nie czytaliśmy świeżo wiadomości o niemieckiej księżniczce, która prostemu porucznikowi kirasjerów zapisała cały majątek?

Ależ rejent z małego miasteczka, który siedząc gdzieś w zapadłym kącie sporządza ledwie trzydzieści sześć aktów w ciągu roku, posyła już syna do Paryża, aby tam skończył prawo; fabrykant pończoch pragnie, aby jego potomek był rejentem, adwokat przeznacza swego do urzędu; sędzia chce zostać ministrem, aby znów synowi zapewnić godność para. Żadna epoka nie знаła tak ogólnej i tak palącej żądzy wykształcenia. Dzisiaj we Francji już nie dowcip jest rzeczą tak powszechną, że można by nim brukować ulice, ale talent i wiedza. Przez wszystkie szczeliny ustroju wciskają się różnobarwne kwiaty, podobne tym, które z powiewem wiosny wykwitają na wpół walących się murach; w piwnicach nawet dobywają się z popekanych sklepień młode pędy, których wyblakłe barwy mieniają się w żywą zieloność, skoro padną na nie promienie oświaty. Od czasu tego kolosalnego wybudzenia myśli, tego płodnego i powszechnego przenikania światła nie spotyka się już prawie wyższości umysłowej, gdyż każda

---

<sup>21</sup> E g i n h a r d, właściwie Einhard (ok. 770–840) – uczonego mnich z opactwa Fulda, biograf i doradca Karola Wielkiego.

jednostka zamyka w sobie całą sumę wiedzy danej epoki. Otacza nas tłum żywych encyklopedii, które chodzą, myślą, działają i walczą o miejsce. Stąd te straszne zderzenia pnących się ku górze ambicji i pożerających namiętności; aby je pomieścić, trzeba nam już nowych światów; trzeba nam nowych ulów, gotowych przyjąć wszystkie te roje, a przede wszystkim – potrzeba mnóstwa ładnych kobiet.

Ale – choroba wreszcie, która może powalić mężczyznę na łożę boleści, nie czyni uszczerbku w ogólnej sumie bilansu. Ku naszemu wiecznemu wstydnemu, nigdy kobieta nie jest tak do nas przywiązana, jak wówczas, gdy cierpimy.

Po tej refleksji wszystkie epigramy zwrócone przeciw płci słabej (określenie „płeć piękna” jest nazbyt zużyte), powinny by złamać ostrza swych pocisków i rozplynać się w czułych madrygałach!... Każdy mężczyzna powinien by sobie powiedzieć, że jedyną cnotą kobiety jest kochać, że wobec tego wszystkie kobiety są nadziemsko cnotliwe, i na tym zamknąć książkę i dalsze rozmyślenia.

Ach, któż z was nie przypomni sobie w życiu owej czarnej i ponurej godziny, kiedy, osamotniony i cierpiący, przeklinając ludzkość w ogóle, a przyjaciół w szczególności, zniechęcony, chory i pełen myśli o śmierci, z głową złożoną na nieznośnie rozgrzanej poduszce, wyciągnięty na prześcieradle, którego fałdy wbijają mu się w ciało, wodził szeroko otwartymi oczyma po zielonym obiciu pustej izdebki? Komuż z was nie stanie w pamięci ten obraz, jak Ona, uchylając drzwi bez szelestu, wsuwa młodą, jasną główkę, tak uroczą w oprawie złotych loków i świeżutkiego kapelusza, podobna gwiazdzie oświecającej mroki burzliwej nocy, uśmiechnięta, na wpół strapiona a na wpół szczęśliwa i biegnąca prosto ku tobie!

– Jakim cudem ty tutaj! Co powiedziałaś mężowi? – pytasz.

Mąż!! i oto jesteśmy na pełnym morzu naszego przedmiotu.

## XV

Pod względem moralnym mężczyzna jest dłużej i częściej mężczyzną niż kobieta kobietą.

Jednak, z drugiej strony, musimy wziąć pod uwagę, iż pośród owych dwóch milionów bezzennych znajdziemy sporo nieszczęśliwców, u których przygnębienie marnością położenia jako też wytężona praca tłumi pragnienie miłości;

że nie wszyscy młodzi ludzie ukończyli szkoły; że mamy sporo rękodzielników, lokajów (książę de Gévres, bardzo brzydki i niepokazny, przechadzając się pewnego dnia po parku w Wersalu, spostrzegł kilku wspaniale zbudowanych lokajów i rzekł do przyjaciół: „Patrzcie tylko, jak my porządnie odrabiamy tych gałganów, a jak oni nas!...”), budowniczych, przemysłowców, subiektów, pochłoniętych jedynie myślą o pieniądzu;

że trafiają się mężczyźni, których brzydota i niezdarność doprawdy przewyższają intencje Stworzyciela;

że bywają znów inni, których można by porównać do orzechów wewnątrz pustych;

że stan duchowny przestrzega na ogół czystości;

że istnieją mężczyźni, którym okoliczności nigdy nie pozwolą dostać się do tej błyszczącej sfery, w której obracają się przyzwoite kobiety, czy to z braku potrzebnego rynsztunku, czy dla nieśmiałości, czy wreszcie z braku przewodnika, który by ich wprowadził.

Ale pozwólmy każdemu mnożyć do woli sumę wyjątków podług własnego uznania i doświadczenia życiowego (gdyż celem książki jest przede wszystkim pobudzić do myślenia) i od jednego zamachu przepołowmy naszą sumę, przyjmując, iż tylko jeden milion serc będzie godny, aby złożyć swe hołdy pod stopy przyzwoitych kobiet: cyfra ta wyrażać będzie mniej więcej liczbę mężczyzn wysuwających się na czoło w jakimkolwiek kierunku. Wprawdzie wyższość umysłowa nie jest niezbędnym talizmanem do zdobycia kobiety, ale, jeszcze jeden raz, zróbmy w rachunku ustępstwo na korzyść cnoty.

A teraz, jeżeli zechcemy przysłuchać się pogawędkom naszych sympatycznych kawalerów, każdy z nich znajdzie do opowiedzenia sporą ilość awanturek, naruszających w sposób bardzo dotkliwy honor przyzwoitych kobiet. Okażemy wielką wstrzeźliwość, jeśli przyjmemy tylko trzy miłostki na każdego mężczyznę; ale o ile jedni z nich liczą całe dziesiątki trofeów, są znów inni, którzy ograniczyli się do dwóch lub trzech, a nawet do jednej miłości w życiu; zatem, według przyjętych zasad statystyki, bierzemy przeciętną cyfrę na głowę. Otóż jeśli pomnożymy liczbę kawalerów przez liczbę ich powodzeń miłosnych, otrzymamy trzy miliony przygód; zaś dla zaspokojenia tego popytu rozporządzamy cyfrą jedynie czterystu tysięcy przyzwoitych kobiet.

Zaiste, jeśli Bóg dobroci i miłosierdzia, unoszący się ponad światami, nie urządza za pomocą potopu nowego generalnego prania rodzaju ludzkiego, to chyba dlatego, iż pierwsze tak słaby dało rezultat...

Oto społeczeństwo! oto elita narodu przesiana przez sito i oto jaki to dało wynik!

## XVI

Obyczaje są hipokryzją narodów; hipokryzja ta może być mniej lub więcej udoskonalona.

## XVII

Cnota jest może tylko polem duszy.

Miłość fizyczna jest potrzebą, podobną do uczucia głodu, z tą różnicą, że człowiek jada stale, w miłości zaś apetyt jego nie jest ani tak ciągły, ani tak regularny.

Kawał czarnego chleba i dzbanek wody starczą, by zaspokoić głód każdego człowieka; ale cywilizacja stworzyła wyrafinowania smakoszków.

I miłość ma swój kawałek powszedniego chleba, ale ma i sztukę kochania, którą nazywamy kokieterią: urocze słowo, istniejące tylko we Francji, ojczyźnie tej subtelnej wiedzy.

Jakież tedy postrach musiałby paść na wszystkich mężów Francji, gdyby uprzytomnili sobie fakt, iż dążenie do różnorodności w pożywieniu jest tak wrodzoną potrzebą człowieka, że nie ma tak dzikiego kraju, w którym zbłąkani podróżni nie spotkaliby napojów wysokowych i korzennego zaprawiania potraw?

Ale głód nawet nie szarpie tak gwałtownie wnętrza jak miłość; ale kaprysy duszy o ileż są liczniejsze, bardziej drażniące, bardziej wyszukane w swym pożądaniu niż kaprysy żołądka; ale wszystko to, co poezja lub życie odsłaniają nam z tajników miłości, zbroi naszych zdobywców straszliwą mocą, tak iż stają się podobni ewangelicznemu lwu, który krąży z rykiem, szukając, kogo by pożarł.

W tym miejscu niech każdy zajrzy w głąb sumienia, rozpatrzy się we wspomnieniach i zapyta, czy zdarzyło mu się spotkać mężczyznę, który by się zaspokoił miłością jednej jedynej kobiety!

Jakże, niestety! rozwiązać, nie obrażając honoru wszystkich ludów, ten problem, wynikający z trzech milionów rozplamionych namiętności, którym muszą wystarczyć za żer owe czterysta tysięcy kobiet? Czy mamy rozdzielić po czterech bezzennych mężczyzn na jedną mężatkę i przyjąć, iż przyzwoite kobiety instynktownie i bezświadomie wytworzyły rodzaj t u r n u s u, podobnego temu, jaki zaprowadzili prezydenci sądów, tak aby każdy radca po pewnej ilości lat przeszedł kolejno wszystkie Izby?...

Smutny zaiste sposób rozplątania trudności!

Czy mamy przypuścić, iż pewna część przyzwoitych kobiet postępuje przy podziale bezzennych mężczyzn tak, jak ów lew w bajce?... Jak to? więc połowa co najmniej naszych ołtarzy byłaby jedynie pobielanymi grobami?...

Czyż by ratować honor Francji mamy przyjąć, iż w czasie pokoju inne kraje, a w szczególności Anglia, Niemcy, Rosja, importują do nas pewną ilość przyzwoitych kobiet?... Ależ narody europejskie wyrównałyby natychmiast szale, odpowiadając, iż nawzajem Francja zasila Europę pewną ilością ładnych buziaków.

Moralność, religia wzdragają się do tego stopnia przed podobnym wynikiem rachunku, iż niejedynemu zacny człowiek, aby tylko zdjąć to ciężkie piętno z naszych zameżnych niewiast, przyjąłby z radością przypuszczenie, iż wdowy i panny dźwigają przynajmniej w połowie ciężar powszechnego zepsucia lub że po prostu mężczyźni kłamią w swoich cynicznych zwierzeniach.

Ale po cóż się nam gubić w szczegółowych rachubach?

Pomyślcie tylko o żonkosiach, którzy, na wstyd naszych obyczajów, używają niemal wszyscy istic kawalerskiej swobody i chępią się półgębkiem sekretnymi przygodami.

Och, w takim razie przyjdzie nam już chyba uwierzyć, iż każdy żonaty mężczyzna, jeśli choć trochę dba o własną żonę i o p u n k t j e j h o n o r u (jakby powiedział stary Corneille), może spokojnie obejrzeć się za gwoździem i postronkiem: *foenum habet in cornu*<sup>22</sup>

A przecież wśród tych właśnie czterystu tysięcy przyzwoitych kobiet mieliśmy, z latarnią w ręku, obliczać cyfrę cnotliwych niewiast we Francji!... Tak jest; gdyż nasza statystyka małżeńska wyłączyła jedynie istoty, których cnota nie przedstawia dla społeczeństwa interesu. Czyż nie jest faktem, iż we Francji l u d z i e p r z y z w o i c i, ludzie tzw. „wyższej sfery”, stanowią zaledwie trzy miliony ludności: mianowicie milion bezzennych, pół miliona przyzwoitych kobiet, pół miliona ich mężów i milion wdów, dzieci i panien?

I jak się tu dziwić słynnemu wierszowi Boileau! Nie jest on bynajmniej przesadą; dowodzi tylko, iż bystre spojrzenie poety zdołało przeniknąć te same zagadnienia, które tu, w tych zamrucających rozmyślaniach, w matematycznej formie rozwinęliśmy przed waszymi oczami.

A jednak mimo wszystko istnieją, muszą istnieć kobiety cnotliwe!

Zapewne; te, które nigdy nie spotkały się z pokusą i te, które umarły przy pierwszym położeniu, jeśli przyjmiemy za pewnik, iż wyszły za mąż jako dziewice;

te, które są szpetne, jak owa Kaifakadary z „Tysiąca i jednej nocy”;

te, które Mirabeau nazywa *fées concombres*<sup>23</sup>, ulepione z atomów zupełnie podobnych do tych, z których utkana jest łuska rybia lub łodyga nenufaru; ale i tu miejmy się na ostrożności!...

Przyznajmy wreszcie na chwałę naszych czasów, iż od czasu odrestaurowania moralności i religii zdarza się tu i ówdzie spotkać kobiety tak moralne, tak religijne, tak zatopione w swoich obowiązkach, tak sztywne, surowe, akuratne, tak cnotliwe, tak... że diabeł nawet oczu nie ośmieli się podnieść na te istoty, ze wszystkich stron obłożone różańcami, szkaplerzami, spowiednikami... Pst, sza!...

Nie próbujemy nawet obliczać cyfry kobiet cnotliwych z braku sprytu; wiadomo, iż w sprawach miłości każda kobieta ma go dosyć.

Ostatecznie, nie jest niemożliwe, że gdzieś, w jakimś zakątku istnieje jedna lub druga kobieta, młoda, ładna i cnotliwa, której istnienia świat nawet się nie domyśla.

Ależ, na Boga, nie nazywajcie cnotliwą kobietą tej, która walcząc z pochłaniającą ją namiętnością potrafi opierać się kochankowi, ubóstwiając go z rozpaczą w sercu. To największa zniewaga i krzywda, jaka może spotkać kochającego męża. Cóż mu zostaje z żony? Istota bez nazwy, żyjący trup. W pełni upojeń będzie ona jak ów gość zasiadający przy stole Borgii, któremu w połowie uczyty gospodarz oznajmił, iż pewne potrawy są zatrute; już biesiadnika głód opuścił, już je zaledwie końcem warg lub udaje tylko, że je. Żałuje biesiady, której po-

<sup>22</sup> *Foenum habet in cornu* (łac.) – bodzie!; dosłownie: siano ma na rogu (bodzącym wołom Rzymianie przywiązywali pęczki siana do rogów dla ostrzeżenia przechodniów).

<sup>23</sup> *Fées concombres* (franc.) – czarodziejki–ogórki.

niechał, aby pospieszyć na zaproszenie straszliwego kardynała, i wzdycha do chwili, gdy będzie mógł wstać od stołu.

Jakiż tedy będzie ostateczny wynik refleksyj nad cnotą kobiecą? Streszczamy go poniżej w kilku maksymach, z których dwie ostatnie zaczerpnęliśmy z pewnego eklektycznego filozofa XVIII wieku.

## XVIII

Serce kobiety cnotliwej jest o jedną strunę bogatsze lub uboższe niż serce innych kobiet: zależnie od tego zasługuje ona na bezgraniczny podziw lub na politowanie.

## XIX

Cnota kobiety jest może kwestią temperamentu?

## XX

Nawet najcnotliwsza kobieta ma w sobie coś nieokreślonego, co nigdy nie jest bezwzględnie czyste.

## XXI

„Że rozumny człowiek może mieć wątpliwości co do kochanki, to jeszcze da się pojąć; ale co do własnej żony!... nie, to już zanadto głupie”.

## XXII

„Mężczyźni byliby zbyt nieszczęśliwi, gdyby w stosunku do swoich żon pamiętali bodaj trochę o tym, co zresztą umieją na pamięć”.

Liczba arcyrzadkich kobiet, które, podobne pannom mądrym z Pisma św., umiały zachować oliwę w lampkach, będzie zawsze aż nazbyt szczupła w oczach obrońców cnoty i obyczajów; ale i tak musimy ją odliczyć od ogólnej sumy przyzwoitych kobiet. W ten sposób owa pocieszająca ilość wyjątków podkreśli jeszcze wyraźniej groźbę niebezpieczeństwa mężów, uczyni zgorzenie jeszcze jaskrawszym i rzuci tym większy cień na resztę legalnych małżonek.

Któryż mąż potrafi teraz zasnąć spokojnie przy boku młodej i ładnej żony, wiedząc, iż przynajmniej trzech bezżennych rabusiów stoi bezustannie na czatach; że jeśli dotychczas nie uczynili spustoszenia w jego maleńkiej posiadłości, to w każdym razie uważają świeżo pojętą oblubienicę za łup, który im z prawa przynależy i który prędzej czy później im przypadnie – podstępem czy siłą, prawem zdobywcy czy dobrowolną kapitulacją. Prostem niepodobieństwem jest, by w tej nierównej walce najeźdźcy nie odnieśli wreszcie zwycięstwa!

Przerazająca zaprawdę konkluzja!...

Tutaj purytanie moralności, ludzie, którzy lubią zasłaniać oczy przed brutalnym światłem prawdy, zarzucają może, iż obliczenia nasze są zbyt rozpaczliwe: zechcą wystąpić w obronie albo przyzwoitych kobiet, albo bezżennych mężczyzn; ale dla nich zachowaliśmy na koniec ostatnią refleksję.

Pozwolimy wam zwiększyć wedle upodobania liczbę przyzwoitych kobiet i zmniejszyć dowolnie liczbę łowców miłości; zawsze w rezultacie wypadnie więcej miłostek niż kobiet,



które są ich przedmiotem; zawsze okaże się, iż olbrzymia masa bezzennych mężczyzn skazana jest przez nasz ustrój na trzy rodzaje zbrodni społecznych.

Jeśli zechcą żyć w czystości, wówczas zdrowie ich padnie ofiarą dręczącego ich nieustannie podrażnienia; obrócą wniwecz najwyższe intencje przyrody i umrą na suchoty, popijając mleczko kędys w górach Szwajcarii.

Jeśli pójdą za głosem instynktu, wtedy albo naruszą cześć uczciwych kobiet – i oto wróciliśmy do tematu naszej książki – albo skazani będą na upadające stosunki z owym pół milio-  
nem kobiet, o których mówiliśmy w końcu pierwszego rozmyślenia – a wówczas ileż widoków dla nich, iż znowu skończą smutnie, lecząc się mlekiem szwajcarskim.

Czyż nigdy nie uderzył was ten rażący błąd naszego społecznego ustroju? Zastanówmy się, a znajdziemy nowe dowody na poparcie naszych ostatnich obliczeń.

Przeciętny wiek, w którym mężczyzna się żeni, to trzydziesty rok życia; przeciętny wiek, w którym najżywiej rozkwitają namiętności i najgwałtowniej daje się uczuć parcie twórczych sił przyrody, to rok dwudziesty. Zatem przez dziesięć najpiękniejszych lat życia, w jego najbujniejszym okresie, kiedy młodość, uroda i rzutkość czynią mężczyznę groźniejszym dla spokoju mężów niż w jakimkolwiek innym wieku – mężczyzna ów pozbawiony jest najzupełniej możliwości zaspokojenia w sposób l e g a l n y nieprzepartej żądzy miłości, jaka wstrząsa całym jego jestestwem. Ponieważ ten okres przedstawia jedną szóstą życia ludzkiego, zatem musimy przyjąć, iż przynajmniej jedna szоста całej ilości mężczyzn znajduje się nieustannie w postawie równie uciążliwej dla nich, jak niebezpiecznej dla społeczeństwa.

– Czemuż ich nie żenią? – zakrzyknie pobożnisia.

Tak – ale któryż rozsądny ojciec pragnąłby dla syna małżeństwa w dwudziestym roku?

Czyż nie znamy wszyscy niebezpieczeństwa tych wczesnych związków? Zdaje się, iż małżeństwo jest stanem bardzo przeciwnym naturalnym skłonnościom człowieka, skoro wymaga tak specjalnej dojrzałości jego rozsądku. Zresztą któż nie zna powiedzenia Russa: „Każdy mężczyzna musi się wyszumieć – albo przed ślubem, albo po ślubie. Złe to drożdże, które fermentują za wcześnie lub za późno”.

Pytamy, któraż matka odważyłaby się narazić szczęście córki na niebezpieczeństwa tej fermentacji, o ile w dniu ślubu mężczyzna nie miałby jej poza sobą?

Czy zresztą potrzeba usprawiedliwiać fakt ciąży na wszystkich społeczeństwach? Czyż nie wykazaliśmy dostatecznie, iż we wszystkich krajach istnieje olbrzymia masa mężczyzn żyjących jak najwygodniej, nie popadając w ostateczność ani małżeństwa, ani celibatu?

– Czyż nie mogą – powie znów nasza dewotka – zachować czystości jak księża?

Zgoda, szanowna pani.

Ale pozwolimy sobie zauważyć, iż ślub czystości jest jednym z najdalej od natury odbiegających wyjątków, jakie ustrój społeczny narzuca niektórym jednostkom; że wstrzemięźliwość jest jednym z najtrudniejszych punktów kapłaństwa; że ksiądz musi być czysty, jak lekarz musi być zahartowany na ludzkie cierpienie, jak adwokat lub rejent muszą być nieczuli na rany ludzkiej nędzy lub niedoli, jak żołnierz niewrażliwy jest na śmierć, krążącą wkoło niego na polu walki. Z tego, że pod przymusem cywilizacji w niektórych jednostkach kostnieją pewne struny serca i zanikają pewne uczucia, nie należy wyciągać wniosku, jakoby obowiązkiem wszystkich było to częściowe obumieranie duszy, będące zawsze tylko wyjątkiem. Żądać tego – znaczyłoby skazywać ludzkość na ohydne samobójstwo moralne.

Niechże się zresztą pojawi w najszlachetniejszym z surowej moralności salonie młody człowiek lat dwudziestu ośmiu, który pieczołowicie przechował sukienkę niewinności i jest czysty jak owe kapłony, którymi delektują się smakosze! Czyż nie widzicie, z jaką miną najnieubłaganej cnotliwa kobieta zwraca się doń i jakim tonem winszuje mu jego męstwa? Jak najpoważniejszy dygnitarz sędziowskiego stolca nieznacznie kręci głową, kryjąc uśmiech pod szpakowatym wąsem? Jak wszystkie kobiety chowają się za wachlarze, aby w oczy nie parsknąć śmiechem? A niechże ta bohaterska i jedyna w swoim rodzaju ofiara znajdzie się za

drzwiami, cóż za potop żartów wylewa się na jej niewinną głowę!... Ileż drwin dotkliwszych niż najdotkliwsze obelgi! Czyż jest coś bardziej hańbiącego we Francji niż niemęskość, beznamiętność, brak temperamentu i papinkowość?

Ze wszystkich królów Francji jedynym, który by nie wybuchnął śmiechem na widok takiego młodzieńca, byłby może Ludwik XIII; ale już co jego kochliwy ojczulek, ten by może przepędził gagatka ze swego królestwa, bądź to podejrzewając, iż w żyłach jego nie płynie krew francuska, bądź uważając go za szkodliwy i niebezpieczny przykład.

Zadziwiająca sprzeczność! Z drugiej strony, opinia potępia tak samo młodego człowieka, jeżeli spędza życie wyłącznie w z i e m. i o b i e c a n e j, że posłużymy się utartym w kawalerskim świątku wyrażeniem. Czyżby może panowie prefekci i merowie działali w interesie przyzwoitych kobiet, dozwalając publicznym namiętnościom upustu jedynie począwszy od zmroku do godziny jedenastej w nocy?

Gdzież tedy masa nieżonatych mężczyzn ma złożyć swoje zapłaty? I kogo tu biorą na kawał, jak pyta Figaro: rządzących czy rządzonych? Czy porządek społeczny jest jak owi mali chłopcy, którzy w teatrze zatykają uszy, aby nie słyszeć wystrzałów? Czy lęka się zapuścić sondę w swoje rany? Czy też społeczeństwo doszło do przekonania, iż zło jest bez ratunku i że trzeba zostawić rzeczy, jak są? Ależ kwestia ta należy do prawodawstwa, nie podobna bowiem ominąć materialnych i społecznych konfliktów, jakie odnośnie do małżeństwa wynikają z owego bilansu publicznej cnoty. Nie do nas należy kusić się o rozwiązanie tych problemów! Jednakże gdy raz przyjmiemy, iż społeczeństwo, pragnąc uchronić od zguby tyle rodzin, tyle uczciwych kobiet, tyle niewinnych dziewcząt, zmuszone jest pewnej ilości serc kobiecych dać rodzaj patentu na zaspokajanie męskich pożądań, czyż w takim razie ten zastęp niewieścich Decjuszów, które poświęcają się dla ogółu i z ciał swoich tworzą wał ochronny dla uczciwych rodzin, nie powinien by otrzymać jakichś cechowych przywilejów? Źle czynią prawodawcy zaniedbując dotąd uregulowania losu kobiet publicznych.

### XXIII

Prostytucja jest publiczną instytucją, skoro jest publiczną potrzebą.

Kwestia ta najeżona jest tyloma a l e i j e ż e l i, że przekazujemy ją chętnie naszym wnukom; trzeba i im zostawić coś do roboty. Zresztą zaplatała się ona w tym dziele zupełnie przypadkowo; nasza epoka, bardziej niż którakolwiek inna, jest epoką uczuciowości; nigdy obyczajność nie była w tak wysokiej cenie, bo nigdy tak dobrze nie umiano odczuć, że prawdziwa rozkosz płynie z serca. Któryż tedy uczuciowy mężczyzna wobec czterystu tysięcy kobiet młodych i pięknych, kobiet zdobnych świetnością zbytku i urokiem wykształcenia, bogatych skarbami zalotności a hojnych w obietnice szczęścia, chciałby iść do... Pfe! cóż znowu!

Ujmijmy teraz dla naszych przyszłych prawodawców w zwięzłej i jasnej formie doświadczenia, jakie przyniosły nam ostatnie lata.

## XXIV

W ustroju społecznym nadużycia nieuniknione musimy uznać jako prawa natury, wedle których człowiek winien kształtować swoje cywilne i polityczne prawa.

## XXV

„Cudzołóstwo – powiada Chamfort – jest jak bankructwo, które tym różni się od innego, że tutaj cała hańba spada na stronę poszkodowaną”.

We Francji prawa przeciwko cudzołóstwu i przeciw bankructwom wymagają snadź głębokich reform. Czy grzeszą zbytnią łagodnością? Czy może wspierają się na fałszywych podstawach? *Caveant consules*<sup>24</sup>!

I cóż, odważny zapaśniku, ty, który wzięłeś do siebie niewinną apostrofę naszego pierwszego rozmyślenia, skierowaną do ludzi obarczonych żonami, cóż ty na to? Miejmy nadzieję, że ten rzut oka na kwestię dla ciebie tak palącą nie przyprawił cię o drżenie; że nie należysz do ludzi, których widok przepaści lub węża *boa constrictor*<sup>25</sup> przyprawia o trzęsienie łydek i gorąco w rdzeniu pacierzowym! Ha, przyjacielu – „kto ma ziemię, ma wojnę”, powiada przysłowie. Ludzi, którzy chcieliby się dobrać do twego mieszka, spotkasz jeszcze więcej niż tych, którzy czyhają na cnotę twojej żony.

Ostatecznie, wolno mężom brać ten żarcik za matematykę albo tę matematykę za żart. Najpiękniejszą rzeczą w życiu są złudzenia; najszanowniejszą jest wiara, choćby najbardziej bezpodstawna. Czyż nie spotykamy dosyć ludzi, których zasady są tylko przesadami, którzy nie czując się na siłach, aby stworzyć dla siebie własną miarę szczęścia i cnoty, przyjmują gotowe szczęście i gotową cnotę z rąk szanownego prawodawcy? My zwracamy się tylko do tych Manfredów<sup>26</sup>, którym już spowszedniało podnoszenie rąbka kobiecej sukienki i którzy dlatego, w godzinie moralnego *spleenu*, mają odwagę razem z nami podnieść śmiało każdą zasłonę. Dla nich kwestia postawiona jest jasno i ściśle; ogarnęliśmy zło w całej jego doniosłości.

Pozostaje nam teraz rozpatrzeć ogólne warunki, jakie każdy mężczyzna spotyka w małżeństwie: warunki uszczuplające jego siły w tym zaciętym boju, z którego nasz szermierz ma wyjść jako zwycięzca.

---

<sup>24</sup> *Caveant consules* [ne quid detrimenti res publica capiat] (łac.) – niechaj konsulowie czuwają, aby Rzeczpospolita nie doznała uszczerbku; formuła, za pomocą której w razie niebezpieczeństwa senat rzymski nadawał konsulom władzę dyktatorską.

<sup>25</sup> *Boa constrictor* (łac.) – boa dusiciel.

<sup>26</sup> *Manfred* – bohater dramatu Byrona pod tym tytułem.

## ROZMYŚLANIE PIĄTE

### *O predestynowanych*

Predestynowany – znaczy przeznaczony z góry do szczęścia lub nieszczęścia. Teologia przywłaszczyła sobie to słowo i używa go wyłącznie w znaczeniu *m. a j ą c y c h b y ć z b a – w i o n y m. i*; my, przeciwnie, dajemy temu słowu rozumienie fatalne dla wybranych, o których można powiedzieć, zmieniając tekst Ewangelii: „Wielu jest powołanych i wielu wybranych”.

Doświadczenie uczy, że istnieją grupy ludzi bardziej od innych podpadające pewnym nieszczęściom: i tak Gaskończycy są chełpliwi, paryżanie próżni; ludzie o krótkiej szyi łatwiej ulegają apopleksji; na rzeźników rzuca się z upodobaniem węglik (rodzaj zarazy), podagra prześladowuje bogaczy, zdrowie ubogich, głuchota królów, rozmiękczenie mózgu wyższych urzędników. Podobnie zauważono, iż pewne klasy mężów częściej od innych stają się ofiarami nielegalnych namietności. Mężowie tacy – i ich żony – działają na bezzenników jak magnes. Jest to wprost arystokracja w swoim rodzaju. Jeśli przypadkiem który z czytelników należy do jednej z tych klas arystokratycznych, sądzimy, iż będzie miał na tyle przytomności umysłu – on lub jego żona – aby w porę przypomnieć sobie ulubioną maksymę gramatyki łacińskiej Lhomonda: „Nie ma reguły bez wyjątków”. A przyjaciel domu będzie mógł zacytować przysłowie: „O obecnych się nie mówi”. Wówczas każdy będzie miał prawo uważać się w głębi duszy za wyjątek. Jednakże nasz obowiązek, sympatia, jaką żywimy dla mężów w ogólności, wreszcie chęć ustrzeżenia tylu młodych i ładnych kobiet od nieszczęść i udręczeń, jakie je czekają w objęciach kochanka – wszystko to nakazuje nam wyliczyć po porządku mężów, którzy bardziej od innych powinni się mieć na baczności.

Rozpocznę nasz skorowidz i naczelne w nim miejsce zajmą wszyscy mężowie, którym interesy, stanowisko lub zatrudnienie każą opuszczać dom o stałych godzinach i na określony przeciąg czasu. Ci będą nieśli chorągiew cechową.

W plejadzie tej wyszczególnimy przede wszystkim urzędników przykutych przez większą część dnia do Pałacu Sprawiedliwości. Wszyscy inni mogą niekiedy znaleźć sposób, aby bodaj na chwilę wydalić się z biura; ale sędzia lub prokurator, zasiadający na krześle z liliami, winni wytrwać na rozprawie do ostatniego tchnienia. To ich pole bitwy.

To samo można powiedzieć o posłach i członkach Izby Parów, godziny całe radzących nad prawami, o ministrach pracujących z królem, o szefach departamentu pracujących z mini-

strami, o wojskowych podczas kampanii, wreszcie o kapralu odprawiającym patrol, jak o tym poucza list Lafleura w „Podróży sentymentalnej” Sterne’a.

Tuż za mężami zmuszonymi o stałej porze opuszczać dom idą ci, którzy wśród rozległych i ważnych zatrudnień zapomnieli zupełnie, co to wesołość i wdzięk, których czoło jest brzemienne troskami, a rozmowa kręci się zawsze dokoła interesów.

Na czele tej armii, szczególnie uprzywilejowanej do noszenia rogów, postawmy bankierów, pogrążonych wiecznie w milionowych kalkulacjach i których głowa tak jest nabita rachunkiem, że wreszcie cyfry przebijają czaszkę i w długich kolumnach wznoszą się nad czołem.

Któryż z tych milionerów pamięta o świętych prawach małżeństwa? Któryż zatroszczy się o to, aby starannie pielęgnować ten delikatny kwiat, aby go podlewać, chronić od zimna i gorąca? Czasem zaledwie przypomną sobie, iż obok nich znajduje się żona, której szczęście im powierzono: gdy siadając do stołu ujrzą ją naprzeciw siebie w całej świetności bogatego stroju lub gdy ona sama, powabna i zalotna jak Wenus, przychodzi zaczerpnąć w ich kasie, drżąc równocześnie przed ich brutalnym dotknięciem. Och, wówczas, wieczorem, przypominają sobie niekiedy na chwilę prawa wyszczególnione w paragrafie 213 Kodeksu Cywilnego, i żony, rade nierade, muszą uznać te prawa; ale przyjmują je tak, jak ów ustanowiony przez rząd dotkliwy podatek od towarów zagranicznych, i poddają mu się w myśl przysłowia: „Bez pracy nie ma kołaczy”.

Uczeni, trawiący całe miesiące na ogryzaniu kości przedpotopowego zwierzęcia, na obliczaniu praw przyrody i śledzeniu jej tajemnic, łacinnicy i grecy, dla których obiadem jest ustęp z Tacyta, a wieczorzą zdanie z Tucydidesa; którzy żyją łykając pyły biblioteczne w pogoni za jakimś rzadkim manuskrypcem czy papirusem – wszyscy są predestynowani. Troska czy ekstaza pochłania ich do tego stopnia, iż rzeczywistość, świat dla nich nie istnieje; gdyby nawet katastrofa miała się spełnić w biały dzień w ich oczach, ledwie by to zauważyli. Mały przykład: Beauzée, wracając z posiedzenia Akademii, zastaje żonę w objęciach jakiegoś Niemca. „Mówiłem pani, że trzeba, żebym odszedł...” – woła cudzoziemiec. – „Ech, panie, powiedz pan bodaj: żebym był odszedł!...” – poprawił uczony akademik.

Następnie kroczą, z lutnią w ręku, poeci, których siły żywotne przeniosły się wyłącznie w górne piętra organizmu. Zresztą ci panowie, czując się pewniejsi na grzbiecie Pegaza niż na bardziej ziemskich rumakach, rzadko wstępują w związki małżeńskie, wyładowując od czasu do czasu swoje zapały w objęciach jakiejś przygodnej lub zgoła siłą wyobraźni stworzonej Chlorydy.

Idą dalej mężowie o zatabaczonych nosach;  
ci, którzy mają nieszczęście być nawiedzeni wieczystym katarem;  
marynarze, bez przerwy ćmiący fajkę lub żujący tytoń;  
mężczyźni, którym cierpki i żółciowy charakter daje stale fizjonomię człowieka, który właśnie ugryzł kwaśne jabłko;  
wszyscy, którzy w codziennym zetknięciu zdradzają jakieś odrażające lub śmieszne nawyknie lub nie odznaczają się zbytnią schludnością;  
mężowie, których sąsiedztwo pod kołdrą przedstawia pewne przykre strony;  
wreszcie starcy, żeniący się z młodymi dziewczętami.

Wszyscy ci mężowie są w najwyższym stopniu predestynowani.

Jest jeszcze ostatnia klasa predestynowanych, których katastrofa jest również prawie pewna. Mamy tu na myśli owych mężów podejrzliwych i zrzędnych, drobiazgowych tyranów domowych, którzy sobie nabili głowę fantastycznymi pojęciami o władzy mężowskiej, którzy mają najgorsze wyobrażenie o kobietach i z tym się nie kryją, a o życiu wiedzą tyle, co chraśszcz o historii naturalnej. Małżeństwo takich ludzi przypomina osę, której okrutne dzieci obcięły głowę i która obja się o szybę. Dla tych predestynowanych książka nasza pozostanie martwą literą. Nie piszemy też dla tych głupców, dla tych bałwanów, podobnych do drewnia-

nych figur próchniejących po starych katedrach: oni są już jak te stare studnie w ogrodach wersalskich, które raczej się rozlecają, niż żebyś nimi mógł wodę uciągnąć.

Ile razy zdarza mi się obserwować w towarzystwie jakąś nową odmianę gatunku Mąż (a ile ich jest i jak osobliwych!), tyle razy staje mi w pamięci widowisko, którym niegdyś, jeszcze za młodu, ubawiłem się serdecznie.

W roku 1819 zamieszkiwałem w lecie małą chatkę położoną w uroczej dolinie de l'Isle-Adam. Pustelnia moja przylegała do parku w Cassan, ustronia najrozkoszniejszego, jakie sobie można wymarzyć, równie miłego dla oka, jak powabnego do przechadzki, słowem, łączącego wszystko, co może stworzyć zbytek skojarzony ze smakiem artysty. Ten klasztor z drzew i zieleności zawdzięczał swoje istnienie pewnemu generalnemu dzierżawcy (takiemu, jak to bywali w dawnych dobrych czasach), nazwiskiem Bergeret. Ów Bergeret, słynny niegdyś ze swych oryginalności, wysilał imaginację na różne heliogabalizmy: tak np. idąc do Opery pudrował włosy szczerozłotym proszkiem, sam dla siebie iluminował park z niesłychanym przepychem lub wydawał wspaniałe festyny, na których był jedynym gościem. Otóż ten mieszczański Sardanapal wrócił z Włoch tak oczarowany tą piękną krainą, że w pierwszym upojeniu wydał cztery czy pięć milionów na to, aby odtworzyć w swym parku widoki i pejzaże przywiezione w podróźnej teczce. Najcudowniejsze kombinacje krzewów, najrzadszych drzew, wijących się wąwozów, malownicze perspektywy, wyspy fantastycznie rzucone na mieniącą się tafłę jeziora, wszystko to, podobne promieniom światła skupiającym się w jednym ognisku, grupowało się koło jednego punktu, maleńkiej *isola bella*, miejsca, z którego zachwycone oko mogło się rozkoszować całością tych cudów. Była to wysepka kryjąca mały domek pod kiściami stuletnich wierzb, okolona pękami kwiatów, lilii i trzciny wodnych, podobna do szmaragdu w bogatej oprawie. Tysiąc mil by się biegło do tej czarownej oazy!... Najbardziej żółciowy, zgryźliwy, najbardziej wysuszony z naszych wiecznie niedomagających geniuszów umarłby tam po dwóch tygodniach z dobrobytu i otłuszczenia, przygnieciony nadmiarem rozkoszy. Ówczesny właściciel tego ziemskiego rajku, o który zresztą niewiele się troszczył nie mając żony ani dzieci, chował dużą małpę, do której był bardzo przywiązany. Zaszczycony niegdyś miłością pewnej cesarzowej – tak przynajmniej opowiadano po cichu – uważał snadź, iż rodzaj ludzki powiedział mu już swoje ostatnie słowo. Złośliwe zwierzę przebywało w zgrabnej drewnianej budce, umieszczonej na rzeźbionej kolumnie; uwiązana na łańcuchu i rzadko pieszczona przez pana, który przeważnie czas spędzał w Paryżu, małpa zyskała sobie wkrótce bardzo niedobrą reputację. Sam widziałem, jak w obecności kobiet pod względem natarczywości nie ustępowała najbardziej pewnym sobie mężczyznom. Złośliwość zwierzęcia wzrastała z każdym dniem, w końcu właściciel musiał je kazać zabić.

Pewnego poranku spoczywałem w tej ustroni pod wspaniałe rozkwitłym tulipanowym drzewem, pogrążony w słodkim *far niente*<sup>27</sup>, wdychając upajające zapachy, które dzięki otoczeniu gęstych i wysokich topoli były niejako uwięzione w tym cudnym zamknięciu, wsłuchany w ciszę leśną, nie zmaconą niczym prócz szmeru wody i szelestu liści, z oczyma wlepionymi w błękitne okienka, rysujące się na niebie wśród chmur to połyskujących złotem, to znów mieniących się blaskiem perłowej macicy. Dusza moja błądziła gdzieś może w przyszłym istnieniu... Nagle zbudziły mnie z marzeń ostre tony skrzypiec: to jakiś mieszcuch, przybyły poprzedniego dnia z Paryża, zaczął rzepolić z rozpaczliwą zaciekłością człowieka skazanego na bezczynność. Największemu wrogowi nie życzyłbym, aby go zbudzono w ten sposób, gdy cały utonął w boskiej harmonii przyrody. Gdybyż odległe echo Rolandowego rogu ożywiło dźwiękami sfery, niechby wreszcie!... ale ten krzykliwy dyszkant, który w dodatku ma pretensję wyrażania ludzkich uczuć i myśli!

---

<sup>27</sup> *F a r n i e n t e* (wł.) – bezczynność, próżniactwo.

Przeklęty Amfion<sup>28</sup> przechadzał się tam i z powrotem po jadalni, wreszcie usiadł na oknie, na wprost małpy. Widocznie szukał publiczności. Nagle ujrzałem, jak zwierzę, zląwszy ze swej wieżyczki, stanęło na dwóch łapach, z głową schyloną na piersi, jak to czynią pływacy, i ze skrzyżowanymi rękami, niby Spartakus skrępowany łańcuchem lub Katyliną słuchający mowy Cycerona. Wtem rozległ się słodki głosik, którego srebrny dźwięk zabrzmiał mi w uszach echem znanego mi dobrze buduaru. Na to wezwanie bankier pomknął chyżo jak jaskółka, która nagłym i prostym lotem ściga odlatującą towarzyszkę. Małpa, uwiązana na dość długim łańcuchu, posunęła się do okna i z powagą ujęła skrzypce. Nie wiem, czy kto z was miał, jak ja, szczęście widzieć małpę uczącą się muzyki, ale co do mnie, to jakkolwiek wesołość stała się u mnie rzadszym gościem, dziś jeszcze nie mogę sobie tej sceny przypomnieć bez śmiechu. Półczłowiek rozpoczął od tego, iż ujął instrument pełną garścią i począł go obwahiwać tak, jakby to na przykład uczynił z jabłkiem. Oddech jego musiał wydobyć jakiś cichy dźwięk z czulego drzewa: wówczas orang potrzęsnał głową, począł obracać na wszystkie strony instrument, wywijać nim, podnosić, spuszczać go, przykładać do ucha. Odłożył go na chwilę, znów pochwylił i na nowo jął powtarzać wszystkie te ruchy z iście małpią zwinnością. Obracał i badał uparcie milczące drzewo w sposób mający w sobie coś dziwnie roztropnego i niedołęznego zarazem. Wreszcie ujął skrzypce za rękojeść i w najkomiczniejszy sposób spróbował umieścić je pod brodą; ale, jak zepsute dziecko, szybko znudzony nauką, która wymagała zbyt uciążliwego ćwiczenia, począł szarpać struny, nie mogąc z nich wydobyć nic więcej jak tylko pozbawione tonu brzęczenie. Rozgniewany, położył instrument na oknie i chwyciwszy smyczek począł suwać nim gwałtownie tam i z powrotem, jak murarz, który piłuje kamień. Gdy to nowe usiłowanie dało za rezultat również jedynie zgrzyt, przykry dla wybrednych uszu zwierzęcia, orang ujął oburącz smyczek i począł nim uderzać raz po raz w niewinny instrument, źródło rozkoszy i harmonii. Miałem wrażenie, że widzę uczniaka, który obalił na ziemię kolegę i okłada go pięściami za jakieś wykroczenie przeciw sztubackiemu honorowi. Po wykonaniu tego sądu i egzekucji na nieposłusznym instrumencie małpa siadła na jego szczątkach i z idiotyczną radością poczęła się bawić płatanem białego włosia strzaskanego smyczka.

Ile razy od tego czasu zdarza mi się spotkać małżeństwo predestynowanych, zawsze uderza mnie podobieństwo większości mężów do owego oranga, próbującego zagrać na skrzypcach.

Miłość jest najbardziej melodyjną ze wszystkich harmonii, a poczucie jej wrodzone jest każdemu. Kobieta jest czarodziejskim instrumentem rozkoszy, ale wprzód trzeba poznać delikatne struny tego instrumentu, zrozumieć strój, skalę i palcowanie, tak zmienne i kapryśne. Iluż orangów... iluż mężczyzn, chciałem powiedzieć, żenił się mając pojęcia o tym, co to kobieta! Iluż predestynowanych postąpiło z nią tak, jak owa małpa ze skrzypcami! Strzaskali serce, którego nie byli w stanie zrozumieć; zniszczyli i podeptali ze wzgardą klejnot, którego tajemnicy nie umieli odgadnąć. Przechodzą przez życie jako wieczne dzieci, odchodzą z próżnymi rękami po latach wegetacji, nagadawszy się do syta o szczęściu i miłości, o rozpucie i cnocie, jak niewolnicy gwarzą o wolności. Każdy niemal z nich pojął żonę, będąc zupełnie nieświadom kobiety i miłości. Zaczęli od włamania się do drzwi w obcym domu i mieli pretensję, aby ich dobrze przyjęto w salonie. Ależ najmierniejszy artysta czuje, iż między nim a jego instrumentem (czy będzie z prostego drzewa, czy z kości słoniowej!) nawiązuje się uczucie nieokreślonej sympatii. Wie z doświadczenia, ilu lat było trzeba, aby wytworzyć ten tajemniczy związek między martwą naturą a człowiekiem. Nie od razu przeniknął jego środki i kaprysy, jego zalety i braki. Trzeba długich i mozolnych studiów, aby instrument

---

<sup>28</sup> A m f i o n – postać z mitologii greckiej, syn Zeusa i Antiopy; słynny muzyk; z bratem swym Zethosem wybudował mury Teb, przy czym kamienie same się spoiły dzięki czarowi jego gry na lirze.

nabrał dla artysty duszy i stał się w jego rękach źródłem melodii; trzeba bardzo umiejętnych badań, nim się staną wreszcie parą bliskich przyjaciół.

Czyż człowiek zasklepiony w życiu jak seminarzysta w swojej celce może osiąść znajomość kobiety i sztukę odczytywania tych czarujących solfeżów? Czyż człowiek, którego zawodem jest za drugich myśleć, drugich sądzić, rządzić nimi, kraść ich pieniądze, żywić ich, leczyć lub kaleczyć, może nabyć tej umiejętności? Czy któremukolwiek z predestynowanych przyjdzie na myśl tracić czas na studiowanie kobiety? Oni czas mają na sprzedaż, jakżeby mogli poświęcić go szczęściu? Ich bogiem pieniądz: nie można służyć dwóm bogom równocześnie. Toteż świat roi się od młodych kobiet, które wloką się przez życie, blade i wycieńczone, schorowane i cierpiące. Jedne stają się ofiarą mniej lub więcej ciężkich schorzeń, inne podlegają w mniejszym lub większym stopniu atakom nerwowym. Wszyscy mężowie tych kobiet to gbury niezgrabne i... predestynowani. Zgotowali swoje nieszczęście z tą samą starannością, z jaką artysta małżeństwa umiałby zwolna przywieść do rozkwitu owe czarujące, a tak późno rozwijające się kwiaty rozkoszy. Ten sam czas, który barbarzyńca obraca na swą ruinę, służy świadomemu sztuki na wyhodowanie szczęścia.

## XXVI

Nie rozpoczynajcie nigdy małżeństwa od gwałtu.

W poprzednich rozmyślaniach wskazaliśmy rozciągłość złego z bezwzględną śmiałością chirurga, który otwiera tkanę zdrową na pozór, ale kryjącą ohydny i zgniły wrzód. Z cnoty naszego społeczeństwa, rozciągniętej na sekcyjnym stole, nie został pod nożem nawet trup. Wy, kochankowie czy mężowie, powiedzcie, który z was się uśmiechnął, a który zadrzał? Co do nas, ze złośliwą radością rzucamy ten olbrzymi ciężar społeczny na sumienie predestynowanych. Arlekin, który próbuje, czyby się nie dało odzwyczaić konia od jedzenia, mniej jest komiczny niż ci ludzie, którzy chcą znaleźć szczęście w małżeństwie, a nie dbają o to, aby je pielęgnować z całą starannością, jakiej ono wymaga. Błędy kobiet – to jeden akt oskarżenia przeciw egoizmowi, niedbalstwu i nicości mężów.

A teraz, czytelniku, ty, któremu nieraz się zdarza potępiać własne błędy u kogo innego, twoją teraz rzeczą wziąć wagę do ręki. Jedna szala dość chyba obciążona – zobaczymy, co położysz na drugiej. Oblicz po prostu cyfrę predestynowanych, których napotkasz w ogólnej liczbie żonkosiów, i rzuć je na wagę: wówczas dowiesz się, gdzie tkwi przyczyna złego.

Starajmy się wnikać jeszcze głębiej w przyczyny tej choroby małżeńskiej.

Słowo *m. i ł o ś ć*, zastosowane do rozmnażania się gatunku, jest bluźnierstwem, najwstrętniejszym ze wszystkich, jakie nam przyniosły nowe czasy. Natura, wynosząc nas ponad zwierzęta przez boski dar myśli, dała nam zdolność odczuwania wrażeń i uczuć, potrzeb i namiętności. Ta podwójność stwarza w mężczyźnie zwierzę i kochanka. Rozróżnienie to przyczyni się do rozjaśnienia problemu zajmującego nas w tej chwili.

Małżeństwo może stanowić przedmiot roztrząsań ze stanowiska społecznego, cywilnego i moralnego – jako prawo, jako umowa i jako instytucja. Prawo to utrwalenie gatunku; umowa to przenoszenie własności; instytucja to gwarancja interesów, które dla żadnego człowieka nie mogą być obojętne: każdy miał ojca i matkę, prawie każdy będzie miał dzieci. Małżeństwo winno być tedy przedmiotem ogólnego poszanowania. Społeczeństwo może brać w rachubę tylko te najwyższe względy, które z jego punktu widzenia górują nad kwestią.

Większość ludzi wstępujących w związki małżeńskie ma na widoku jedynie czynności rozrodcze, własność lub potomstwo; ale ani jedna z tych trzech pobudek nie stanowi jeszcze szczęścia. *Crescite et multiplicamini*<sup>29</sup> nie ma nic wspólnego z miłością. Żądać w imieniu

<sup>29</sup> *Crescite et multiplicamini* (łac.) – wzrastajcie i rozmnażajcie się.



króla, sprawiedliwości i prawa miłości od młodej dziewczyny, którą widziało się czternaście razy w ciągu dwóch tygodni, jest zaiste niedorzecznością, godną większości predestynowanych.

Miłość jest harmonią żądz i uczucia; szczęście w małżeństwie wypływa z doskonałego porozumienia dusz. Z tego wynika, iż mężczyzna pragnący być szczęśliwym musi się poddać pewnym wymaganiom delikatności, które winien mu wskazać własny punkt honoru. Posiadłszy kobietę, na podstawie praw społecznych, które uświęcają żądzę, winien iść za tajemnymi prawami natury, które budzą z uspienia uczucie. Jeżeli szczęście swe kładzie w tym, aby być kochanym, trzeba, aby sam kochał mocno: nic nie oprze się prawdziwej namiętności.

Ale kochać znaczy ciągle pożądać. Czy można zawsze pożądać swej żony?

Niewątpliwie.

Mówić, iż nie jest możebne odczuwać stale miłość dla jednej kobiety, jest taką samą niedorzecznością, co twierdzić, iż znakomity artysta potrzebuje koniecznie kilkorga skrzypiec, aby wykonać utwór muzyczny i ożywić jego czarowne melodie.

Miłość jest poezją zmysłów. Dzieli los wszystkiego, co w człowieku wielkie i co zrodziło się w krainie myśli. Albo jest szczytną, albo jej wcale nie ma. Jeśli istnieje, istnieje na zawsze i nieustannie wzrasta. Taka miłość to owo bóstwo, które starożytni uważali za dziecię Nieba i Ziemi.

Cała literatura obraca się koło siedmiu sytuacji, muzyka wyraża wszystko za pomocą siedmiu tonów, malarstwo ma siedem barw na palecie; może i miłość, jak te trzy sztuki, składa się z jakichś siedmiu elementów. Poszukiwanie tych składników zostawiamy następnemu stuleciu.

Jeżeli możliwość wypowiedzania się poezji, muzyki i malarstwa jest wprost nieskończona, skala rozkoszy miłosnych tym bardziej nią być winna; w owych trzech bowiem sztukach, przez które dążymy – może na próżno – do wyrażenia absolutnej prawdy za pomocą analogii, człowiek stoi sam ze swą wyobraźnią, gdy miłość jest zespoleniem dwojga ciał i dwojga dusz. Jeżeli tedy trzy zasadnicze sposoby wyrażania myśli wymagają długich studiów od tych, których natura stworzyła poetami, muzykami, malarzami, czyż nie wydaje się oczywiste, iż trzeba wprzód osiąść tajemnice upojeń miłosnych, aby w nich znaleźć szczęście? Wszyscy ludzie odczuwają popęd rozrodczy, tak jak wszyscy doznają głodu i pragnienia, ale nie każdemu dano być kochankiem lub smakoszem. Cywilizacja nauczyła nas, iż wykształcenie smaku jest sztuką i że tylko niektórym przypadła w udziale umiejętność jedzenia i picia. Rozkosze miłości, traktowane jako sztuka, czekają jeszcze swego fizjologa. Dla nas wystarczy dowód, iż jedynie nieznanomość warunków i składników szczęścia jest powodem niedoli, która czeka wszystkich predestynowanych.

Z nieśmiałością jedynie i obawą ważymy się tutaj nakreślić kilka aforyzmów, które może staną się kiedyś zawiązkiem tej nowej sztuki, jak odciski w kamieniu dały początek geologii. Poświęcamy je rozmyślaniom filozofów, młodych kandydatów do małżeństwa i – naszych predestynowanych.

## KATECHIZM MAŁŻEŃSKI

### XXVII

Małżeństwo jest umiejętnością.

XXVIII

Mężczyzna nie powinien się żenić, jeżeli nie zna anatomii i nie sekcjonował przynajmniej jednych zwłok kobiecych.

XXIX

Pierwsza noc małżeństwa stanowi o jego losie.

XXX

Kobietę, której odjęto wolną wolę, pozbawiono możliwości i zasługi poświęcenia się.

XXXI

W miłości – nie mówiąc nawet o jej stronie duchowej – kobieta jest jak instrument muzyczny, który odsłania swe tajemnice tylko temu, kto umie biegle nim władać.

XXXII

Nawet tam, gdzie nie ma instynktownej odrazy, istnieje w duszy kobiety jakieś uczucie, które prędzej czy później odepchnie ją od rozkoszy nie płynącej z serca.

XXXIII

Własny interes męża, zarówno jak jego punkt honoru, nie powinny mu pozwolić na żadną pieszczotę, zanim potrafi obudzić w żonie jej pragnienie.

XXXIV

Rozkosz w miłości wypływa ze skojarzenia uczucia i zmysłów: stąd można śmiało twierdzić, iż upojenie miłosne jest niejako ucieleśnioną ideą.

XXXV

Idee kombinują się w nieskończoność, to samo zatem winno być z rozkoszą.

XXXVI

Jak nie ma na drzewie dwóch listków zupełnie do siebie podobnych, tak samo w życiu ludzkim nie ma dwóch jednakowych chwil rozkoszy.

XXXVII

Skoro jeden moment rozkoszy różny jest od drugiego, mężczyzna może być zawsze szczęśliwy z jedną i tą samą kobietą.

XXXVIII

Odczuć subtelnie każdy odcień rozkoszy, umieć go rozwinać, dać mu nowy styl i oryginalny wyraz – oto geniusz mężczyzny w małżeństwie.

XXXIX

Między dwiema istotami, których nie łączy miłość, sztuka ta jest rozpustą; ale pieśzcoty zrodzone z miłości nigdy nie są wyuzdaniem.

XL

Najczystsza kobieta może być zarazem najwrażliwszą w rozkoszy.

XLI

Najcnotliwsza kobieta może być bezświadomie nieskromną.

XLII

W chwili gdy rozkosz łączy ze sobą dwoje istot, zasypiają wszystkie konwencje. Sytuacja ta kryje w sobie zdradzieckie rafa, o które rozbił się niejeden statek małżeński. Biada mężowi, który choć raz jeden zapomni, że istnieje wstydlivość, niezależna od zewnętrznych osłon. Miłość małżeńska musi umieć w porę oczy otwierać i zamykać.

XLIII

Nie częstość lub gwałtowność uderzeń jest siłą, lecz celność.

XLIV

Umieć pragnienie obudzić, podsycić, rozwinąć, spotęgować, podrażnić i zaspokoić – oto cały poemat.

XLV

Skala rozkoszy postępuje od dystychu do strofy, od strofy do sonetu, od sonetu do ballady, od ballady do ody, od ody do kantaty, od kantaty do dytyrambu. Mąż, który zaczyna od dytyrambu, jest osłem.

XLVI

Każda noc powinna mieć swoje *menu*.

XLVII

W małżeństwie powinno się walczyć bezustannie przeciw potworowi, który pożera wszystko: przyzwyczajeniu.

XLVIII

Kto nie potrafi wyczuć różnicy dwóch po sobie następujących nocy rozkoszy, ten ożenił się zbyt wcześnie.

## XLIX

Być kochankiem łatwiej jest niż być mężem, tak samo jak trudniej jest być zawsze zajmującym w rozmowie niż powiedzieć od czasu do czasu coś miłego.

## L

Mężowi nie wolno pierwszemu zasypiać ani ostatniemu się budzić.

## LI

Mężczyzna, który przestępuje próg gotowalni swojej żony, jest albo filozofem, albo głupcem.

## LII

Mąż będący chodzącą doskonałością jest człowiekiem zgubionym.

## LIII

Kobieta zameżna jest niewolnicą, którą trzeba umieć posadzić na tronie.

## LIV

Mężczyzna wówczas dopiero może się chlubić, iż zna swoją żonę i że potrafi dać jej szczęście, jeżeli widzi ją często u swoich kolan.

Do tej ciemnej trzody predestynowanych, do tych naszych mężów zakatarzonych, kopających fajki, zatabaczonych, starców, zrzędów itd. adresował Sterne ów list, który w „Tristramie Shandy” Walter Shandy pisze do brata Tobiasza, zamierzającego poślubić wdowę Wadman.

Ponieważ słynne wskazówki zamieszczone w tym liście przez najoryginalniejszego z angielskich pisarzy mogą, z małymi wyjątkami, uzupełnić nasze spostrzeżenia o sposobach zachowania się wobec kobiet, załączamy je tu w całości ku zbudowaniu predestynowanych, polecając im głębokie zastanowienie nad tym ustępem, jednym z arcytworów ludzkiego ducha.

### *LIST PANA SHANDY DO KAPITANA TOBIASZA SHANDY*

*Mój drogi bracie Tobiaszu!*

*Pragnę napisać Ci słów kilka o naturze kobiet w ogólności i o sposobie postępowania z nimi w sprawach miłosnych. Jest to może dla Ciebie szczęśliwa okoliczność (nie mogę jej bowiem nazwać szczęśliwą dla siebie), że nadarzyła się sposobność i że przypadkowo jestem zdolny udzielić Ci kilku wskazówek w tym przedmiocie.*

*Jeśliby było zamiarem Tego, który rozdziela nasze dole, obdarzyć Cię pod tym względem większymi ode mnie wiadomościami, byłbym bardzo szczęśliwy, gdybyś w tej chwili Ty siedział na moim miejscu i trzymał pióro w ręce; ale skoro mnie przypadł w udziale obowiązek pouczenia Cię i wobec tego, że pani Shandy znajduje się tuż obok i gotuje się do spoczynku,*

przeto nakreślę Ci, od ręki i bez porządku, myśli i wskazówki dotyczące małżeństwa, tak jak mi przyjdą do głowy, w nadziei, że może będą Ci przydatne. Chcę Ci dać przez to dowód przyjaźni i nie wątpię, kochany Tobiaszu, że przyjmiesz go ze szczerą wdzięcznością.

Przede wszystkim, co się tyczy religii w tej sprawie (jakkolwiek czuję po gorącu w twarzy, iż rumienię się mówiąc o tym, i jakkolwiek wiem, mimo skromności, z jaką ukrywasz swoje cnoty, iż nie zaniedbujesz żadnej z pobożnych praktyk), jednakże jest jedna, którą chciałem Ci polecić szczególnie gorąco, abyś nigdy jej nie zapomniał, przynajmniej przez cały czas trwania Twoich spraw miłosnych. Polega ona na tym, kochany bracie Tobiaszu, abyś nigdy nie pokazał się na oczy tej, która jest przedmiotem Twoich starań, czy to rano, czy wieczór, nie poleciwszy się poprzednio opiece Wszechmogącego, iżby Cię zachował od wszelkiego nieszczęścia.

Co cztery lub pięć dni (a jeśli, to nawet częściej), powinieneś ogolić i umyć głowę, aby Twoja pani, gdybyś przypadkiem w chwili roztargnienia zdjął na chwilę perukę, nie mogła rozemnać, ilu włosów pozbawiła Cię ręka czasu, a ilu dłoń balwierza.

O ile tylko będziesz mógł, powinieneś oddalać od jej wyobraźni wszelką myśl o łysinie.

Wbij sobie w pamięć. Tobiaszu, jedną maksymę, na której w każdej okoliczności życia możesz polegać: „Wszystkie kobiety są bojaźliwe”.

I to całe szczęście; inaczej któż by się odważył mieć z nimi do czynienia?

Staraj się, aby Twoje spodnie nie były ani za szerokie, ani za wąskie i aby nie przypominały w niczym workowatych pludrów naszych przodków. Złoty środek nie ściąga na siebie żadnych komentarzy.

Cokolwiek byś miał do powiedzenia, czy masz zamiar mówić dużo, czy mało, miarkuj zawsze głos. Milczenie i wszystko, co się do niego zbliża, utrwała w pamięci tajemnice nocy. Dlatego, jeżeli tylko potrafisz tego uniknąć, nie upuszczaj nigdy szczypczyków ani łopatkę.

W rozmowach z nią unikaj wszelkiego żartu i szyderstwa; także, o ile tylko będziesz mógł, nie daj jej wziąć do ręki żadnej wesołej książki. Możesz jej pozwolić na niektóre pobożne rozprawki (jakkolwiek wolałbym, aby i tych nie czytała), ale nie ścierp pod żadnym warunkiem, aby czytała Rabelais'go, Scarrona lub „Don Kiszota”.

Wszystkie te książki pobudzają do śmiechu; a wiesz przecie, Tobiaszu, iż nie ma poważniejszej rzeczy niż cele małżeństwa.

Popraw zawsze żabot i przymocuj go szpilką, nim wejdiesz do jej pokoju.

Jeśli pozwoli Ci usiąść obok siebie i nastroczy sposobność, abyś mógł położyć rękę na jej rękę, oprzyj się tej pokusie. Gdybyś ją ujął za rękę, ciepło Twej dłoni zdradziłoby jej, co się w Tobie dzieje. Trzymaj ją zawsze w niepewności co do tego punktu i co do wielu innych. Postępując w ten sposób, podsycisz przynajmniej jej ciekawość; jeżeli zaś Twoja pani nie jest jeszcze zupełnie ujarzmiona, a Twój osiołek nie przestaje wierzgać (co jest bardzo prawdopodobne), wówczas każesz sobie puścić kilka uncji krwi za uszami, idąc w tym za przykładem starych Scytów, którzy za pomocą tego środka leczyli najwyuzdańsze pokusy zmysłów.

Avicenna<sup>30</sup> powiada, iż następnie należy się natrzeć wyciągiem ciemierzycy, po należytej dozie wypróżniających i czyszczących środków; co do mnie, byłbym w zupełności jego zdania. Ale przede wszystkim jedz bardzo mało lub wcale pieczystego z kozła lub jelenia; również unikaj starannie (oczywiście, o ile będziesz mógł) mięsa pawia, łyski, nurka, żurawia i kurki wodne).

Co się tyczy napojów, nie potrzebuję Cię uczyć, iż powinny się składać z naparu werweny i ziół Hanej, o których cudownym działaniu powiada Elien. Gdyby jednak żołądek Twój miał na tym ucierpieć, wówczas zaniechaj tych napojów i karm się ogórkami, portulaką, melonem i sałatą.

---

<sup>30</sup> Avicenna (980–1037) – filozof i lekarz arabski, autor słynnego dzieła lekarskiego „Kanon”, które w wiekach średnich było głównym podręcznikiem medycyny.

*Na teraz nie przychodzi mi nic więcej na myśl. Chyba, w razie gdyby się zanosilo na wypowiedzenie wojny...*

*Zatem, drogi Tobiaszu, życzę Ci, aby wszystko poszło jak najlepiej, i pozostaję Twoim przywiązanym bratem.*

*Walter Shandy*

W obecnych okolicznościach sam Sterne wykreśliłby niewątpliwie artykuł tyczący osiołka i, daleki od doradzania upustów krwi swemu predestynowanemu, zmieniłby tryb sałato–ogórkowy na jak najposilniejszą dietę. Wówczas doradzał wstrzeźliwość, aby rozporządzać w chwili wojny magiczną potęgą zasobów; podobny w tym do niezrównanego rządu angielskiego, który w czasie pokoju posiada dwieście okrętów, lecz którego doki mogą w potrzebie dostarczyć podwójnej ilości, gdy idzie o to, aby opanować morza i rozwinąć całą flotę.

Mężczyzna należący do szczupłej garstki tych, którym staranne wychowanie uczyniło dostępną dziedzinę myśli, powinien by zawsze, nim postanowi zawrzeć związku małżeńskie, rozpatrzeć się w swoich siłach fizycznych i moralnych. Aby skutecznie walczyć przeciw burzom, których tyle pokus nie omieszka wzniecić w sercu żony, powinien mąż – prócz umiejętności kochania i prócz majątku, dostatecznego, aby nie znaleźć się w żadnej z klas predestynowanych – posiadać znakomite zdrowie, mnóstwo taktu, dużo rozumu, na tyle dobrego smaku, aby dać uczuć swą wyższość tylko w stosownych okolicznościach, a wreszcie niezmierną bystrość wzroku i słuchu.

Jeśli posiada piękną twarz, wyniosłą postawę, wejrzenie pełne męskości, a nie zdoła się utrzymać na wysokości tych obiecujących pozorów, znajdzie się w klasie predestynowanych. Toteż mężczyzna brzydki, ale o fizjonomii pełnej wyrazu, skoro żona potrafi zapomnieć o jego brzydocie, posiadałby najkorzystniejsze warunki do walki z duchem złego.

Będzie się starał – szczegóół zapomniany w liście Sterne'a – być zawsze bez zapachu, aby nie wzbudzać odrazy. Również będzie czynił bardzo umiarkowany użytek z pachnidel, które zawsze budzą ubliżające podejrzenia.

Będzie czuwał nad swym zachowaniem, ważył słowa, tak jakby się ubiegał o względy najbardziej niestałej kobiety. Dla niego to uczynił pewien filozof następujące spostrzeżenie:

„Niejedna kobieta unieszczęśliwiła się na całe życie, zgubiła się, zniesławiła dla człowieka, którego później przestała kochać, gdyż zdarzyło mu się brzydsko zdejmować ubranie, nie dbale obciąć paznokcie, włożyć pończochę na wywrót lub niezgrabnie odpiąć guzik”.

Jednym z najważniejszych jego zadań będzie ukrywać przed żoną prawdziwy stan swego majątku, aby móc zadowalać przypuszczalne jej fantazje i kaprysy, jak to czynią hojni kawalerowie.

Wreszcie, rzecz trudna, rzecz wymagająca nadludzkiego panowania nad sobą, winien posiadać nieograniczoną władzę nad owym osiołkiem, o którym mówi Sterne. Zwierzątko to musi mu być posłuszne, jak chłop z XIII wieku swemu panu; powinno na rozkaz słuchać i milczeć, iść i zatrzymywać się na każde skinienie.

Mąż uzbrojony w te wszystkie przymioty i tak wstępuje w szranki zaledwie z bladym widokiem powodzenia. I jemu, jak innym, grozi niebezpieczeństwo, iż będzie dla żony jedynie rodzajem o d p o w i e d z i a l n e g o w y d a w c y.

– Także coś nowego – powiedzą na to poczciwi ludzie, dla których widnokrąg zamyka się przy końcu nosa – tyle trudu trzeba sobie zadawać dla rzeczy tak prostej jak miłość? Zatem trzeba przedtem całą szkołę przechodzić, aby być szczęśliwym w małżeństwie? Może rząd założy nam katedrę miłości, jak świeżo utworzył katedrę prawa publicznego?

Oto nasza odpowiedź:

Te rozliczne prawidła, tak trudne do określenia, te spostrzeżenia tak drobiazgowo, wskazówki tak różnorodne zależnie od usposobień i temperamentów znajdują się, wrodzone niejako, w sercach ludzi stworzonych dla miłości, tak jak poczucie formy i łatwość kombinowania

myśli istnieje w duszy poety, malarza lub muzyka. Mężczyźni, dla których zastosowanie w życiu wskazówek zebranych w tym rozmyślaniu przedstawiałoby jakikolwiek wysiłek, są z natury predestynowani, tak jak ten, kto nie umie dostrzec stosunku dwóch różnych pojęć, jest głupcem. Nie ulega wątpliwości, iż miłość ma swoich nieznanymi wielkich ludzi, jak wojna ma swoich Napoleonów, poezja Andrzejów Chenier, a filozofia Kartezjuszów.

Ta ostatnia uwaga mieści w sobie zawiązek odpowiedzi na pytanie, które ludzie zadają sobie od wieków: Dlaczego szczęśliwe małżeństwo jest tak rzadkim zjawiskiem?

Ten fenomen świata moralnego ziszcza się tak rzadko z przyczyny, iż mało jest na świecie genialnych ludzi. Trwała namiętność to wspaniały dramat, grany przez dwoje aktorów równych talentem; dramat, w którym katastrofami są uczucia, wypadkami pragnienia, w którym cień myśli wystarcza, aby przeobrazić scenę. Jakżeby było możliwe, aby w tym stadzie dwunogich istot, które zwie się narodem, zdarzyło się często spotkać mężczyznę i kobietę obdarzonych w równym stopniu geniuszem miłości, skoro już ludzie talentu tak nieliczni są w innych sztukach, w których dla osiągnięcia rezultatu artysta potrzebuje porozumieć się tylko sam ze sobą?

Do tej chwili ograniczyliśmy się do zaznaczenia trudności poniekąd fizycznych, z którymi dwoje małżonków walczyć musi, ażeby znaleźć szczęście; cóż byłoby, gdybyśmy mieli rozwinąć przerażający obraz obowiązków moralnych wynikających z różnic charakteru?... Zatrzymajmy się na tym! Mężczyzna dość wytrwały, aby kierować temperamentem, potrafi z pewnością stać się panem i duszy.

Chcemy wierzyć, że nasz wzór mężów posiada te pierwsze warunki, niezbędne, aby walczyć skutecznie o swą żonę ze zgrają oblegających. Przypuszczamy, że nie należy do żadnej z licznych grup predestynowanych, które rozpatrzyliśmy po kolei. Przyjmijmy wreszcie, iż przejął się naszymi naukami, że posiadał tę cudowną umiejętność, której odsłonił tuż kilka tajemnic; że żeniąc się rozporządzał pełnią doświadczenia, że zna swoją żonę, że posiada jej miłość. A teraz prowadźmy dalej ten wykaz ogólnych przyczyn, wpływających obciążająco na krytyczną sytuację, do której, ku pouczeniu ludzkości, wiemy naszego małżonka.

## ROZMYŚLANIE SZÓSTE

### *O pensjonatach*

Jeśli pojąłeś za żonę młodą osobę wychowaną na pensji, wówczas masz przeciw swemu szczęściu o trzydzieści szans więcej ponad te, które wyliczyliśmy poprzednio, i podobny jesteś człowiekowi, który włożył rękę w gniazdo os.

Jeśli znalazłeś się w tym położeniu, wówczas, bezpośrednio po błogosławieństwie ślubnym, nie dając się uwieść niewinnej nieświadomości, naiwnemu wdziękowi, wstydlivej powściągliwości żony, winieneś przemyśleć i przyswoić sobie pewniki i wskazówki, które rozwiniemy w drugiej części tej książki. Co więcej, zastosujesz również surowe przepisy części trzeciej, przeprowadzając bezzwłocznie czujny nadzór, rozwijając nieustannie ojcowską troskliwość, gdyż nazajutrz po ślubie, może nawet w przeddzień ślubu, każda chwila zwłoki grozi niebezpieczeństwem.

Cofnijcie się na chwilę myślą w lata szkolne i przypomnijcie sobie nieco owe ukradkowe i gruntowne studia *de natura rerum*<sup>31</sup>, zaprzatające tak bardzo umysły uczniów. Żaden Lapeyrouse, żaden Cock czy kapitan Parry nie żeglował z takim zapalem ku nieznanemu biegunowi, z jakim młodzież ta płynie ku zakazanym wybrzeżom rozkoszy.

Ponieważ dziewczęta są na ogół od chłopców przebieglejsze, ciekawsze i obdarzone żywszą wyobraźnią, zatem w ich tajemnych schadzках, w ich poufnych naradach, którym nie potrafi zapobiec sztuka najczujniejszych matron, będzie panował duch stokroć piekielniejszy niż w konszachtach młodych chłopaków. Komuż z mężczyzn dane było kiedy słyszeć ich spostrzeżenia aż nazbyt przenikliwe i ich sądy aż nadto śmiałe? One jedne znają owe gry, w których przedwcześnie przegrywa się cześć kobiecą, te drażniące próby wzruszeń, te szukania po omacku rozkoszy, te imitacje szczęścia, które można by porównać z wykradaniem słodyczy przez łakome i psotne dzieci. Młoda panna opuszczając pensję będzie może dziewczicą; niewinną – nigdy. Nie raz i nie dwa roztrząsała ona w poufnych naradach arcyważną kwestię kochanka i nieuniknione zepsucie nadgryzło już jej myśli lub serce.

Przypuśćmy jednak, że żona twoja nie brała udziału w tych orgiach dziewictwa, w tych przedwczesnych igraszkach zmysłów. Czy wiele zyskała na tym, że nie zabierała głosu w tajnych zebraniach „dużych”? Wcale nie. Na pensji wszakże zawarła przyjaźń z innymi

---

<sup>31</sup> *De natura rerum* (łac.) – o naturze rzeczy.



dziewczętami; będziemy bardzo skromni w rachunku, jeśli przypiszemy jej dwie lub trzy serdeczne przyjaciółki. Czy jesteś pewny, że gdy twoja przyszła żona już opuści pensję, młode jej przyjaciółki nie będą dopuszczone do tych zebrań, na których poznaje się, przynajmniej przez analogię, gruchania gołąbków? Wreszcie, przyjaciółki wyjdą za mąż; i oto musisz mieć oko nie na jedną, ale na cztery żony, musisz odgadywać cztery charaktery, jesteś na łasce i niełasce czterech mężów i dwunastu kawalerów, o których życiu, zasadach, obyczajach nie masz najmniejszego pojęcia, w chwili gdy te rozmyślenia ukażą ci konieczność nagłego zainteresowania się ludźmi, jakich, bez swej wiedzy, poślubiłeś wraz ze swą żoną. Sam szatan tylko mógł wymyślić żeński pensjonat w dużym mieście!... Pani de Campan<sup>32</sup> pomieściła przynajmniej swój sławny instytut w Ecoeu. Ta mądra przezorność świadczy, iż musiała to być niepospolita kobieta. Tam wychowawce jej nie miały ciągle przed oczyma naszego ulicznego muzeum; owych olbrzymich i groteskowych obrazów, bezwstydnich słów, kreślonych na ścianach ołówkiem przez ducha zepsucia i złego! Nie patrzyły bezustannie na widowisko ułomności ludzkich, obnażanych we Francji na każdym rogu, a plugawe czytelnie nie wyrzucały z siebie po kryjomu trucizny książek, uświadamiających i podniecających zarazem. To też ta światła wychowawczyni tylko w Ecoeu mogła ustrzec młodą dziewczynę nietkniętą i czystą, o ile to w ogóle jest możliwe. Czy masz nadzieję, że potrafisz zapobiec temu, aby żona widywała swoje przyjaciółki z pensji? Szaleństwo! Spotka się z nimi na balu, w teatrze, na przechadzce, w towarzystwie; a ileż wzajemnych usług potrafią sobie oddać dwie kobiety!... Ale nad tym nowym źródłem grozy zastanowimy się osobno, w swoim czasie i miejscu.

To nie wszystko. Jeśli przyszła teściowa umieściła córkę na pensji, czy myślisz, że uczyniła to przez troskliwość o jej dobro? Młoda dziewczyna między dwunastym a piętnastym rokiem jest straszliwym argusem; zatem, jeśli obecność takiego argusa w domu była niepożądana, zaczynam podejrzewać, iż pani teściowa należy do najwątpliwszej kategorii przyzwolonych kobiet. Zatem, w danej okoliczności, będzie dla córki fatalnym przykładem lub niebezpiecznym doradcą.

Ale stójmy!... Teściowa wymaga osobnego rozmyślenia.

W którąkolwiek tedy stronę spróbujesz się obrócić, zawsze, w tym składzie rzeczy, znajdziesz łożo małżeńskie równie ciernistym.

Przed rewolucją arystokratyczne domy chowały córki w klasztorach. Za tym przykładem szło wiele rodzin, które wyobrażały sobie, iż córki ich, przebywając razem z panienkami wielkich rodów, nabiorą od nich tonu i obejścia. Ten obłęd próżności był już sam przez się fatalny; prócz tego klasztory posiadają wszelkie niebezpieczeństwa pensjonatów. Bezczyność, jaka w nich panuje, jest jeszcze straszliwsza. Kraty, odcinające od świata, rozpalają wyobraźnię. Samotność jest jedną z najulubieńszych dziedzin szatana, toteż przechodzi wprost pojęcie, jakie spustoszenia mogą szerzyć najpospolitsze objawy życia w duszach tych młodych dziewcząt, rozmarzonych, nieświadomych i beczynnych.

Jedne tak długo i gorąco pieszczą swe marzenia, iż później padają w życiu ofiarą mniej lub więcej dziwnych omyłek. Inne, wyegzaltowawszy sobie szczęście małżeńskie, skoro znajdą się już w posiadaniu męża, wykrzykują pełne zawodu: „Jak to, to tylko tyle!?” Na każdy sposób zatem ten niepełny stopień uświadomienia, do jakiego dochodzą gromadnie wychowane młode dziewczyny, łączy niebezpieczeństwa nieświadomości ze wszystkimi kłeskami przedwczesnej wiedzy.

Młoda dziewczyna wychowana w zaciszu przez matkę, ciotkę starowinę, cnotliwą, pobożną, słodką lub opryskliwą, panienka, która nie przekroczyła nigdy domowego progu bez czujnego nadzoru, której pracowite dzieciństwo umiano wypełnić choćby nawet bezużytecznymi zatrudnieniami, dla której wszystko jest obce i nowe – taka młoda osoba to skarb, ukryty tu i

---

<sup>32</sup> Jeanne-Louise de Campan (1752–1822) – sekretarka królowej Marli Antoniny, a potem kierowniczka zakładu naukowego w Ecoeu, gdzie wychowywały się sieroty po żołnierzach odznaczonych legią honorową.

ówdzie po świecie, podobny owym kwiatom leśnym, osłoniętym taką gęstwiną, iż oczy zwykłego śmiertelnika nie mogą ich osiągnąć. Kto mając na własność ten kwiat, tak czysty, tak uroczy, pozwala go pielęgnować innym, zasłużył po tysiąc razy na nieszczęście, które go czeka. To potwór albo głupiec.

Tu byłaby może chwila stosowna do zastanowienia się, czy istnieje jakiś sposób, aby się dobrze ożenić. W ten sposób można by na czas nieograniczony odsunąć środki ostrożności, których dokładny rozbiór stanowić będzie drugą i trzecią część tego dzieła. Czyż jednak nie udowodniliśmy dostatecznie, iż łatwiej jest przeczytać „Szkolę żon” Moliera siedząc w szczelnie zamkniętym piecu niż przeniknąć obyczaj, umysł i charakter panny na wydaniu?

Czyż większość ludzi nie żeni się absolutnie w taki sam sposób, co gdyby mieli zakupić papiery na giełdzie?

I jeżeli w poprzednim rozmyślaniu udało się nam udowodnić, że ogromna większość mężczyzn okazuje najzupełniejsze niedbalstwo w kwestii własnego małżeńskiego honoru, czyż mamy prawo przypuszczać, że znajdzie się wielu ludzi dość bogatych, dość inteligentnych i dość przenikliwych, aby, jak ów Burchell w „Wikarym z Wakefield”<sup>33</sup>, poświęcić rok lub dwa na studiowanie, podpatrywanie młodych dziewcząt, wśród których szukają towarzyski życia? Czyż możemy to przypuścić, wobec tego iż tak mało troszczą się o nie później, skoro przeminie ten krótki czas słodczy małżeńskich, który Anglicy zwą miodowym miesiącem, a nad którego znaczeniem nie omieszkamy się zastanowić.

Jednakże po długim dumaniu nad tą ważną kwestią możemy zaznaczyć, że istnieją sposoby, pozwalające wybrać z niejakim prawdopodobieństwem dobrze nawet wówczas, gdy się wybiera szybko.

I tak nie ulega kwestii, że szanse będą przemawiały na twoją korzyść:

1–o. Jeśli pojmiesz za żonę pannę, której temperament przypomina mieszkanki Luizjany i Karoliny.

Aby uzyskać niewątpliwe wskazówki co do temperamentu młodej osoby, należy uciec się do panny służącej, a to za pomocą systemu, o którym powiada Gil Blas<sup>34</sup>, a którym posługuje się mąż stanu, gdy chce wysledzić sprzysiężenie lub przekonać się, w jaki sposób ministrowie spędzają noc.

2–o. Jeśli wybierzesz młodą osobę, która nie będąc brzydką nie liczy się wszelako do piękności.

Uważamy za pewnik, że jeśli chodzi o to, aby w małżeństwie być najmniej nieszczęśliwym, wówczas słodczy charakter, połączona ze znośną brzydotą, są dwoma niezawodnymi czynnikami powodzenia.

Chcecie wiedzieć prawdę? Otwórzcie Russa: wątpię bowiem, czy kiedykolwiek pojawi się jaka kwestia moralności społecznej, której doniosłości on by z góry nie przewidział i nie określił.

„U ludów, wśród których panuje obyczajność, dziewczęta są łatwe, zameżne zaś kobiety nieprzystępne. U ludów nieobyczajnych rzecz się ma przeciwnie”.

Przejęcie się zasadą zawartą w tej głębokiej i trafnej uwadze doprowadziłoby nas do wniosku, iż mniej byłoby na świecie nieszczęśliwych małżeństw, gdyby mężczyźni żenili się ze swymi kochankami. Wychowanie panien musiałyby ulec we Francji zasadniczym przeobrażeniom. Do dziś francuskie prawa i obyczaje, mając do czynienia z jednej strony z wykroczeniem, z drugiej ze zbrodnią, której można było zapobiec, popierały zbrodnię. Czymże bowiem, jeśli nie wykroczeniem zaledwie, jest błąd młodej dziewczyny, jeśli go porównamy z błędem zameżnej kobiety? Czyż nie byłoby zatem bez porównania mniejszym niebezpieczeń-

---

<sup>33</sup> „Wikary z W a k e f i e l d” – powieść angielskiego pisarza Oliviera Goldsmitha (1728–1774).

<sup>34</sup> G i l B l a s – bohater powieści obyczajowej Alain-René Lesage’a (1668–1747) „Przypadki Idziego Blasa”.

stwem dać wolność dziewczętom niż zostawiać ją kobietom? Myśl brania młodej dziewczyny na próbę pobudzi z pewnością więcej poważnych ludzi do myślenia niż gapiów do śmiechu. Zwyczaj Niemiec, Szwajcarii, Anglii i Stanów Zjednoczonych dają młodym pannom prawa, które wydawałyby się we Francji obaleniem wszelkiej moralności; mimo to niewątpliwą jest rzeczą, iż w krajach tych małżeństwa mniej są nieszczęśliwe niż we Francji.

„Skoro kobieta oddała się całkowicie kochankowi, musiała dobrze znać tego, z którym złączyła ją miłość. Nim pozyskał jej serce, zdołał on niewątpliwie zyskać jej szacunek i zaufanie”.

Blask prawdy, bijący z tych słów, rozświetlił może na chwilę mroki więzienia, w głębi którego Mirabeau<sup>35</sup> je nakreślił, a jakkolwiek bogata myśl w nich zawarta powstała pod wpływem najszaleńszej namiętności, niemniej przeto zamyka ona w sobie cały problem społeczny, który nas w tej chwili zajmuje. W istocie, małżeństwo oparte na skojarzeniu religijnego zachwycenia, jakie stwarza miłość, z próbą owej chłodnej trzeźwości, jaka następuje po momencie posiadania, powinno by stanowić najtrwalszy ze wszystkich związków.

Kobieta nie może wówczas zarzucać mężowi, iż należy do niego jedynie na mocy litery prawa. Nie znajdzie już w tej przymusowej przynależności motywów przemawiających za oddaniem się kochankowi, jak ta, która w głębi swego serca wyczyta na poparcie swych życzeń tysiąc sofizmatów, nasuwających jej dwadzieścia razy na godzinę pytanie, czemu, jeśli oddała się wbrew woli człowiekowi, którego nie kochała, nie miała się oddać dobrowolnie temu, którego kocha. Wówczas kobieta nie może usprawiedliwić swych skarg na owe wady, nieodłączne od natury ludzkiej, gdyż z góry już poznała męską tyranie i pogodziła się z jej kapryсами.

Niejedno młode dziewczę dozna zawodu w nadziejach miłości!... Ale czyż nie będzie dla nich olbrzymią wygraną, iż nie związały życia z człowiekiem, którym mają prawo pogardzać?

Ludzie tchórzliwi okrzykną się może, że podobna reforma naszych obyczajów stałaby się powodem strasznego rozluźnienia: że, bądź co bądź, prawa czy obyczaje będące praw tych źródłem nie mogą uświęcać zgorzenia i niemoralności; że jeśli istnieje zło nieuniknione, społeczeństwo bodaj nie powinno go uświęcać.

Na to można by odpowiedzieć przede wszystkim, iż wskazany przez nas system dąży do zapobieżenia złemu, które dotychczas uważano za nieuniknione. Choćby nawet nasze statystyczne cyfry nie były zbyt ścisłe, w każdym razie odsłoniły one ogromną ranę społeczną; zatem nasi moralisci woleliby zło większe od mniejszego, woleliby ciągłe pogwałcenie zasady, na której wspiera się społeczeństwo, od problematycznej jeszcze swobody prowadzenia się dziewcząt; rozwiązłość matek rodzin, która zatruwa w samym źródle wychowanie młodzi i unieszczęśliwia przynajmniej cztery osoby, od wolności młodej dziewczyny, narażającej szczęście tylko własne i co najwyżej swego dziecięcia. Niech raczej przepadnie cnota dziesięciu dziewic niż owa świętość obyczajów, owa korona czci, jaka powinna zdobić czoło matki rodziny! Obraz, który przedstawia młoda dziewczyna opuszczona przez uwodziciela, ma w sobie zawsze coś podniosłego i świętego: to obraz zdeptanych przysiąg, zdradzonej świętej ufności, a na gruzach zbyt kruchej cnoty niewinność, cała we łzach i wąpiąca o wszystkim, skoro musiała zwątpić o miłości ojca do własnego dziecięcia. Nieszczęśliwa jest jeszcze niewinność; może zostać jeszcze wierną żoną, tkliwą matką – jeżeli przeszłość przesłonięta jest chmurami, przyszłość jest tak błękitna jak czysty lazur nieba. Czyliż znajdziemy te łagodne barwy w ponurych obrazach cudzołożnej miłości? Tam – kobieta jest ofiarą; tutaj – zbrodniarką. Jakaż nadzieja została cudzołożnej żonie? Choćby nawet Bóg odpuścił jej winę, najprzykładniejsze życie nie zdoła usunąć z ziemi żywych owoców występku. Jeśli Jakub I

---

<sup>35</sup> Honoré-Gabriel de M i r a b e a u (1743–1791) – jeden z najwybitniejszych mówców i działaczy z okresu rewolucji francuskiej r. 1789, w latach 1777 do 1780 przebywał w więzieniu w Vincennes za długi; listy jego, pisywane stamtąd do Zofii Ruffey margrabinie de Monnier, ukazały się w druku w r. 1891.

był synem Rizzia, zbrodnia Marii trwała tak długo, jak długo trwał jej nieszczęsny ród królewski, a upadek Stuartów był tylko wymiarem sprawiedliwości.

Ale czyż w istocie usamowolnienie dziewcząt kryje tyle niebezpieczeństw?

Łatwo rzucać oskarżenie na młode panny, iż pragną jedynie za jaką bądź cenę pozbyć się panieństwa; jednakże zarzut ten jest prawdziwy tylko w obecnym stanie obyczajów. Dziś młoda panna nie zna ani niebezpieczeństw pokusy, ani jej zasadzek; własna słabość stanowi jedyną jej obronę, a zwodnicza wyobraźnia, zatruta wygodnymi zasadami wielkiego świata, miotana pragnieniami, które wszystko naokół zdaje się uświęcać, staje się dla niej przewodnikiem tym bardziej ślepy, iż młoda dziewczyna rzadko się komu zwierzy z tajemnych drgnień pierwszej miłości.

Gdyby była swobodna, wówczas wolne od przesądów wychowanie uzbroiłoby ją przeciw miłości pierwszego z brzegu. Byłaby, jak w ogóle każdy, o wiele silniejszą wobec jawnych niebezpieczeństw niż wobec ukrytych pokus. Zresztą, rozporządzając swą wolnością, czyż przez to młoda dziewczyna przestanie się znajdować pod czujnym okiem matki? Czyż za nic mamy liczyć ten wstyd i te obawy, które natura tak potężnie rozwinęła w sercu dziewczyny, aby ją uchronić od oddania się człowiekowi, nim będzie pewną jego miłości? Gdzież jest zresztą panna tak mało umiejąca rachować, która by nie odczuwała, iż najbardziej wyzuty z moralności mężczyzna pragnie znaleźć zasady u swojej żony, tak jak chlebobdawcy wymagają, aby służba była pod każdym względem bez zarzutu; że zatem cnota jest dla niej najbardziej zyskownym i opłacającym się interesem?

A zresztą o cóż chodzi? Za czyją sprawę walczymy, jak myślicie? Co najwyżej za pięć lub sześćkroć tysięcy cnót dziewiczych, uzbrojonych w instynkt samoobrony i poczucie własnej wysokiej ceny: umieją się one równie dobrze obronić jak sprzedać. Owe osiemnaście milionów istot wyłączonych z naszych roztrząsań zawiera związki prawie bez wyjątku na mocy systemu, któremu usiłujemy zdobyć prawo obywatelstwa w naszych obyczajach; co się zaś tyczy klas pośrednich, które stanowią przejście od nieszczęśliwych Dwurękich do warstw uprzywilejowanych tworzących czoło narodu, ilość podrzutków, wydawanych przez te na wespół zamożne klasy na pastwę niedoli, wzrasta ustawicznie od czasu zawarcia pokoju, jeżeli mamy wierzyć panu Benoiston de Chateaufort, jednemu z najwytrwalszych pracowników w dziedzinie żmudnych, a tak użytecznych badań statystycznych. Na jakąż zatem rozległą ranę przynosimy lekarstwo, jeżeli się pomyśli o stwierdzonej statystycznie olbrzymiej ilości nieślubnych dzieci i o niedoli, jaką za pomocą naszych obliczeń odsłoniłszy w wyższych klasach społeczeństwa! Ale trudno na tym miejscu przedstawić wszystkie korzyści, jakie wniosłoby z sobą usamowolnienie dziewcząt. Skoro przejdziemy do okoliczności towarzyszących małżeństwu takiemu, jakim uczyniły go nasze obyczaje, wówczas każdy zdrowo patrzący będzie mógł ocenić doniosłość systemu wychowania i swobody, których w imię rozsądku i w imię natury domagamy się dla panien. Przesąd, jaki żyjemy we Francji co do dziewictwa młodych oblubienic, jest najgłębszy z tych, które nam jeszcze zostały. Mieszkańcy Wschodu pojmują żony nie troszcząc się o ich przeszłość i zamykają je pod klucz, aby mieć gwarancję przyszłości; Francuzi trzymają dziewczęta w rodzaju serajów strzeżonych przez matki, przez przesady, przez religię, natomiast dają zupełną wolność żonom, okazując w ten sposób znacznie większą troskę o przeszłość niż o przyszłość. Chodziłoby zatem tylko o przewrócenie na wspak obyczajów. Kto wie, czy ostatecznie w ten sposób nie zyskałaby wierność małżeńska całego smaku i pieprzu, jakie obecnie kobiety znajdują w niewierności?

Oddalilibyśmy się jednak zbyt od tematu, gdybyśmy się chcieli zapuszczać w szczegóły tych olbrzymich reform moralnych, które staną się niewątpliwie żądaniem Francji w wieku XX, obyczaje bowiem przekształcają się tak wolno! Aby najłżejsze przeobrażenie mogło dojść do skutku, czyż nie musi wprzód najzuchwalsza idea poprzedniego wieku stać się najtrywialniejszym komunałem wieku bieżącego? Toteż jeśli dotknęliśmy tej kwestii, to jedynie przez rodzaj kokieterii; bądź aby zaznaczyć, iż nie uszła naszej uwagi, bądź aby jeszcze jedną

pracę więcej przekazać naszym wnukom; a jest to, lekko licząc, już trzecia; pierwsza dotyczy kobiet publicznych, druga fizjologii rozkoszy. „Skoro dojdziemy do dziesięciu, zrobimy krzyżyk” – powiada przysłowie.

W dzisiejszym stanie obyczajów i naszej tak niedoskonalej cywilizacji istnieje problem, na razie nie do rozwiązania, który czyni zbyt częstą wszelką dyskusję co do sztuki wybierania żony; przekazujemy go, jak i poprzednie, dumaniom filozofów.

## ZAGADNIENIE

Nikt nie zdołał rozstrzygnąć, co bardziej popycha kobietę do niewierności: niemożność odmiany czy swoboda, jaką by jej zostawiono w tej mierze?

W dalszym ciągu – wciąż mówimy o mężczyźnie, który świeżo się ożenił – jeśli mężczyzna trafił na kobietę o temperamencie sangwicznym, żywej wyobraźni, usposobieniu nerwowym lub też charakterze biernym, położenie jego byłoby tym groźniejsze.

Mężczyzna, którego żona piłaby jedynie wodę, znajdowałby się w jeszcze większym niebezpieczeństwie (patrz rozmyślanie pt. „Higiena małżeństwa”), ale jeżeli przy tym kobieta zdradza talent do śpiewu lub jeśli łatwo ulega zakatarzeniom, wówczas wypadnie mu drzeć każdej godziny; faktem jest, iż śpiewaczki odznaczają się zmysłowym temperamentem, podobnie jak kobiety o nadmiernej wrażliwości błon śluzowych.

Wreszcie, niebezpieczeństwo potęguje się znacznie, jeśli żona twoja liczy mniej niż siedemnaście lat życia; a także jeśli posiada bladą i przejrzystą cerę, gdyż takie kobiety są zazwyczaj bardzo obłudne.

Nie uprzedzajmy jednakże obaw, jakie obudzi w sercach mężów odkrycie u żon tych właściwości charakteru, zwiastujących pewne nieszczęście. Dygresja ta i tak już zanadto oddaliła nas od pensjonatów, gdzie wychowuje się tyle przyszłych nieszczęść, skąd wychodzą dziewczęta niezdolne do ocenienia trudów i poświęceń będących źródłem dobrobytu zacnego człowieka, którego żoną miały zaszczyt zostać, młode panny rwące się niecierpliwie do zbytku i użycia, nieświadome naszych praw, nie znające naszych obyczajów, chwytające skwapliwie władzę, jaką im daje piękność, i głuche na prawdziwy głos duszy, którym zawsze gotowe są wzgardzić dla szmerów czczego pochlebstwa.

Jeśli to rozmyślanie potrafi w sercach czytelników, nawet tych, którzy wzięli tę książkę do ręki jedynie przypadkowo lub dla zabicia czasu, zaszczerpie głębokie uprzedzenie do pań wychowanych na pensji, dobro publiczne odniesie przez to niemałą korzyść.

## ROZMYŚLANIE SIÓDME

### *O miodowym miesiącu*

O ile pierwsze rozmyślania udowodniły, iż jest prawie niepodobieństwem, aby zameżna kobieta we Francji pozostała cnotliwą, o tyle znów szczegółowe wykazy bezżennych i predestynowanych, uwagi o wychowaniu panien i pobieżny przegląd trudności związanych z wyborem żony wytłumaczyły do pewnego stopnia tę kruchość narodowej cnoty. Zatem, odsłoniwszy śmiało tajemną chorobę, która podminowuje ustrój społeczny, staraliśmy się doszukać jej przyczyn w niedoskonałości praw, niekonsekwencji obyczajów, tępotcie głów, sprzeczności usposobień. Jedno pozostało jeszcze: wysledzić pierwsze zawiązki złego.

Aby dotrzeć do źródła, wypadnie zastanowić się nad niezmiernie ważnymi kwestiami, kryjącymi się w miodowym miesiącu; to będzie dla nas punkt wyjścia zjawisk małżeńskiego pożycia, a zarazem jakby błyszczący łańcuch, na który będziemy nizać spostrzeżenia, problemy, pewniki, niby pierścienie rozrzucone świadomie wśród płochej mądrości naszych nieco gadatliwych rozmyślań. Miodowy miesiąc będzie niejako szczytowym punktem tej analizy, którą musimy doprowadzić do końca, nim postawimy na placu parę uzbrojonych szermierzy.

Wyrażenie „miodowy miesiąc” jest pochodzenia angielskiego, niewątpliwie jednak przejdzie ono do wszystkich języków, tak uroczo oddaje tę małżeńską porę roku, tak przelotną niestety, podczas której życie jest samą słodyczą i upojeniem. Słowo to będzie trwać wiecznie, jak wiecznie trwać będą złudzenia i omyłki, gdyż jest ono najohydniejszym kłamstwem. Jeśli miesiąc miodowy zjawia się w postaci nimfy strojnej w wieniec świeżego kwiecia, pieszczotliwej jak syrena, to dlatego, iż jest on wcieleniem nieszczęścia, a nieszczęście nadciąga najczęściej wśród pustoty i igraszek.

Małżonkowie, którym przeznaczono jest kochać się całe życie, nie znają miodowego miesiąca; dla nich nie istnieje on wcale, a raczej istnieje ciągle: podobni są Nieśmiertelnym, którzy nie pojmowali śmierci. Ale takie szczęście przekracza zakres niniejszej książki; zatem dla naszych czytelników małżeństwo stoi pod znakiem dwóch księżyców: miesiąca miodowego oraz zmiennego, kapryśnego miesiąca kwietniowego. Ostatni kończy się rewolucją, zmieniającą go w wążutki półksiężyc; ten zaś, skoro raz zaświeci nad małżeństwem, to już na całą wieczność.

W jaki sposób miodowy miesiąc może przyświecać dwojgu ludziom, którzy nie mają się kochać wzajem?

W jaki sposób zachodzi – pojawiwszy się raz na widnokręgu?...

Czy wszystkie małżeństwa mają miodowy miesiąc?

Przystąpmy po porządku do odpowiedzi.

Zachwycający system wychowania panien i mądre zwyczaje, którymi kierują się mężczyźni gotując się do małżeństwa, wydadzą tutaj pełne owoce. Rozważmy najpierw okoliczności, które poprzedzają i które towarzyszą najmniej nieszczęśliwym związkom.

Obyczaje nasze rozwijają u młodej dziewczyny, która ma zostać twoją żoną, ciekawość, z natury rzeczy bardzo silną; a że matki we Francji mają w dodatku szczególną ambicję, aby ich córki co dzień stykały się z ogniem, a jednak się nie poparzyły, ciekawość ich dochodzi do bezgranicznych rozmiarów.

Głęboka nieświadomość tajników małżeństwa zamyka oczy tej młodej istoty, równie naiwnej jak przebiegłej, na niebezpieczeństwa, jakie z nim są związane. Przedstawiano jej nieustannie małżeństwo jako epokę tyranii i wolności, królowania i użycia; stąd pragnienia jej potęgują się o wszystkie interesy życiowe, których zaspokojenia oczekuje: dla niej wyjść za mąż znaczy z nicości być powołaną do życia.

Jeśli ma w sobie poczucie i pragnienie szczęścia, religia, moralność, prawo, a wreszcie matka powtarzają jej tysiąc razy, iż szczęścia tego spodziewać się może tylko od ciebie.

Toteż będzie ci posłuszna, jeśli nie z cnoty, to z konieczności, gdyż od ciebie wszystkiego oczekuje. Już społeczeństwo uświęca niewolnictwo kobiety, ale i ona sama nie czuje potrzeby wyzwolenia, tak czuje się słabą, bojaźliwą i nieświadomą.

O ile nie wchodzi w grę omyłka, wypływająca z przypadku, lub odraza, której nie odgadnąć zawczasu byłoby błędem nie do przebaczenia, żona będzie ci się starała podobać: wszak jesteś dla niej czymś nieznanym.

Wreszcie – jak gdyby wszystko się składało, aby ułatwić ci triumf – bierzesz ją w chwili, gdy sama natura domaga się, niekiedy bardzo energicznie, wzruszeń, których ty możesz jej dostarczyć. Jak święty Piotr, ty dzierzysz klucz od rajów.

Pytam każdego rozsądnego człowieka: gdyby szatan poprzysiągł sobie doprowadzić anioła do upadku, czy potrafiłby z większym wyrafinowaniem otoczyć go tyloma zasadzkami, ile ich nagromadziła nasza obyczajność, aby podkopać szczęście młodego małżonka?... Czyż nie jesteś, niby król jaki, otoczony tłumem pochlebców?

Młoda dziewczyna z całą swą nieświadomością i budzącymi się pragnieniami dostaje się w ręce mężczyzny, który, choć szczerze zakochany, nie może i nie powinien znać tajników jej delikatnej istoty: czyż w takim położeniu nie okaże ona haniebnej bierności, posłuszeństwa i uległości przez cały czas, w ciągu którego jej młoda wyobraźnia z dnia na dzień oczekiwać będzie rozkoszy i szczęścia aż do owego jutra, które nigdy nie ma się zjawić?

W tej dziwacznej sytuacji, wynikłej ze sprzeczności praw społecznych z prawami natury, młoda dziewczyna poddaje się, ulega i cierpi w milczeniu – we własnym interesie. Jej posłuszeństwo kryje w sobie wyrachowanie; uległość – nadzieję; jej poddanie się jest jakby poczuciem posłannictwa kobiety, które ty wyzyskujesz; milczenie jest wspaniałomyślnością. Będzie ofiarą twych zachceń póty, póki ich nie zrozumie; będzie znosiła twój charakter, póki go nie przeniknie; wyda ci się na łup bez miłości, bo wierzy w ten pozór namiętności, w który cię stroi pierwsza chwila posiadania; ale przestanie milczeć w dniu, w którym pozna daremność swego poświęcenia.

Wówczas pewnego ranka nadejdzie chwila, że wszystkie niedorzeczności, pod których hasłem zawarto ten związek, podniosą się, niby gałęzie drzewa, skoro usunie się ciężar przyniatający je ku ziemi. Wziąłeś za miłość bierne poddanie młodej dziewczyny, która oczekiwała szczęścia, która starała się uprzedzić każde twoje pragnienie, w nadziei, że i ty jej życzenia będziesz umiał odgadnąć, i która nie śmiała się skarżyć na swe tajemne niedole, sama sobie zrazu przypisując ich winę. Któryż mężczyzna nie dałby się uwieść oszukaństwu, przygotowanemu tak starannie, w którym młoda kobieta jest niewinną współniczką i ofiarą zarazem? Musiałbyś chyba być Bogiem, aby oprzeć się omamieniom, jakimi otoczyły cię natura i społeczeństwo. Czyż nie wszystko jest tu zasadzką, naokoło ciebie i w tobie? Gdyż, aby osiągnąć szczęście, czyż nie powinienes się być bronić gwałtownym pragnieniom własnych zmy-

słów? Aby je pohamować, gdzie jest owa potężna zaporą, którą umie utrzymać drobna rączka kobiety – kobiety, której mężczyzna chce się podobać, gdyż jeszcze jej nie posiada?... To też wojska twoje paradowały i defilowały wówczas, gdy nikogo nie było w oknie; spaliłeś swoje fajerwerki przed pustymi ławkami, aż wreszcie, w chwili gdy zjawił się gość, aby je podziwiać, zostały ci w ręku tylko zwęglone pakuły. Twoja żona była wśród rozkoszy małżeńskich jak Mohikanin na przedstawieniu opery: nauczyciel znużył się już, gdy dziki zaczął dopiero pojmować.

## LVI

W małżeństwie chwila, w której dwa serca mogą się zrozumieć, trwa tak krótko jak błyskawica i, skoro raz uleci, nie wraca już nigdy.

Ta pierwsza próba pożycia, w ciągu której kobieta czerpie odwagę w nadziei szczęścia, w świeżym jeszcze poczuciu obowiązków, chęci podobania się, w głosie cnoty, tak przekonywającym, póki obowiązki zgodne są jeszcze z głosem uczucia – ten okres nazywa się miodowym miesiącem. Jakżeby mógł trwać długo między dwojgiem istot, które łączą się na całe życie, znając się tak mało? Jeżeli czemu dziwić się należy, to chyba temu, że ten stek oplakanych nedorzeczości, nagromadzonych przez nasze obyczaje wkoło sypialni małżeńskiej, tak mało stosunkowo rodzi nienawiści!...

Że egzystencja rozsądnego człowieka podobna jest spokojnemu strumieniowi, gdy życie rozrzutnika jest jak rwący potok; że dziecko, które niebaczną ręką oskubie wszystkie róże na przydrożnych krzakach, znajdzie w powrotnej drodze same ciernie; że człowiek, którego szaleństwa młodości pochłonęły milion kapitału, nie będzie mógł przez resztę życia korzystać z czterdziestu tysięcy rocznej renty, którą mu ten milion miał zapewnić – wszystko to są prawdy aż nazbyt pospolite w świecie zjawisk moralnych, a jednak zawsze nowe, skoro się patrzy na postępowanie większości ludzi. Oto żywy obraz wszystkich miodowych miesięcy; oto ich historia; nie objaśnienie przyczyn, lecz stwierdzenie zjawiska.

Żeby jednak ludzie, którzy starannemu wychowaniu zawdzięczają pewne wyrobienie, ludzie zdolni do głębokich kombinacji, gdy chodzi o zdobycie stanowiska w polityce, literaturze, sztuce, przemyśle lub życiu towarzyskim, wstępowali wszyscy w małżeństwo z zamiarem znalezienia w nim szczęścia, panowania nad kobietą za pomocą siły czy miłości i następnie wpadali wszyscy w tę samą pułapkę, schodzili do rzędu głupców po pewnym czasie względnego szczęścia – w tym mieści się z pewnością problem, którego rozwiązanie tkwi raczej w przepaścistych głębiach duszy niżli w tych fizycznych niejako prawdach, za pomocą których próbowaliśmy rozświetlić niektóre z tych zjawisk. Najeżone trudnościami dociekanie tych tajemnych praw, których pogwałcenie w danych okolicznościach jest dla mężczyzny prawie nieuniknione, przedstawia dla autora dość chlubne zadanie, nawet gdyby się miało skończyć niepowodzeniem. Spróbujmy się o nie pokusić.

Mimo wszystko, co plotą głupcy o trudnościach wytłumaczenia uczucia miłości, ma ona zasady równie niewzruszone jak prawidła geometryczne, ponieważ jednak każdy charakter nadaje im odmienny wyraz, przypisujemy przeto samej istocie miłości owe niezliczone odcięcia, wytworzone przez różnice usposobień. Gdybyśmy mogli widzieć jedynie zjawiska światła, tak zmienne i różnorodne, nie znając równocześnie ich źródła, wiele umysłów nie chciałoby z pewnością uwierzyć w jedność słońca i stałość jego obrotów. Niechże więc ślepi rozprawiają do woli: ja, podobny w tym Sokratesowi, chociaż nierówny mu mądrością, chlubię się jak on, iż znam jedynie Miłość. Spróbuję tedy określić niektóre jej zasady, aby ludziom żonatym lub mającym się żenić oszczędzić zużywania mózgu, którego i tak nie mają za wiele.



Wszystkie poprzednie spostrzeżenia streszczają się w jednym pewniku, pierwszej lub, jeśli kto woli, ostatecznej zasadzie owej tajemniczej teorii miłości, której wykład, z obawy znużenia czytelników, staramy się szybko ukończyć. Zasada ta mieści się w następującej formule:

## LVII

Między dwiema istotami zdolnymi do miłości trwałość uczucia jest w prostym stosunku do pierwotnego oporu kobiety lub do przeszkód, jakie okoliczności lub warunki społeczne stawiały waszemu szczęściu.

Jeśli kobieta każe ci się zdobywać tylko jeden dzień, miłość twoja nie przetrwa może trzech nocy. W czym leżą przyczyny tego prawa? Nie wiem. Jeśli rzucimy okiem dokoła, spotykamy mnóstwo dowodów na poparcie tej zasady. W ustroju roślinnym najwolniej wra-  
stają te rośliny, którym przeznaczone jest najdłuższe trwanie; w świecie moralnym dzieła urodzone wczoraj giną nazajutrz; w ustroju fizycznym łono, które naruszy prawa okresu brzemienności, wydaje płód nieżywy. W każdej rzeczy to, co ma być trwałe, musi być powoli wyhodowane przez czas. Długa przyszłość wymaga długiej przeszłości. Jeśli miłość jest dzieckiem, przywiązanie jest dojrzałym człowiekiem. I właśnie to żelazne prawo, które rządzi przyrodą, ludźmi i uczuciami, naruszają, jak wykazaliśmy poprzednio, wszystkie małżeństwa. Ta zasada stała się źródłem legendy miłosnej średniowiecza: Amadis, Lancelot, Tristan, owi bohaterowie dawnych baśni, których stałość w miłości słusznie wydaje się bajeczną, to alegoria tej rodzimej mitologii, zduszonej w samym zaraniu przez naśladownictwo literatury greckiej. Owe wdzięczne postacie, stworzone czarem wyobraźni naszych truverów, uświęcają tę odwieczną prawdę.

## LVIII

Trwałość przywiązania do jakiegokolwiek rzeczy zależy od włożonych w nią starań, trudów lub pragnień.

Wszystkie przyczyny tego zasadniczego prawa miłości, ujawnione nam przez poprzednie rozmyślenia, streszczają się w następującym zdaniu, które jest zarazem tego prawa zasadą i wynikiem:

## LIX

W każdej rzeczy otrzymuje się jedynie w stosunku do tego, ile się daje.

Ta ostatnia zasada jest sama przez się tak jasna, iż nie będziemy nawet próbowali jej dowodzić. Dołączymy do niej tylko jedno spostrzeżenie, które nam się wydaje nie pozbawione wagi. Ten, który powiedział: „Wszystko jest prawdą i wszystko fałszem”, stwierdził fakt, który umysł ludzki, skłonny do sofistyki, wyklada na swój sposób, gdyż zdaje się istotnie, iż sprawy ludzkie przedstawiają tyle rozmaitych powierzchni, ile jest spoglądających na nie umysłów. Oto ów fakt:

W całym dziele stworzenia nie istnieje prawo, które by nie było zrównoważone prawem przeciwnym: istota życia wyraża się w równowadze dwóch sprzecznych sił. Zatem i w przedmiocie, który nas tu zajmuje, w miłości, pewną jest rzeczą, że jeśli dajesz zbyt wiele, otrzymasz w zamian mało. Matka, która daje uczuć dzieciom całą swą miłość, rodzi w nich niewdzięczność; być może, niewdzięczność wypływa właśnie z niemożności wypłacenia się. Kobieta, która bardziej kocha, niż jest kochaną, musi stać się ofiarą tyranii mężczyzny.

Trwałą jest ta miłość, która wciąż utrzymuje w równowadze siły dwojga istot. Równowaga ta zawsze może się wytworzyć, jeśli istota, która kocha więcej, porusza się będzie w sferze drugiej istoty, która kocha mniej. I ostatecznie czyż to nie jest najśłodsze poświęcenie, na jakie może się zdobyć kochające serce, jeżeli tylko przy tej nierówności uda się ocalić miłość?

Jakież uczucie podziwu budzi się w duszy filozofa, gdy ów dochodzi do poznania, że w świecie całym istnieje jedna może tylko zasada, jak istnieje jeden Bóg, i że myśli i uczucia nasze podlegają tym samym prawom, na mocy których poruszają się słońca, rozwijają się kwiaty i żyje świat cały!...

Być może, iż w tej metafizyce miłości należy szukać dowodów następującego twierdzenia, które rzuca żywe światło na kwestię miesiąca miodowego i owego zwiastującego burze miesiąca, który po nim następuje:

### TWIERDZENIE

Człowiek może iść od niechęci do miłości; ale skoro zaczął od miłości, a doszedł do niechęci, nie powraca już do miłości nigdy.

U niektórych jednostek uczucia mogą być niepełne, jak myśl u ludzi z jałową wyobraźnią. Tak jak istnieją umysły obdarzone łatwością chwytania związków między zjawiskami bez wyprowadzenia z nich wniosków, posiadające zdolność spostrzegania każdego stosunku oddzielnie, bez umiejętności łączenia ich z sobą, lub też zdolność patrzenia, porównywania i wyrażania, tak samo może się zdarzyć dusza odpowiadająca na uczucia w sposób niedoskonały. Talent, w miłości jak w każdej innej sztuce, polega na połączeniu siły twórczej ze zdolnością wykonawczą. Pełno jest ludzi, którzy nuca fałszywie aryjki, żyją ćwiartkami myśli i ćwiartkami uczuć i którzy równie nie umieją kojarzyć odruchów serca jak mózgu. Jednym słowem, ludzie niezupełni. Połączcie bogatą inteligencję z takim nieudanym tworem natury, a wyniknie pewne nieszczęście, bo równowaga musi być we wszystkim.

Zostawmy buduarowym filozofom i kawiarnianym mędrcom przyjemność dociekania, w jakie tysiączne sposoby różnice umysłów, temperamentów, pozycji i majątku doprowadzają do zburzenia tej równowagi; my przystępujemy do rozważenia ostatniej przyczyny, która wpływa na zachodzenie miesiąca miodowego, a pojawienie się miesiąca słoty i burz.

Istnieje w życiu zasada potężniejsza niż życie samo, mianowicie ruch, który energię swą czerpie w nie znanym nam źródle. Człowiek nie zdaje sobie sprawy z tego ustawicznego obrotu, jak ziemia nie zna tajemnicy swego krążenia. To nieznanne c o ś, co można by określić jako p ę d z y c i a, unosi nasze najdroższe myśli, zużywa wolę większości ludzi i porywa nas wszystkich bez naszej wiedzy.

Tak na przykład zdarza się, iż człowiek najrozsądniejszy w świecie, który nie zaniedbuje nawet płacić weksli, o ile jest kupcem, mógłby uniknąć śmierci lub straszliwszej może jeszcze rzeczy, choroby, zachowując jakieś drobne, ale codzienne przepisy; i oto pewnego pięknego poranku zabito go w cztery deseczki, jakkolwiek co wieczór powtarzał sobie: „Och, jutro już nie zapomnę o moich pastylkach!” Jak wytłumaczyć to dziwne urzeczenie, silniejsze od wszystkich interesów życiowych? Brakiem energii? Ależ ludzie obdarzeni najsilniejszą wolą nie umieją mu się oprzeć. Brakiem pamięci? Ludzie posiadający ją w najwyższym stopniu padają ofiarą tej ułomności.

Ten fakt, który każdy miał sposobność spostrzec u sąsiada, jest jedną z przyczyn sprowadzających dla większości mężów przedwczesny koniec miodowego miesiąca. Najrozumniejszy mężczyzna, który zdołał ominąć wszystkie opisane poprzednio rafy i mielizny, nie uniknie nieraz zasadzki, jaką mimo woli przygotował sam sobie.

Zauważyłem, iż mężczyźni postępują z małżeństwem i jego niebezpieczeństwami podobnie jak z peruką, i kto wie, czy następujące fazy myśli na temat peruki nie stanowią wprost formułki życia ludzkiego.

*Pierwszy okres:* Ciekawym, czy też ja zacznę kiedy siwieć?

*Drugi okres:* W każdym razie, gdybym nawet nieco posiwiiał, nie będę nigdy nosił peruki; Boże, cóż za wstrętna rzecz peruka!

Pewnego poranku zabrzmi nad twoją głową młodociany głosik, który tak często słyszałeś drgający lub, mniej już często, zdławiony miłością:

– O! masz siwy włos!...

*Trzeci okres:* Czemużby zresztą nie spróbować zgrabnej peruczki, której by nikt się nie domyślił? Jest pewna przyjemność w takim wyprowadzeniu wszystkich w pole; przy tym peruka trzyma głowę ciepło, chroni od reumatyzmów, itd.

*Czwarty okres:* Peruka leży jak ułóż, tak że łapią się na nią wszyscy, którzy cię nie znają.

Zajmujesz się nią bezustannie, miłość własna zmienia cię każdego ranka w najbiegłego z fryzjerów.

*Piąty okres:* Peruka w zaniedbaniu. – Boże, cóż za nudziarstwo zdejmować ją co wieczór i co rano na nowo trefić i układać!

*Szósty okres:* Peruka odsłania kilka siwych włosów, przekrzywia się na głowie, a bystre oko dostrzega nad karkiem białą linię, tworzącą kontrast z ciemniejszą barwą peruki, podwiniętej przez kołnierz surduta.

*Siódmy okres:* Peruka podobna jest do wiechcia, a ty, z przeproszeniem, gwizdziesz na swoją perukę!...

– Mój drogi panie – rzekła do mnie jedna z najtęższych inteligencji kobiecych, której łasce zawdzięczam rozjaśnienie niektórych trudnych ustępów książki – co pan właściwie rozumie pod tą peruką?

– Łaskawa pani – odparłem – skoro mężczyzna zobojętnieje na swoją perukę, wówczas jest... wówczas staje się... tym, czym mąż pani prawdopodobnie nie jest.

– Czym mój mąż nie jest... (zastanowiła się). Nie jest... miły; nie jest... bardzo wytrzymały; nie jest... zawsze równego usposobienia; nie jest...

– Zatem, o ile wolno mi się domyślać, mąż pani musi być już obojętny w kwestii peruki.

Spojrzelśmy sobie w oczy, ona z niezłe odegraną godnością, ja z niedostrzegalnym uśmiechem.

– Widzę – rzekłem – że uszy płci pięknej trzeba otaczać szczególnymi względami, gdyż jest to jedyna rzecz wstydliva, jaką kobieta posiada.

Przybrałem postawę człowieka, który ma coś niezmiernie ważnego do powiedzenia, a piękna pani spuściła oczy, jak gdyby przeczuwając, iż wypadnie jej niejeden raz zarumienić się podczas mej przemowy.

– Szanowna pani, czasy się zmieniły; już dziś za lada głupstwo nie wieszają ministra: dziś Chateaubriand nie wydałby z pewnością na tortury Franciszki de Foix i nikt z nas nie nosi przy boku długiego miecza, gotowego w każdej chwili krwią zmazać zniewagę. Otóż w wieku, w którym cywilizacja uczyniła tak szybkie postępy, w którym można osiąść jakąkolwiek umiejętność w dwudziestu czterech lekcjach, wszystko musiało ulec temu parciu do doskonałości. Nie możemy zatem posługiwać się dzisiaj męskim, jędrnym i szorstkim językiem przodków. Wiek, w którym wyrabiają tak cienkie i delikatne tkaniny, tak wytworne meble, tak bogatą porcelanę, musiał się stać wiekiem omówień i przenośni. Trzeba zatem koniecznie ukuć jakieś nowe słowo w miejsce owego komicznego wyrażenia<sup>36</sup>, którym posługiwał się Moliere: albowiem, jak się wyraził pewien współczesny autor, język tego wielkiego pisarza jest zbyt swobodny dla naszych dam, dla których gaza wydaje się zbyt gęstym materiałem na

---

<sup>36</sup> C o c u (fr.) – rogacz.

suknie. Dziś ludzie wielkiego świata znają niegorzej od zawodowych uczonych zamięłowanie, jakie mieli Grecy do misteriów. Ten naród pełen poezji umiał swoim podaniom nadać przedziwny bajeczny koloryt. W pieśniach ich rapsodów, tych poetów i powieściopisarzy zarazem, królowie zamieniali się w bogów, a ich przygody miłosne przybierały szatę nieśmiertelnych alegorii. Według wielce uczonego pana Chompré, klasycznego autora „Słownika mitologicznego”, labirynt była to „zamknięta przestrzeń obsadzona laskiem i ozdobiona budynkami, rozmieszczonymi w ten sposób, iż skoro młodzieniec raz się tam dostał, nie mógł odnaleźć drogi do wyjścia”. Tu i owdzie widać było kwitnące krzewy, ale porozrzucane wśród mnóstwa alei, krzyżujących się we wszystkich kierunkach, a zawsze przedstawiających się oku jako jedna droga; tam, wśród cierniów, skał i głogów, nieszczęśliwa ofiara musiała pokonać zwierzę, zwane Minotaurem. Otóż jeśli pani raczy sobie przypomnieć, że Minotaur ów był, jak uczy mitologia, najgroźniejszym ze wszystkich zwierząt noszących rogi, że aby zabezpieczyć się przed jego spustoszeniami, Ateńczycy zobowiązali się, rodzajem abonamentu, dostarczać mu rokrocznie po pięćdziesiąt dziewic, wówczas, pamiętając o tym, nie popadniemy w omyłkę poczciwego pana Chompré, który widzi w labiryncie tylko rodzaj angielskiego parku, ale odnajdziemy w tym mądrym podaniu przejrzystą alegorię lub, powiedzmy po prostu, wierny a straszny obraz niebezpieczeństw małżeństwa. Świeżo odkryte w Herkulanum malowidła potwierdzają ten pogląd. W istocie, uczeni mniemali długo, na wiarę kilku autorów, że Minotaur było to zwierzę o postaci pół człowieka, a pół byka; ale piąta rycina wydawnictwa dawnych malowideł z Herkulanum przedstawia nam tego alegorycznego potwora z całkowitym ciałem mężczyzny, a jedynie głową byka; by jeszcze usunąć wszelki cień wątpliwości, że mamy przed sobą Minotaura, leży on powalony u stóp Tezeusza. Zatem, łaskawa pani, czemużbyśmy nie mieli wezwać mitologii, aby przyszła w pomoc Obludzie, która nas dławi i nie pozwala nam śmiać się, jak się śmiali nasi ojcowie? Tak na przykład, gdy zdarzy się w świecie, iż młoda dama nie umiała dość starannie owinać się zasłoną, pod którą przyzwoita kobieta ukrywa swoje życie, wówczas tam, gdzie nasi przodkowie wyraziliby rzecz prosto z mostu w jednym słowie, pani, a z panią cały tłum dam równie pięknych jak dyskretnych, zadowala się powiedzeniem: „Ach tak, to bardzo miła osoba, ale... – Ale co?... – Ale często zdarza się jej zrobić f a ł s z y w y k r o k...”. Długo zastanawiałem się nad znaczeniem tego słowa, a szczególnie nad obrazem retorycznym, który nadaje mu znaczenia wprost przeciwne niż to, które istotnie posiada; ale dociekania moje były bezskuteczne. Czyżby Vert–Vert<sup>37</sup> był ostatnim, który nie wahał się użyć wyrażenia naszych przodków? A i on zwrócił je, na nieszczęście, do niewinnych zakonnic, których zdrady nie naruszały w niczym męskiego honoru. Moim zdaniem, skoro kobieta popełnia fałszywy krok, wówczas jej mąż jest z m i n–o t a u r y z o w a n y. Jeśli przy tym jest dzielnym człowiekiem, jeśli cieszy się pewną sympatią i szacunkiem (a wielu mężów zasługuje w istocie na współczucie), wówczas mówiąc o nim dodaje pani słodkim, pieszczonym głosikiem: „Pan A. to bardzo zacny człowiek, ma bardzo ładną żonę, ale mówią, że nie jest szczęśliwy w pożyciu”. Zatem, łaskawa pani, ów zacny człowiek, który nie jest szczęśliwy w pożyciu, człowiek, którego żona popełnia fałszywy krok, lub też mąż zminotauryzowany – wszystko to oznacza po prostu owego męża nazwanego po imieniu przez Moliera. Powiedz zatem, o pani, bogini współczesnego smaku, czy te wyrażenia wydają się pani dość wstydliwie przezroczyście?

– Och, Boże – odparła z uśmiechem – jeśli rzecz zostaje, cóż znaczy, czy się ją wyrazi w dwóch czy w stu zgłoskach!

Pożegnała mnie lekkim, ironicznym ukłonem, spiesząc zapewne, aby odszukać figurujące w przedmowie hrabiny i wszystkie owe urojone istoty, którymi tak chętnie posługują się powieściopisarze w odnalezionych lub zgoła wymyślonych starych rękopisach.

---

<sup>37</sup> Vert–Vert – aluzja do żartobliwego poematu Louis Gresseta (1709–1779) pod tym tytułem.

Ja zaś do was się zwracam, mniej liczne, ale za to realniejsze jednostki, które czytacie tę książkę. Jeśli wśród was znajdują się mężowie, którzy sprawą mego zapaśnika przejęli się jak własną, ostrzegam ich, iż nie od razu staje się mężczyzna „nieszczęśliwy w pożyciu”. Do tej temperatury małżeńskiej dochodzi się stopniowo i nieznacznie. Znam wielu mężów, którzy przez całe życie „nie byli szczęśliwi w pożyciu”, sami o tym nie wiedząc. Ten przewrót domowy odbywa się zawsze według pewnych prawideł; odmiany miesiąca miodowego są tak stałe jak fazy księżyca na niebie i obowiązują dla każdego małżeństwa. Czyż nie udowodniliśmy przed chwilą, iż świat zjawisk moralnych ma swoje niezmiennie prawa, tak samo jak świat fizyczny?

Twoja młoda żona nie zdecyduje się, jak już wspominaliśmy poprzednio, na kochanka bez długiego i poważnego zastanowienia. W chwili gdy wasz miesiąc miodowy poczyna zachodzić, raczej zdołałeś rozwinąć w niej instynkt rozkoszy niż go zaspokoić; otworzyłeś przed nią księgę życia: dzięki tobie i twej prozaicznej miłości przeczuwa ona doskonale poezję, jaka wypływać musi z idealnej harmonii dusz i zmysłów. Jak lękliwe ptaszę, przestraszone jeszcze hukami strzelaniny, która właśnie ustała, wysuwa główkę z gniazdka, rozgląda się dokoła, poznaje świat. Znając już rozwiązanie szarady, którą zagrałeś przed nią, czuje instynktownie pustkę twej słabnącej namiętności. Zgaduje, że już tylko w objęciach kochanka będzie mogła odnaleźć rozkosz miłości, płynącej z własnej i wolnej woli.

Osuszyłeś zielone drzewo na ogień, który rozpałił kto inny.

W położeniu, w jakim znajdujecie się w tej chwili oboje, nie ma kobiety, nawet najcnotliwszej, która by nie uważała się za godną jakiejś wielkiej namiętności, która by nie śniła o niej i nie miała sama o sobie mniemania, iż jest nad wyraz namiętna; miłość własna zawsze skłonna jest przeceniać siły zwyciężonego nieprzyjaciela.

– Gdybyż zawód uczciwej kobiety był tylko niebezpieczny, niechby już tam!... – mówiła raz do mnie pewna starsza dama. – Ale to jest przy tym nudne! Co do mnie, nie zdarzyło mi się spotkać kobiety cnotliwej, która by kiedyś nie doszła do przekonania, że była bardzo naiwna.

W tym stanie rzeczy – nim jeszcze nawet kochanek pojawi się na horyzoncie – kobieta rozważa niejako jego legalność; toczy się w niej walka, w której z jednej strony stają obowiązki, prawo, religia, z drugiej tajemne pożądania natury, nie uznające innych więzów prócz tych, które sama sobie nałoży. Teraz zaczyna się dla ciebie zupełnie nowy porządek; w nim mieści się jakby pierwsze ostrzeżenie, które natura, ta matka pobłażliwa i pełna dobroci, daje wszystkim istotom zbliżającym się ku niebezpieczeństwu. Natura umocowała na szyi Minotaura dzwoneczek, podobnie jak na ogonie owego straszliwego węża, będącego zmorą podróźników. Wówczas będziesz mógł zauważyć w żonie to, co nazwiemy p i e r w s z y m i s y m p t o m a m i, i biada mężowi, który nie potrafi ich zwalczyć! Ci, którzy czytając tę książkę przypomną sobie, iż niegdyś podobne symptomy pojawiły się w ich ognisku, mogą od razu przejść do zakończenia tej książki: znajdą tam słowa pociechy.

To położenie, w którym każde małżeństwo pozostaje przez dłuższy lub krótszy okres, będzie punktem wyjścia naszego dzieła, a zarazem zakończeniem tych ogólnych uwag. Rozumny człowiek powinien sam umieć odgadnąć owe tajemne wskazówki, niedostrzegalne oznaki i mimowolne wyznania, jakie zdradza wówczas zachowanie żony; następne bowiem rozmyślanie zdoła nakreślić zaledwo najgrubsze rysy tych niebezpiecznych objawów, na użytek początkujących adeptów szczytnej umiejętności małżeństwa.

## ROZMYŚLANIE ÓSME

### *Pierwsze oznaki*

Podczas kiedy żona przebywa ową kryzys, w której zostawiliśmy ją przed chwilą, ty kołyszysz się słodkim uczuciem spokoju i bezpieczeństwa. Słońce ukazało ci tyle razy pogodne oblicze, iż zaczynasz wierzyć, że może ono świecić dla całego świata. Powoli przestajesz zwracać na najmniejsze czynności żony tę wyteżoną uwagę, jaką zrazu podsycił w tobie pierwszy ogień namiętności.

To uczucie nie dozwala wielu mężom dostrzec nieomylnych oznak, które w usposobieniu żon zwiastują zbliżanie się pierwszej burzy; toteż stan ten rzucił w szpony Minotaura więcej mężów niż wszystkie sposobności, dorożki, kanapki i kawalerskie mieszkanie. Ta obojętność na niebezpieczeństwo ma źródło i do pewnego stopnia usprawiedliwienie w pozornym spokoju, jaki panuje dokoła. Tymczasem spisek, uknuty przeciw tobie przez nasz milion bezżennych i wygłodzonych osobników, posuwa się wciąż naprzód, jak gdyby kierowany jedną myślą. Chociaż wszystkie te gagatki są nawzajem swymi wrogami i chociaż nie wiedzą o swym istnieniu, jakiś instynkt daje im hasło solidarnego działania.

Skoro dwoje osób się pobiera, wówczas siepacze Minotaura, młodzi i starzy, mają zazwyczaj tę uprzejmość, aby młodych małżonków zostawić w zupełności samym sobie. Spoglądają oni na męża jak na wyrobnika, którego zadaniem jest obrobić z grubsza, oszlifować, ująć w formę i oprawić ten diament, który później przechodzić będzie z ręki do ręki, aby wreszcie zabłysnąć w słońcu powszechnego zachwytu. Toteż widok młodej pary bardzo w sobie zakochanej budzi zawsze radość wytrawnych wyjadaczy kawalerskiego chleba; w głowie im nie postanie przeszkadzać komuś w tej pracy, która ma wyjść na korzyść społeczeństwa. Wiedzą również, iż gwałtowny deszcz pada zazwyczaj krótko, i trzymają się wówczas na uboczu, jakby w zasadzce, śledząc z niesłychaną przebiegłością moment, w którym młodzi oblubieńcy zaczną sobie przykrzyć rozkosze siódmego nieba.

Przenikliwość, z jaką kawalerowie wyczuwają chwilę, w której północny wiatr zaczyna studzić małżeńskie zapaly, da się porównać jedynie z zaślepieniem, jakie opanowuje mężów właśnie w chwili, gdy wschodzi dla nich na firmament wrogi miesiąc kwietniowy. Istnieje pewien stan dojrzałości dla pokus miłosnych, który trzeba umieć odczekać. Ten jest wielkim człowiekiem, kto posiada sztukę ocenienia i wyzyskania okoliczności. Owi pięćdziesięciodwuletni kawalerowie, których przedstawiliśmy jako tak niebezpiecznych, rozumieją na przykład doskonale, że ten sam mężczyzna, którego miłość kobieta w danej chwili wyniosła

odtrąca, byłby przyjęty z otwartymi ramionami, gdyby się zjawił w trzy miesiące później. Ale i to trzeba przyznać, że zazwyczaj małżonkowie zdradzają oziębłość z tą samą naiwnością, z jaką popisują się swymi zapałami.

W czasie kiedy przebiegałeś ze swoją panią czarujące krajobrazy siódmego nieba, w których, zależnie od usposobień (patrz poprzednie rozmyślanie), przebywa się czas dłuższy lub krótszy, nie pojawialiście się w towarzystwie wcale albo bardzo mało. Szczęśliwi w swoim gniazdku, jeśli opuszczaliście je na chwilę, to tylko po to, aby na wzór pary kochanków wymknąć się gdzieś na kolacyjkę, do teatru, na wieś itd. Z chwilą, z którą wracacie, razem lub oddzielnie, na łono towarzyskiego życia, gdy zaczynacie pilnie odwiedzać bale, zabawy i wszystkie owe czcze uciechy wymyślone na to, aby oszukać pustkę serca – jasną jest rzeczą dla każdego interesowanego, iż żona twoja szuka rozrywki, że zatem dom i małżeństwo zaczynają ją nudzić.

Tu chytry kawaler wie, że zrobiono już pół drogi. Znajdujesz się w tym punkcie, iż lada moment możesz wpaść w szpony Minotaura, a żona twoja zbliża się do fałszywego kroku: to znaczy, że przeciwnie, raczej bardzo pewnym krokiem będzie szła do celu, że odtąd całe jej postępowanie będzie oparte na zdumiewająco głębokich obliczeniach, o których ty mieć nie będziesz najmniejszego pojęcia. Od tej chwili żona twoja nie uchybi zewnętrznie żadnemu ze swych obowiązków i będzie dbała tym więcej o pozór cnoty, im mniej będzie jej czuła w głębi serca. Niestety! powiada Crebillon:

Trzebaż dziedziczyć po tych, których się morduje!

Nigdy nie ujrzysz jej równie dbałą o to, aby ci się przypodobać. Za tę szczerbę, jaką potajemnie zamyśla zrobić w twoim szczęściu małżeńskim, będzie się starała wynagrodzić cię za pomocą drobnych szczęśliwości, które utwierdzają w tobie wiarę w wieczystą trwałość jej uczuć; stąd przysłowie: „szczęśliwy jak głupiec”. Ale na dnie serca, zależnie od charakteru, kobiety mają dla mężów wówczas albo pogardę, za to właśnie, że tak łatwo im przychodzi ich oszukać, albo nienawiść, jeżeli mąż stanie w poprzek ich zamiarom, albo wreszcie obojętność, stokroć gorszą od nienawiści.

W tych okolicznościach pierwszym objawem diagnostycznym u żony będzie usposobienie jej, zmienne i kapryśne. Kobieta pragnie wówczas uciec sama przed sobą, stroni od domowego ogniska, ale jeszcze nie tak rozpaczliwie, jak to się dzieje w zupełnie nieszczęśliwych małżeństwach. Poświęca wiele czasu strojom, aby, jak mówi, pochlebić twojej miłości własnej, ściągając na siebie spojrzenia na balach i zebraniach.

Skoro znajdziecie się znowu w nudzie domowych penatów, ujrzysz ją nieraz smutną i zamyloną; potem nagle rozbawioną i pełną sztucznej wesołości, jak gdyby chciała się zagłuszyć; to znowu przybiera wyraz poważny i skupiony niby Niemiec kroczący do bitwy. Te tak częste zmiany usposobienia są zawsze oznaką owego groźnego wahania, na które już zwracaliśmy uwagę.

Są kobiety, które pochłaniają wówczas romanse, aby się nasycić zręcznie przedstawionym i zawsze nowym obrazem miłości zwyciężającej wszystkie przeszkody lub aby, drogą wyobraźni, oswoić się z niebezpieczeństwami miłości.

W tej epoce żona będzie się nieraz oświadczała z głębokim szacunkiem, jaki dla ciebie żywi. Będzie mówiła, że kocha cię tak, jak się kocha najdroższego brata; że taka przyjaźń, oparta na rozsądku, jest jedynie prawdziwa, jedynie trwała i że właśnie celem małżeństwa jest wytworzenie między mężem a żoną takiego przywiązania.

Będzie rozwijała subtelne rozumowania na temat, iż ma nie tylko obowiązki, ale i prawa, o które mogłaby się upomnieć.

Zacnie spoglądać krytycznym wzrokiem, którego chłód ty jeden możesz ocenić, na wszystkie szczegóły szczęścia małżeńskiego. Szczęście to nigdy nie zachwycało jej zbytnio,

zresztą ma je zawsze pod ręką, zna je, zanalizowała je dokładnie, toteż teraz ileż drobnych, ale straszliwie pewnych oznak zdradza umięjącemu patrzeć mężowi, że to kruche i wątłe stworzenie zaczyna ważyć i roztrząsać – zamiast płynąć na falach namiętności!...

## LX

Im więcej kto rozumuje, tym mniej kocha.

Z tego źródła płyną u niej owe żarciki, z których pierwszy się śmiejesz, te poglądy, zdumiewające nieraz głębokością, stąd te nagłe zmiany humoru i te kaprysy myśli szarpanej wahaniem. Czasem dostaje napadu czułości, jakby w przystępie wyrzutów sumienia za swe myśli i zamiary; to znów jest nadąsana lub popada w zagadkową zadumę; słowem, wiernie oddaje pojęcie *varium et mutabile femina*<sup>38</sup>, które dotąd naiwność nasza wyprowadzała z natury kobiecego ustroju. Diderot, pragnąc wytłumaczyć tę niemal atmosferyczną zmienność kobiet, posuwa się aż do wywodzenia ich od czegoś, co nazywa d z i k ą b e s t i ą; nigdy jednak nie zdarzy się wam spotkać tych częstych zbroceń u kobiety szczęśliwej.

Te objawy, leciutkie na kształt gazy, podobne są owym chmurkom, tak zwanym k w i a t o m b u r z y, które zaledwie zmieniają odcień czystego lazuru nieba. Niebawem barwy nabiorą wyrazistszego tonu.

W tych uroczych godzinach dumań, będących, według określenia pani de Staël, wyrazem tęsknoty życia za poezją, niektóre kobiety biorą oblegające je myśli za podszepty złego ducha. Są to kobiety, którym matki, cnotliwe przez wyrachowanie, obowiązek, potrzebę serca czy obłudę, wszczepiły niewzruszone zasady; wówczas widzisz, jak z nadzwyczajną gorliwością poczynają uganiać po nabożeństwach, kazaniach, nawet nieszpórach. Ta fałszywa dewocja zaczyna się od ślicznych książek do nabożeństwa, oprawnych jak cacka, przy pomocy których te lube grzesznice usiłują na próżno wypełniać obowiązki zalecone przez religię, a zaniedbywane dotąd wśród uciech małżeńskich.

Tu postawimy pewnik, który winniście sobie wryć w pamięci płomiennymi głoskami.

Gdy młoda kobieta wraca nagle do praktyk religijnych, poprzednio zarzuconych, wówczas ten nowy tryb życia kryje zawsze w sobie motywy niezmiernie doniosłe dla szczęścia jej męża. Na sto kobiet przypada co najmniej siedemdziesiąt dziewięć, u których ten powrót do Boga oznacza, iż „fałszywy krok” jest albo faktem dokonanym, albo lada dzień zagraża.

Ale jest objaw jeszcze wyraźniejszy, bardziej stanowczy, który rozpozna każdy mąż bez wyjątku, o ile nie jest zupełnym głupcem. A mianowicie:

W epoce, w której nurzaliście się oboje w złudnych rozkoszach miodowego miesiąca, żona twoja, jak prawdziwa kochanka, poddawała się we wszystkim twej woli. Szczęśliwa, gdy mogła ci w czym dowieść dobrych chęci, które oboje braliście za miłość, byłaby pragnęła, abyś rozkazał jej chodzić po krawędzi rynny: natychmiast, zwinna jak wiewiórka, znalazłaby się na skraju dachu. Słowem, czuła niewypowiedzianą rozkosz w poświęcaniu ci swego ja, które czyniło z niej oddzielną istotę. Utożsamiała się z twoją naturą, ziszczając to pragnienie serca: *Una caro*.

Z czasem wszystkie te piękne uczucia ulotniły się nieznacznie. Żona twoja, upokorzona teraz unicestwieniem swej woli, będzie się ją starała odzyskać za pomocą systemu, który rozwinie stopniowo i z energią z dnia na dzień wzrastającą.

Jest to system g o d n o ś c i z a m ę ż n e j k o b i e t y. Najbliższym skutkiem tego systemu jest pewna powściągliwość, jaką wnosi w wasze wspólne uciechy, oraz pewne obniżenie temperatury, które ty jeden możesz ocenić.

---

<sup>38</sup> *Varium et mutabile femina* (łac.) – różnorodna i zmienna kobieta.



Zależnie od większego lub mniejszego napięcia zmysłowego, być może, iż w czasie miodowego miesiąca udało ci się odgadnąć tę lub ową z dwudziestu dwu rozkoszy, które niegdyś stworzyły w Grecji dwadzieścia dwa rodzaje kapłanek miłości, poświęconych wyłącznie kultowi tych delikatnych odcieni. Może i żona twoja, nieświadoma i naiwna, pełna ciekawości i oczekiwania, przebiegła także kilka szczebli tej umiejętności, równie rzadkiej jak nieznannej, którą polecamy usilnie przyszłemu autorowi „Fizjologii rozkoszy”.

Nagle, pewnego zimowego poranka, podobne stadu ptaków wystraszonych zachodnim chłodem, odlatują naraz, jednym rzutem skrzydeł, *fellatrix*, obfita w zalotne wymysły, które oszukują żądze, aby przedłużyć jej pałacę porywy; *tractatrix*, pochodząca z pachnącego Wschodu, gdzie kwitnie rozkosz, tonąca w sennym upojeniu; *subagitatrix*, córka wielkiej Grecji; *Lemana*, ze swą słodką i drażniącą pieśczętą; Koryntyjka, która umiałaby w potrzebie zastąpić je wszystkie; wreszcie niepokojąca Phicydyjka, o łakomych i swawolnych ząbkach, których emalia zdaje się czuć i rozumieć rozkosz. Jedna, być może, jeszcze ci pozostała; ale pewnego wieczora i ona, świetna i zapalczywa *propetis*, rozwija białe skrzydła i ulatuje z pochylonym czołem, ukazując ci po raz ostatni – jak na obrazie Rembrandta ów anioł znikający oczom Abrahama – swoje cudowne skarby, których sama nie zna i które tobie tylko było danym podziwiać w okrzyku upojenia i tulić pieśczącą dłońią.

Tak pozbawiony wszystkich tych stopniowań rozkoszy, tych fantazji zmysłów i duszy, kapryśnych grotów Amora, zostałeś skazany na najpospolitszy sposób wyrażania miłości, na ową najpierwotniejszą i zbyt prostoduszną postać małżeńskiego obcowania, ów bogobojny hołd, jaki oddawał naiwny Adam naszej wspólnej matce, co z pewnością podsunęło wężowi myśl, aby ją oświecić. Ale ten tak wymowny objaw nie zdarza się często. Większość małżeństw składa się ze zbyt dobrych chrześcijan, aby naśladować zwyczaje pogańskiej Grecji. Toteż pomieściliśmy w kategorii o s t a t n i c h s y m p t o m ó w pojawienie się w spokojnej sypialni małżeńskiej owych wyuzdanych rozkoszy, które zazwyczaj są dziećmi niedozwolonej miłości. W swoim czasie i miejscu omówimy obszerniej ten objaw, tak bogaty w uroki; tutaj ogranicza się on najczęściej do pewnej obojętności, a nawet odrazy do uciech małżeńskich, którą ty tylko jesteś zdolny ocenić.

Uszlachetniając w ten sposób swą godnością przeznaczenie małżeństwa, żona utrzymuje równocześnie, iż ona powinna mieć swoje zdanie, a ty swoje. „Przecież idąc za mąż (powiada) kobieta nie składa ślubu, że wyrzeknie się własnego rozsądku. Czyliż istotnie żona ma być niewolnicą? Prawa ludzkie mogą spętać ciało, ale myśl!... och, tę postawił Bóg nazbyt blisko siebie, aby jakakolwiek tyrania mogła jej dosięgnąć”.

Te poglądy są zawsze owocem albo zbyt wolnomyślnego wykształcenia, jakie zdołała sobie przyswoić dzięki twojej pobłażliwości, albo też własnych refleksji, również przez ciebie tolerowanych. Toteż kwestii w y k s z t a ł c e n i a w m a ł ż e ń s t w i e poświęcimy oddzielne rozmyślanie.

Następnie żona zaczyna stopniowo mówić: „Mój pokój, moje łóżko, moje mieszkanie”. Na to lub owo odpowie ci: „Ależ, mój drogi, to ciebie nic nie obchodzi”. Albo:

„Mężczyzna ma swój wydział w domu, a kobieta swój”. Wreszcie, ośmieszając mężczyzn, którzy mieszają się do gospodarstwa, będzie utrzymywała, iż „są rzeczy, o których mężczyźni nie mają żadnego pojęcia”.

Liczba rzeczy, o których nie masz żadnego pojęcia, będzie z każdym dniem wzrastać.

Pewnego pięknego poranku spostrzeżesz, iż w waszej małej kapliczce wznoszą się dwa ołtarze w miejscu jednego, przed którym odprawiało się dotąd nabożeństwo. Ołtarz żony i twój własny staną się odrębne, odrębność zaś ta będzie ciągle wzrastać, zawsze w myśl systemu g o d n o ś c i k o b i e c e j.

Wówczas zjawią się pewne poglądy, które, wbrew twojej woli, zostaną ci wpojone za pomocą ż y w e j s i ł y, istniejącej od wieków, jakkolwiek mało znanej. Siła pary, siła konia, człowieka lub wody są to wszystko dobre wynalazki; ale natura obdarzyła kobietę siłą moral-

na, z którą te wszystkie nie mogą iść w porównanie: nazwiemy ją s i ł ą t e r k o t k i. Potęga ta polega na nieustannym powtarzaniu tego samego brzmienia, na powrocie tak dokładnie jednakowym tych samych słów, na kołowaniu tak niezmiennym tych samych myśli, że, słysząc je bez przerwy, uznajesz w końcu ich słuszność, byle uwolnić się od dyskusji. Zatem potęga terkotki wyłoży ci jak na dłoni:

- że powinieneś się czuć bardzo szczęśliwy z posiadania żony tak pełnej zalet;
- że wychodząc za ciebie wyświadczyła ci aż nazbyt wiele zaszczytu;
- że kobiety mają o wielu rzeczach trafniejszy sąd niż mężczyźni;
- że powinieneś we wszystkim zasięgać rady żony i prawie zawsze jej słuchać;
- że powinieneś s z a n o w a ć matkę swoich dzieci, czcić ją, mieć do niej zaufanie;
- że najlepszym środkiem, aby nie być oszukiwanym, jest spuścić się zupełnie na delikatność kobiety, albowiem, według odwiecznej maksymy, której nasze niedołęstwo pozwoliło się zakorzenić, mężczyzna nie ma sposobu zapobiec zminotauryzowaniu go przez jego małżonkę;

- że prawowita żona jest najlepszą przyjaciółką mężczyzny;
- że kobieta jest panią w domu, a królową w swoim salonie itd.

Mąż, który próbuje stawić opór tym zdobyczom, wydartym męskiej władzy przez „godność kobiecą”, popada w kategorię predestynowanych.

Zrazu wszczynają się sprzeczki, które w oczach żony czynią zeń tyrana. Tyrania męża jest bardzo niebezpiecznym usprawiedliwieniem fałszywego kroku kobiety. Zresztą w tych utarczkach umieją one zawsze udowodnić swoim rodzinom, rodzinie męża, całemu światu, nawet nam samym, że nie mamy nigdy słuszności. Jeżeli dla świętego spokoju lub pod wpływem miłości uznasz raz owe urojone prawa kobiety, wówczas dajesz żonie w rękę przewagę, którą będzie wyzyskiwała na każdym kroku. Mężowi, jak rządowi, nie wolno nigdy uznać swego błędu. Wówczas bowiem groziłoby twej władzy zupełne rozbrojenie przez zdradziecki system godności niewieściej; wówczas wszystko byłoby stracone; od tej chwili żona wymuszałaby na tobie jedno ustępstwo po drugim, aż w końcu wypędziłaby cię ze s w – e g o łóżka.

Posiadając właściwy kobietom spryt, zręczność, złośliwość, mając dość wolnego czasu, aby starannie przysposabiać zatrute strzały ironii, żona obróciłaby cię w śmieszność w razie chwilowego zachwiania się twoich poglądów. Dzień zaś, w którym żona potrafi cię ośmieszyć, będzie ostatnim dniem twego szczęścia. Odtąd władza twoja pogrzebana. Kobieta, która raz śmiała się z męża, nie może go kochać. Mężczyzna winien być dla kochającej kobiety istotą pełną siły i powagi; musi jej zawsze imponować. Rodzina nie mogłaby się ostać bez despotyzmu. Narody, zastanówcie się nad tym!

Dlatego też trudna sztuka zachowania się mężczyzny wobec tak groźnych wypadków, ta wysoka polityka małżeńska będzie przedmiotem drugiej i trzeciej części. Ten brewiarz makiawelizmu małżeńskiego nauczy was sposobu zachowania przewagi w jej tak lekkim i wiotkim umyśle, w tej duszy z koronek, jak ją określił Napoleon. Poznacie, w jaki sposób mężczyzna może okazać spiżowy hart, jak może podjąć tę małą wojnę domową i nie ustąpić nic ze swego panowania, pod grozą utraty szczęścia. Albowiem, gdybyś się wyrzekł władzy, żona poczęłaby cię lekceważyć za sam fakt bezsilności; z tą chwilą przestałbyś być dla niej m – ę z c z y z n ą.

Ale nie czas jeszcze na rozwijanie teorii i zasad, którymi kierując się, mąż będzie mógł połączyć wytworność z bezwzględnością; na razie niech wystarczy ta wzmianka o ważności dalszych rozdziałów i – idziemy dalej.

W tej fatalnej epoce żona spróbuje zręcznie uzyskać prawo wychodzenia sama.

Niegdyś byłeś jej ideałem, jej bożyszczem. Obecnie doszła do stopnia pobożności, który pozwala spostrzegać dziury w szatach świętych.

– Ach, Boże – mówiła pani de la Valliere do męża – mój drogi, jak ty nieładnie nosisz szpadę! Pan de Richelieu trzyma ją zawsze prosto przy boku; powinienes się tego nauczyć, to w o wiele lepszym guście.

– Moja droga, nie można było w wytworniejszy sposób przypomnieć mi, iż od naszego ślubu upłynęło już pięć miesięcy!... – odparł książę, a odpowiedź tę powtarzano sobie za panowania Ludwika XV.

Będzie starała się przeniknąć twój charakter, aby znaleźć broń przeciw tobie. To studium, tak sprzeczne z miłością, objawi się w tysiącu drobnych zasadzek, które ci będzie podsuwała, aby cię umyślnie doprowadzić do szorstkiej odpowiedzi, połajania itd.; albowiem gdy kobieta nie ma dostatecznego usprawiedliwienia na zminotauryzowanie swego męża, usiłuje je stworzyć.

Być może, w tej epoce zaczniesz siadać do stołu nie czekając na ciebie.

Jeśli będziesz powozem przejeżdżał przez jakieś miasto, zwróci twoją uwagę na najrozmaitsze rzeczy, których sam nie spostrzegłeś; będzie śpiewała przy tobie bez śladu zakłopotania; będzie w pół zdania przerywała, gdy mówisz, nie zawsze odpowiadała, gdy się do niej zwracasz; w ogóle na dwadzieścia sposobów będzie ci się starała udowodnić, iż zachowuje w twojej obecności całą pełnię władz umysłowych i własny sąd o rzeczach.

Będzie się starała zniweczyć twój wpływ na zarząd domu, a nawet stać się samowładną panią majątku. Zrazu walka ta będzie tylko rozrywką dla duszy jej, dręczonej pustką lub poruszanej zbyt silnymi wzruszeniami; z czasem znajdzie w twej opozycji nowy sposób ośmieszenia cię. Na uświęconych wyrażeniach jej nie zbraknie, a my Francuzi tak łatwo ustępujemy przed ironicznym uśmiechem!...

Od czasu do czasu pojawią się migreny i ataki nerwowe; ale te oznaki będą przedmiotem osobnego rozmyślenia.

W towarzystwie będzie mówiła o tobie bez zarumienienia i będzie spoglądać na ciebie wzrokiem pewnym i śmiałym.

Zaczniesz krytykować twoje najdrobniejsze czynności, o ile będą się sprzeciwiały jej poglądom lub tajemnym zamiarom.

Przestanie troszczyć się o to, co ciebie dotyczy; nie będzie nawet wiedziała, czy masz wszystko, czego ci trzeba. Przestaniesz być dla niej miarą porównań.

Na wzór Ludwika XIV, który przynosił swoim przyjaciółkom bukiety kwiatu pomarańczowego, stawiane co rano na jego stole przez ogrodnika, pan de Vivonne ofiarowywał żonie, w pierwszej epoce małżeństwa, prawie co dnia wiązanek rzadkich kwiatów. Pewnego wieczora spostrzegł bukiet leżący na stoliczku, a nie, jak zazwyczaj, w wazonie pełnym wody.

„Oho – powiedział sobie – jeżeli jeszcze nie jestem dudkiem, to niebawem nim zostanę”.

Jesteś tydzień w podróży i nie dostajesz listu albo dostajesz taki, w którym trzy ćwiartki są próżne... Także oznaka.

Przyjeżdżasz na koniu wielkiej ceny, na którym ci bardzo zależy, i, między dwoma całusami, żona troszczy się o konia i owies dla niego... Znowu oznaka.

Do tych rysów możecie dodać sto innych. My w tej książce zawsze będziemy się starali malować *al fresco*, wykańczanie zaś miniatur zostawiamy czytelnikowi. Zależnie od charakterów, objawy te, kryjące się pod wypadkami codziennego życia, mogą się odmieniać w nieskończoność. Jeden odkryje nowy symptom w sposobie wkładania szala, gdy inny musi dostać szczytkę w samo serce, aby się domyślić obojętności żony.

Pewnego wiosennego poranku, nazajutrz po balu lub w przeddzień wycieczki na wieś, sytuacja dobiega ostatniego okresu. Żona nudzi się, szczęście dozwolone nie ma już dla niej powabu. Jej zmysły, wyobraźnia, może kaprys samej natury domagają się kochanka. Jednakże nie ma jeszcze na tyle odwagi, aby wplątać się w miłość, której następstwa szczegóły przerażają ją. Jeszcze się z tobą liczy; jeszcze, jakkolwiek niewiele, wazysz na szali wahań. Z drugiej strony, zjawia się kochanek, zdołny we wszystkie wdzięki nowości, we wszystkie

uroki tajemnicy. Walka, która rozpoczęła się w sercu twojej żony, staje się w obliczu nieprzyjaciela bardziej realną i groźną niż kiedykolwiek. Wkrótce, im więcej niebezpieczeństw i ryzyka, tym goręcej zapagnie rzucić się w zaczarowaną otchłań obaw, radości, niepokojów i rozkoszy. Wyobraźnia jej rozpala się i sypie iskrami. Przyszłe życie przybiera w jej oczach romantyczne i tajemnicze barwy. W ciągu tej godziny, tak uroczystej dla kobiet, dusza odczuwa jakby pogłębienie swego istnienia. Wszystko w niej drga, wszystko przeży się i łamie. Żyje trzy razy pełniej niż poprzednio i, na miarę chwili obecnej, wyobraźnia jej kształtuje sobie przyszłość. Te trochę szczęścia, które zaledwie zdołałeś jej dać, zwraca się wówczas przeciwko tobie; teraz upaja się nie tyle tymi rozkoszami, których doznała, ile tymi, których się spodziewa: czyż wyobraźnia nie przedstawia jej stokroć żywszych wzruszeń w objęciach tego kochanka, którego prawo jej zabrania, niż w twoich? Słowem, lęk napawa ją rozkoszą, a rozkosz przejmuje lękiem. Lubi tę atmosferę niebezpieczeństwa – miecz Damoklesa zawieszony nad jej głową twoją własną ręką; woli tę rozpaczliwą agonię namiętności od owej martwoty małżeńskiej, gorszej niż śmierć sama, od tej obojętności, będącej raczej zanikiem wszelkiego uczucia niż jakimkolwiek uczuciem.

A teraz ty, którego może czekają pilne akta w ministerium, wykazy wiarygodności w banku, zlecenia giełdowe lub przemówienia w Izbie, ty, młody człowieku, który z takim zapałem, z tyloma innymi, przysięgałeś w pierwszym rozmyśleniu, iż broniąc swej żony bronić będziesz własnego szczęścia, cóż możesz przeciwstawić tym tak naturalnym pragnieniom?... Wszak dla tych istot, całych z płomienia, żyć znaczy czuć; z chwilą gdy nie doznają wzruszeń, przestają istnieć. To samo prawo natury, na mocy którego ty chodzisz, staje się u niej źródłem tego mimowolnego minotauryzmu. „Jest to skutek prawa ruchu” – mawiał d’Alembert. Gdzież są tedy twoje środki obrony?... gdzie?

Niestety! jeżeli żona nie skosztowała jeszcze jabłka z ręki Węża, Wąż znajduje się tuż; ty śpisz, my cię budzimy i książka się rozpoczyna.

Nie zapuszczając się w dociekania, ilu mężów wśród owych pięciuset tysięcy, których dzieło to dotyczy, zostało w kategorii predestynowanych; ilu żeniąc się uczyniło zły wybór; ilu popełniło ciężkie błędy w samym początku, nie dochodząc, czy w tej licznej armii znajduje się więcej lub mniej takich, którzy mogą odpowiedzieć warunkom potrzebnym, aby walczyć ze zbliżającym się niebezpieczeństwem, przedstawimy w drugiej i trzeciej części sposoby zwalczania Minotaura i ustrzeżenia cnoty kobiecej. Jednakże, gdyby nawet fatalność, szatan, zakon kawalerów i zbieg okoliczności uczyniły twą zgubę nieuniknioną, wówczas, śledząc nici poruszające całym tym mechanizmem, patrząc na walki, jakie toczą ze sobą wszystkie małżeństwa, może znajdziesz w tym jakąś pociechę. Wielu ludzi ma tak szczęśliwe usposobienie, iż skoro pokazać im, g d z i e, wyjaśnić, j a k i d l a c z e g o, podrapią się po czole, zatrą ręce, przytupną nogą i już są zadowoleni.

## ROZMYŚLANIE DZIEWIĄTE

### *Ogólny rzut oka*

Wierna przyrzeczeniu, pierwsza część tej książki wywiodła ogólne przyczyny, które doprowadzają każde małżeństwo do krytycznego momentu, opisanego przed chwilą; równocześnie zaś, kreśląc te p r o l e g o m e n a małżeńskie, wskazaliśmy sposoby uniknięcia nieszczęścia, zaznaczając błędy, które stanowią jego źródło.

Ale czyż te wstępne roztrząsania byłyby zupełne, gdybyśmy, pokusiwszy się o rzut światła na niekonsekwencję naszych poglądów, obyczajów i praw w kwestii, która ciąży nad życiem wszystkich prawie istot, nie próbowali w krótkim zakończeniu wskazać politycznych przyczyn tego niedomagania społecznego? Odśloniwszy tajemne wady instytucji, czyż ten filozoficzny przegląd nie ma obowiązku wykryć, czemu i w jaki sposób obyczaje nasze spowodowały jej ułomność?

System praw i obyczajów, rządzący do dziś dnia kwestią kobiet i małżeństwa we Francji, stanowi owoc dawnych wierzeń i tradycji, które nie godzą się już z wiecznymi zasadami rozumu i sprawiedliwości, rozwiniętymi przez wielką rewolucję z roku 1789.

Trzy wielkie wstrząśnienia poruszyły niegdyś Francję: zdobycie kraju przez Rzymian, chrystianizm i najazd Franków. Każde wycisnęło głębokie ślady w ziemi, w prawach, obyczajach i duchu narodu.

Grecja, stojąca jedną nogą w Europie, a drugą w Azji, musiała w prawach małżeńskich liczyć się z klimatem, oddychającym namiętnością; otrzymała je ze Wschodu, dokąd ciągnęli greccy filozofowie, prawodawcy i poeci, aby zgłębiać starożytne tajemnice Egiptu i Chaldei. Zupełne zamknięcie kobiet, usprawiedliwione palącym słońcem Azji, wadało w Grecji i Jonii; kobietę powierzano tam straży marmurowych ścian gineceum. Wobec tego, iż państwo ograniczało się do jednego miasta, do nader szczupłego terytorium, kobiety publiczne, tyłoma węzłami stykające się ze sztuką i religią, wystarczały dla pierwszych namiętności młodzieży, niezbyt licznej i pochłoniętej zresztą wyczerpującymi ćwiczeniami, które były koniecznością sztuki wojennej owych heroiczych czasów.

W samych początkach swych królewskich dziejów Rzym, zaczerpnąwszy z Grecji zasady prawodawstwa, które mogło jeszcze odpowiadać niebu Italii, wycisnął na czole kobiety zamężnej piętno zupełnej niewoli. Senat zrozumiał znaczenie cnoty w Rzeczypospolitej i osiągnął surowość obyczajów przez wzmożenie władzy męża i ojca rodziny. We wszystkim widzimy ślad zupełnej zależności kobiety. Wschodnie zamknięcie stało się prawem, obowiąz-

kiem moralnym, cnotą. Stąd świątynie wznoszone bogini Wstydu, ołtarze stawiane świętości małżeństwa, stąd urząd cenzorów, instytucje posagowe, prawa przeciw zbytkowi, cześć dla matron i cała budowla prawa rzymskiego. Toteż trzy wypadki gwałtu, dokonanego lub tylko zamierzonego, stały się przyczyną trzech rewolucji; toteż pierwsze zjawienie się kobiet na widowni politycznej było zdarzeniem wielkiej wagi, uświęconym uroczystymi dekretami. Znakomite Rzymianki, skazane na to, aby być tylko żonami i matkami, spędzały życie całe w odosobnieniu, zajęte jedynie wychowywaniem władców świata. Rzym nie miał nierządnic, gdyż młodzież trawiła czas w nieustających wojnach. Jeśli później zjawiono się rozluźnienie obyczajów, przyszło ono z despotyzmem imperatorów; a nawet i wówczas przesady, stworzone dawnym obyczajem, były tak żywe, iż Rzym nie widział nigdy kobiety na scenie teatru. Te fakty nie będą bez znaczenia dla naszego pośpiesznego rzutu oka na historię małżeństwa we Francji.

Po pobiciu Galów Rzymianie narzucili im swoje prawa; nie zdołały one jednak zupełnie wykorzeńić ani głębokiej czci, jaką przodkowie nasi żywili dla kobiet, ani dawnych wierzeń, które czyniły je bezpośrednimi organami bóstwa. W końcu jednak prawa rzymskie zapanowały niepodzielnie w części kraju rządzonej prawem pisanim, tak nazwanej *Gallia togata*, a ich zasady małżeńskie przeniknęły także poniekąd i w inne części Galii, gdzie zachowało swą moc prawo zwyczajowe.

Ale w czasie tej walki prawa z obyczajem Frankowie wtargnęli do Galii, której dali słodkie miano Francji. Ci rycerze, przybyli z północy, przynieśli z sobą obrządki dworności zrodzone w zachodniej części ich kraju, w którego chłodnym klimacie wspólne pożycie płci nie wymaga ani wielożeństwa, ani zazdrosnych ostrożności Wschodu. Wprost przeciwnie, u nich istoty te, ubóstwiane prawie, ogrzewały ognisko rodzinne wymową swych uczuć. Drzemiące zmysły wymagały tej różnorodności gwałtownych a delikatnych środków, tej zmienności postępowania, tych podnieć wyobraźni i urojonych przeszkód, stworzonych przez zalotność – metody, których pewne zasady rozwinęliśmy w poprzednich rozdziałach i które idealnie nadawały się dla umiarkowanego klimatu Francji.

Zatem na Wschodzie namiętność i szaty zmysłów, długie czarne włosy i haremy, bóstwa dyszące miłością, świątynie, przepych i poezja. Na Zachodzie – wolność kobiet, wszechwładza ich jasnych kędziorów, dworność, wróżki, czarodziejki, głębokie zachwyty duszy, słodkie wzruszenia melancholii, długa i trwała miłość.

Te dwa pojęcia, zrodzone na dwóch krańcach kuli ziemskiej, starły się z sobą we Francji; we Francji, gdzie w południowej części kraju, w *Langue d'oc*, mogły znaleźć oddźwięk wierzenia Wschodu, gdy druga, *Langue d'oïl*<sup>39</sup>, stała się ojczyzną tradycji, które przypisują kobiecie czarodziejską potęgę. W *Langue d'oïl* miłość wymaga tajemniczych obrzędów, w *Langue d'oc* ujrzyć znaczy pokochać.

Tymczasem chrystianizm zawładnął triumfalnie Francją, a przyszedł wyznawany i krzewiony przez kobiety; przyszedł niosąc z sobą ubóstwienie kobiety, która w lasach Bretanii, Wandei i Ardennów, pod nazwą „Naszej Pani”, zajęła miejsce niejednego bożyszcza w dziuplach odwiecznych dębów druidów.

Jeśli religia Chrystusa, która przede wszystkim jest kodeksem moralności i polityki, dała duszę wszystkim istotom, jeśli głosiła równość wszystkich w obliczu Boga i zasadami tymi utwierdzała rycerski obyczaj Północy, to, z drugiej strony, zdobycze te były obciążone rezydencją najwyższego kapłana w Romie, której mianował się spadkobiercą; zalaniem Europy mową łacińską, która stała się w średnich wiekach językiem powszechnym, i wreszcie tym, iż

---

<sup>39</sup> *Langue d'oc*, *Langue d'oïl* – tj. południowa i północna Francja; pierwsza z nich mówiła językiem d'oc (zwanym tak od wyrazu *oc*, oznaczającego „tak”), druga językiem d'oïl (od wyrazu *oïl*, oznaczającego „tak”).

mnichy, skryby i uczeni w prawie zyskali potężny interes, aby narzucić wszędzie kodeksy, znalezione przez żołdaka przy rabunku Amalfi<sup>40</sup>.

Zatem, dwie zasady: niewolnictwa i wszechwładzy kobiet, utrzymały się obok siebie, obie wzbogacone nowym rynsztunkiem.

Prawo salickie, a raczej prawem uświęcony błąd, utrwaliło polityczną i obywatelską niewolę kobiety, nie mogąc jednak nadwerężyć potęgi, jaką dawał jej obyczaj narodowy, gdyż kult rycerskich obrzędów ogarniający Europę utrzymał moc obyczaju przeciw prawom.

W ten sposób powstała ta dziwaczna gra zjawisk, wynikająca z charakteru narodowego i prawodawstwa. Od czasu tej epoki, która, z filozoficznego spojrzenia na historię, wydaje się być przededniem rewolucji, Francja stała się terenem całego szeregu wstrząśnień; feudalizm, wojny krzyżowe, Reformacja, walka władzy królewskiej z arystokracją, despotyzm, wreszcie panowanie kleru ścisnęły ją tak silnie w swe obręcze, że kobieta stała się ofiarą dziwacznych sprzeczności, zrodzonych ze starcia trzech głównych zdarzeń dziejowych, które skreśliliśmy poprzednio. Czyż można było zajmować się kobietą, jej wychowaniem politycznym i kwestią małżeństwa, wówczas gdy feudalizm podkopywał stałość tronu, gdy Reformacja zagrażała im obu i gdy, wśród walki między władzą duchowną i świecką, zapomniano zupełnie o narodzie? Według wyrażenia pani Necker<sup>41</sup>, kobiety stanowiły w czasie tych wielkich wypadków niejako puch, którym wypełnia się skrzynki z porcelaną: nie liczy się go za nic, a jednak wszystko strzaskałoby się bez niego.

Kobieta zamężna przedstawiała wówczas we Francji obraz ujarzmionej królowej, niewolnicy zarazem wolnej i zakutej w kajdany, Sprzeczności, spowodowane walką dwóch zasad, wybuchnęły w ustroju społecznym i zarysowały go tysiącem dziwactw. Ustrój fizyczny kobiety mało był wówczas znany; stąd wszystko, co w niej było objawem choroby, wydawało się cudem, czarnoksięstwem lub szczytem przewrotności. Gdy prawo obchodziło się z nimi jak z marnotrawnymi dziećmi i stawiało je pod kuratelą, obyczaje oddawały im cześć niemal boską. Podobne wyzwoleńcom imperatorów, władały one koronami, losem bitew, majątków, zamachami stanu, zbrodnią, cnotą – wszystko jednym błyskiem lub zmruczeniem oczu, a równocześnie same nie posiadały nic, nawet siebie. Los ich był równie szczęśny jak nieszczęśliwy. Zbrojne swą słabością i silne instynktem, wydarły się poza sferę, w której prawo winno było im wyznaczyć miejsce; wszechpotężne w złem, bezsilne w dobrem; bez zasługi w przymusowych cnotach, bez usprawiedliwienia w błędach; obwiniane o brak wykształcenia, a odsunięte od oświaty; ani zupełne matki, ani zupełne żony. Mogąc cały czas obracać na hodowanie i podniecanie żądzy, poszły one drogą zalotności, wyrosłej z ducha Franków, gdy powinny były, jak Rzymianki, przebywać w murach zamku i wychowywać rycerzy. Ponieważ żaden z dwóch systemów nie zyskał w prawodawstwie stanowczej przewagi, każdy charakter szedł za swymi skłonnościami: wydały one tyleż Marion Delorme<sup>42</sup>, co Kornelii, tyleż cnót, co występków. Były to istoty tak niezupełne jak prawa, które nimi rządziły: uważane przez jednych za coś pośredniego między człowiekiem a zwierzęciem, za złośliwą bestię, dla której nie może być zbyt mocnych więzów, za stworzenie, które, z tyloma innymi, natura przeznaczyła do użytku człowieka, przez drugich czczone jako wygnane anioły, źródło szczęścia i miłości, jako jedyne istoty, które odpowiadają potrzebom duszy i którym powinno się religijną czcią wynagrodzić ich cierpienia. Jedność, której brakowało urządzeniom społecznym, jakże mogła istnieć w obyczajach?

---

<sup>40</sup> W A m a l f i znaleziono w r. 1135 manuskrypt „Pandektów” Justyniana.

<sup>41</sup> Suzanne N e c k e r (1739–1794) – żona bankiera i ministra Ludwika XVI, matka pani de Stael, znana z inteligencji i dowcipu, prowadziła salon literacki, gdzie gromadziło się wiele wybitnych osobistości tej epoki.

<sup>42</sup> Marion D e l o r m e (1611–1650) – głośna z urody i przygód kurtyzana francuska.

Kobieta zatem była tym, czym zrobili ją mężczyźni i okoliczności, miał być tym, czym powinny ją były zrobić klimat i instytucje. Sprzedawana, wydawana za męża na mocy ojcowskiej władzy Rzymian, z jednej strony podpadała pod despotyzm męzowski usiłujący ją odciąć od świata, z drugiej otwierały się dla niej pokusy jedynej samoobrony, jaka jej była dostępna. Stąd stała się rozwiązłą, skoro wojny domowe przestały pochłaniać wszystkie siły męczyzn, z tych samych przyczyn, które czyniły ją cnotliwą w dobie zamieszek. Każdy wykształcony człowiek potrafi wycieniować szczegóły tego obrazu; my w wypadkach dziejowych szukamy tutaj nauki, nie poezji.

Rewolucja zbyt była zajęta burzeniem i budowaniem, miała zbyt wielu przeciwników lub może zbyt bliska była opłakanych czasów Regencji i Ludwika XV, aby dociekać, jakie miejsce należy się kobiecie w ustroju społecznym.

Owi niepospolici ludzie, którzy wznieśli nieśmiertelny gmach naszych ustaw, byli to prawie wszystko dawni prawnicy, przeniknięci uwielbieniem dla prawa rzymskiego; zresztą nie „budowali oni urządzeń społecznych. Jako synowie rewolucji, wierzyli wraz z nią, że roztropnie ograniczone prawo rozwodu oraz przyznanie dorosłym dzieciom niejakich swobód w zawieraniu małżeństw stanowią dostateczne reformy. W świetle świeżych wspomnień dawnego porządku postęp zdawał się olbrzymi.

Dziś kwestia tych dwóch zasad, znacznie osłabionych tyloma wypadkami i rozwojem oświaty, pozostaje całkowicie otwarta dla prawodawców. Przeszłość zawiera naukę, która powinna wydać owoce w przyszłości. Czyżby wymowa faktów była dla nas stracona?

System Wschodu wymagał eunuchów i serajów; dwoistość obyczajów Francji otworzyła ranę prostytucji i głębszą jeszcze ranę naszych małżeństw, toteż możemy powtórzyć zdanie jednego ze współczesnych, iż Wschód poświęcił ojcostwu męczyznę i sprawiedliwość, Francja – kobietę i wstyd. Ani Wschód, ani Francja nie osiągnęły celu, jaki te urządzenia winny sobie stawiać: szczęścia. Męczyzna tak samo nie posiada miłości swego haremu, jak we Francji mąż nie jest pewien ojcostwa swych dzieci; małżeństwo nie jest warte ceny, jaką trzeba je opłacać. Czas przestać topić więcej ofiar w tej instytucji, włożyć natomiast kapitał większej sumy szczęścia w nasz ustrój społeczny, stosując obyczaje i instytucje do klimatu.

Konstytucyjna forma rządu, owo szczęśliwe połączenie dwóch skrajnych systemów, despotyzmu i demokracji, wskazuje na konieczność podobnego zespolenia dwóch zasad, które dotychczas ścierały się we Francji w pojęciu małżeństwa. Wolność, której tak śmiało domagaliśmy się dla młodych panien, stanowi środek zaradczy na ten bezmiar złego, którego źródło wskazaliśmy odsłaniając niedorzeczności wynikające z niewoli naszych córek. Wróćmy młodości żądze i zalotność, miłość i jej niebezpieczeństwa, miłość i jej słodycze, cały uroczy świat frankońskiego rycerstwa. W tym wiosennym zaraniu życia żaden błąd nie jest beznadziejny; małżeństwo, przetrwawszy wszystkie próby, wyjdzie z nich zbrojne ufnością, oczyszczone z nienawiści, a miłość małżeńska usprawiedliwiona zbawiennymi porównaniami.

Przy tym przekształceniu naszych obyczajów znikłaby sama przez się ohydna rana prostytucji. W tym okresie życia, kiedy męczyzna posiada jeszcze całą czystość i nieśmiałość młodości, może on, bez szkody dla swego szczęścia, zмагаć się z wielkimi i prawdziwymi namiętnościami. Wówczas dusza podejmuje z radością każdy wysiłek: byle mogła czuć, byle mogła działać, chętnie zwróci swe siły nawet przeciw sobie. W tym spostrzeżeniu, które każdemu mogło się nastreczyć, leży tajemnica prawodawstwa, spokoju i szczęścia. A przy tym, wymagania pracy naukowej przybrały dziś takie rozmiary, iż najzapalczywszy z naszych przyszych Mirabeau może utopić całą energię w jednej miłości i w nauce. Iluż młodych ludzi ocalało od rozpusty dzięki wytężonej pracy, połączonej z przeszkodami, jakie spotkali w swej pierwszej i czystej miłości? W istocie, gdzież jest młoda dziewczyna, która by nie pragnęła przedłużyć rozkosznego dzieciństwa swych uczuć, która by nie była dumna z tego, że jest



uwielbianą, i która by uroczym obaw swej nieśmiałości, wstydlivosti własnych myśli nie umiała przeciwstawić młodocianym pragnieniom równie niedoświadczonego jak ona kochanka? Jurność miłosna Franków i jej słodczyce staną się więc wspaniałym przywilejem młodości: wówczas ustalą się w naturalny sposób owe stosunki dusz, zmysłów, charakterów, usposobień, temperamentów i warunków, z których wynika zbawienna równowaga, tak niezbędna dla szczęścia małżonków. System ten zyskałby o wiele szerszą i silniejszą podstawę, gdyby córki podlegały pewnemu roztropnie obmyślonemu wyłączeniu od dziedzictwa lub gdyby wydawano je za mąż bez posagu, jak w Stanach Zjednoczonych. Wówczas mężczyzna zwracałby się w wyborze tylko ku tym młodym osobom, które dawałyby mu widoki szczęścia przez swe przyniosy, charakter lub uzdolnienie.

Wówczas system Rzymian będzie można bezpiecznie zastosować do kobiet zamężnych, które jako młode dziewczęta korzystały z praw swobody. Ponosząc całkowite trudy pierwszego wychowania dzieci, owego najważniejszego z zadań matki, zajęte wydawaniem na świat i pielęgnowaniem owego nieustannego szczęścia, tak czarująco odmalowanego w czwartej księdze „Julii”<sup>43</sup>, będą one, podobne dawnym Rzymiankom, przedstawiały w swym domu żywy obraz Opatrzności, którą wszędzie się czuje, a nigdzie nie widzi. Wówczas prawa przeciw niewierności mężatek mogą być nader surowe. Powinny działać bardziej jeszcze za pomocą niesławy niż za pomocą dotkliwych kar lub zamknięcia. Francja patrzyła już na obraz kobiet oprowadzanych na ośle za rzekomą zbrodnię czarnoksięstwa i niejedna niewinna istota umarła przy tym ze wstydu. Tu tkwi tajemnica przyszłego prawodawstwa małżeńskiego. Córy Miletu próbowały ratować się od małżeństwa śmiercią; senat kazał zwłoki samobójczyń włożyć nago i oto dziewice musiały pogodzić się z życiem!

Aby zatem we Francji zaczęto szanować kobiety i małżeństwo, musi nastąpić ów zasadniczy przewrót, którego domagamy się tak usilnie. Oto głęboka myśl, która ożywia dwa najpiękniejsze dzieła nieśmiertelnego geniusza. „Emil” i „Nowa Heloiza” to dwie wymowne obrony powyższego systemu. Głos ten brzmieć będzie przez wieki, gdyż umiał odgadnąć istotne źródła praw i obyczajów przyszłych pokoleń. Zwracając dzieciom pokarm matki, oddał już Jan Jakub olbrzymią usługę cnocie; ale wiek jego zbyt był głęboko zatruty, aby zrozumieć wysoką naukę zawartą w tych dwóch poematach; trzeba dodać, iż poeta wziął górę nad filozofem i że – zostawiając w sercu zaślubionej Julii ślad pierwszej miłości – dał się uwieść sytuacji romansowej, wzruszającej wprawdzie, ale mniej użytecznej niż prawda, którą chciał rozwinąć.

Jeśli jednak małżeństwo we Francji jest olbrzymią cichą umową, której celem jest dodać uroku namiętnościom, przydać zagadek i tajemnic miłości, drażniącego wdzięku kobietom, jeśli kobieta jest raczej ozdobą salonu, manekinem, lalką niż istotą, której rola w społeczeństwie da się pogodzić z pomyślnością kraju, z chwałą ojczyzny, niż człowiekiem, którego zadania mogą co do użyteczności mierzyć się z trudami mężczyzny... wówczas, przyznając, cała ta teoria i wszystkie te wywody musiałyby się rozwiązać wobec tak ważnych przeznaczeń!

Ale dość już wyciskania treści ubiegłych wydarzeń po to, aby z nich wydobyć kropelkę filozofii; dość ustępstw na rzecz tak kwitającego w naszej epoce kultu h i s t o r y c z n e g o punktu widzenia; skierujmy znowu wzrok na współczesność. Podejmijmy czapkę z dzwonekami i ów kaduceus, z którego Rabelais uczynił niegdyś berło, i prowadźmy dalej analizę, nie dając żartowi więcej powagi, niż jej w nim tkwić może, i nie wkładając w rzeczy poważne więcej żartu, niż na to pozwalają.

---

<sup>43</sup> „Julia, czyli Nowa Heloiza” – słynna powieść J. J. Rousseau, wydana w r. 1761.

CZEŚĆ DRUGA  
*O środkach obrony wewnątrz i zewnątrz*

*To be or not to be...*  
*Być albo nie być...*

Shakespeare, „Hamlet”

## ROZMYŚLANIE DZIESIĄTE

### *Traktat polityki małżeńskiej*

Skoro mężczyzna dojdzie do sytuacji, w której postawiliśmy go w końcu pierwszej części, przypuszczamy, że myśl o tym, iż żona mogłaby należeć do innego, zdoła jeszcze poruszyć jego serce i że namiętność jego buchnie świeżym płomieniem, czy to pod wpływem miłości własnej, czy wyrachowania, albowiem, gdyby mu już nie zależało na własnej żonie, byłby przedostatnim z ludzi i godnym swego losu.

W ciągu tego długiego przesilenia niezmiernie trudno jest mężowi nie popełnić błędów, dla większości bowiem z nich sztuka prowadzenia żony jest czymś jeszcze mniej znanym niż sztuka dobrego jej wyboru. Jednakże cała polityka małżeńska polega tylko na ustawicznym stosowaniu trzech zasad, które winny być duszą twego postępowania. Pierwszą jest: nigdy nie wierzyć w to, co kobieta mówi; drugą: starać się zawsze przeniknąć ducha jej czynności, nie zatrzymując się na ich powierzchni; trzecią: nie zapominać, że nigdy kobieta nie jest tak wymowna, jak wówczas gdy milczy i nigdy nie działa tak energicznie, jak wówczas gdy pozostaje w spoczynku.

Od tej chwili jesteś jak jeździec, który, posadzony na narowistego konia, powinien bezustannie patrzeć między jego uszy, pod grozą natychmiastowego fiknięcia z siodła.

Ale sztuka polega o wiele mniej na znajomości zasad niż na ich stosowaniu: odsłaniać je nieukom znaczy to samo, co małpie dać brzytwę do ręki. I tak, pierwszym i najżywotniejszym z obowiązków, w którym prawie wszyscy mężowie grzeszą zaniedbaniem, jest nieustanne maskowanie się. Spostrzegając jakiś zbyt wyraźny objaw minotauryczny, większość mężczyzn zdradza natychmiast ubliżającą nieufność. Charakter ich nabiera cierpkości, która przebija bądź w słowach, bądź w zachowaniu; obawa jest w ich duszy jak płomyk gazu pod szklanym kloszem: oświeca równie wyraźnie twarz, jak objaśnia postępowanie.

Otóż kobieta, mająca nad tobą przewagę dwunastu godzin na dobę, przez które może zastanawiać się i obserwować, czyta na twym czole podejrzenia, w chwili gdy one się rodzą. Nie przebaczy ci nigdy zniewagi, na którą j e s z c z e nie zasłużyła. Wówczas wszystko już stracone; wówczas nie ma ratunku: nazajutrz, jeśli tylko jest sposobność, „fałszywy krok” staje się faktem dokonanym.

Winieneś zatem w obecnym położeniu zrazu okazywać żonie owo bezgraniczne zaufanie, które niegdyś istotnie w niej pokładałeś. Jeśli będziesz próbował utrzymać ją w błędzie za pomocą słodziutkich słówek, jesteś zgubiony; nie uwierzy ci nigdy, gdyż i ona ma swoją politykę, jak ty swoją. W postępowaniu swoim musisz rozwinąć całą udaną dobroduszność, aby

jej wpoić bezwiedne u niej, a tak pożądane dla ciebie uczucie bezpieczeństwa, które sprawia, iż poczyna strzyc uszkami i w ten sposób sama cię ostrzega o potrzebie ostrogi lub wędzidla.

Ale jakże my ośmielamy się porównywać konia, to najpocziwsze ze stworzeń, do istoty, którą kurczowe drgania myśli i wrażliwość narządów czynią chwilami ostrożniejszą, niż był Serwite Fra Paolo<sup>44</sup>, ów najstraszliwszy zausznik Rady Dziesięciu w Wenecji, obłudniejszą niż sami królowie, zręczniejszą od Ludwika XI, głębszą od Makiawela, biegłą w sofizmatach jak Hobbes, przenikliwą jak Wolter, przystępniejszą niż narzeczona Mamolina<sup>45</sup>, i która na całym świecie strzeże się tylko przed tobą?

Toteż do sztuki maskowania się, dzięki której sprężyny twego postępowania powinny być tak starannie ukryte jak sprężyny wszechświata, musisz dołączyć najzupełniejsze panowanie nad sobą. Dyplomatyczny spokój pana de Talleyrand będzie najdrobniejszym z twoich przymiotów; jego wytworna uprzejmość, jego wdzięk muszą przebijać w każdym słowie. Mistrz zabrania ci tutaj bezwarunkowo używać szpicruty, jeśli pragniesz ujeździć swą piękną Andaluzijkę.

## LXI

Gdy mężczyzna uderzy kochankę... to rana; ale żonę... to proste samobójstwo.

Jakże tedy pojąć rząd bez żandarmerii, działanie bez siły, władzę bez broni?... Oto zagadnienie, które będziemy się starali rozwiązać w dalszych rozmyślaniach. Ale przedtem, jako rodzaj wstępu, przedłożymy dwa spostrzeżenia. Dostarczą nam one jeszcze dwóch teorii, mających znaczenie przy wszystkich mechanicznych środkach, które chcemy przedstawić do wyboru. Żywy przykład odświeży te żmudne i suche rozprawy; rzućmy zatem książkę i chodźmy ćwiczyć się wprost na terenie wojennym!...

W roku 1822, w piękny styczniowy poranek, szedłem przez bulwary od spokojnych okolic Marais aż do wytwornej dzielnicy Chaussee-d'Antin, obserwując po raz pierwszy, nie bez filozoficznego zadowolenia, owe znamienne odcienie fizjonomii i różnorodność stroju, które od ulicy Pas-de-la-Mule aż do Św. Magdaleny czynią z każdej części bulwaru oddzielny świat, a z całej tej strefy Paryża niby szeroką wstęgę mieniącą się próbkami wszelkich obyczajów. Nie mając jeszcze pojęcia o życiu i jego sprawach, nie przeczuwając, że kiedyś będę miał zarozumiałą odwagę narzucenia się światu jako prawodawca małżeństwa, szedłem po prostu na śniadanie do jednego z kolegów szkolnych, który zbyt wcześnie może zdążył obarczyć się żoną i dwojgiem dzieci. Ponieważ dawny mój profesor matematyki mieszkał niedaleko od domu przyjaciela, postanowiłem oddać wprzód wizytę godnemu matematykowi, zanim otworzę serce i żołądek na wszystkie smaki przyjaźni. Dotarłem bez przeszkód do gabinetu, w którym wszystko było pokryte warstwą kurzu, świadcząca o czcigodnym roztargnieniu uczonego. Ale tam czekała mnie niespodzianka. Ujrzałem ładną osóbkę, siedzącą na poręczy fotela niby na angielskim koniu. Przywitała mnie zdawkowym ukłonem, jakim gospodyni domu zaszczyca nieznanego gościa, ale nie umiała ukryć dąsu, który w chwili mego wejścia zachmurzył jej twarzyczkę. Spostrzegłem, iż wizyta moja wypadła nie w porę. Mój nauczyciel, widocznie zatopiony w jakimś równaniu, nie podniósł jeszcze głowy; zatem potrząsnąłem w kierunku młodej pani ręką, jak ryba porusza płetwą, i począłem cofać się na końcach palców, rzucając porozumiewawczy uśmiech, który mógłby oznaczać: „Nie ja z pewnością przeszkodzę pani doprowadzić go do sprzeniewierzenia się Uranii”. Ona mimo woli odpowiedziała gestem, którego żywości i wdzięku nie podobna przenieść na papier.

---

<sup>44</sup> Pietro Sarpi (1552–1623) zwany F r a P a o l o – historyk i polityk włoski. Był doradcą państwa weneckiego i dążył do ograniczenia świeckiej władzy papieża.

<sup>45</sup> M a m o l i n – postać z „Dekameronu” Boccaccia i „Opowieści” La Fontaine’a.

– Zostańże, mój drogi! – zawołał geometra. – To moja żona!

Ukloniłem się powtórnie!... O Coulonie<sup>46</sup>, czemuż cię nie było, by oklaskiwać jedyne go z uczniów, który pojawił w tej chwili, co znaczy twoje wyrażenie *a n a k r e o n t y c z n y*, zastosowane do ukłonu. Skutek musiał być piorunujący, gdyż *p a n i p r o f e s o r o w a*, jak mówi Niemcy, zarumieniła się i podniosła się żywo z fotela z lekkim skinieniem głowy, które zdawało się mówić:

„Zachwycająco!...” Mąż zatrzymał ją, mówiąc:

– Zostań, dziecko. To mój uczeń. Młoda kobieta zwróciła ku uczonemu głowę ruchem ptaka na gałęzi.

– To niemożliwe! – rzekł mąż wzdychając. – Udowodnię ci to za pomocą *a* plus *b*.

– Proszę cię, dajmy pokój – odparła mrugając na męża i pokazując mnie oczami.

Gdyby mowa oczu była tylko algebrą, nauczyciel mój byłby ją zrozumiał, ale to był dlań język chiński, ciągnął tedy niewzruszenie dalej:

– Zastanów się tylko, dziecko, i sama osądź; mamy dziesięć tysięcy franków rocznie...

Słyszając to cofnąłem się ku drzwiom, jak gdyby nagle zdjęty żądzą obejrzenia sztychów na ścianie. Dyskrecję, moją nagrodzono wymownym spojrzeniem. Niestety! piękna pani nie wiedziała o tym, iż mógłbym w „Fortuniu”<sup>47</sup> grać rolę owego Fine-Oreille, który słyszy, jak trufle rosną.

– Zasady domowej ekonomii – ciągnął mój profesor – nakazują obracać na komorne i służbę nie więcej niż dwie dziesiąte rocznego dochodu, toteż mieszkanie i służba kosztują nas sto ludwików. Daję ci tysiąc dwieście franków na toaletę. (Słowa te wyrzekł ze szczególnym naciskiem). Dom kosztuje cztery tysiące franków; na dzieci idzie co najmniej pięćset; ja biorę dla siebie tylko osiemset. Pranie, opał i światło wynoszą około tysiąca; zatem nie zostaje więcej niż sześćset franków, które nigdy nie wystarczyły nam na nieprzewidziane wydatki. Aby kupić ten brylantowy krzyżyk, trzeba by podjąć trzy tysiące franków z kapitału; otóż gdybyśmy raz weszli na tę drogę, moja ślicznotko, nie zostałoby w końcu nic innego, jak tylko opuścić Paryż, który tak kochasz, i przenieść się na prowincję, aby tam ratować nadwreżony mająteczek. Dzieci rosną z każdym dniem i wydatki także! No, kochasiu, bądźże rozsądna!

– Będę, bo muszę – odparła – ale zarazem będę jedyną żoną w Paryżu, która nie dostanie od męża gwiazdki.

To mówiąc umknęła jak student, któremu zadano karę. Mój nauczyciel potrząsnął głową z zadowoleniem. Skoro drzwi się zamknęły, zatarł ręce, wymieniliśmy parę zdań o wojnie hiszpańskiej i niebawem byłem w drodze na ulicę de Provence. To, że w tej chwili przeszedłem pierwszą część wielkiej lekcji o najważniejszych sprawach pożycia małżeńskiego, było tak odległe od mej świadomości, jak myśl o zdobyciu Konstantynopola przez generała Dybicza. Przybyłem w porze, gdy moi gospodarstwo siadali do stołu po półgodzinie oczekiwania, wymaganej przez gastronomiczną etykietę. Jeśli się nie mylę, zabieraliśmy się właśnie do pasztetu z gęsich wątróbek, kiedy piękna gospoia rzekła swobodnie do męża:

– Olesiu, gdybyś był poczciwy, kupiłbyś mi tę parę koleczyków, którą widzieliśmy u Fossina.

– Żeńże się tutaj!... – zawołał ze śmiechem mój przyjaciel wyjmując z portfela trzy tysiączki i migając nimi tuż przed błyszczącymi oczyma żony. – Nie umiem się oprzeć pokusie ofiarowania ci ich, tak jak ty ochocie ich przyjęcia. Przecież to dziś rocznica naszego poznania! Może brylanty będą ci ją przypominać!...

– Niegodziwy!... – rzekła z czarującym uśmiechem. Sięgnęła za gors i wyjmując bukiet fiołków rzuciła je z dziecięcym dąsem w twarz memu przyjacielowi. Aleksander podał jej banknoty, wołając:

– Widziałem kwiaty, widziałem!

<sup>46</sup> C o u l o n – współczesny Balzakowi nauczyciel tańca.

<sup>47</sup> „F o r t u n i o” – powieść Teofila Gautier, wydana w r. 1838.

Nigdy nie zapomnę zwinnego ruchu i radosnej chciwości, z jaką młoda kobieta, podobna do kota dosięgającego myszki aksamitną łapką, pochwyciła trzy papierki, zwinęła je w palcach, różowa z uciechy, i ukryła je w miejsce fiołków, które przed chwilą jeszcze przepajały zapachem jej łono. Mimo woli przyszedł mi na myśl mój profesor matematyki. W tej chwili widziałem między nim a jego uczniem różnicę tylko taką, jaka istnieje między człowiekiem gospodarnym a lekkomyślnym rozrzutnikiem; nie przeszło mi przez głowę, że ten, który na pozór lepiej umiał rachować, w istocie rachował najgorzej.

Śniadanie zakończyło się oczywiście bardzo wesoło. Wkrótce znaleźliśmy się w małym, świeżutko urządzonym saloniku, siedząc wygodnie przy kominku, którego dobroczynne ciepło łaskotało nerwy, pozwalało zapomnieć o mrozie i budziło w sercu wiosenne uczucia. Jako gość, czułem się w obowiązku powiedzieć zakochanej parze parę komplementów na temat ich małej kapliczki.

– Szkoda tylko, że to taka droga historia!... – odparł przyjaciel. – Ale cóż? Trzeba, by gniazdko było godne ptaszyny! Licho cię nadało chwalić przede mną portierek jeszcze nie zapłacone!... Przypominasz mi w słodkiej chwili trawienia, że szelmie tapicerowi jestem winien jeszcze dwa tysiące.

Na te słowa gosposia powiodła wzrokiem po ślicznym buduaru i twarzyczka jej, rozradowana przed chwilą, powlekła się zamyśleniem. Aleksander ujął mnie za rękę i pociągnął do okna.

– Nie mógłbyś przypadkiem pożyczyć mi jakich sto pięćdziesiąt ludwików? – rzekł półgłosem. – Mam, jak wiesz, ledwie dziesięć do dwunastu tysięcy franków rocznie, a w tym roku...

– Olesiu – zawołało kochane stworzenie podbiegając i wyjmując owe trzy banknoty. – Olesiu... ja widzę, że to było szaleństwo z mej strony!...

– Cóż ty znów wyprawiasz – odparł – schowajże swoje pieniądze.

– Ależ, mój najdroższy, ja ciebie rujnuję! Powinna bym wiedzieć, że mnie zanadto kochasz, abym mogła sobie pozwolić na zwierzanie ci swoich pragnień...

– Schowaj to, małeńka, i trzymaj swoją zdobycz. To nic, spróbuję grać tej zimy i odegram wszystko!...

– Grać!... – zawołała z wyrazem grozy. – Olesiu, weź te pieniądze! Olesiu, ja proszę, ja każę!

– Nie, nie – odparł mój przyjaciel odsuwając białą rączkę – przecież wybierasz się we czwartek na bal do pani de...?

– Pomyślę nad tym, o co mnie prosiłeś – rzekłem, żegnając się, do przyjaciela.

I wysunąłem się skłoniwszy się pani, ale rozumiałem dobrze, wnosząc ze sceny, jaka się zapowiadała, że tu moje najbardziej anakreontyczne ukłony nie zrobiłyby wrażenia.

„On chyba ma źle w głowie – myślałem po drodze – u studenta praw szukać stu pięćdziesięciu ludwików!”

W pięć dni po tej wizycie znalazłem się u pani de..., której bale zaczynały wchodzić w modę. W błyszczącym zgiełku kadryla spostrzegłem żonę mego przyjaciela, jak również żonę matematyka. Pani Olesiowa miała zachwycającą toaletę, której cały zbytek stanowiła biała gaza i trochę kwiatów. Na szyi miała mały krzyżyk *à la Jeannette*, na czarnej aksamitce, która podnosiła jeszcze białość delikatnej cery. Drobne uszka ozdobione były skromnymi złotymi gruszczkami. Natomiast na szyi pani profesorowej błyszczał wspaniały brylantowy krzyż.

– Dziwne, doprawdy – rzekłem do pewnej osobistości, która nie umiała jeszcze czytać ani w wielkiej księdze świata, ani w tajnikach kobiecego serca.

Tą osobistością byłem ja sam. I jeśli przysłała mi w tej chwili ochota zaprosić te dwie piękne panie do tańca, to jedynie dlatego, że otwierał mi się temat do rozmowy, który dodawał odwagi mojej nieśmiałości.

– Ach, więc dostała pani upragniony krzyżyk?... – rzekłem do „pani profesorowej”.

– Tak, ale dobrze zapracowany!... – odparła z niepodobnym do opisanego uśmiechem.

– Jak to? Nie mamy kolczyków?... – spytałem żony przyjaciela.

– Och, nacieszyłam się nimi przez całe jedno śniadanie!... Ale, jak pan widzi, udało mi się wytłumaczyć Olesiowi...

– Tak łatwo dał się uwieść?

Rzuciła mi spojrzenie pełne triumfu.

Osiem lat upłynęło, zanim ta scena, wprzód dla mnie martwa, ożyła nagle w moim wspomnieniu; wówczas, przy jarzącym blasku świec, wśród migotania brylantów, odczytałem wyraźnie cały jej morał. Kobieta nie znosi dowodzeń; kiedy ją przekonywać, poddaje się pokusie, zostając w ten sposób w swej naturalnej roli. Dla niej ustąpić znaczy wyświadczyć dobrowolną łaskę; ale ściśle rozumowanie drażni ją i zabija; aby nią kierować, trzeba posługiwać się siłą, której ona sama używa tak często: uczuciem. Zatem nie w sobie, ale w żonie znajdzie mąż pierwiastki swego despotyzmu: jak diament szlifuje się tylko diamentem, tak samo trzeba umieć zwracać jej kobiecość przeciwko niej samej. Umieć ofiarować kolczyki tak, aby je dostać z powrotem, to tajemnica, która przejawia się we wszystkich szczegółach życia.

Przejdźmy obecnie do drugiego spostrzeżenia.

„Kto umie rządzić jednym tomanem<sup>48</sup>, potrafi rządzić i stoma tysiącami” – powiada indyjskie przysłowie; co do mnie, rozszerzam jeszcze tę azjatycką mądrość, mówiąc:

Kto potrafi panować nad kobietą, potrafiłby panować nad narodem. Istnieje niewątpliwie wiele analogii między tymi dwoma sposobami rządzenia. Czyż polityka mężów nie powinna zapatrywać się na politykę królów? Czyż nie widzimy, jak starają się zabawić lud, aby mu wydrzeć wolność; jak mu rzucają na głowę łakocie przez jeden dzień, aby zapomniał o nędzy całego roku; jak mu prawią kazania, że kradzież jest grzechem, łupiąc go równocześnie, i jak mu powiadają: „Zdaje mi się, że gdybym był ludem, byłbym cnotliwy”.

Najdoskonalszy przykład postępowania, jakie mężowie powinni wprowadzić w czyn, znajdziemy w Anglii. Kto tylko ma oczy do patrzenia, musiał dostrzec, że od czasu jak sztuka rządzenia wydoskonaliła się w tym kraju, wigowie rzadko dochodzą do władzy. Długie ministerium torysów następowało zawsze po przejściowym gabinecie liberalnym. Mówcy narodowego stronnictwa podobni są do szczurów, ścierających zęby na gryzieniu nadgniłej deski, w której zatyka się dziurę w chwili, gdy już czują zapach orzechów i słoninki w królewskiej spizarni. Kobieta jest wigiem twego rządu. W sytuacji, w której ją zostawiliśmy, musi ona dążyć oczywiście do niejednego przywileju. Przymknij oczy na jej zabiegi, pozwól jej zużyć siły na przebycie połowy stopni twego tronu; kiedy zaś już myśli pochwycić berło, przewróć ją nagle na ziemię, łagodnie i z wdziękiem, wołając „Brawo!” i zostawiając nadzieję bliskiego triumfu. Ten zdradziecki system winien być podstawą wszystkich środków, które dla ujarzmięcia żony spodoba ci się wybrać w naszym arsenale.

Takie są ogólne zasady, którymi musi kierować się mąż, jeśli nie chce popełniać błędów w swym małym królestwie.

A teraz, pomimo opinii mniejszości na soborze w Mâcon<sup>49</sup> (Monteskiusz, który może odgadł ustrój konstytucyjny, powiedział, nie pamiętam już gdzie, że zdrowy rozsądek znajduje się w każdym zgromadzeniu po stronie mniejszości), rozróżnimy w kobiecie duszę i ciało i zaczniemy od środków służących do opanowania jej duchowej istoty. Funkcje myśli są, bądź co bądź, szlachetniejsze niż funkcje ciała, damy zatem pierwszeństwo wiedzy przed kuchnią, oświacie przed higieną.

---

<sup>48</sup> T o m a n – złota moneta perska.

<sup>49</sup> Mowa o drugim s o b o r z e w M â c o n, który odbył się w r. 585; nie rozpatrywano tam kwestii, czy kobieta ma duszę, ale czy łaciński wyraz *homo* (człowiek) stosować i do kobiet.

## ROZMYŚLANIE JEDENASTE

### *O wykształceniu w małżeństwie*

Kształcić kobietę czy nie – oto całe zagadnienie. Ze wszystkich, któreśmy dotąd poznali, ono jedno przedstawia tylko dwa krańcowe punkty widzenia. Wiedza i nieświadomość – oto dwie nie dające się pogodzić granice problemu. Między tymi dwiema przepaściami mający nam postać Ludwika XVIII, jak z filozoficznym spokojem rozważa szczęśliwości wieku trzy-nastego, a niedole dziewiętnastego. Siedząc w samym środku huśtawki, którą umiał tak zręcznie poruszać swym ciężarem, ogląda na jednym jej końcu fanatyczne nieuctwo mnicha, tępotę przykutego do ziemi chłopca, błyszczące podkowy orszaku feudalnego pana, już, już zdaje mu się, że słyszy okrzyk: „France et Montjoie–Saint–Denis...”<sup>50</sup> – Ale w tej samej chwili odwraca się i uśmiecha patrząc na uroczystą minę mieszczucha, kapitana gwardii narodowej, na elegancki pojazd giełdowego ajenta, na skromny surdut para Francji, który został dziennikarzem, a syna oddał do Szkoły Politechnicznej, na kosztowne materie, na dzienniki, maszyny parowe i – popija spokojnie kawę z sewrskiej filiżanki, na której dnie błyszczy jeszcze wielkie *N*, uwieńczone koroną.

Precz z cywilizacją! precz z wolną myślą! – to będzie twoje hasło. Winienesz ziać nienawiścią do wykształcenia kobiet, z przyczyny tak dobrze pojmowanej w Hiszpanii, iż łatwiej rządzić gromadą idiotów niż narodem uczonych. Naród doprowadzony do ogłupienia jest szczęśliwy; jeżeli nie ma poczucia wolności, nie ma w zamian jej burz i niepokojów. Żyje życiem polipów na dnie morskim; jak one, może się dzielić na dwie lub trzy części; każda część jest wciąż jeszcze pełnym i żywym narodem, którym może rządzić pierwszy lepszy ślepiec zbrojny pastorałem.

Cóż sprawia ten cud? Niewiedza; dzięki niej jedynie utrzymuje się despotyzm; trzeba mu ciemności i milczenia. Otóż szczęście w małżeństwie jest, jak w polityce, szczęściem negatywnym. Przywiązanie ludów do króla w absolutnej monarchii jest może mniej przeciwne naturze niż wierność żony mężowi wówczas, gdy już nie łączy ich miłość; wiemy zaś, iż w twoim małżeństwie miłość postawiła już nogę na obramieniu okna, gotowa do odlotu. Musisz zatem, chcąc czy nie chcąc, wprowadzić owe zbawienne środki ochronne, za pomocą których pan de Metternich przedłuża swoje *status quo*<sup>51</sup>, ale radzimy ci stosować je jeszcze zręczniejsze i

---

<sup>50</sup> France et Montjoie–Saint–Denis – wojenny okrzyk wojsk królów francuskich.

<sup>51</sup> Status quo (łac.) – obecny stan rzeczy.



dobroduszniej, gdyż żona twoja jest przebieglejsza od wszystkich Niemców razem, a równie zmysłowa jak Włosi.

Będziesz więc starał się odsuwać jak najdłużej chwilę, w której żona zażąda książki. Przyjdzie ci to z łatwością. Zawczasu zaczniesz wymawiać pogardliwie epitet *s a w a n t k a*, a zapytany, wyłożysz jasno całą śmieszność kobiety chorującej na uczoność.

Później będziesz jej często powtarzał, iż najmilsze i najsprytniejsze w świecie istoty znajdują się w Paryżu, gdzie kobieta nigdy nie bierze książki do ręki;

że kobiety są jak ludzie dobrze urodzeni, którzy, zdaniem Maskaryla<sup>52</sup>, umieją wszystko, nie ucząc się niczego;

że kobieta, czy to w tańcu, czy wśród zabawy, powinna, na pozór nie słuchając prawie, umieć chwytac z rozmów inteligentnych ludzi owe gotowe frazesy, z których w Paryżu dudki klecą dowcip;

że w tym kraju podaje się z ręki do ręki bezapelacyjne sądy o ludziach i rzeczach i że stanowczy tonik, jakim kobieta krytykuje autora, w puch rozbija dzieło, bagatelizuje obraz, ma większą doniosłość niż wyrok trybunału;

że kobieta jest pięknym zwierciadłem, które samo przez się odbija najświetniejsze idee;

że wrodzona inteligencja jest wszystkim i że to, czego można się nauczyć w świecie, kształci o wiele więcej niż to, co się wyczyta w książkach; wreszcie, że czytanie pozbawia oczy blasku itd.

Pozwolić kobiecie czytać książki, które ją ciągną!... ależ to znaczy rzucić iskrę do prochu; gorzej, to znaczy nauczyć żonę obchodzić się bez ciebie, żyć w świecie imaginacji, w raju! Cóż bowiem czytają kobiety? Książki przepojone namiętnością, „Wyznania” Jana Jakuba, powieści, utwory najsilniej działające na ich wrażliwość. Nie lubią ani rozsądku, ani dojrzałych owoców. A czyż zastanowiłeś się kiedy nad zjawiskami wywołanymi przez tę poetyczną lekturę?

Powieści, a nawet, można rzec, w ogóle książki, malują uczucia i fakty barwami o ileż świetniejszymi niż te, które widzimy w naturze. Urzeczenie to wypływa nie tyle z wrodzonej każdemu autorowi chęci okazania własnej doskonałości, rozwinięcia wyszukanych i wykwintnych myśli, ile raczej z nieuchwytniej pracy naszego umysłu. Losem człowieka jest oczyszczać i uszlachetniać wszystko, co wchłania w skarbnicę myśli. Która twarz, który pomnik nie wychodzą na rysunku upiększone? Dusza czytelnika współdziała w tym spisku przeciw prawdzie bądź przez głęboką ciszę, jaką się napawa, bądź przez płomienną wrażliwość odczuwania lub czystość, z jaką obrazy odbijają się w mózgu. Któż z nas, czytając „Wyznania” Jana Jakuba, nie wyobrażał sobie pani de Warens piękniejszą, niż była w istocie? Zda się, jak gdyby dusza pieściła się kształtami, które niegdyś oglądała pod piękniejszym niebem; twory drugiej duszy są dla niej tylko skrzydłami, na których wzbija się w przestworza. Najdelikatniejszy rys udoskonala ona jeszcze, przyswajając go sobie na własność; najpoetyczniejsze wyrażenie, odbite w jej zwierciadle, staje się jeszcze czystszy obrazem. Czytać – znaczy niemal współtworzyć. Czyż te tajemne transsubstancjacje myśli są przecuciem jakichś przeznaczeń wyższych niż doczesne losy? Czy mglistym wspomnieniem utraconego bytu? Jakiż on być musiał, skoro to, co z niego zostało, daje nam tyle upojeń?...

Toteż czytając dramaty i powieści kobieta, istota o wiele skłonniejsza od nas do podnieceń wyobraźni, musi doznawać upajających wzruszeń. Stwarza sobie idealne istnienie, wobec którego świat cały blednie; niebawem zapragnie urzeczywistnić to życie pełne rozkoszy, czary jego przenieść na siebie samą. Mimo woli przejdzie od ducha do litery, od duszy do zmysłów.

---

<sup>52</sup> *M a s k a r y l* – postać z komedii „Pocieszne wykwintnisie” Moliera; wspomniane słowa wypowiada w akcie I, scenie 10.

I ty byłeś na tyle naiwny, by przypuszczać, że towarzystwo, że uczucia człowieka takiego jak ty, który, przeważnie, ubiera się, rozbiera i... itd. w obecności żony, będą mogły skutecznie walczyć z uczuciami zawartymi w tych książkach, z urojonymi kochankami, na których stroju piękna czytelniczka nie dopatrzy dziury ani plamy?... Biedny głupcze! zbyt późno, niestety! na swoje i twoje nieszczęście, żona przekona się, iż bohaterowie poezji są w życiu równie rzadcy jak Apolliny rzeźby!...

Wielu mężów znajdzie się w kłopotcie, w jaki sposób żonom zabronić czytania; niektórzy będą nawet utrzymywali, iż czytanie ma tę zaletę, że przynajmniej wiedzą, co żony robią wówczas, gdy czytają. Przede wszystkim dowiedzie się w następnym rozmyśleniu, do jakiego stopnia życie siedzące czyni kobietę wojowniczą; ale czyż nigdy nie spotkaliście owych prozaicznych ludzi, którym udało się przywieść swoje biedne połowice do zupełnej martwoty, sprowadzając życie do jego mechanicznych objawów? Przysłuchujcie się rozmowom tych wielkich ludzi; uczcie się na pamięć wspaniałych wywodów, w których skazują na śmierć poezję i rozkosze wyobraźni.

Ale gdyby mimo wszystkich wysiłków żona upierała się czytać... daj jej natychmiast do rozporządzenia wszystkie książki, od abecadła jej malca aż do „Renego”, książki jeszcze niebezpieczniejszej dla ciebie w jej rękach niż „Teresa-filozofka”<sup>53</sup>. Mógłbyś zaszczepić jej śmiertelny wstręt do czytania, podsuwając jej książki nudne, lub ogłupić ją doszczętnie za pomocą „Marii Alacoque”<sup>54</sup>, „Szczotki pokuty” lub zbioru modnych piosenek z czasów Ludwika XV; ale później znajdziesz w tym dziele sposoby tak dokładnego wypełnienia czasu żony, że wszelkie czytanie stanie się niemożliwe.

A zresztą, gdy chodzi o to, aby odciągnąć żonę od jej przelotnego zachcenia wiedzy, zważ tylko, jak olbrzymią pomocą w tej mierze jest dla ciebie dzisiejszy sposób wychowywania kobiet. Spójrz, z jaką godną podziwu biernością dziewczęta poddały się narzuconemu im we Francji systemowi nauczania. Wydajemy je na łup bonom, pannom do towarzystwa, guwernantkom, które w miejsce jednej szczerzej i prostej myśli wpoją im dwadzieścia kłamstw zalotności i fałszywego wstydu. Dziewczęta wychowywane są jak niewolnice i wzrastają w przeświadczeniu, iż zadaniem ich na świecie jest naśladować swoje babki, hodować kanarki, suszyć zielniki, podlewać róże bengalskie, wyszywać na krosnach i haftować kołnierzyki. Toteż o ile w dziesiątym roku życia dziewczynka przewyższa chłopca żywością i sprytem, w dwudziestym staje się nieśmiała i niezaradna. Będzie się lękać pająka, szczebiotać bezmyślnie, myśleć o szmatkach, mówić o modach; nie będzie w niej materiału ani na troskliwą matkę, ani na wierną żonę.

Oto droga, którą ją prowadzono: nauczono ją malować różyczki, haftować chusteczki – praca warta osiem su dziennie. Poznały historię Francji z pana Ragois, chronologię z „Tabel obywatela Chantreau”, a młodej jej wyobraźni pozwolono się wyburzyć w nauce geografii; wszystko w tym celu, aby osłonić serduszko przed niebezpieczeństwem. Ale równocześnie matki, nauczycielki powtarzały im niestrudzenie, że cała wiedza kobiety mieści się w sztuce noszenia owego figowego listka, który wdziwała matka nasza Ewa. Piętnaście lat, powiada Diderot, nie słyszy nic innego, niż: „Moje dziecko, listek figowy leży niedobrze; moje dziecko, listek figowy jest ci dziś bardzo do twarzy; córeczko, czy nie byłoby lepiej włożyć go tak a tak?”

Utrzymuj zatem żonę w tym pięknym i szlachetnym zakresie wiadomości. Gdyby przypadkiem zapragnęła mieć bibliotekę, kup jej Floriana, Malte-Bruuna, „Świat wrózek”, „Tyśiąc i jedną noc”, „Róże” Redoutego, „Obyczaje Chin”, „Gołąbki pani Knip”, wielkie dzieło o

---

<sup>53</sup> „R e n é” – powieść Chateaubrianda, wydana w r. 1805; „Teresa filozofka” – głośny a drastyczny romans, wydany w r. 1748.

<sup>54</sup> „Maria Alacoque” – głośna książka dewocyjna.

Egipcie itd. Słowem, idź za roztropną radą księżniczki, która słysząc o rozruchach spowodowanych drożyzną chleba spytała: „Czemuż nie jedzą biskoptów?...”

Może któregoś wieczoru żona uczyni ci wymówkę, że jesteś zasepiony i milczący, może powie ci kiedyś, że jesteś milusi, gdy popełnisz kalambur, ale to są tylko drobne ułomności naszego systemu. Cóż ci szkodzi zresztą, że wychowanie kobiet we Francji jest najzabawniejszą niedorzecznością i że dzięki temu małżeńskiemu obskurantyzmowi znajdziesz się z lalką w rękach zamiast kobiety? Skoro nie masz dość odwagi, aby podjąć piękniejsze zadanie, czy nie lepiej dla ciebie wlec żonę ubitą i pewną kolejką niż odważyć się ją wieść nad strome otchłanie miłości? Ma być wprawdzie matką, ale wszak tobie nie zależy na tym, aby być ojcem Grakchów, ale aby być rzeczywiście *pater, quem nuptiae demonstrant*<sup>55</sup>: zatem, aby ci dopomóc w tym przedsięwzięciu, winniśmy uczynić z tej książki arsenał, w którym każdy, zależnie od charakteru żony i własnego, znalazłby broń do zwalczania straszliwego ducha Zła, zawsze gotowego obudzić się w duszy małżonki. Zresztą, wszystko zważywszy, wobec tego, że ignoranci są najzaciętszymi wrogami wykształcenia kobiet, wierzymy, iż rozmyślanie to stanie się brewiarzem większości mężów.

Kobieta, która otrzymała męskie wykształcenie, posiada niewątpliwie przymioty umysłu bogate w szczęście dla niej i dla męża, ale taka kobieta jest zjawiskiem rzadkim jak samo szczęście, jeśli zatem nie posiadasz takiej istoty, winienesz w imię wspólnego dobra trzymać żonę w sferze myśli, w której się urodziła. Trzeba pamiętać i o tym, że nagle wezbranie jej pychy może stać się dla ciebie zgubą, sadzając na tronie niewolnicę, której pierwszą chęcią będzie nadużyć władzy.

Ostatecznie, trzymając się systemu wskazanego przez nasze rozmyślanie, człowiek wyższy potrzebuje tylko rozmiąć swoje myśli na drobną monetę, jeśli chce porozumieć się z żoną – o ile w ogóle taki człowiek popełni tę niedorzeczność, aby zaślubić owo biedne stworzonko miast pojąć młodą osobę, której serce i duszę poznał i wypróbował od dawna.

To ostatnie spostrzeżenie matrymonialne nie ma bynajmniej zamiaru doradzać wszystkim *l u d z i o m w y ż s z y m*, aby szukali *w y ż s z y c h k o b i e t*: nie chcielibyśmy, aby ktoś tłumaczył sobie nasze poglądy na sposób pani de Stael, która zastawiała grube sidła na Napoleona. Te dwie istoty byłyby z pewnością bardzo nieszczęśliwym małżeństwem, a Józefina przedstawiała typ żony o ileż doskonalszy niż ta *virago*<sup>56</sup> dziewiętnastego wieku!

Och, nie! skoro kreśliły pochwałę tych wyjątkowych kobiet, tak szczęśliwie stworzonych przez przypadek, tak przednio ukształtowanych przez naturę, że ich dusza, choć pełna miękkości, umie się dostroić do surowego tonu wielkiej duszy *c z ł o w i e k a* w pełnym tego słowa znaczeniu, mamy na myśli owe szlachetne a rzadkie istoty, których wzór przekazał nam Goethe w Klarcy w swoim „Egmoncie”. Myślmy o tych kobietach, które nie szukają innej chwały prócz tej, aby dobrze pełnić swą rolę, które z zadziwiającą podatnością naginają się do pragnień i woli tych, których natura dała im za panów, wznosząc się na przemian w bezkresy ich myśli, to znów zniżając się do tego, aby ich bawić jak dzieci, rozumiejące i dziwactwa tych tak udręczonych dusz, i najdrobniejsze słowa, i przelotne spojrzenia, szczęśliwe z milczenia mężczyzny i szczęśliwe z jego wylania, pojmujące wreszcie, że rozrywki, poglądy i moralność lorda Byrona nie mogą być te same, co lada mydlarza. Ale stójmy, obraz ten odciągnąłby nas zbyt daleko od przedmiotu: mowa tu o małżeństwie, nie o miłości.

---

<sup>55</sup> *Pater, quem nuptiae demonstrant* (łac.) – ojciec, którego wskazuje małżeństwo.

<sup>56</sup> *Virago* (łac.) – kobieta o męskim usposobieniu, herod-baba.

## ROZMYŚLANIE DWUNASTE

### *Higiena małżeńska*

Celem tego rozmyślenia jest przedłożyć twej uwadze nowy środek, za pomocą którego z nieodpartą siłą będziesz mógł naginać wolę żony. Chodzi o wyzyskanie wpływu, jaki na istotę moralną człowieka mają niedomagania fizyczne oraz umiejętne stopniowanie zmyślnej diety.

To ważne zagadnienie medycyny małżeńskiej uśmiechnie się z pewnością owym podagrykom, niedołączom, astmatykom i legionowi starców, których zbudziliśmy z apatii rozdziałem o predestynowanych; ale przede wszystkim dotyczy ono mężów dość odważnych, aby wstąpić na drogi makiawelizmu, godnego owego wielkiego króla Francji, który silił się utrwalić szczęście narodu kosztem kilku feudalnych głów. Tu kwestia jest ta sama. Również chodzi o amputację lub osłabienie niektórych członków dla dobra całości.

Czy wyobrażasz sobie, iż ognisty kawaler, poddany diecie złożonej z ziółek hanei, ogórka, sałaty oraz pijawek za uszami, zaleconych przez Sterne'a, byłby niebezpieczny dla cnoty twej żony? Przypuśćcie, iż zręcznemu dyplomacie udałoby się umieścić na głowie Napoleona stałą kataplazm lub wsunąć mu co rano enemę z miodem, czyż myślicie, że Napoleon, Napoleon Wielki, byłby zdolny podbić Włochy? Czy Napoleon był w istocie ofiarą straszliwych cierpień pęcherza w czasie kampanii rosyjskiej?... Oto kwestia, której rozwiązanie ciążyło nad losami kuli ziemskiej. Czyż nie jest znaną rzeczą, iż środki oziębiające, tusze, kąpiele itd., mogą spowodować przełom w ostrych chorobach mózgu? W lipcowe upały, gdy wszystkie pory ciała przesączają zwolna i zwracają rozpalonej atmosferze mrożone napoje, które pochłaniasz Jednym haustem, czyż czujesz w sobie owo źródło siły, jędrność myśli, pełnię energii, które parę miesięcy wprzód czyniły ci życie tak lekkim i rozkosznym?

Nie, nie, żelazo najszczelniej wlutowane w najtwardszy kamień rozluźni się w końcu i ochwieje pod wpływem nieznacznych wahań ciepła i zimna, którym podlega atmosfera. Przyjmijmy więc w zasadzie, że jeżeli atmosfera posiada wpływ na człowieka, tym samym człowiek musi jeszcze silniej oddziaływać na wyobraźnię swych bliźnich, zależnie od mniejszej lub większej siły, z jaką promieniuje jego w o l a, stwarzająca dokoła niego prawdziwą a u r ę.

W tym leży istota talentu aktora, istota poezji i fanatyzmu, gdyż poezja jest wymową słowa, jak fanatyzm wymową czynów; w tym wreszcie tkwi zasada nowej nauki, jeszcze drzemającej w kołysce.

Ta wola, tak potężnie działająca z człowieka na człowieka – fluid nerwowy, tak lotny i przenośny – sama zależna jest od zmian naszego ustroju, a ileż okoliczności wpływa na ustrój ten, tak wąty! Na tym ograniczymy się w naszej metafizycznej obserwacji i wrócimy do rozbioru czynników, które stanowią o woli człowieka i doprowadzają ją do najwyższego napięcia lub omdlenia.

Nie przypuszczaj jednak, iż celem naszym jest skłonić cię, byś okładał kataplazmami honor żony, zamykał ją w łaźni lub pieczętował jak list; nie. Nie będziemy nawet próbowali wyklądać ci zasad magnetyzmu, który pozwoliłby ci przelać swą wolę w duszę żony: nie ma męża, który by się zgodził na szczęście wiecznej miłości za cenę tego ustawnego napięcia sił nerwowych. Spróbujmy natomiast nakreślić nieodparty system higieny, za pomocą którego będziesz mógł stłumić ogień, skoro zacznie grozić pożarem.

Ażeby znaleźć środki wiodące do celu, nie potrzebujemy nawet zstępować do arsenału misteriów leczniczych po cztery zimne nasiona, nenufar i tysiąc innych, godnych czarownic wymysłów; pozostawimy nawet Elienowi jego haneę, a Sterne'owi melony i ogórki, które zdradzają zbyt wyraźnie intencję działania czyszczącego. Znajdziemy dostateczny zapas środków w nawykach elegantek Paryża i stolic prowincjonalnych (elegantki bowiem stanowią odrębną grupę w klasie przyzwoitych kobiet).

Pozwól żonie leżeć wygodnie całymi dniami na owych przytulnych kanapkach, zwanych berżerkami, w których zanurza się w istnej kąpieli z puchu i pierza. Popieraj wszelkimi środkami, które nie wchodzi w zatarg z sumieniem, zamiłowanie kobiet do oddychania jedynie przepojonym pachnidłami powietrzem rzadko otwieranego pokoju, do którego światło ledwo się wdiera przez warstwę przejrzystych, rozkosznych muślinów.

Z tego systemu dobędziesz cudowne skutki, przetrwawszy wszelako stany podniecenia, które zrazu powoduje; ale jeśli zdołasz przetrzymać to chwilowe napięcie nerwów u żony, ujrzysz wkrótce, jak jej sztuczna energia wyczerpuje się i słabnie. Na ogół kobiety lubią żyć szybko, ale skoro przewali się burza wrażliwości, przychodzi spokój, pełen otuchy dla szczęścia męża.

Czyliż Jan Jakub, czarującym głosem Julii, nie przekonywa twjej żony, iż zyska niewymownie na wdzięku, nie bezczeszcząc delikatnego żołądka i boskich usteczek przetwarzaniem na miazgę trawienną pospolitych kawałów wołowiny i udźców baranich? Czyż jest w świecie coś nieskalańszego niż owe wdzięczne jarzynki, zawsze świeże i bezwonne, barwne owoce, kawa, pachnąca czekolada, pomarańcze, owe złote jabłka Atalanty, daktyle Arabii, brukselskie biszkopty: wszystko pokarmy zdrowe i pełne wdzięku, które doprowadzają do upragnionych rezultatów, dając równocześnie kobiecie urok tajemniczej oryginalności? Dieta stwarza kobiecie reputację w jej kółeczku, jak ładna suknia, dobry uczynek lub sprytnie powiedzonko. Pitagoras powinien się stać jej namiętnością, tak jakby Pitagoras był pieskiem lub małpką.

Nie popadaj nigdy w nierozsądek tych mężczyzn, którzy, chcąc się okazać wyżsi nad przesady, zwalczają dogmat kobiecy, że m a ł o j e ś ć t o s p o s ó b z a c h o w a n i a d o – b r e j f i g u r y. Kobiety przestrzegające diety nie tyją, to jasne i pewne; stój na tym stanowisku.

Wysławiaj sztukę, z jaką słynne piękności umiały swą urodę przechować kąpiąc się kilka razy dziennie w mleku lub w wodzie nasyconej substancjami, które wydelikacują skórę, osłabiając równocześnie system nerwowy.

Przestrzegaj ją zwłaszcza, w imię jej szacownego zdrowia, przed zimnymi zmywaniami; ciepła lub letnia woda niech będzie podstawą wszystkich toaletowych czynności.

Broussais będzie twym bożyszczem. Przy najmniejszym niedomaganiu żony i pod najlżejszym pretekstem przystąp do energicznego użytku pijawek; nie wahaj się nawet sam sobie zaaplikować parę tuzinów od czasu do czasu, aby utrwalić w domu system sławnego lekarza. Jako mąż powinieneś z zasady tłumaczyć żonie, że jest zbyt rumiana; próbuj nawet, od czasu

do czasu, wywołać lekkie przekrwienie, aby mieć prawo w danej chwili wprowadzić szwadron pijawek do mieszkania.

Napojem jej winna być woda, lekko zabarwiona burgundzkim winem, przyjemnym w smaku, ale nie podniecającym; wszelkie inne byłoby niewłaściwe.

Nie pozwól nigdy, aby żona piła czystą wodę; byłbyś zgubiony.

„Burzliwy płynie! Z chwilą gdy zaczniesz przec k u śluzom mózgu, patrz, jak ustępują przed twą potęgą! Oto z fal wynurza się Ciekawość, dając znak towarzyszkom, by płynęły tuż za nią; zanurzają się w prądzie. Wyobraźnia siada rozmarzona na brzegu. Siedzi oczyma bieg strumienia i przekształca źdźbła słomy i sitowia na wiązania i maszty. Ledwie dokonała się ta metamorfoza, kiedy Żądza, przytrzymując rękami suknię podkasaną do kolan, przybywa, widzi ten twór wyobraźni i owłada nim. O wy, wodopije, czy dzięki pomocy tego czarodziejskiego źródła tyle razy obróciliście i przekształcili świat według woli, depcąc nogami jego bezsilność, miażdżąc jego oblicze i zmieniając niekiedy nawet postać przyrody?”

Gdybyś przez ten system beczynności, połączony z zaleconą wyżej dietą, nie osiągnął zadowalających wyników, przerzuć się bez wahania do innej metody, której zasady rozwiniemy.

Każdy człowiek rozporządza daną sumą energii. Jeden ma się do drugiego jak dziesięć do trzydziestu, jeden do pięciu itd. Dla każdego istnieje pewna granica, której nie zdoła przekroczyć. Suma energii czy woli, jaką każdy z nas posiada, przejawia się jak ton muzyczny; drga na przemian to silnie, to słabo; zmienia się zależnie od ilości oktaw, które przebiega. Siła ta jest jedna; mimo iż może się wyładować w żądzy, w namiętnościach, w pracy umysłowej czy w trudach fizycznych, spieszy tam, dokąd człowiek ją wzywa. Zapaśnik wydaje ją w razach pięści, piekarz w miesieniu chleba, poeta w natchnieniu, które zużywa ogromne ilości tej siły, tancerz przenosi ją do nóg, słowem, każdy rozrządza nią wedle fantazji; niech zaś jeszcze tej nocy ujrzą Minotaura, siedzącego spokojnie na mym łóżku, jeśli ty, czytelniku, nie wiesz, równie dobrze jak ja, na co trwoni się tej siły najwięcej. Prawie wszyscy mężczyźni zużywają na konieczną pracę lub na zgubne namiętności pokazań sumę energii i woli, którą obdarzyła ich natura; ale nasze p r z y z w o i t e k o b i e t y całe zdane są na pastwę kaprysów i szamotań tej siły, która nie wie, jak się wyburzyć. Jeśli energia żony nie ulotniła się pod wpływem naszej diety, pchnij ją tedy w nieustanny ruch. Znajdź sposób, aby ten kłopotliwy dla ciebie nadmiar wyładował się w pochłaniającym ją zatrudnieniu. Nie przykuwając kobiety do żaren, masz tysiąc środków, aby ją znużyć w jarzmie nieustającej pracy.

Zostawiając ci wybór środków, które zmieniają się zależnie od okoliczności, wskażemy ci taniec jako jedną z najpiękniejszych otchłani, w których grzebie się miłosne zapąły. Ponieważ temat ten dość wyczerpująco omówił jeden ze współczesnych pisarzy, odstępujemy mu głosu:

„Niejedna ofiara, którą zachwyca się oczarowany krąg widzów, zbyt drogo opłaca swe triumfy. Jakichż owoców oczekiwać po wysiłkach tak nieproporcjonalnych do sił tej wątłej płci? Mięśnie, natężane bez miary, żywią się kosztem organizmu. Soki, przeznaczone na to, aby podsycać ogień namiętności i pracę mózgu, odwrócone są ze swej drogi. Brak pragnień, potrzeba spoczynku i najposilniejszych potraw, wszystko to wskazuje na naturę zubożałą, dążącą raczej do uzupełnienia strat niż do wyżycia się. Toteż któryś z mieszkańców kulis mówił mi raz: «żyć z tancerką – znaczy karmić się baraniną; wyczerpujący ich zawód nie może się obejść bez tego energicznego pożywienia». Wierzajcie mi przeto, miłość tancerki to rzecz bardzo zwodnicza: pod sztuczną wiosną dekoracji spotyka się z żalem grunt zimny i jałowy oraz odporne zmysły. Lekarze kalabryjscy zalecają taniec jako lekarstwo na histerię, częstą u kobiet w tym kraju, Arabowie zaś używają prawie tego samego środka u szlacheńskich klaczy, których zbyt lubieżny temperament tamuje zapładnianie. «Głupi jak tancerz» – to w teatrze pospolite przysłowie. Słowem, najlepsze głowy Europy są przekonane, iż wszelki taniec mieści w sobie własności znakomicie ochładzające. „Na poparcie tego trzeba przytoczyć inne jeszcze spostrzeżenia. Życie pasterskie zrodziło skłonności przeciwne naturze.

Prządki były osławione w całej Grecji dla swej rozpusty. U Włochów przeszła w przysłowie lubieżność kobiet kulawych. Hiszpanie, do których żył dostał się przez tyle krzyżowań nieposkromiony żar afrykański, zawarli tajemnicę swych pragnień w maksymie: *Muger y gallina pierna quebrantada* (dobrze jest, aby kobieta i kura miały przetrąconą nogę). Głębokie odczucie sztuki rozkoszy u ludów Wschodu odsłania się całe w rozporządzeniu kalifa Hakima, założyciela Druzów, który zabronił pod karą śmierci wyrabiać w swym państwie wszelkiego obuwia dla kobiet. Widocznie na całym świecie, aby mogły szaleć burze serca, nogi muszą zostawać w spokoju”.

Cóż za wspańiały podstęp: rzucić żonę w trud tańca i żywić ją tylko białym mięsem!...

Nie sądz, że te spostrzeżenia, równie prawdziwe jak dowcipnie nakreślone, sprzeciwiają się poprzedniemu systemowi; w ten czy ów sposób osiągniesz u kobiety pożądany bezwład, rękojmię twego spokoju i bezpieczeństwa. Ostatnim sposobem zostawiasz otwarte drzwiczki, przez które nieprzyjaciel uchodzi; pierwszym wprost go zabijasz.

Tu słyszę już, jak ludzie tchórzliwi i ciaśni potępiają naszą higienę w imię moralności i serca.

Czyż kobieta nie posiada duszy? Czy nie czuje, jak my? Jakim prawem, nie dbając na jej cierpienia, jej myśli, potrzeby, mamy ją obrabiać jak podły metal, z którego rzemieślnik sporządza gasidło lub lichtarz? Czyż dlatego, że te biedne istoty są już z natury słabe i nieszczęśliwe, brutal jakiś ma prawo dręczyć je wyłącznie dla swoich urojeń? A jeśli twój osłabiający lub podniecający system, który zwiotcza, napina lub rozmiękcza nerwy, stanie się powodem ciężkich i okropnych chorób, jeśli wpędzisz do grobu kobietę, którą kochasz; jeśli, jeśli itd.

Oto nasza odpowiedź;

Czy policzyłeś kiedy, ile rozmaitych postaci nadaje Arlekin lub Pierrot swemu białemu kapelusikowi? Obraca go i wywraca tak zręcznie, iż kolejno robi zeń bąka, łódkę, szklanę, półksiężyc, beret, koszyk, rybę, bat, sztylet, dziecko, głowę ludzką itd.

Wierny obraz bezwzględności, z jaką powinieneś urabiać i naginać swą żonę.

Kobieta jest własnością, którą nabywa się kontraktem; jest ruchomością; jest, ściśle mówiąc, tylko przydatkiem mężczyzny; zatem obcinaj, przykrawaj, obrabiaj: jest twoja. Nie troszcz się o jej szemranie, jej krzyki, cierpienia; natura stworzyła ją na nasz użytek, aby dźwigała wszystko: dzieci, zmartwienia, razy i trudy mężczyzny.

Nie oskarżajcie nas o bezlitosność. U wszystkich rzekomo cywilizowanych narodów mężczyzna nakreślił prawa, które rozstrzygają o losach kobiety, pod tym krwawym godłem: *Vae victis!* Biada słabym!

A wreszcie, zastanów się nad tą ostatnią uwagą, najbardziej może przekonywającą ze wszystkich dotychczasowych: jeśli nie ty, mąż, będziesz tym, który złamie pod naporem woli ową wątłą i śliczną trzcinę, pójdzie ona pod cięższe o wiele jarzmo kapryśnego i samowolnego kochanka; będzie znosiła dwie plagi miast jednej. Zważywszy więc wszystko, sama ludzkość powinna cię skłonić do naszej higieny.

## ROZMYŚLANIE TRZYNASTE

### *O środkach osobistych*

Poprzednie rozdziały rozwinęły raczej zasady, niż przedstawiły wprost środki odparcia siły przez siłę. Były to leki ogólne, nie miejscowe. Przejdźmyż teraz owe środki osobiste, które natura dała ci ku obronie. Opatrzność bowiem nie zapomniała o nikim; jeżeli dała sepii (ryba w Morzu Adriatyckim) ciemną farbę, pozwalającą jej otoczyć się w wodzie obłokiem, pod którego zasłoną uchodzi oczom wroga, możesz przypuszczać, że i męża me zostawiła bez oręża; otóż nadeszła chwila dobytca go.

Żeniąc się, zapewne postawiłeś żądanie, aby żona sama karmiła, wtrąć ją zatem w trudy ciąży i karmienia, odsuniesz niebezpieczeństwo przynajmniej na rok lub dwa. Kobieta, zajęta rodzeniem lub karmieniem malca, pozytywnie nie ma czasu myśleć o kochanku; nie mówiąc już, że wygląd jej przed i po fakcie uniemożliwia na pewien czas bywanie w świecie. Jak sobie wyobrazić, aby najbardziej nieskromna z dystyngowanych pań, którymi zajmuje się nasza książka, odważyła się pokazać w odmiennym stanie i obnosić ten ukryty owoc, swoje publiczne oskarżenie? O, lordzie Byronie, ty, który znieść nie mogłeś widoku kobiety jedzącej!...

W pół roku po szczęśliwym rozwiązaniu, skoro malec nassał się do syta, zaczyna kobieta odzyskiwać świeżość i swobodę.

Jeśli żona nie karmiła pierwszego dziecka, masz chyba dość sprytu, aby wyzyskać tę okoliczność i obudzić w niej chęć karmienia tego, które jeszcze nosi w łonie. Czytujesz jej „Emila” Russa, gloryfikujesz obowiązki matki, pobudzasz jej zmysł moralny itd.; słowem, jesteś dudkiem albo człowiekiem z głową: w pierwszym wypadku, nawet przeczytawszy to dzieło, staniesz się pastwą Minotaura, w drugim powinieneś zrozumieć w pół słowa.

Ten pierwszy środek jest na wskroś osobisty. Otworzy przed tobą szerokie pole dla dalszych sposobów.

Od czasu jak Alcybiades obciął psu uszy i ogon, aby oddać przysługę Peryklesowi, skłopotanemu czymś w rodzaju naszej wojny hiszpańskiej i dostaw pana Ouvrard<sup>57</sup>, którymi zajmowali się naówczas Ateńczycy, nie było ministra, który by nie próbował obciąć uszu jakiemuś psu.

---

<sup>57</sup> Gabriel-Julien Ouvrard (1770–1846) – głośny finansista i bankier francuski, który swymi śmiałościami i ryzykownymi machinacjami służył kolejno Republice, Cesarstwu i Restauracji.



Wreszcie i w medycynie, skoro w jakimś ważnym organie pojawi się zapalenie, rozmyślnie wywołujemy w innym miejscu kontrrewolucję za pomocą nacięć, przyżegań, wezykatorii itd.

Drugi środek polega więc na tym, aby zastosować u żony taką wezykatorię, czyli wbić jej w mózg szpilkę, która by ją zakłuła mocno i spowodowała zwrot na twą korzyść.

Pewien bardzo inteligentny człowiek zdołał ciągnąć cztery lata miodowy miesiąc; w końcu księżyc zaczął maleć i przybierać postać złowróżbnego rogalika. Żona znajdowała się dokładnie w tej sytuacji, w jakiej przedstawiliśmy przyzwoitą kobietę z końcem pierwszej części naszego dzieła: poczyniała m i e ć s ł a b o ś ć do pewnego nicponia, który w dodatku był brzydki i niepokąźny; ale bądź co bądź miał tę wyższość, że nie był jej mężem. W tym stanie rzeczy mąż spróbował się ratować obcięciem psiego ogona, które przedłużyło na kilka lat kruche jego szczęście. Wymówić po prostu dom gaszkowi było bardzo trudno, żona bowiem prowadziła grę bardzo sprytnie, a w dodatku łączył ją z wielbicielem stopień dalekiego co prawda pokrewieństwa. Niebezpieczeństwo stawało się z każdym dniem groźniejsze. Zapach Minotaura dawał się czuć wokoło. Pewnego wieczora mąż wrócił do domu głęboko strapiiony; widać było, iż cierpi straszliwie. Żona doszła już do tej fazy, iż okazywała mu więcej uczucia, niż go miała nawet w miodowym miesiącu, toteż troskliwym dopytywaniami nie było końca. Posępne milczenie. Pytania coraz natarczywsze; wówczas wyrwały się mężowi półsłówka zwiastujące wielkie nieszczęście! To podziało na kształt japońskiej moksy, płonącej jak *autodafe*<sup>58</sup> z tysiąc sześćsetnego roku. Zrazu żona rozwinęła tysiąc podstępów, aby dowiedzieć się, czy powodem strapienia jest ów niedoszły kochanek: pierwsze zatrudnienie, na które zużyła mnóstwo przebiegłości. Wyobraźnia pędziła galopem... Kochanek? już nie było o nim mowy. Czyż nie trzeba przede wszystkim odkryć tajemnicy męża? Pewnego wieczora mąż, me mogąc oprzeć się potrzebie zwierzeń, wyznaje wreszcie, iż cały majątek stracony. Trzeba wyrzec się pojazdu, łoży, balów, rozrywek, Paryża; może zakopując się na rok lub dwa na wsi zdołaliby jeszcze wszystko odzyskać! Grając na wyobraźni żony, na jej sercu, ubolewał nad nią, że związała losy z człowiekiem ubóstwiającym ją, to prawda, ale bez majątku; wydarł sobie kilka włosów i żonie nie pozostało nic innego, jak dostroić się do tych wysokich uczuć honoru. Wówczas, w pierwszym szale tej gorączki małżeńskiej, wywiózł ją na wieś. Tam – nowe wezykatorie, synapizmy jedno po drugich, nowe operacje psich ogonów: mąż kazał dobudować gotyckie skrzydło do zamku; pani przewróciła cały park, aby urządzić jeziora, wodospady, perspektywy itd. Do tego mąż, przy tych wszystkich trudach, nie szczędził własnych: wspólne czytania, czułości itd. Zapamiętajcie sobie, iż mąż ów był na tyle roztropny, że nigdy nie przyznał się przed żoną do swego podstępu; jeśli majątek ocalał, to właśnie dzięki budowom, ogromnym sumom wydanym na jeziora i strumienie; wytłumaczył jej, że jezioro daje spadek wody, której siłą porusza się młyny, itd.

Oto dobrze zastosowany synapizm małżeński, gdyż ten mąż nie zaniedbał ani postarać się o dziecko, ani spraszać sąsiadów nudnych, głupich lub starych; jeśli zaś w ciągu zimy zjawili się w Paryżu, rzucił żonę w taki wir balów, sprawunków i zajęć, że nie miała ani chwili wolnej, by pomyśleć o kochanku, który z natury rzeczy jest owocem bezczynności.

Podróże do Włoch, Szwajcarii, Grecji, nagłe choroby, wymagające wód, i to jak najodleglejszych, wszystko to są dość skuteczne wezykatorie. Wreszcie, człowiek inteligentny znajdzie takich nie jedną, ale tysiąc.

Prowadźmy dalej rozważanie środków osobistych.

W tym miejscu musimy zauważyć, iż w rozumowaniach naszych opieramy się na pewnej hipotezie, o ile zaś ona nie odpowiada twemu położeniu, możesz od razu zamknąć książkę. Przyjmujemy mianowicie, iż twój miodowy miesiąc trwał przyzwoity okres czasu i że młoda

---

<sup>58</sup> *A u t o d a f é*, z port. *a u t o - d e - f é* – akt wiary; tak zwano ogłaszanie i wykonywanie wyroków inkwizycji, w szczególności palenie na stosie.

osoba, którą pojąłeś, była dziewicą; w przeciwnym razie, wedle francuskich obyczajów, zaślubiła cię tylko po to, aby cię oszukiwać.

W chwili gdy w małżeństwie rozpoczyna się walka pomiędzy drogą cnoty a drogą wiodącą do fałszywego kroku, punkt ciężkości spoczywa w nieustających a mimowolnych porównaniach, jakie żona czyni między tobą a gachem.

W tym stanie rzeczy istnieje jeszcze jeden środek obrony, wyłącznie osobisty, rzadko używany, ale którego nie obawia się spróbować mężczyzna mający poczucie swej wartości. Polega na tym, aby w tym turnieju odnieść nad gachem zwycięstwo, tak jednakże, aby żona nie podejrzewała w tym zamiaru. Powinieneś doprowadzić ją do tego, aby pewnego wieczora, kręcąc na noc papiloty, rzekła sobie z rozczarowaniem: „Ależ mój mąż więcej wart od niego!”

W walce tej posiadasz nad gachem jedną ogromną wyższość: znasz usposobienie żony, wiesz, co ją drażni lub rani; powinieneś też z całą zręcznością dyplomaty zastawiać mu takie sidła, aby popełniał jedną niezręczność po drugiej i w ten sposób bezwiednie odzierał się z uroku w oczach twej żony.

Zrazu, utartym zwyczajem, gach będzie się starał pozyskać twą przyjaźń lub też będziecie mieli wspólnych przyjaciół; zatem, czy to przez tych przyjaciół, czy też za pomocą zręcznych a przewrotnych domyślników, możesz go wprowadzić w błąd co do zasadniczych punktów; jeśli się weźmiesz umiejętnie do rzeczy, ujrzysz wkrótce, jak żona daje wielbicielowi odprawę, której prawdziwej przyczyny ani on, ani ona nie domyślą się nigdy. Zaimprovizowałeś we własnym domu komedię w pięciu aktach, w której grasz na swój benefis świetną rolę Figara lub hrabiego Almawiwy; i przez kilka miesięcy bawisz się doskonale, tym więcej że twoja miłość własna, ambicja, interes, wszystko jest w tej grze rzucone na kartę.

W młodości miałem szczęście pozyskać sympatię pewnego starego emigranta, który dał memu wychowaniu owo ostatnie dotknięcie, jakie zazwyczaj młodzi ludzie zawdzięczają ręce kobiety. Przyjaciel ten, którego pamięć zawsze pozostanie mi drogą, nauczył mnie swoim przykładem, jak się stosuje w życiu owe dyplomatyczne strategie, wymagające tyleż lekkości, co wdzięku.

Hrabia de Noce wrócił z Koblencji w chwili, gdy pobyt we Francji przedstawiał dla szlachty wielkie niebezpieczeństwo. Nie było chyba człowieka, który by tak przedziwnie łączył odwagę z dobrocią, przebiegłość ze swobodą. Mając lat blisko sześćdziesiąt, poślubił dwudziestopięcioletnią pannę, przywiedziony do tego szaleństwa przez współczucie: chciał wyrwać biedne stworzenie tyranii dokuczliwej matki. „Chce pani zostać moją wdową?...” – spytał przemiły staruszek panny de Pontivy; ale serce jego było zbyt tkliwe, aby się mógł nie przywiązać do żony więcej, niż przystało rozsądnemu człowiekowi w jego położeniu. Ponieważ za młodu przeszedł wysoką szkołę w służbie kilku najświetniejszych pań dworu Ludwika XV, nie tracił nadziei uchronienia młodej hrabiny od niebezpieczeństwa. Któż lepiej od niego umiał stosować te wskazówki, które autor usiłuje zaszczerpić w umyśle każdego męża! Ileż uroku umiał tchnąć w codzienne życie miłym obejściem i pełną wdzięku rozmową!... Żona dowiedziała się dopiero ode mnie, po jego śmierci, iż hrabia cierpiał na podagrę. Z ust jego sączyła się słodycz i uprzejmość, spojrzenie zawsze jaśniało miłością. Jako mieszkanie obrał sobie, bardzo rozsądnie, ustronną dolinę otoczoną lasem, i Bóg wie tylko, w jakich spacerach towarzyszył tam żonie!... Szczęśliwa gwiazda chciała, iż panna de Pontivy miała doskonale serce i posiadała w najwyższym stopniu ową głęboką delikatność i wstydlivość, które byłyby zdolne dodać wdzięku najbrzydszej dziewczynie pod słońcem. Pewnego dnia niespodzianie siostrzeniec hrabiego, przystojny oficer, ocalawszy z oplakanej wyprawy moskiewskiej, zjawił się u wuja, trochę aby się przekonać, o ile ma się obawiać zjawienia przyszłych kuzynów, trochę zaś w nadziei powojowania na swój sposób z młodą cioteczka. Czarne kędziory młodego człowieka, piękny wąs, pewność siebie sztabowego oficera, jakaś wytworna i lekka d e z y n w o l t u r a, oczy iskrzące się życiem – wszystko tworzyło kontrast między wujem a sio-

strzeńcem. Trafiłem właśnie na chwilę, w której młoda pani uczyła swego krewnego tryktra-ka. Przysłowie powiada, iż kobiety uczą się tej gry tylko od kochanków, i na odwrót. Otóż tego poranka pan de Noce pochwycił między żoną a młodym wicehrabią jedno z owych spojrzeń, w których kojarzą się mgliste uczucia niewinności, obawy i pragnienia. Wieczorem zaproponował nam na jutro małe polowanie. Nigdy nie widziałem go tak wesołym i swobodnym jak nazajutrz rano, mimo że już odczuwał bliski napad podagry. Sam diabeł nie potrafiłby zrećniej sprowadzić rozmowy na śliskie tory. Służył niegdyś w muszkietkach i znał Zofię Arnoult<sup>59</sup>: to wystarczy! Wkrótce rozmowa doszła szczytu swobody; Bóg wie, czego się nie plotło!

– Nie przypuszczałem nigdy, że wujaszek był takim fehmistrzem! – rzekł do mnie siostrzeniec.

Zatrzymaliśmy się, by chwilę odpocząć, i skorośmy się rozsiedli na prześlicznej polance, hrabia doprowadził nas do tego, iż rozprawialiśmy o kobietach nie gorzej od Brantoma i Aloysji<sup>60</sup>.

– Szczęśliwi wy jesteście pod dzisiejszym rządem!... Kobiety mają dziś obyczaj!... (Aby ocenić ten wykrzyknik starego hrabiego, trzeba było słyszeć okropności, jakie przed chwilą opowiadał kapitan). I – ciągnął dalej – to jedna z korzyści, które przyniosła nam rewolucja. Miłość nabiera uroku, tajemniczości. Dawniej kobiety były łatwe; otóż nie uwierzylibyście, ile trzeba było dowcipu, werwy i pomysłowości, aby pobudzić te zużyte temperamenty: ciągle musieliśmy być pod bronią. Ale też mężczyzna mógł się stać sławny przez pieprzną anegdotę lub szczęśliwe zuchwalstwo. Kobiety lubią to, moi drodzy; zawsze będzie to z nimi najpewniejszy środek powodzenia!

Ostatnie słowa rzucił z wyraźnym żalem. Zamilkł i począł bawić się kurkiem strzelby, jakby chcąc ukryć ogarniające go wzburzenie.

– Cóż robić!... – ciągnął dalej – mój czas przeszedł! Trzeba mieć młodszą wyobraźnię!... No, i siły!... Po co ja się ożeniłem! A co najzdradliwsze u tych panien, wychowanych przez matki, które pamiętają ów kwitnący wiek miłostek, że przybierają pozory Bóg wie jakiej niewinności, chodzącej cnoty... Wydaje się zrazu, że najśłodszy miód zraniłby ich delikatne usteczka, a kto je zna dobrze, wie, że jadłyby ze smakiem cukierki z soli i pieprzu!

Wstał, podniósł strzelbę i, jakby w nagłym przystępie wściekłości, rzucił ją o ziemię, tak że prawie cała kolba wbiła się w mokrą murawę.

– Zdaje się, że kochana ciocia lubi sobie pofiglować!... – szepnął do mnie oficer.

– I to w przyspieszonym tempie! – dodałem. Siostrzeniec obciągnął krawat, poprawił kołnierzyk i podskoczył wesoło. Wróciliśmy do domu koło drugiej po południu. Hrabia zatrzymał mnie do obiadu w swoim pokoju pod pretekstem wyszukania kilku medalów, o których mi wspominał w powrotnej drodze. Obiad włókł się niewesoło. Hrabina ograniczała się względem siostrzeńca do obowiązkowej i chłodnej grzeczności. Gdyśmy wreszcie przeszli do salonu, hrabia rzekł do żony:

– Zrobicie zapewne partyjkę? Zostawiamy was. Młoda hrabina nie odpowiedziała. Patrzyła w ogień jakby nie słysząc. Mąż zwrócił się ku drzwiom, dając znak, bym mu towarzyszył. Na odgłos kroków hrabina żywo odwróciła głowę.

– Czemu nas panowie opuszczacie?... – rzekła. – Wszak jutro będzie dość czasu na pokazanie panu odwrotnej strony medalów.

Zostaliśmy w salonie. Nie zwracając pozornie uwagi na ledwie dostrzegalne zakłopotanie siostrzeńca, które zajęło miejsce żołnierskiej swobody, hrabia roztaczał cały wieczór niewy-

---

<sup>59</sup> Sophie A r n o u l t (1744–1802) – śpiewaczka Opery Paryskiej, znana z urody i dowcipu.

<sup>60</sup> Pierre de B r a n t ô m e (1535–1614) – autor „Żywotów pań swawolnych”; Louise Sigée, zwana A l o y s i a S i g a e a (1518–1560) – uczona i poetka; pod jej nazwiskiem ogłoszono rozwiązanie dzieła „De arcanis Amoris et Veneris” (O tajemnicach Amora i Wenery), którego autorem był Nicolas Charier.

słowiony urok swego towarzystwa. Nigdy nie widziałem go tak świetnym ani tak serdecznym. Mówiliśmy wiele o kobietach. Żartobliwa rozmowa gospodarza nosiła cechy najwykwintniejszej delikatności. Zapominało się zupełnie o jego siwiźnie, tak głowa ta jaśniała ową młodością serca i umysłu, od której wygładzają się zmarszczki i taje śnieg zim. Nazajutrz siostrzeniec wyjechał. Nawet po śmierci pana de Noce, mimo iż starałem się skorzystać z owych poufnych przyjacielskich rozmów, w których kobiety nie strzegą każdego słowa, nie mogłem się dowiedzieć, czego dopuścił się wicehrabia. Zuchwalstwo musiało być jednak bardzo ciężkie, bo od tego czasu pani de Noce nie chciała na oczy widzieć siostrzeńca, i dziś jeszcze, ile razy ktoś wymówi jego nazwisko, nie może powstrzymać nieznacznego ściągnięcia brwi. Nie od razu przejrzałem cel polowania hrabiego de Noce, później wszelako wydało mi się, iż odważył się on na grę bardzo śmiałą.

Bądź co bądź, jeśli zdołacie kiedy, jak pan de Noce, odnieść tak świetne zwycięstwo, nie zaniedbajcie użyć natychmiast systemu wezykatorii i nie wyobrażajcie sobie, aby można było bezkarnie powtarzać równie karkołomne sztuki. Obchodząc się tak rozrzutnie ze swymi zasobami, skończyłbyś niechybnie bankructwem; żona twoja żądałaby wciąż podwójnej dawki i nadeszłaby wreszcie chwila pustki w szkatułce. Dusza ludzka podlega w swoich pragnieniach prawom jakby arytmetycznego postępu, którego cel jest równie tajemniczy jak źródło. Jak zjadacz opium musi wciąż zdwajać dawki, aby osiągnąć ten sam skutek, tak duch nasz, równie despotyczny jak słaby, żąda, aby nasilenie uczuć, myśli i wydarzeń wciąż się potęgowało. Stąd konieczność umiejętnego rozkładania wrażeń w utworze dramatycznym i stopniowania dawek w medycynie. Pojmujesz zatem, że jeśli posuniesz się kiedy do tych środków, musisz swój śmiały zamiar naginać do wielu okoliczności, a powodzenie będzie zależało zawsze od sprężyn, których potrafisz użyć.

Wreszcie, czy masz wpływy, czy masz potężnych przyjaciół? Zostaje ci ostatni sposób, aby podciąć zło u korzenia. Nie mógłbyś się pozbyć gacha za pomocą awansu, przeniesienia lub zmiany garnizonu, jeśli jest wojskowym? Przecinasz korespondencję, czego sposoby podamy później, i – *sublata causa tollitur effectus*, przysłowie łacińskie, którego wolny przekład mógłby brzmieć: „nie ma skutku bez przyczyny; nie ma pieniędzy – nie ma Szwajcarów”.

Mimo to zdajesz sobie sprawę, iż żona mogłaby łatwo znaleźć innego zalotnika; dlatego, oprócz tych środków doraźnych, zawsze musisz mieć w pogotowiu jakąś wezykatorię, aby zyskać na czasie i ratować się nowym podstępem.

Dobrze byłoby, abyś umiał kombinować system wezykatorii ze sztuczkami Carlina. Nieśmiertelny Carlin z Komedii Włoskiej potrafił godzinami trzymać całe zebranie w napięciu wesołości jedynie za pomocą tych słów, ilustrowanych grą mimiczną i wymawianych tyśiącznymi odcieniami głosu: „Rzekł król do królowej. – Królowa rzekła do króla”. Staraj się naśladować Carlina. Znajdź sposób obracania wniwecz wszelkich jej zamiarów, abyś sam nie dostał mata. Bierz u konstytucyjnych ministrów lekcje sztuki obietnic. Naucz się pokazywać w stosownej chwili pajaca, który sprawia, iż dziecko biegnie za tobą, nie zdając sobie sprawy z przebytej drogi. Jesteśmy wszyscy dziećmi, a kobiety wskutek swej ciekawości zawsze są skłonne marnować czas na ściganie błędnych ogników. Czyż nie przyjdzie ci zawsze w pomoc jej wyobraźnia, aby rozniecić ten płomyk, gasnący zbyt szybko?

Wreszcie staraj się osiągnąć tę cenną sztukę, aby równocześnie być obecnym i nieobecnym, chwycić w lot chwilę, w których możesz osiągnąć jakąś przewagę, nie nużąc jej nigdy sobą, nie dając uczuć swej wyższości ani nawet jej własnego szczęścia. Jeśli niewiedza, w której ją utrzymujesz, nie stępiła zupełnie jej umysłu, uda ci się może doprowadzić do tego, iż jeszcze jakiś czas będziecie się pożądać wzajem.

## ROZMYŚLANIE CZTERNASTE

### *O mieszkaniu*

Wszystkie omówione tu systemy i metody stanowią poniekąd zbiór czysto moralnej natury. Opierają się one na szlachetniejszych stronach duszy i nie mają nic odrażającego; ale teraz musimy się zająć sposobami a la Bartolo<sup>61</sup>. Niech was nie opuszcza męstwo. Istnieje odwaga mężowska, jak istnieje odwaga gwardzisty narodowego.

O cóż się troszczy najpierw mała dziewczynka kupiwszy papugę? Czy nie o to, aby zamknąć ptaka do ładnej klateczki, z której nie mógłby się wydostać bez jej pozwolenia?

Dziecię to wskazuje ci twój obowiązek.

Wszystko zatem, co dotyczy rozkładu domu jak również pokojów żony, będzie poczęte w tej myśli, aby jej nie dostarczyć żadnych ułatwień, w razie gdyby cię zamierzała wydać Minotaurowi; niewątpliwie bowiem połowa nieszczęść wypływa z nieszczęsnych dogodności mieszkań.

Przede wszystkim wyszukuj na odźwiernego człowieka bez rodziny, ślepo przywiązanego do ciebie. Jest to skarb nietrudny do znalezienia: gdzież jest człowiek, który by nie miał jakiegoś męża swej mamki lub starego sługi, który go dzieckiem huśtał na kolanach?

Powinieneś dążyć do tego, aby wyhodować nienawiść Atreusza i Tiestesa<sup>62</sup> pomiędzy żoną a tym Nestorem, strażnikiem twej bramy. Brama ta to alfa i omega intrygi miłosnej. Czyż wszystkie sprawy miłosne nie sprowadzają się ostatecznie do tego zagadnienia: jak wejść, jak wyjść?

Dom twój byłby bez wartości, gdyby nie posiadał z jednej strony dziedzińca, z drugiej ogrodu i nie był zbudowany w sposób wykluczający komunikację z wszelkim innym domem.

Przede wszystkim wytepisz w pokojach wszelkie framugi. Każda szafka w ścianie, choćby mieściła tylko sześć słoików konfitur, winna być zamurowana. Gotujesz się do wojny, a pierwszą myślą dowódcy jest odciąć nieprzyjacielowi środki żywności. Wszystkie ściany powinny być gładkie, płaszczyzny łatwe do objęcia jednym spojrzeniem i pozwalające na-

---

<sup>61</sup> B a r t o l o – postać z „Cyrulika sewilskiego” Beaumarchais’go, stary, zazdrosny opiekun młodej i pięknej Rozyny.

<sup>62</sup> A t r e u s z i T i e s t e s – w mitologii greckiej dwaj synowie Pelopsa, którzy śmiertelnie się nienawidzili.

tychmiast spostrzec każdy niezwykły przedmiot. Spójrz na resztki starożytnych budowli, a przekonasz się, że piękność greckich i rzymskich mieszkań płynęła z czystości linii, z gładkości ścian, rozmieszczenia nielicznych mebli. Grek uśmiechnąłby się z politowaniem, widząc nasze salony zięjące paszczami szaf.

Ten wspaniały system obrony winieneś przeprowadzić zwłaszcza w pokojach żony. Nie pozwolisz jej bezwarunkowo stroić łóżka w ten sposób, aby je można było okrążyć w labiryncie portier i zasłon; będziesz nielitościwy na punkcie komunikacji pokoiów, umieścisz jej buduar za salonem, nie ścierpisz w nim innego wyjścia jak tylko przez salon, abyś mógł zawsze jednym spojrzeniem mieć przegląd wszystkich, którzy wchodzą do pokoiów żony i z nich wychodzą.

„Wesele Figara” nauczyło cię zapewne, aby umieścić pokoje żony na znacznej wysokości. Każdy kawaler jest w potrzebie Cherubinem.

Przypuszczam, iż stosunki majątkowe pozwalają twojej żonie wymagać osobnej gotowalni, łazienki i pokoju dla panny służącej; wówczas wspomnij Zuzannę<sup>63</sup> i nie bądź na tyle nierozsądny, aby umieścić jej izdebkę pod pokojem żony. Umieść ją zawsze wyżej i nie wahaj się zeszpecić pałacyku małymi szybkami.

Jeśli nieszczęście sprawi, że ten tak niebezpieczny pokoik łączy się z pokojami żony za pomocą krytych schodków, naradz się dobrze z architektem: niech wysili cały geniusz, aby nadać tym złowrogim schodom postać najpierwotniejszej niewinności, prostotę drabiny; błagamy cię, niech te schody nie posiadają żadnego zdradliwego zagłębienia; niech ich stopnie, kanciaste i strome, nie tworzą owej rozkosznej pochyłości, na której tak mile spędzał czas kawaler de Faublas<sup>64</sup> z Justynką, czekając, aż margrabia de B\*\*\* opuści mieszkanie. Dziś architekci robią schody wygodniejsze niż otomany. Raczej winieneś wrócić do cnotliwego ślimaka naszych przodków.

Co się tyczy kominków w pokojach żony, nie wahaj się umieścić w wylocie komina, na pięć stóp od ziemi, żelaznej kraty, choćby ją miano wyjmować i wprawiać przy każdym czyszczeniu. Gdyby żona uważała tę ostrożność za śmieszna, przytocz jej świeże wypadki morderstw, popełnionych w ten sposób, iż zbrodniarze dostali się kominem do pokoju ofiary. Prawie wszystkie kobiety boją się złodziei.

Łóżko jest meblem pierwszorzędного znaczenia; jakoż struktura jego powinna być troskliwie obmyślana. Tutaj każdy szczegół ma niezmierną doniosłość. Oto rezultaty długiego doświadczenia: daj temu meblowi formę dość oryginalną, aby można było zawsze nań patrzeć z przyjemnością wśród przemian mody, które tak szybko następują po sobie, unosząc minione twory tapicerskiego geniuszu. Jest rzeczą niezmiernie ważną, aby żona nie mogła dowolnie odmieniać tej widowni uciech małżeńskich. Podstawa mebla ma być pełna i lita; między nią a posadzką żadnej zdradzieckiej przestrzeni. Pamiętaj też, że Byronowska donna Julia potrafiła ukryć don Juana pod poduszką. Ale śmieszne byłoby powierzchownie traktować przedmiot tak drażliwy.

## LXII

Łóżko – to całe małżeństwo.

Toteż nie omieszkamy zająć się wyczerpująco tym cudownym tworem ludzkiego geniuszu, wynalazkiem, który winniśmy zapisać w naszej wdzięczności o wiele głębiej niż okręty, niż broń palną, krzesiwo, wozy na kołach, maszyny parowe, wyżej nawet niż beczki i butelki.

---

<sup>63</sup> Z u z a n n a – postać z „Wesela Figara” Beaumarchais’go, pokojówka i powiernica hrabiny Almawiwa.

<sup>64</sup> K a w a l e r d e F a u b l a s – bohater słynnego w swoim czasie romansu „Przygody kawalera de Faublas”, którego autorem jest L o u v e t d e C o u v r a y (1760–1797).

Zresztą, zastanowiwszy się trochę, można odnaleźć w łóżku coś z tego wszystkiego; ale jeśli się jeszcze pomyśli, że łóżko jest jakby naszym drugim ojcem, że najspokojniejsza i najczynniejsza część naszego życia upływa pod opiekuńczą osłoną jego opon – słów po prostu braknie, aby wyśpiewać jego pochwały. (Patrz: Rozmyślanie siedemnaste, „Teoria łóżka”).

Skoro w o j n a, o której będziemy mówili w trzeciej części, wybuchnie między tobą a żoną, winieneś zawsze mieć pod ręką przeróżne wymówki, aby szperać w jej komodach i sekretarzykach; albowiem gdyby żonie wpadło do głowy ukryć przed tobą np. statuetkę, jeszcze byłoby ważnym dla ciebie wiedzieć, gdzie ją ukryła. Zbudowane według tego systemu gineceum pozwoli ci jednym rzutem oka poznać, zali się w nim nie znajdują dwa funty jedwabiu więcej niż zazwyczaj. Pozwól jej wstawić choćby jedną szafę, a jesteś zgubiony. Staraj się już w miodowym miesiącu przyzwyczaić żonę do najstaranniejszego sprzątanía: niech nic się nie włóczy po meblach. Jeśli nie wdrożysz jej do drobiazgowego porządku, jeśli te same przedmioty nie będą zawsze na tym samym miejscu, wówczas potrafi wprowadzić w dom taki nieład, że próżno starałbyś się poznać owe nadliczbowe dwa funty jedwabiu.

Firanki powinny być zawsze bardzo przejrzyste; w dodatku będziesz miał zwyczaj przechadzać się wieczorem po pokoju w ten sposób, aby twoja pani nie dziwiła się nigdy, widząc, jak w roztargnieniu dochodzisz do samego okna. Wreszcie, skoro już mowa o oknach, gzyms nie powinien być nigdy tak szeroki, aby można było postawić na nim worek z mąką.

Skoro pokoje żony raz będą urządzone według tych zasad, jesteś już bezpieczny, choćby zresztą w domu było tyle nisz, ile ich trzeba na pomieszczenie wszystkich świętych. Co wieczór razem z odźwiernym możesz sprawdzić, czy ilość osób, które do domu weszły, zgadza się z liczbą tych, które dom opuściły. Aby osiągnąć większą pewność, nic ci nie broni zaprowadzić podwójnej buchalterii wizyt.

Jeśli masz ogród, winieneś mieć pasję do psów. Mając zawsze pod oknami jednego z tych nieprzedajnych stróżów, możesz utrzymywać Minotaura w respekcie, zwłaszcza jeśli przyuczysz swego czworonożnego przyjaciela, aby nic nie przyjmował Jak tylko z ręki odźwiernego. Ostrożność ta nie zawadzi na wypadek, gdyby niedelikatny kawaler próbował go otruć.

Wszystkie te ostrożności muszą być oczywiście przeprowadzone w sposób nie budzący podejrzania. Człowiek, który był na tyle nieostrożny, iż żeniąc się zaniedbał urządzić dom wedle tych mądrych zasad, winien co prędzej sprzedać swą nieruchomość i kupić inną lub znaleźć pretekst do przebudowy i wszystko z gruntu przerobić.

Wypędzisz bez litości kanapki, otomany, kozetki, szezlongi itd. Przede wszystkim meble te stanowią dziś ozdobę mieszkania łada mydlarza, spotyka się je wszędzie, nawet u fryzjerów; lecz, co ważniejsze, są to meble zguby i upadku. Nie mogłem nigdy spoglądać na nie bez zgrozy: zdawało mi się zawsze, iż widzę na nich diabła z rogami i rozszczepionym kopytem.

Ależ krzesło nawet jest już niebezpiecznym sprzętem i, prawdziwie, wielkie to nieszczęście, że nie można zamykać kobiet w nagich ścianach!... Któryż mąż, siadając na wygodnym fotelu, nie wspomni ze zgrozą, że może mebel ten korzystał z nauk „Sofy” Crébillona młodszego<sup>65</sup>! Dzięki niebu, urządziliśmy jednak twój dom z taką przezornością, iż wszelkie nieszczęście jest wykluczone, chyba żebyś się doń przyczynił własnym niedbalstwem.

Staraj się nabyć jednego narowu (z którego się nigdy nie wyleczysz): roztargnienia, w którym będziesz plądrował zawartość każdej skrzynki i przewracał w nesecerach żony. Tych rewizji musisz zawsze dokonywać w sposób oryginalny i pełen wdzięku; za każdym razem staraj się uzyskać przebaczenie żony, rozśmieszając ją.

Winieneś objawiać najgłębsze zdziwienie na widok każdego nowego mebla, który się pojawił w tym tak starannie utrzymanym domu. Natychmiast poprosisz o wytłumaczenie jego

---

<sup>65</sup> Claude C r é b i l l o n (1707–1777) – autor drastycznego i wolnomyślnego utworu „Sofa”, za który skazano go na wygnanie.

użytku, następnie zaś wyteżysz wszystkie władze, aby odgadnąć, czy nie ma on tajemnego przeznaczenia i czy nie mieści chytrej kryjówki.

To nie wszystko. Masz chyba dość rozumu, aby pojąć, że twoja miluchna papużka o tyle tylko da się utrzymać w klatce, o ile klatka będzie ładna. Toteż najmniejszy szczegół winien tchnąć elegancją i smakiem. Całość musi stanowić obraz prostoty i wdzięku. Obicia i muśliny będziesz odnawiał i zmieniał nieustannie. Świeży wygląd mieszkania jest rzeczą zbyt ważną, aby można było oszczędzać na tym punkcie. Wszak i dzieci kładą co rano mokrzycę do klatki, aby ptaszkom dać złudzenie łąk i zieloności. Dom tak utrzymany stanowi *ultima ratio*<sup>66</sup> męża: cóż może kobieta powiedzieć, skoro jej dostarczono wszystkiego tak hojnie?

Mężowie skazani na gnieźdzenie się w wynajętych mieszkaniach znajdują się w najstraszniejszym położeniu.

Czyż wówczas ich dola, szczęśna lub oplakana, nie będzie w rękach odźwiernego?

Czyż ich dom nie będzie na prawo i lewo przylegał do innych domów? Prawda, że umieszczając pokoje żony na jednym krańcu, zmniejszają do połowy niebezpieczeństwo; ale czy mimo to nie są zmuszeni znać na pamięć i głęboko rozważać wiek, stan, majątek, charakter, sposób życia sąsiadów, a nawet ich krewnych i przyjaciół?

Roztropny mąż nie zamieszka nigdy na parterze.

Każdy mąż może w swoim mieszkaniu przeprowadzić te same środki ostrożności, które doradziliśmy posiadaczowi własnego domu, a wówczas lokator może mieć nad właścicielem tę przewagę, że mieszkanie zajmujące mniejszą przestrzeń może być o wiele dokładniej strzeżone.

---

<sup>66</sup> *U l t i m a r a t i o* (łac.) – ostatni argument.



## ROZMYŚLANIE PIĘTNASTE

### *O komorze celnej*

– Ależ nie, zapewniam panią...

– To już byłaby ostateczna nieprzyzwoitość...

– Ależ czy pani przypuszcza, że mamy zamiar ustanowić, na wzór straży granicznej, rewizję osób, które przestępują próg pani domu lub które opuszczają go ukradkiem, i przekonywać się, czy nie mają przy sobie jakiego zakazanego klejnotu? Nie, to byłoby w istocie zbyt nieprzyzwoicie; nasze zaś sposoby nie mają w sobie nic wstrętnego, zatem nic, co by przypominało urzędy celne: może pani być spokojna.

A teraz do pana się zwracam, szanowny panie. Ze wszystkich środków pomocniczych, objętych tą drugą częścią, małżeńska instytucja celna wymaga z pewnością najwięcej taktu, przenikliwości i najwięcej wiadomości nabytych *a priori*, to znaczy przed wstąpieniem w związku małżeńskie. Aby ją wykonywać, mąż powinien przestudiować dzieło Lavatera<sup>67</sup> i przyswoić sobie jego zasady; wyćwiczyć oko i umysł w umiejętności chwytania i oceniania z zadziwiającą szybkością najlżejszych oznak, przez które człowiek zwykł zdradzać swoje myśli.

Fizjonomika Lavatera stworzyła prawdziwą wiedzę. Nareszcie zajęła dziś ona miejsce między gałęziami ludzkich wiadomości. Zrazu książka ta wywołała powątpiewania, nawet żarty; od tego czasu jednakże zjawił się słynny doktor Gall<sup>68</sup>, który swą piękną teorią o budowie czaszki uzupełnił system genialnego Szwajcara i dał trwałą podstawę jego przenikliwym spostrzeżeniom. Artyści, dyplomaci, kobiety i wszyscy ci, którzy stanowią nieliczną garstkę wyznawców, nieraz mieli sposobność spostrzec jeszcze wiele innych oznak, pozwalających czytać w myśli ludzkiej. Nawyki fizyczne, pismo, dźwięk głosu, zachowanie, wszystko to ileż razy zdołało objaśnić zakochaną kobietę, kreta–dyplomate, bystrego sędziego, władcę kraju wreszcie – zmuszonych jednym rzutem odgadnąć miłość, zdradę lub ukryte zdolności. Człowiek w stanie podniecenia jest jak biedny robaczek świętojański, bezwiednie

---

<sup>67</sup> Johann Gaspar Lavater (1751–1801) – teolog i filozof szwajcarski, twórca pseudonaukowej teorii, która próbowała ustalić związki między rysami twarzy człowieka a jego charakterem.

<sup>68</sup> Franz Josef Gall (1758–1828) – lekarz niemiecki, twórca pseudonaukowej teorii, wedle której charakter człowieka można określić na podstawie kształtu jego czaszki.

promieniujący światło wszystkimi porami. Porusza się w błyszczącym kręgu, w którym każdy wysiłek wywołuje nowe drganie światła, znacząc każdy ruch ognistą smugą.

Oto składniki umiejętności, którą winienesz posiadać, gdyż małżeńska rewizja celna polega wyłącznie na szybkim, lecz głęboko sięgającym przeglądzie moralnego i fizycznego stanu osób, które w celu odwiedzenia twojej żony wchodzi do domu lub następnie wychodzą. Mąż musi być podobny pajakowi, gdy w środku niedostrzegalnej sieci odczuwa ruchy nieostrożnej muszki i z daleka nasłuchuje, rozważa i śledzi ofiarę lub wroga.

Zatem postarasz się o to, abyś mógł poddać ścisłemu egzaminowi każdego bezzennego mężczyznę w dwóch nader odrębnych sytuacjach: gdy ma wejść do domu i gdy już próg przestąpił.

Ileż rzeczy może ci on powiedzieć w chwili wejścia, ust nawet nie otwierając!...

Czy to gdy, lekko przesuwając ręką po głowie lub zanurzając palce w pukle włosów, przygląda lub podnosi charakterystyczny tupecik;

czy gdy nuci włoską lub francuską aryjkę, wesołą lub smutną, tenorem, kontraltem, sopranem lub barytonem;

gdy sprawdza węzeł wiele mówiącego krawata;

gdy poprawia świeżo zaprasowany lub pomięty żabocik dziennej lub nocnej koszuli;

gdy nieznacznym a badawczym ruchem sprawdza, czy jego ciemna lub blond peruczka, ufryzowana lub gładka, dobrze siedzi;

gdy ogląda paznokcie, czy są czyste i równo obcięte;

gdy wypieszczoną lub zaniedbaną ręką w czystej lub nieświeżej rękawiczce poprawia wąsy lub faworyty lub przyczesuje je raz po raz szylkretowym grzebykiem;

gdy za pomocą lekkich a często powtarzanych ruchów stara się umieścić podbródek w samym środku krawata;

gdy z rękami w kieszeniach kołysze się to na jednej, to na drugiej nodze;

gdy wykręca na wszystkie strony trzewik, ze spojrzeniem zdającym się mówić: „Nie można powiedzieć, aby to była niezgrabna noga...”

gdy przybywa piechotą lub powozem, gdy otrzepuje wszelki pył z trzewika lub też nie dba o to;

gdy wreszcie stoi nieruchomy i niewzruszony, jak Holender z fajką;

gdy, z oczyma wlepionymi w drzwi, podobny jest duszy opuszczającej czyściec i czekającej świętego Piotra z kluczami;

gdy waha się ciągnąć za dzwonek lub chwytą go pospiesznie i niedbale, w sposób cechujący człowieka wprawnego lub bardzo pewnego siebie;

gdy dzwoni nieśmiało, tak że w cichym domu daje się słyszeć odległy dźwięk, jak podczas zimy dzwonek na jutrznię u Reformatów; lub też, szarpnąwszy gwałtownie, dzwoni jeszcze, zniecierpliwiony, że nie słyszy kroków lokaja;

gdy nadaje oddechowi delikatny zapach, żując perfumowaną pastylkę; gdy z nadętą miną zażywa tabakę, strzepując delikatnie ziarenka, które mogłyby pokalać czystość bielizny;

gdy rozgląda się dokoła i wzrokiem antykwarza lub tapicera zdaje się oceniać na schodach wartość lampy, dywanu, obrazów itd.;

gdy wreszcie nasz kawaler jest młody czy stary: czy mu zimno czy gorąco; czy idzie krokiem powolnym, smutnym lub wesołym itd.

Pojmujesz zatem, że tam, na pierwszym stopniu kryje się zdumiewająca obfitość spostrzeżeń.

Lekkie dotknięcia pędzla, którymi staraliśmy się naszkicować tę postać, wskazują, że jest ona prawdziwym kalejdoskopem moralnym, z jego tysiączną różnorodnością rysunków. Nie próbowaliśmy nawet przeprowadzić kobiety przez ten niedyskretny próg; wówczas spostrzeżenia nasze, już i tak zbyt obfite, stałyby się niezliczone i lotne jak ziarenka piasku na dnie morza.

W istocie, przed tymi zamkniętymi drzwiami mężczyzna mniema, iż jest całkiem sam; niech musi bodaj chwilę czekać, już rozpoczyna swą niemą spowiedź, nieokreślony monolog, w którym wszystko, nawet sposób, w jaki stąpa, odsłania jego nadzieje, pragnienia, zamiary, tajemnice, jego charakter, zalety, wady itd.; słowem, sień ta jest dla mężczyzny tym, czym konfesjonał dla piętnastoletniego dziewczęcia w wilię pierwszej komunii.

Chcesz dowodów?... Przypatrz się tylko nagłej zmianie w rysach i zachowaniu gaszka, gdy wreszcie wchodzi! Maszynista teatralny nie zmienia równie szybko dekoracji ani słońce i chmury wyglądu nieba.

Ledwie postawi nogę na posadzkę, z całego roju myśli, które z taką naiwnością odsłaniał ci jeszcze na schodach, nie zostanie ani jedno spojrzenie. Maski towarzyskich form pokryła wszystko gęstą zasłoną; ale zręczny mąż już powinien był odgadnąć jednym rzutem oka cel wizyty i czytać w duszy gościa jak w otwartej książce.

Sposób, w jaki kto zbliża się do twej żony, mówi do niej, patrzy na nią, kłania się, żegna... ależ to całe tony spostrzeżeń, jedno subtelniejsze od drugiego!

Dźwięk głosu, postawa, zakłopotanie, uśmiech, milczenie nawet, smutek, uprzedzająca uprzejmość dla ciebie, wszystko tu jest wskazówką, wszystko powinieneś ogarnąć. Najprzykrzejsze odkrycie musisz ukryć pod swobodą i swadą salonowca. Nie mogąc wyliczać szczegółów, spuszcza się na bystrość czytelnika, który chyba pojmuje cały ogrom tej wiedzy; zaczyna się ona od analizy spojrzeń, a kończy na pochwytceniu niedostrzegalnych drgnień, w które niecierpliwosć wprawia wielki palec u nogi, ukryty pod jedwabiem trzewika lub skórą buta.

Cóż dopiero wyjście!... Trzebaż przewidywać, iż drobiazgowe śledztwo, podjęte na progu, mogło zawieść; wówczas wyjście nabiera pierwszorzędnej doniosłości, tym bardziej, że to nowe studium gaszka opiera się na tych samych zasadach, tylko w odwrotnym porządku.

Istnieje jednak przy wyjściu jedna okoliczność, zupełnie odrębna: mianowicie chwila, gdy nieprzyjaciół przebył już wszystkie szanse, w których mógł być przedmiotem bacności, i wydobyl się wreszcie na ulicę!... Tam, oglądając mężczyznę przed bramą, człowiek sprytny powinien wyczytać całą wizytę! Oznaki są wprawdzie skąpsze, ale jak wymowne! To rozwiązanie całej sztuki; a twarz mężczyzny zdradza je natychmiast w najprostszym wyrazie szczęścia, zgryzoty lub radości.

Łatwo teraz pochwyć mimowolne wyznania: spojrzenie rzucone na dom lub na okna je j pokojów; chód powolny lub leniwy; zacieranie rąk u głupca; elastyczny krok zadowolonego z siebie firyka lub mimowolne przystanki głęboko wzruszonego człowieka; słowem, o ile przy wejściu miałeś pytania postawione tak szczegółowo, jak na trzystufrankowym konkursie prowincjonalnej akademii, o tyle po wyjściu otrzymujesz jasne i ściśle odpowiedzi. Zadanie nasze przekraczałyby siły ludzkie, gdybyśmy chcieli oddzielnie rozbierać sposoby, przez które człowiek zdradza swoje wrażenia: wszystko tu jest kwestią taktu i uczucia.

Jeśli te zasady obserwacji stosujesz do obcych, tym bardziej trzeba ci poddać tym samym próbom żonę.

Mężczyzna żonaty powinien posiadać głęboką znajomość twarzy swej żony. Studium nie-trudne, odbywa się ono nawet bezwiednie i nieustannie. Dla męża ta piękna twarz kobieca nie powinna już mieć tajemnic. Wie, w jaki sposób malują się na niej wrażenia lub pod jakim wyrazem umykają się blaskom spojrzeń.

Najlżejsze drżenie ust, najstąbszy skurcz nozdrzy, przelotne drgnienie oka, zmiana głosu, nieuchwytny obłok wrażeń przepływający po twarzy, płomień, który ją rozświeca – wszystko to dla ciebie mówi.

Oto kobieta: wszyscy patrzą na nią, a nikt nie umie odgadnąć jej myśli. Ale dla ciebie źrenica jej ściemniała lub pojaśniała; powieka drgnęła, brew przesunęła się; zmarszczka, nikażąca tak szybko jak bruzda na fali, zjawiła się na czole; wargę poruszyła się, ożywiła na chwilę... dla ciebie, kobieta przemówiła.

Jeżeli w owych trudnych chwilach, w których żona stara się ukryć przed mężem swoje myśli, posiadasz duszę Sfinksa, aby je przeniknąć, zasady r e w i z j i c e l n e j będą dla ciebie dziecinną zabawką.

Kiedy kobieta wraca lub wychodzi, słowem gdy mniema, że jest sama, staje się nieopatrzna jak sroka; wypaplałaby głośno, sama przed sobą, swą tajemnicę, toteż zmiana jej fizjonomii w chwili twego zjawienia – odruch mimo całej chyżości nie dość szybki, aby nie zdradzić poprzedniego wyrazu – pozwoli ci czytać w jej duszy jak w książce. Wreszcie i ona często znajdzie się na progu niemych monologów i tam w każdej chwili mąż potrafi sprawdzić uczucia żony.

Czyż jest człowiek tak obojętny na tajemnice miłości, iżby nieraz nie śledził z zachwytem lekkiego, drobnego, zalotnego kroku kobiety, spieszącej na schadzkę? Prześlizguje się przez tłum uliczny niby wąż wśród liści i trawy. Wystawy, stroje, materie, olśniewające zasadzki, zastawione przez sklepy z bielizną, próżno roztaczają przed nią swe pokusy; idzie, spieszy, podobna wiernemu zwierzęciu, które szuka niewidocznych śladów swego pana, głucha na pochlebne szept, ślepa na spojrzenia, obojętna nawet na lekkie otarcia, nieuniknione w ciżbie Paryża! Och, jakże czuje cenę każdej minuty! Jej chód, strój, twarz zdradzają tysiąc razy tajemnicę. Ale jak zachwycający dla smakosza, umiającego wałęsać się po ulicach Paryża, a jak złowrogi dla męża jest wyraz tej samej twarzy kobiecej, gdy żona wraca z owego kryjomego mieszkanka, w którym dusza jej przebywa tak bezustannie!... Szczęście jej rysuje się nawet w owych nieokreślonych niedbałościach uczesania, którego wdzięczny węzeł i falujące pukle nie zdołały pod wyszczerbionym kawalerskim grzebieniem nabrać tego połysku i wykończenia, jakie im daje co dzień wytrawna dłoń garderobianej. Jaka urocza ocieężałość w chodzie! Jak oddać to uczucie, które tak bogatymi kolorami krasuje jej pleć, odbiera oczom całą pewność siebie, które ma w sobie coś z melancholii i wesołości, z zawstydzienia i dumy!

Te wskazówki, wykradzione przed czasem z rozmyślenia poświęconego o s t a t n i m o z n a k o m i odpowiadające położeniu, w którym kobieta usiłuje wszystko ukryć, pozwolą ci domyślić się, przez analogię, jak bogaty zbiór spostrzeżeń możesz zebrać w chwili, gdy żona wraca do domu i kiedy – nim jeszcze zbrodnię spełniono – zdradza ci naiwnie tajemnicę swych myśli. Co do nas, ile razy zdarzyło nam się przechodzić przez sień, zawsze mieliśmy ochotę umieścić w tym miejscu chorągiewkę i różę wiatrów.

Ponieważ środki, za pomocą których można stworzyć w domu małe obserwatorium, zależą wyłącznie od miejsca i okoliczności, zrzeczności zazdrośników zostawiamy wykonanie wskazówek zawartych w tym rozmyślanu.

## ROZMYŚLANIE SZESNASTE

### *Konstytucja małżeńska*

Wyznaję, że jeden tylko znam dom w Paryżu urządzony podług systemu dwóch poprzednich rozmyślań. Ale muszę dodać, że to ja zbudowałem system podług tego domu. Wspaniała ta forteca należy do pewnego młodego referendarza, zakochanego i zazdrosnego do szaleństwa.

Skoro dowiedział się, iż istnieje człowiek poświęcający swe trudy udoskonaleniu małżeństwa we Francji, był na tyle uprzejmy, iż otworzył mi bramy domu, a nawet pokazał gineceum. Podziwiałem głęboką mądrość, która zdołała tak zręcznie ukryć środki bezpieczeństwa, dyktowane wschodnią niemal zazdrością, pod wykwintem mebli, świeżością obić i pięknnością dywanów. Przyznałem, iż niepodobieństwem byłoby żonie wyzyskać to mieszkanie do nielegalnych celów.

– Panie – rzekłem do tego światowego Otella, który nie zdawał mi się zbyt mocny w wysokiej polityce małżeńskiej – nie wątpię, że pani hrabina pędzi rozkoszne życie w zaciszu tego małżeńskiego raję; jeszcze rozkoszniejsze, gdy i pan w nim przebywa; jednak nadejdzie chwila, że jej się to sprzyrzy, gdyż człowiek nuży się wszystkim, nawet upojeniem. Cóż zrobi pan, gdy pani hrabina, nie odnajdując już w pańskich wymysłach pierwotnego uroku, otworzy pewnego dnia buzię, aby ziewnąć, a może i przedstawić ci petycję zmierzającą do uzyskania dwóch praw niezbędnych dla jej szczęścia: w o l n o ś c i o s o b i s t e j, to jest swobody wychodzenia i wracania do domu wedle kaprysu swej woli, oraz w o l n o ś c i p r a s y, czyli pisania i odbierania listów bez cenzury?...

Ledwie wyrzekł te słowa, hr. de V\*\*\* ścisnął mnie silnie za ramię i krzyknął:

– Otóż to jest niewdzięczność kobiet! Jeśli jest coś na świecie niewdzięczniejszego od króla, to chyba naród; ale kobieta jest jeszcze niewdzięczniejszą od obu. Kobieta zameżna postępuje z nami tak, jak obywatele konstytucyjnej monarchii z królem: próżno zapewnia im spokojną egzystencję w pięknym kraju; próżno rząd bierze na siebie wszystkie kłopoty z żandarmami, Izbami, administracją i całym aparatem siły zbrojnej, aby nie pozwolić ludowi umrzeć z głodu, aby oświecić miasta gazem na koszt obywateli, aby wszystkim poddanym dostarczyć ciepła słonecznego, odpowiadającego czterdziestemu piątemu stopniowi szerokości geograficznej, i aby przeszkodzić, by kto inny niż fiskus wyciskał z nich pieniądze; próżno brukuje – o tyle o ile przynajmniej – drogi... wszystko na nic, nikt nie ocenia zalet tej pięknej Utopii! Obywatelom zachciewa się innych rzeczy!... Nie wstydzą się domagać jeszcze prawa

swobodnego przechadzania się po tych drogach; żądają, by im się opowiadano, na co idą pieniądze oddane skarbowi; słowem, monarcha musiałby każdemu ustąpić części tronu, gdyby przyszło się liczyć z paplaniną kilku bazgraczy, lub przyjąć pewne trójkolorowe idee, rodzaj poliszynelów, którymi porusza zgraja tak zwanych patriotów, obwiesiów, zawsze gotowych sprzedać sumienie za milion, za kobietę z towarzystwa lub za mitrę książęcą.

– Panie hrabio – przerwałem – zgadzam się najzupełniej co do ostatniego punktu; ale co pan zrobi, aby uniknąć odpowiedzi na słuszne żądania żony?

– Zrobię... odpowiem tak samo, jak robią i odpowiadają rządy, które nie są wcale tak głupie, jak to opozycja chce wmówić wyborcom. Zacznę od uroczystego ogłoszenia konstytucji, mocą której uznam żonę za zupełnie wolną. Przyznam jej prawo chodzenia, gdzie się jej podoba, pisania, do kogo ma ochotę, odbierania listów bez kontroli. Będzie miała wszystkie prawa angielskiego parlamentu; pozwolę jej rozprawiać, ile zechce, przemawiać, przedkładać energiczne i stanowcze wnioski, lecz bez możliwości wprowadzenia ich w życie; a później... zobaczymy!

„Na świętego Józefa!... – pomyślałem w duchu – oto człowiek, który rozumie sztukę małżeństwa równie dobrze jak ja”. – A później zobaczymy, szanowny panie? – powiedziałem głośno, aby wydobyć zeń bliższe zwierzenia. – Zobaczymy, iż pewnego poranku znajdzie się pan w równie niemądrym położeniu jak inni.

– Za pozwoleniem – odparł poważnie – proszę mi dać dokończyć. To wszystko jest teoria; ale wielcy politycy umieją teorię tę rozwiać na kształt dymu za pomocą praktyki; sztukę zastąpienia *t r e ś c i f o r m* posiadają ministrowie w stopniu jeszcze wyższym od normandzkiego kauzyperdy. Panowie de Metternich i de Pilat<sup>69</sup>, obaj ludzie niepospolici, od dawna sobie zadają pytanie, czy Europa jest przy zdrowych zmysłach, czy śni, czy wie, dokąd idzie, czy zastanawiała się kiedy: rzecz niemożliwa dla tłumu, dla narodów i kobiet. Panowie Metternich i Pilat z przerażeniem patrzą na ten wiek, opanowany manią konstytucyj, jak poprzedni filozofia, jak wiek Lutra reformą nadużyć rzymskiego Kościoła; bo zdaje się w istocie, że pokolenia podobne są do spiskowców, którzy idą oddzielnie do wspólnego celu, podając sobie hasło. Ale obawy ich są płonne, i to tylko miałbym im do zarzucenia; poza tym mają słuszność, iż pragną używać władzy bez przeszkód ze strony obywateli. Jakim cudem ludzie tak niepospolici nie umieli pojąć głębokiego sensu moralnego zawartego w komedii konstytucyjnej i poznać, że wysoce polityczną rzeczą jest rzucić jakąś kość do ogryzienia swemu wiekowi? Zupełnie podzielałam ich poglądy na istotę panowania. *W ł a d z a* jest jednostką moralną, posiadającą, jak człowiek, swój instynkt samozachowawczy. Zasada tego instynktu wyraża się w trzech słowach: *n i c n i e u r o n i ć*. Aby nic nie stracić, władza musi wzrastać lub być nieograniczona; władza stojąca w miejscu jest żadna. Jeśli się cofa, przestaje być władzą, działa pod naporem innej. Wiem równie dobrze jak ci panowie, w jak fałszywym położeniu znajduje się władza nieograniczona, czyniąca jakieś ustępstwo: daje w swym łonie początek innej władzy, której zasadą będzie wzrastać. Jedna musi unicestwić drugą, gdyż każdy byt dąży do możliwego rozrostu. Nie ma zatem ustępstwa, którego by władza, uczyniwszy je, nie starała się odzyskać. Ta walka dwóch władz stanowi istotę równowagi rządów, której wahania tak niepotrzebnie przerażają patriarchę austriackiej dyplomacji, albowiem ze wszystkich komedii najmniej niebezpieczną a najzyskowniejszą jest ta, którą odgrywają Francja i Anglia. Te dwie ojczyzny powiedziały ludowi: „Jesteś wolny!” – i lud się zadowolił; wchodzi w skład rządu jako tłum zer, które dają wartość jednostce. Ale niech lud spróbuje się poruszyć, natychmiast rozpoczynają z nim ów obiad Sanszo Pansy, gdy giermek, zostawszy samodzierżcą swej wyspy na stałym lądzie, próbuje jeść. Otóż my mężczyźni powinniśmy naśladować tę cudowną scenę w naszym małżeństwie. Tak więc żona ma pełne prawo wychodzić z domu, ale musi mi powiedzieć, dokąd, jak, po co i kiedy wróci. Miał żądać tych wyjaśnień z brutal-

<sup>69</sup> D e P i l a t – sekretarz i biograf Metternicha.

nością policji, która zapewne udoskonali się kiedyś, staram się przystroić je w uprzedzające formy. Moje usta, oczy, rysy przybierają kolejno akcenty i oznaki na przemian zaciekawienia i obojętności, powagi i żartu, przekory i uczucia. Jest to mały teatrzyk małżeński, pełen dowcipu, finezji i wdzięku, bardzo wdzięczny. W dniu, w którym zdjąłem z głowy żony wianuszek kwiatu pomarańczowego, zrozumiałem, iż odegraliśmy, jak przy koronacji królów, pierwsze figlarne sceny długiej komedii. Mam moich żandarmów!... moją gwardię, prokuratorów! tak!... – wołał w zachwycie. – Myślisz pan, że pozwolę kiedy, aby moja pani wyszła piechotą bez lokaja w liberii? Czyż to nie jest w najlepszym tonie? Nie mówiąc już o przyjemności, jaką jej sprawia mówić: „Moi ludzie”. Ale moja zasada zachowawcza dążyła przede wszystkim do tego, aby moje sprawy na mieście schodziły się zawsze ze sprawunkami i interesami żony: przez dwa lata umiałem jej wytłumaczyć, iż podawać jej ramię stanowi dla mnie największą i zawsze nową przyjemność. Jeśli jest błoto, wówczas uczę ją zgrabnie prowadzić rączego konika; ale, przysięgam panu, daję pilne baczenie, aby się tego nie nauczyła zbyt szybko. Gdyby, przypadkowo lub na wyraźne żądanie, chciała wydostać się z domu bez paszportu, to znaczy w powozie i sama, czyż nie mam stangretów, hajduków, grumów? Niech jedzie wówczas, gdzie się jej podoba, wszędzie wlec będzie całą ś w i ę t ą h e r m a n d a d z e sobą, mogę być zupełnie spokojny... Zresztą, drogi panie, ileż mamy środków, aby zniweczyć konstytucję małżeńską sposobem wykonywania jej, a brzmienie ustaw interpretacją! Zauważyłem, że obyczaje wyższych sfer wytwarzają pewne pracowite próżniactwo, które pochłania pół życia kobiety, nie dając jej dojść do świadomości, że żyje. Co do mnie, zbudowałem cały plan tak zręcznego prowadzenia żony, aby doszła czterdziestki nie pomyślawszy o zdradzie, jak nieboszczyk Musson umiał dla zabawki zaciągnąć poczwiwego mieszczucha z ulicy Saint-Denis do Pierrefitte w ten sposób, aby nawet nie wiedział, iż opuścił cię dzwonnicy Saint-Leu.

– Jak to! – przerwałem. – Czyżbyś pan jakimś cudem przeczuł owe wspaniałe oszukaństwo, które zamierzałem opisać w rozmyślanii: „Sztuka wprowadzania śmierci do życia”!... Jakże mi przykro! Pochlebiałem sobie, że pierwszy odkrył tę umiejętność. Ten treściwy tytuł urodził się ze wspaniałego nie wydanego utworu Crabbe’a<sup>70</sup>, który odczytał w towarzystwie pewien młody lekarz. W dziele tym autor zdołał uosobić fantastyczną istotę, nazwaną „Życie w śmierci”. Istota ta biegnie poprzez wszystkie oceany świata za żywym szkieletem, nazwanym „Śmierć w życiu”. O ile pamiętam, z gości wytwornego tłumacza poezji angielskiej niewielu tylko zrozumiało tajemniczy sens tej równie prawdziwej, jak fantastycznej baśni. Ja jeden może, pogrążony w tępy milczeniu, myślałem o całych pokoleniach, które, popychane przez ŻYCIE, mijają nie żyjąc. Wstawały przede mną kobiety całymi tysiącami, miriadami; wszystkie pomarłe, zgryzione, płaczące łzami rozpaczony na widok zmarnowanych godzin nieopatrnej młodości. W oddali widziałem już, jak rodzi się szydercze rozmyślanie, słyszałem jego śmiech szatański; i pan je z pewnością zabije... Ale niech mi pan powie w krótkości, jakie sposoby wynalazłeś, aby pomóc kobiecie trwonić owe ulotne chwile, w których znajduje się w kwiecie piękności, w całej potędze pragnień... Może mi pan zostawił bodaj opis niektórych podstępów, strategii.

Hrabia roześmiał się z tego autorskiego rozczarowania i rzekł z zadowoloną miną:

– Moja żona, jak wszystkie młode osoby naszej błogosławionej epoki, trzy lub cztery lata z rzędu gimnastykowała paluszki na klawiszach Bogu ducha winnego fortepianu. Próbowwała sylabizować Beethovena, nuciła Rossiniego, musnęła ćwiczenia Cramera. Otóż staraniem moim było utwierdzić ją w przekonaniu o talencie; aby to osiągnąć, chwaliłem, słuchałem bez ziewnięcia najnudniejszych sonat, zgodziłem się nawet na łożę w Operze Komicznej. W ten sposób zyskałem trzy spokojne wieczory, na siedem stworzonych w tygodniu przez Boga. Jestem w ustawicznym poszukiwaniu m u z y k a l n y c h d o m ó w. Istnieją w Paryżu salo-

---

<sup>70</sup> George C r a b b e (1754–1832) – poeta angielski, wysoko ceniony przez Byrona, z realizmem odtwarzał życie biednych i pokrzywdzonych.

ny, wiernie przypominające niemieckie grające tabakierki, nieustające componia<sup>71</sup>, do których stale spieszymy szukać muzykalnych niestrawności, przez żonę nazywanych koncertami. Ale za to większą część dnia siedzi zagrzebana w partycjach...

– Ależ hrabio, czyż pan nie zna niebezpieczeństw, na jakie się pan naraża rozwijając, w żonie kult śpiewu i wydając ją ekscytacjom siedzącego trybu życia?... Jeszczeby tylko brakowało, aby ją zacząć żywić baraniną i dać jej pić wodę!

– Pozwalam żonie jadać tylko biały drób i nigdy nie zaniedbuję przegradzać koncertu baletem, a Opery rautem, toteż udało mi się doprowadzić ją do tego, iż przez sześć miesięcy w roku idzie spać między pierwszą a drugą z rana. Ach, drogi panie, błogosławieństwa tego późnego chodzenia spać są nieobliczalne! Przy tym zważ pan, że na każdą z tych tak użytecznych rozrywek godzę się łaskawie zezwolić, zachowując pozór człowieka, który stale spełnia wszystkie jej zachcenia; zarazem, nie potrzebując mówić słowa, utrzymuję w niej przekonanie, że od szóstej wieczór, godziny obiadu i toalety, do jedenastej z rana, pory, o której wstajemy, bawiła się bez przerwy.

– I jaką wdzięczność musi czuć dla pana za tak pięknie wypełnione życie!...

– Zostają zatem tylko trzy niebezpieczne godziny do przebycia; ale czyż nie musi przegrywać sonat, studiować aryj?... Czyż nie mam pod ręką przejażdżki do Lasku, wizyt itd.?... To nie wszystko. Najpiękniejszą ozdobą kobiety jest wyszukana czystość; drobiazgowość w tym kierunku nie może nigdy być przesadna ani śmieszna: otóż gotownia żony dostarczyła mi jeszcze środków, aby ją pozbawić najpiękniejszych godzin dnia.

– Pan jesteś godny być moim uczniem!... – wykrzyknąłem. – Słuchaj więc, drogi panie, zdołasz jej wykraść jeszcze przynajmniej cztery godziny dziennie, jeśli spróbujesz wtajemniczyć ją w sztuki obce najwyszukańszym elegantkom współczesnym... Wylóż pan szanownej małżonce zdumiewające zabiegi stworzone przez wschodni zbytek dam starego Rzymu; wylisz jej niewolników zatrudnionych jedynie przy kąpeli Poppei: *unctores, fricatores, alipilarii, dropacistae, paratiltariae, picatrices, tractatrices*, czy ja wiem co jeszcze?... Opowiadaj jej o tłumie niewolnic, których nomenklaturę przekazał nam Mirabeau w swoim „Erotika Biblion”. Niech spróbuje sama zastąpić pracę tej armii, a zyskasz parę dobrych godzin spokoju, nie mówiąc o osobistych przyjemnościach wynikających z systemu tych znakomitych Rzymianek, których najmniejszy starannie utrefiony włosik przepojony był wonnościami, najmniejsza żyłka zdawała się czerpać świeżą krew w kąpeli z mirry, lnu, pachnideł i kwiatów – wszystko przy dźwiękach upajającej muzyki.

– Ech, drogi panie – przerwał mąż, który zapalał się coraz bardziej – a zdrowie jej czyż nie dostarcza mnóstwa cudownych wybiegów? To zdrowie, tak cenne, tak drogie, czyż nie pozwoli mi wzbronić jej wychodzenia w niepogodę; w ten sposób zyskuję cały kwartał. Czy nie wprowadziłem słodkiego zwyczaju, aby żadne z nas nie wychodziło z domu nie uściskawszy drugiego mówiąc:

„Mój aniołku, wychodzę!” Słowem, umiałem być przewidujący na przyszłość i uwięzić żonę na wieczne czasy w domu, jak sztyldwacha w budce!... Wpołem w nią niesłychany zapal dla świętych obowiązków małżeństwa.

– Sprzeciwiając się jej? – spytałem.

– Zgadłeś, drogi panie!... – zawołał ze śmiechem. – Dowodzę jej, że nie podobna kobiecie światowej wypełnić zobowiązań towarzyskich, prowadzić domu, poddawać się wszystkim kaprysom mody, jak również ukochanego męża, a przy tym wychowywać dzieci... Na to ona odpowiada, że za przykładem Katona, który osobiście czuwał nad tym, jak nianka przewijała wielkiego Pompejusza, i ona nikomu nie odstąpi owych drobiazgowych starań, jakich wymaga drzemiąca jeszcze inteligencja i wątłe ciało małych istotek, których wychowanie rozpoczyna się w kolebce. Zrozumie pan, drogi panie, że moja dyplomacja nie na wiele by się zda-

---

<sup>71</sup> C o m p o n i u m – instrument muzyczny wynaleziony w r. 1820 w Holandii.



ła, gdybym, uwięziwszy w ten sposób żonę, nie posługiwał się wciąż niewinnym makiawelizmem, który polega na ustawnym zachęcaniu jej, aby robiła wszystko, na co ma ochotę, i na ciągłym pytaniu jej o zdanie. Ponieważ tym cieniem wolności muszę omamić kobietę dość sprytną, ponoszę możliwe ofiary, aby tylko przekonać żonę, że jest najwolniejszą kobietą w całym Paryżu, przede wszystkim zaś wystrzegam się grubych niezręczności politycznych, które tak często trafiają się naszym ministrom.

– Rozumiem – wtrąciłem – już widzę, ilekroć pan chcesz zeskamotować które z praw przyznanych żonie mocą konstytucji małżeńskiej, jak przybierasz słodką i układną minę i jak, z nieskończoną delikatnością wbijając jej w serce ukryty pod różami sztylet, zapytujesz tkliwym głosem: „Nie boli cię, aniołku?” Wówczas żona, jak człowiek, któremu ktoś nastąpił na nogę, odpowiada może: „Gdzież tam, przeciwnie!”

Nie mógł się wstrzymać od śmiechu i rzekł:

– Jak pan myśli, czy żona moja bardzo będzie zdziwiona na Sądzie Ostatecznym?

– Nie wiem jeszcze – odparłem – kto bardziej z was dwojga.

Zazdrośnik już marszczył brwi, ale wypogodził się znowu, gdy dodałem:

– Szczęśliwy doprawdy jestem z trafu, któremu zawdzięczam rozkosz pańskiej znajomości. Bez rozmowy z panem z pewnością nie umiałbym dość dobrze rozwinąć poglądów, które, jak się okazało, były nam wspólne. Dlatego ośmielałem się prosić o pozwolenie spożytkowania naszej pogawędki. Gdzie myśmy widzieli głębokie zasady polityki małżeńskiej, ktoś inny dopatrzy się może żartobliwej ironii: w ten sposób uda mi się w oczach jednej i drugiej strony zyskać opinię inteligentnego człowieka...

Podczas gdy siliłem się wyrazić wdzięczność radcy stanu (pierwszemu mężowi, który odpowiadał w zupełności moim ideałom), on przeprowadzał mnie raz jeszcze po apartamentach, gdzie w istocie wszystko zdawało się bez zarzutu.

Już miałem się żegnać, kiedy otwierając drzwi do buduaru pokazał mi go z taką miną, jakby mówił: „Czy mogłoby tu zająć coś nieprawidłowego, czego by oko moje nie wysłuchiło natychmiast?”

Odpowiedziałem na to nieme zapytanie pochYLENIEM głowy, jakim gość wyraża uznanie gospodarzowi kosztując wykwintnej i szczególnie udanej potrawy.

– Cały mój system – rzekł półgłosem – poczęty jest z trzech słów, które mój ojciec słyszał z ust Napoleona podczas dyskusji rozwodowej w Radzie Stanu. „Wiarołomstwo – zawołał Napoleon – to kwestia kanapy!” Toteż patrz pan: umiałem tych współników zbrodni przemienić na moich szpiegów – dodał referendarz wskazując kaszmirową kanapkę herbacianego koloru, której poduszki były w tej chwili cokolwiek pomięte. – Patrz pan: ten ślad wskazuje mi, że żonę bolała nieco głowa i że spoczywała tutaj...

Zbliżyliśmy się do kanapki, gdy wtem... ujrzyliśmy na nieszczęsnym meblu cztery ciemne włosy, które w kapryśnych skrętach ułożyły się w słowo GAP.

– Nikt w moim domu nie ma czarnych włosów – zawołał mąż blednąc.

Pożegnałem się szybko, gdyż uczułem gwałtowną i niepowstrzymaną ochotę do śmiechu.

„Oto człowiek stracony!... – pomyślałem. – Zdołał jedynie zgotować żonie niesłychane rozkosze przez wszystkie te zapory, którymi ją poobstawiał.”

Myśl ta zasmuciła mnie jednak. Przygoda powyższa obracała wniwecz trzy moje najważniejsze rozmyślenia i podkopywała u samych podstaw nieomyślność książki. Byłbym z radością okupił wierność hrabiny de V\*\*\* sumą, którą niejeden mężczyzna opłaciłby jedno jej zapomnienie. Ale przeznaczone było, bym na wieki zachował swoje pieniądze.

W istocie, w trzy dni później spotkałem referendarza w przedsionku Opery. Ledwie mnie spostrzegł, podbiegł ku mnie. Wiedziony uczuciem jakiegoś wstydu, próbowałem zejść mu z oczu, ale chwycił mnie za ramię i szepnął:

– Och, jakież straszliwe dni przeżyłem!... Szczęściem, żona jest bardziej niewinna niż nonarodzone dziecko...

– Mówił mi pan poprzednio, że hrabina jest osobą bardzo sprytną... – wtrąciłem z okrutną dobroduszością.

– Och, może pan żartować do woli; dziś rano miałem niezbity dowód jej wierności. Wstałem bardzo wcześnie, aby dokończyć jakiejś naglącej pracy. Wtem, wyglądając bezmyślnie na ogród, spostrzegam nagle, jak służący jenerała, którego dom przylega do nas, drapie się na mur, gdy pokojówka mojej żony, wychylając głowę z sieni, pieści i przytrzymuje psa, aby ułatwić odwrót swemu rycerzowi. Biorę lornetkę i celuję ją na tego nicponia... włosy czarne jak smoła!... Nie, nigdy jeszcze widok ludzkiej fizjonomii nie sprawił mi równej przyjemności!... Naturalnie, jak pan się domyśla, krata na wino przy murze została jeszcze tego samego dnia zniesiona. Zatem, drogi panie, jeśli się kiedy ożenisz, trzymaj psa na łańcuchu, a mur posyp szkłem...

– Czy hrabina zauważyła pański niepokój w ciągu tych trzech dni?...

– Ma mnie pan za dziecko? – odparł wzruszając ramionami. – Nigdy w życiu nie byłem równie wesół.

– Pan jesteś nieznanym wielkim człowiekiem!... – zawołałem – a nie jesteś!...

Nie mogłem dokończyć, gdyż pomknął nagle, spostrzegłszy jednego z przyjaciół, który, jak się zdawało, szedł odwiedzić hrabinę w łoży.

Cóż moglibyśmy dodać, co by nie było zbyt cennym i nużącym powtórzeniem nauk zawartych w tej rozmowie? Każde jej słowo zawiera nasienie lub owoc. Bądź co bądź, przekonaliście się, mężowie, że szczęście wasze wisi w każdej chwili na włosku.

## ROZMYŚLANIE SIEDEMNASTE

### *Teoria łóżka*

Dochodziła siódma wieczór. Rozparci w akademickich fotelach, siedzieli półkolem koło dużego kominka, na którym palił się smutnie węgiel ziemny, wieczysty symbol przedmiotu ich ważnych rozpraw. Patrząc na poważne, chociaż roznamietnione twarze obecnych, łatwo było odgadnąć, iż mieli wyrokować o życiu, losach i szczęściu bliźnich. Pełnomocnictwo swoje, jak członkowie starożytnego tajnego trybunału, otrzymali jedynie od własnego sumienia; ale zastępowali interesy o wiele donioślejsze niż sprawy królów i ludów, przemawiali bowiem w imieniu namiętności i szczęścia niezliczonych przyszłych pokoleń.

Wnuk słynnego Boullé'a<sup>72</sup> zasiadał przed okrągłym stołem, na którym ustawiono inkryminowany sprzęt, wykonany z rzadkim zrozumieniem przedmiotu; ja, skromny sekretarz, zajmowałem miejsce przy biurku, aby prowadzić protokół.

– Panowie! – rzekł pewien starzec – pierwsze zagadnienie, nad którym macie obradować, mieści się, i to bardzo wyraźnie, w ustępie listu pisanego do księżnej Walii, Karoliny Anspach, przez wdowę po bracie Ludwika XIV, matkę przyszłego regenta: „Królowa hiszpańska ma niezawodny sposób, aby robić z mężem, co zechce. Król jest bardzo pobożny; uważałby się za potępionego na wieki, gdyby się zbliżył do innej kobiety: a trzeba wiedzieć, że ten dobry monarcha bardzo jest skłonny do amorów. Zatem królowa może uzyskać od niego wszystko, czego zapragnie. Kazała zrobić łóżko męża na kółkach. Gdy jej czego odmawia, odpycha łóżko; zgadza się na jej prośbę, łóżka się zbliżają i król ma przystęp do królowej. To zaś stanowi najwyższe szczęście króla, który jest nadzwyczaj łasy na...” Na tym zatrzymam się, panowie, gdyż cnotliwą prostotę wyrażen niemieckiej księżniczki mógłby ktoś pomówić o niemoralność. Czy roztropni mężowie powinni przyjąć system kółek?... Oto zagadnienie, które mamy rozstrzygnąć.

Jednomyślność głosów nie zostawiła żadnej wątpliwości. Polecono mi zaciągnąć w rejestrze obrad, że jeśli para małżonków sypia w oddzielnych łóżkach, a w jednym pokoju, łóżka nie powinny być na kółkach.

– Z tym zastrzeżeniem – zauważył jeden z członków – że orzeczenie to nie przesądza w niczym naszej uchwały co do najważniejszego urządzenia sypialni.

---

<sup>72</sup> André-Charles Boullé (1642–1732) – wybitny stolarz–artysta.

Przewodniczący podał mi kosztownie oprawny tom, zawierający oryginalne wydanie z roku 1788 listów Karoliny Elżbiety Bawarskiej, wdowy po Jegomości, jedynym bracie Ludwika XIV. Podczas gdy przepisywałem ustęp, ciągnął dalej:

– Zdaje mi się, że panom doręczono porządek dzienny, w którym zaznaczona jest druga z kolei kwestia.

– Proszę o głos!... – zawołał najmłodszy z zebranych zazdrośników.

Przewodniczący usiadł dawszy ręką znak zgody.

– Panowie – rzekł młody żonkoś – pozwolę sobie zadać pytanie, czy jesteśmy dostatecznie przygotowani do obradowania nad przedmiotem tak ważnym jak ten, który dotyczy powszechnej prawie niedyskrecji łózek. Czy nie mieści ona w sobie kwestii szerszej niż prosty problemat stolarstwa? Co do mnie, widzę tu zagadnienie dotyczące inteligencji ludzkiej. Moi panowie! Tajemnice poczęcia są dotychczas otoczone ciemnością, którą nowożytna nauka ledwie słabo rozjaśniła. Nie wiemy, do jakiego stopnia zewnętrzne okoliczności oddziałują na mikroskopijne żyjątka, których odkrycie zawdzięczamy niestrudzonej cierpliwości badaczy takich, jak Hill, Baker, Joblot, Eichorn, Gleichen, Spallanzani, jak zwłaszcza Müller, a w ostatnim czasie Bory de Saint-Vincent. Niedoskonałość łózek mieści w sobie pierwszorzędną problemat muzyczny; co do mnie, oświadczam, iż zwróciłem się listownie do fachowych kół we Włoszech, aby uzyskać ściśle wskazówki co do urządzenia łózek w tym kraju... Dowiemy się bezzwłocznie, czy meble te zawierają dużo listewek, śrubek, kółek, czy ich konstrukcja jest tam wadliwsza niż w innych krajach lub czy może suchość drzewa, spowodowana południowym słońcem, nie stwarza już, można powiedzieć: *ab ovo*<sup>73</sup> owej harmonii, której tak wysokie poczucie spotykamy u Włochów... Dla tych przyczyn żądam odroczenia.

– Ależ, panowie! Czyż my tu jesteśmy po to, aby się zajmować sprawami muzyki!... – zawołał jakiś dżentelmen podnosząc się gwałtownie. – Przede wszystkim chodzi o obyczajność; kwestia moralności ważniejsza jest od innych...

– Jednakże – wtrącił jeden z najpoważniejszych członków – nie sędzę, aby zdanie poprzedniego mówcy zasługiwało na lekceważenie. Moi panowie, w ubiegłym wieku jeden z naszych najfilozoficzniej humorystycznych i najhumorystyczniej filozoficznych pisarzy, Sterne, żalił się na brak staranności, z jaką odbywa się produkcja ludzi. „O wstydzie! – wołał – ten, kto kopiuje boską fizjonomię człowieka, otrzymuje wieńce i oklaski, ten natomiast, kto stwarza oryginał, otrzymuje w nagrodę, podobnie jak cnota, tylko własne dzieło...” Czy człowiek nie powinien by się wprzód zająć ulepszeniem rasy ludzkiej, nim się zajmie rasą końską? Panowie, przejeżdżałem kiedyś przez miasteczko w Orleanais, gdzie cała ludność składa się z kalek, garbusów, ludzi o fizjonomiach kwaśnych i ponurych, prawdziwych dzieci nieszczęścia... Otóż uwagi poprzedniego mówcy przypomniały mi, że istotnie łóżka znajdowały się w tej miejscowości w oplakanyim stanie, a wnętrza pokojów nastreczały oczom małżonków same przykre obrazy... Moi panowie, czyż nasze soki żywotne mogą harmonizować z naszymi pragnieniami, skoro zamiast muzyki aniołów, bujających w przestworach nieba, pod które się wzbijamy, rozlegają się krzykliwe nuty najniepożądanej, najbardziej niecierpliwiącej, najstraszliwszej ziemskiej muzyki?... Istnienie wspaniałych geniuszów, którzy okryli chwałą ludzkość, zawdzięczamy może przede wszystkim dobrze zbudowanym łóżkom; ów zaś burzliwy motłoch, który sprowadził rewolucję francuską, był może spłodzony na chwiejących się i niepewnych legowiskach o wykrzywionych i kulawych nogach; natomiast mieszkańcy Wschodu, który wydaje tak piękne rasy, mają swój odrębny system układania się do spoczynku... Jestem za odroczeniem.

Dżentelmen usiadł.

Z kolei podniósł się członek sekty metodystów:

---

<sup>73</sup> A b o v o (łac.) – od samego początku (dosł.: od jaja).

– Czemu przesuwac kwestię? Nie chodzi tu przecież o poprawę rasy ani o udoskonalenie dzieła. Nie powinniśmy tracić z oczu interesów zazdrości małżeńskiej oraz zasad zdrowej moralności. Nie wiecie, że ten hałas, na który się tak skarżycie, brzmi dla uszu niezdecydowanej jeszcze na występki małżonki bardziej przerażająco niż straszliwy głos trąby Sądu?... Czy zapomnieliście, że wszystkie procesy o wiarołomstwo wygrali mężowie jedynie dzięki tej jękliwej skardze małżeństwa?... Polecam zbadać procesy rozwodowe lorda Abergaveny, wicehrabiego Bollingbrocke, nieboszczki królowej, Elizy Draper, pani Harris, słowem wszystkie sprawy zawarte w dwudziestu tomach, wydanych przez... (Sekretarz nie dosłyszał nazwiska angielskiego wydawcy).

Odroczenie uchwalono. Najmłodszy z członków zaproponował składkę, aby nagrodzić autora najlepszej rozprawy, przedstawionej Towarzystwu w kwestii, którą Sterne uważał za tak doniosłą: jednakże przy końcu posiedzenia znalazło się w kapeluszu przewodniczącego ledwie osiemnaście szylingów.

Ten protokół z obrad stowarzyszenia, które świeżo zawiązało się w Londynie dla podniesienia obyczajności publicznej i instytucji małżeństwa, a które lord Byron ścigał szyderstwami, dostał się do naszych rąk dzięki uprzejmości szanownego W. Hawkinsa Esq., ciotecznego brata słynnego kapitana Clutterbuck.

Wyciąg ten może dopomóc do rozwiązania trudności, jakie nastęrcza teoria łóżka z punktu widzenia jego budowy.

Jednakowoż autor mniema, iż angielskie stowarzyszenie nadaje zbyt dużą wagę tej wstępnej kwestii. Może dałoby się przytoczyć równą ilość racyj, aby być r o s s i n i s t ą, jak s o l i d – y s t ą<sup>74</sup> na punkcie swego posłania; autor wyznaje, iż rozwiązanie tej trudności znajduje się poniżej lub powyżej jego zadań. Wraz z Wawrzyńcem Sterne uważa on za hańbę europejskiej kultury to, iż posiadamy tak mało spostrzeżeń fizjologicznych na punkcie kallipedii, i woli zaniechać przedstawienia wyniku swych rozmyślań w tej kwestii, ponieważ są one zbyt trudne do wyrażenia w języku świętoszków i mogłyby być źle zrozumiane lub fałszywie tłumaczone. Brak ten zostawi wieczystą lukę w tym rozdziale książki; za to autor będzie miał słodką przyjemność przekazania czwartego dzieła przyszłym wiekom. W ten sposób wzbogaca autor przyszłe pokolenia tym wszystkim, czego sam nie robi: negatywna wspaniałość, której przykład z pewnością znajdzie naśladowców w tych wszystkich, którzy, wedle swego mniemania, mają w głowach dużo pomysłów.

Teoria łóżka nastęrczy nam zagadnienia o wiele ważniejsze niż te, które sąsiadom naszym nasunęła kwestia kółek lub też odgłosów towarzyszących występnyemu stosunkom.

Uznajemy jedynie trzy sposoby urządzenia łóżka (w ogólnym znaczeniu słowa) u narodów cywilizowanych, zwłaszcza w klasach uprzywilejowanych, do których zwraca się ta książka.

Te trzy sposoby są:

§ I. Dwa sąsiadujące łóżka;

§ II. Dwa oddzielne pokoje;

§ III. Jedno wspólne łóżko.

Nim zapuścimy się w roztrząsanie tych trzech sposobów, które oczywiście muszą wywierać bardzo rozmaity wpływ na szczęście żon i mężów, musimy przebiec szybko zadania łóżka i rolę, jaką odgrywa ono w ekonomii politycznej życia ludzkiego.

Zasadą najbardziej niewzruszoną w tej kwestii jest, że ł ó ż k o w y n a l e z i o n o d o s p a n i a.

Łatwo byłoby udowodnić, że zwyczaj wspólnego sypiania małżonków wytworzył się względnie późno w porównaniu z dawnością małżeństwa.

---

<sup>74</sup> S o l i d y s t a – zwolennik teorii medycznej, która powstawanie chorób łączyła z częściami stałymi organizmu ludzkiego, w przeciwieństwie do humorystów, którzy siedlisko chorób upatrywali w częściach płynnych, tzw. humorach.

Jakimi drogami człowiek doszedł do tego, aby przyjąć zwyczaj tak zgubny dla szczęścia, dla zdrowia, przyjemności, miłości własnej nawet?... Byłoby to ciekawe do zbadania.

Gdybyś wiedział, że współzawodnik twój wynalazł sposób, aby cię przedstawić w oczach uwielbianej kobiety w położeniu, w którym jesteś nad wyraz śmieszny: na przykład z twarzą wykrzywioną na kształt szpetnej maski lub w chwili gdy twe wymowne usta, podobne do mosiężnego dzióbka zepsutej studni, sączą kropla po kropli czystą wodę; gdybyś to wiedział, zamordowałbyś może owego rywala. Tym rywalem jest sen. Czy istnieje na świecie człowiek, który by miał jasne pojęcie, jak wygląda we śnie?...

Jak żywe trupy, stajemy się wówczas igraszką nieznanej potęgi, która opanowuje nas wbrew woli i objawia się w najdziwniejsze sposoby: jedni mają sen inteligentny, inni sen głupi i tępy.

Są ludzie, którzy śpią z ustami otwartymi najgłupiej w świecie.

Inni chrapaniem przyprowadzają posadzkę o drzenie.

Większość przypomina diabełków w rzeźbach Michała Anioła, które szyderczo wyciągają język na przechodniów.

Znam tylko jedną osobę na świecie, która umiała zachować we śnie szlachetną postawę: to Agamemnon, którego Guérin<sup>75</sup> przedstawił leżącego na łóżku, w chwili gdy Klitemnestra, popychana przez Egista, zbliża się, by go zamordować. Toteż zawsze marzyłem o tym, aby się zachowywać we śnie jak ów król królów, wówczas gdy będę musiał żyć w straszliwej obawie, iż inne jeszcze oczy oglądają mój sen prócz oczu Opatrzności. Toż samo, odkąd byłem świadkiem pewnych wymownych właściwości snu mojej starej niańki, od tego czasu do zwykłej litanii, którą odmawiam co dzień do św. Honoriusza, mego patrona, dołączyłem prośbę, aby mnie uchronił od tej przykrej gadatliwości.

Gdy mężczyzna budzi się rano z zatumanioną twarzą, w dziwnie przekrzywionej szlafmycy, nie ulega wątpliwości, iż wygląda wówczas bardzo śmiesznie i w niczym nie przypomina owego wspaniałego małżonka opiewanego w strofach Russa; ale przynajmniej jakiś blask życia migoce poprzez ogłupiałość współmartwego oblicza... Jeżeli chcecie, panowie artyści, zebrać plik pysznych karykatur, podróżujcie tylko pocztą i w każdym miasteczku, w którym pocztylion budzi poczmistrza, przypatrzcie się tym prowincjonalnym facjatom!... Ale choćbyś był jeszcze sto razy zabawniejszy od tych biurokratycznych fizjonomii, to przynajmniej w chwili ocknięcia masz już zamknięte usta, otwarte oczy, twarz twoja zdażyła przybrać jakiś wyraz... Ale czy masz pojęcie, jak wyglądałeś na godzinę przed obudzeniem albo w pierwszej godzinie snu, gdy – ni to człowiek, ni zwierzę – pogrążony byłeś w snach, przychodzących najczęściej przez bramę rogową<sup>76</sup>?... To już tajemnica między twą żoną a Bogiem!

Czyżby ów łeb ośli, którym Rzymianie zdobili głowy łóżek, miał stanowić bezustanne ostrzeżenie przed bydlęctwem snu?... Wyjaśnienie tej zagadki zostawiamy pp. członkom Akademii.

Niewątpliwie ten, który pierwszy, kierowany podszeptem diabła, wpadł na pomysł nierozdzielania się z żoną nawet w czasie snu, musiał umieć spać bez zarzutu. Zatem do liczby umiejętności, które winieneś posiadać przed wstąpieniem w związki małżeńskie, nie zapomnij dołączyć sztuki wytwornego spania. Zarazem umieszczamy na tym miejscu następujące dwa aforyzmy, jako uzupełnienie § XXV „Katechizmu małżeńskiego”:

Mąż powinien mieć sen lżejszy od doga, iżby nigdy oko ludzkie nie widziało go uśpionym.  
Mężczyzna powinien od dziecka przyzwyczajać się do sypiania z gołą głową.

<sup>75</sup> Pierre-Narcisse Guérin (1774–1833) – francuski malarz historyczny.

<sup>76</sup> Bramę rogową – wedle mitologii greckiej przez bramę z rogu przechodziły sny sprawdzające się, a przez bramę z kości słoniowej – sny kłamliwe.

Znajdą się poeci, którzy przyczyn sypiania małżonków w jednym łóżku zechcą dopatrywać się w uczuciu wstydu, w jakichś rzekomych misteriach miłości; jednakże pewnym jest, że jeżeli człowiek pierwotny szukał w cieniu jaskiń, w zarosłych mchem rozpadlinach, pod skalistym dachem grot schronienia dla swych miłosnych wynurzeń, to dlatego, iż akt miłości wydawał go bezbronnym na łup nieprzyjaciół. Nie, składanie dwóch głów na jednej poduszce jest rzeczą równie mało naturalną, jak okręcanie szyi szmatką muślinu nie ma nic wspólnego z rozsądkiem. Ale nadeszła cywilizacja, zamknęła milion ludzi na przestrzeni czterech mil kwadratowych, wybrukowała nimi ulice, wcisnęła ich do domów, mieszkań, pokoi, izdebek mających osiem stóp powierzchni; jeszcze trochę, a spróbuje wsuwać jednych w drugich, jak rury lunety.

Stąd i z wielu jeszcze innych przyczyn, jak oszczędność, bojaźliwość, źle zrozumiana zdrowość, wytworzyło się współmieszkanie małżonków; z tego zaś zwyczaju regularność i równoczesność wstawania i udawania się na spoczynek.

I oto rzecz najkapryśniejsza w świecie, uczucie na wskroś zmienne i wrażliwe, którego cała wartość spoczywa w jego drażniących odzewach, które wdzięk cały czerpie w nagłości pożądań, które podbija jedynie szczerością wyrazu – oto, jednym słowem, miłość poddana klasztornemu porządkowi godzin i zależna od obliczeń biura astronomicznego!

Gdybym był ojcem, zniechęciłbym dziecko, które, punktualnie jak zegarek, co rano i wieczór wybuchałoby czułością, przychodząc mi powiedzieć obowiązkowe dzień dobry i dobranoc. W ten właśnie sposób tłumi się wszystko, co jest w uczuciach ludzkich szlachetnego i bezpośredniego. Osądźcie z tego, czym jest miłość o stałej godzinie!

Jedynie Stwórca wszechrzeczy mocen jest sprawiać codziennie wschód i zachód słońca, co rano i wieczór zawsze równie wspaniały, równie nowy; ale nikomu ze śmiertelnych, niech mi wybaczy hiperbola Jana Baptysty Rousseau<sup>77</sup>, nie jest dane odgrywać na ziemi rolę słońca.

Z tych wstępnych uwag wynika, iż nie jest rzeczą naturalną, aby dwoje ludzi spoczywało wspólnie pod sklepieniem łóżka;

że śpiący mężczyzna jest prawie zawsze śmieszny;

że ustawiczne przebywanie z żoną przedstawia dla mężów nieuniknione niebezpieczeństwa.

Spróbujemy zatem dostosować nasze zwyczaje do praw natury i skojarzyć je w ten sposób, aby mąż znalazł w swoim łóżku użyteczną pomoc i środki obrony.

## § I. Dwa sąsiadujące łóżka.

Jeżeli najświetniejszy, najurodziwszy, najinteligentniejszy mąż pragnie po roku paść ofiarą Minotaura, osiągnie ten cel z pewnością, o ile będzie tak nierozsądny, aby połączyć dwa łóżka pod rozkosznym sklepieniem wspólnej alkowy.

Wyrok zwycięży i stanowczy, a oto motywy.

Pierwszy mąż, któremu zawdzięczamy pomysł sąsiadujących łóżek, był to z pewnością akuszer, który, obawiając się własnego niespokojnego snu, pragnął uchronić dziecko, znajdujące się w łonie żony, przed mimowolnymi kopnięciami, jakimi mógł je obdarzyć.

Choć nie! To był raczej któryś z predestynowanych, który obawiał się swego zbyt muzycznego kataru lub innych ułomności.

Mógł to być również jakiś młody człowiek, który, lękając się nadmiaru własnej czułości, zawsze znajdował się albo na brzeжку łóżka, w niebezpieczeństwie upadku, albo zbyt blisko uroczej małżonki, której sen zakłócał.

A może to była jakaś pani de Maintenon, wspierana radami spowiednika, lub raczej ambitna kobieta, pragnąca wodzić męża na pasku?... Albo, jeszcze pewniej, jakaś ładniutka Pompadour, dotknięta ową paryską dolegliwością, tak zrećnie wyrażoną przez pana de Maurepas

---

<sup>77</sup> Jean-Baptiste Rousseau (1671–1741) – poeta liryczny, przez współczesnych zwany „francuskim Pindarem”.

w czterowierszu, który stał się powodem jego długiej niełaski i tym samym przyczynił się niewątpliwie do katastrof Ludwika XVI:

*Iris, on aime vos appas,  
Vos grâces sont vives et franches;  
Et les fleurs naissent sur vos pas –  
Mais ce ne sont que des fleurs... blanches...*

Wreszcie, czemużby to nie miał być jakiś filozof, przerażony myślą o rozczarowaniu, jakiego musi doznawać kobieta na widok śpiącego mężczyzny? I ten z pewnością zawijał się zawsze szczelnie w kołdrę, bez szlafmicy.

O ty, nieznaną twórcą tej jezuickiej metody, kto bądź jesteś, w imię szatana cześć ci i pozdrowienie!... Tyś stał się sprawcą wielu nieszczęść. Dzieło twoje nosi cechę wszystkich półśrodków; nie rozwiązuje nic i łączy braki dwóch innych systemów, nie dając w zamian ich korzyści.

W jaki sposób człowiek XIX wieku, ta istota na wskroś inteligentna, która rozwinęła nadnaturalną wprost potęgę, która zużyła skarby geniuszu, aby ukryć mechanizm swego istnienia, aby ubóstwić swoje potrzeby dlatego, by nimi nie musieć pogardzać, która umiała wydrzeć liściom chińskim, nasionom egipskim, ziarnom meksykańskim ich zapach, ich skarby, ich dusze, która opanowała sztukę szlifowania kryształów, toczenia srebra, topienia złota, barwienia porcelany, słowem, która wezwała na pomoc wszystkie sztuki, aby ozdobić i powiększyć swój kęs strawy – w jaki sposób ten monarcha, który drugą ze swych nędz ziemskich okrył zwojami muślinu, obsypał brylantami, zasiał rubinami, owinał najcieńszym płótnem, wełną, mieniącym się jedwabiem, subtelnym wzorem koronek – w końcu, z całym tym zbytkiem, rozbija się o dwie deski łóżka?... Na cóż wszechświat cały czynić współnikiem naszego istnienia, naszych kłamstw, całej tej poezji? Na co tworzyć prawa, moralność, religię, jeśli wynalazek tapicera (bo może to tapicer wymyślił łóżka) odbiera miłości wszystkie jej złudzenia, ogołaca ją z majestatycznego orszaku i nie zostawia nic prócz tego, co w niej najbrzydsze i najwstrętniejsze? Bo w tym mieści się cała historia dwóch łóżek.

### LXIII

Wydać się wzniosłym lub śmiesznym – oto wybór, do którego doprowadza nas pożądanie.

Miłość, jeśli jest podzielana, jest wzniosłym uczuciem, ale spróbujcie sypiać w dwóch sąsiednich łóżkach, a twoja miłość będzie zawsze komiczna. Nieporozumienia, jakie stwarza ta półbliskość, można sprowadzić do dwóch sytuacji, które odsłonią ci przyczyny wielu małżeńskich nieszczęść.

Jest blisko północ; młoda kobieta ziewając zwija papiloty. Nie wiem, czy jej melancholia pochodzi z migreny, która lada chwila gotowa jest rzucić się na prawą czy na lewą skroń, czy też znajduje się ona w stanie owego rozpaczliwego znużenia, w którym wszystko przedstawia się czarno; ale gdyby ją ktoś mógł widzieć, jak niedbale rozczesuje włosy, jak leniwie podnosi nogę, aby odpiąć podwiązkę, zrozumiałby, iż raczej wolałaby się utopić niż wyrzec się ożywczego snu, w którym czerpie świeże siły dla swego bezbarwnego życia. W tej chwili przebywa pod nie wiem już którym stopniem geograficznym bieguna, w Spitzbergu czy Grenlandii. Chłodna i obojętna, kładzie się do łóżka, myśląc może, jak pani Shandy, że jutro ma być niezdrowa, że mąż wraca późno, że krem był nie dość słodki, że dług u krawcowej wynosi przeszło pięćset franków; słowem, myśli o wszystkim, o czym może myśleć kobieta znużona. Na to zjawia się mąż, zdrowy, tęgą mężczyzną, który, mając z kimś na mieście schadzki dla omówienia interesu, zabawił się gdzieś przy ponczyku. Zdejmuje trzewiki, roz-



kłada odzież po fotelach, rzuca skarpetki na kozetkę, chłopca do butów pod kominiek i, zawiązując głowę w czerwony fular, którego końców nawet nie stara się ukryć, rzuca żonie parę urywkowych słów, owych zdawkowych czułości, które niekiedy stanowią całą rozmowę małżeństwa w owych godzinach zmierzchu, gdy uśpiona inteligencja przestaje niemal tlić w maszynie ludzkiej. „Już leżysz! – Ależ, u diabła, dziś zimno! – Cóż ty, aniołku, nic nie mówisz! – Już zawinięta w kołdrę!... Ty szelmeczko! Udajesz, że śpisz!...” Alokucje te przeplata częstym ziewaniem; po bezliku drobnych czynności, które, stosownie do zwyczajów danego małżeństwa, urozmaicają tę nocną przedmowę, pakuje się wreszcie nasz mąż do łóżka, wydającego głuchy dźwięk pod jego ciężarem. Ale oto zjawia się przed nim ów fantastyczny ekran, który widzimy przed sobą, skoro zamkniemy oczy; przesuwają się po nim drażniące obrazy ładnych twarzyczek, zgrabnych nóżek, kuszące zjawiska spotkane gdzieś przelotnie w ciągu dnia. Oblegają go palące pragnienia... zwraca oczy ku żonie. Spostrzega śliczną twarzyczkę w obramieniu delikatnego haftu; spojrzenie jej, choć na w pół już senne, zdaje się przepalać blaskiem zwoje koronek, pod którymi kryją się oczy; zdradzieckie fałdy kołdry rysują prześliczne kształty... „Koteczko?...” – „Ależ ja śpię, mój drogi...” Jak wylądować w tej Laponii? Przypuśćmy, że jesteś młody, przystojny, uroczy i inteligentny. Jak przebędziesz tę cieśninę, która dzieli Włochy od Grenlandii? Przepaść między niebem a piekłem nie bardziej jest niezmierną niż ta linia, która przeszkadza waszym dwóm łóżkom połączyć się w jedno; żona bowiem jest zimna jak lód, gdy ciebie palą żary pożądania. Choćby nie było innej trudności, jak tylko technika dostania się z jednego łóżka do drugiego, już to wystarcza, aby męża, strojnego w fular, przedstawić w najnieestetyczniejszej sytuacji. Między kochankami okoliczności, niebezpieczeństwo, krótkość czasu ratują swym urokiem nędzę tych oplakanych sytuacji, miłość bowiem posiada płaszcz ze złota i purpury, którym okrywa wszystko, nawet zgłiszcza wziętego szturmem miasta, gdy małżeństwo potrzebuje wszystkich czarów miłości, aby nie znaleźć próchną pod najbarwniejszymi dywanami, pod fałdami najczarowniej mieniących się jedwabów. Choćbyś potrzebował tylko jednej sekundy, aby dostać się w obręb posiadłości żony, i ten czas wystarcza, aby o b o w i ą z e k, owo opiekuńcze bóstwo małżeństwa, ukazało się jej w całej szpetocie.

Ach, jak niemądrze musi wyglądać mężczyzna oglądany chłodnymi oczyma kobiety, gdy go żąda napęła kolejno gniewem i tkliwością, gdy go czyni na przemian zuchwałym i pokornym, gryzącym i uszczypliwym, to znów słodkim jak cukierek; gdy wreszcie, z mniejszym lub większym talentem, odgrywa ową scenę, w której w „Wenecji ocalonej” geniusz Otwaya<sup>78</sup> przedstawił senatora Antonia, powtarzającego sto razy u stóp Akwiliny: „Akwilina, Kwilina, Lina, Aki, Naki!” bez innego rezultatu, jak tylko uderzenie batem, gdy próbuje przejść do czynnych perswazji. W oczach każdej kobiety, nawet ślubnej żony, im bardziej mężczyzna jest w tej sytuacji rozplomieniony, tym wydaje się śmieszniejszy. Budzi wstręt, gdy rozkazuje, wpada w szpony Minotaura, gdy nadużywa siły. Przypomnij sobie w tym miejscu kilka aforyzmów „Katechizmu małżeńskiego”, a spostrzeżesz, iż gwałcisz jego najświętsze zasady. Zresztą, czy kobieta ustępuje, czy się opiera, dwa sąsiadujące łóżka wprowadzają w małżeństwo coś tak brutalnego, tak pozbawionego osłonek, że najczystsza kobieta i najdelikatniejszy mężczyzna muszą dojść do bezwstydu.

Scena ta, która może się rozgrywać w tysiączne sposoby i która może zrodzić się z tysiąca innych okoliczności, ma swoje *pendant* w innej sytuacji, mniej zabawnej, ale tym groźniejszej.

Pewnego wieczora, gdy rozmawiałem o tych ważnych zagadnieniach z nieboszczykiem de Noce, o którym miałem sposobność mówić poprzednio, zauważyłem, iż bliski przyjaciel hrabiego, wysoki, siwy starzec, którego nazwiska nie wymienię, bo jeszcze żyje, spogląda na nas z melancholijnym wyrazem twarzy. Domyśliliśmy się, że ma zamiar opowiedzieć jakąś skan-

---

<sup>78</sup> Thomas O t w a y (1652–1685) – dramaturg angielski; wspomnianą często przez Balzaka „Wenecja ocalona” jest jego najlepszym dziełem.

daliczną anegdotę, i patrzyliśmy nań z miną, z jaką stenograf „Monitora” spogląda na wstępującego na trybunę ministra, którego improwizowaną mowę ma już w odpisie. Był to stary margrabia, emigrant, którego mienie, żona i dzieci zginęły w zgliszczach rewolucji. Ponieważ margrabina była jedną z najswobodniejszych kobiet minionej epoki, nie brakło mu przeto spostrzeżeń nad naturą kobiecą. Doszedłszy do wieku, w którym patrzy się na sprawy ziemskie z perspektywy grobu, mówił o sobie samym tak, jakby chodziło o Marka Antoniusza lub o Kleopatę. Ponieważ ja ostatni zabierałem głos w dyskusji, mnie przeto spotkał zaszczyt, iż margrabia zwrócił się do mnie:

– Mój młody przyjacielu, uwagi twoje przypominają mi wieczór, podczas którego jeden z moich przyjaciół zachował się w sposób raz na zawsze grzebiący go w oczach własnej żony. Trzeba zaś pamiętać, iż w owym czasie kobiety mściły się z zadziwiającą łatwością, odległość między ustami a brzegiem pucharu była bardzo niewielka. Małżonkowie ci sypiali właśnie w dwóch łóżkach oddzielnych, we wspólnej alkowie. Wrócili przed chwilą ze świetnego balu u ambasadora hrabiego de Mercy, gdzie w ciągu wieczora mąż przegrał w karty dość znaczną sumę i obecnie tonął w refleksjach finansowej natury. Chodziło, ni mniej ni więcej, o zapłacenie nazajutrz sześciu tysięcy talarów!... nieraz zaś – pamiętasz, Noce? – zgromadziwszy skarbczyk dziesięciu muszkieterów razem, nie zebrałoby się całych stu talarów... Młoda pani, jak zwykle się zdarza w podobnych wypadkach, była tego wieczora rozpaczliwie wesola. „Podaj panu margrabiemu – rzekła do lokaja – wszystko, co trzeba do toalety”. W owym czasie ubierano się na noc. Słowa te, jakkolwiek brzmiące dość niezwykle, nie zdołały zbudzić męża z zadumy. Wówczas pani, której służąca pomagała właśnie się przebierać, poczęła rozwijać cały arsenał zalotności. „Cóż, byłam dziś w guście mego pana?...” – spytała. – „Zawsze jesteś zachwycająca!...” – odparł margrabia nie przerywając przechadzki po pokoju. – „Jakież dziś jesteś ponury!... Przemów co do mnie, chmurny kochanku!...” – rzekła podchodząc w najpowabniejszym negliżu. Nie może pan mieć pojęcia o uroku margrabiny i czarodziejskich sztuczkach, jakie miała zawsze na zawołanie. Za to ty, Noce, znałeś ją dobrze!... – dodał drwiąco. – Koniec końców, mimo całej urody i wdzięku, wszystkie chytryści rozbiły się o owych sześć tysięcy talarów, które nie chciały wyleźć z głowy ciemności męża; margrabina położyła się wreszcie sama. Ale kobiety mają zawsze jakiś podstęp w zapasie, toteż w chwili, gdy mąż miał się już kłaść, zawołała: „Boże, jakże mi zimno!...” – „I mnie! – odparł mąż. – Ciekawym, czemu służba nie daje wygrzewaczek!...” To mówiąc dzwonię...

Hrabia de Noce nie mógł się wstrzymać od śmiechu, stary margrabia zaś, zaskoczony, przerwał.

Nie umieć odgadnąć życzeń kobiety, chrapać, gdy ona nie śpi, być w śniegach Syberii, gdy ona przebywa pod zwrotnikiem, oto najmniejsze niedogodności dwóch sąsiednich łóżek. Na cóż nie waży się namiętna kobieta, skoro raz się przekona, iż mąż ma sen zbyt twardy?...

Zawdzięczam Stendhalowi włoską anegdotę, której jego sposób opowiadania, sarkastyczny i suchy, dodawał wiele wdzięku, a którą mi przytoczył jako przykład zuchwalstwa kobiety.

Pałac Lodovika znajduje się na jednym końcu Mediolanu, na drugim zaś pałac hrabiny Perneti. O północy Lodovico, zdecydowany ważyć się na wszystko, byle przez chwilę ogłądać ubóstwianą twarz kochanki, cudem prawie wślizguje się do jej mieszkania i zakrada aż do drzwi sypialni. Eliza Perneti, której serce drgało może tym samym pragnieniem, słyszy szelest kroków, poznaje kochanka. Widzi przez ściany postać jego rozplamioną miłością. Podnosi się z małżeńskiego łóża, lekka jak cień spieszy do drzwi, obejmuje Lodovika miłym spojrzeniem, chwyta go za rękę, daje mu znak, wciąga do sypialni.

– Ależ on cię zabije!... – mówi kochanek.

– Może.

Ale wszystko to są drobnostki. Przypuśćmy, iż większość mężów posiada lekki sen. Przypuśćmy nawet, że umieją spać nie chrapiąc i że potrafią zawsze odgadnąć, pod którym stopniem szerokości geograficznej znajduje się w danej chwili żona. Natomiast przytoczymy

ostatnią uwagę, która sama przez się wystarcza, aby wytepić zwyczaj oddzielnych łóżek we wspólnej alkwie.

W sytuacji, w której znajduje się nasz mąż, uznaliśmy łóżko małżeńskie za środek obrony. Tylko w łóżku może on każdej nocy sprawdzić, czy uczucie żony wzrasta, czy obumiera. Tam jest barometr małżeński. Otóż spać w dwóch sąsiednich łóżkach znaczy zrzec się dobrowolnie wszelkich wskazówek. Gdy przejdziemy do *w o j n y d o m o w e j* (patrz: Część trzecia), dowiesz się, jak niesłychane usługi oddaje łóżko i ile tajemnic kobieta bezwiednie w nim odsłania.

Dlatego nigdy nie dajcie się skusić pozornej dobroduszości sąsiednich łóżek. Wynalazek to najgłupszy, najprzewrotniejszy i najniebezpieczniejszy w świecie. Hańba i przekleństwo temu, kto go wymyślił!

Natomiast, o ile system ten zgubny jest dla młodych małżonków, o tyle jest on zbawienny i właściwy dla małżeństw zbliżających się do dwudziestego roku pożycia. Mąż i żona mogą w ten sposób o wiele wygodniej odprawiać swoje duety, spowodowane natrętną astmą. Może się zdarzyć przypadkiem, iż westchnieniu, wydartemu z piersi jakimś reumatyzmem lub upartą podagrą, czasem nawet prośbie o szczyptę tabaczki, będą oni, od czasu do czasu, zawdzięczali pracowite rozkosze nocy, ożywionej wspomnieniem pierwszych upojeń; o ile naturalnie kaszel nie jest zbyt uporczywy.

Nie uważaliśmy za właściwe omawiać tu wyjątków, które niekiedy usprawiedliwiają u męża wprowadzenie dwóch oddzielnych łóżek. Są to nieszczęścia, które należy dźwigać z rezygnacją. Jednakże Bonaparte był zdania, iż z chwilą gdy raz nastąpi w *y m i a n a d u s z i p o t ó w* (to jego słowa), nic, nawet choroba, nie powinna rozdzielać małżonków. Te szczegóły są zbyt drażliwe, aby je można ująć w ogólne zasady.

Niektóre ciasne głowy mogłyby zarzucić, że istnieją patriarchalne rodziny, w których erotycznym ustawodawstwie dogmat wspólnej alkwie z dwoma łózkami przechowuje się niewzruszenie, i że rodziny te żyją szczęśliwie z *o j c a n a s y n a*. Tym za całą odpowiedź oświadcza autor, iż znał wielu czcigodnych ludzi, którzy spędzili życie na przyglądaniu się grze w bilard.

Zdaje nam się tedy, iż ten obyczaj sypiania dostatecznie już jest osądzony w oczach zdrowego rozsądku; przejdźmy do drugiego systemu sypialni.

## § II. O oddzielnych pokojach

W całej Europie znalazłoby się może w każdym narodzie, ledwie stu mężów posiadających dość głęboko umiejętność małżeństwa lub, jeśli kto woli, życia, aby móc mieszkać oddzielnie od żony.

Umieć ten system przeprowadzić w praktyce... to najwyższy stopień siły fizycznej i moralnej.

Stadło małżeńskie zamieszkujące oddzielne pokoje albo przestało żyć z sobą, albo umiało znaleźć szczęście. Nienawidzą się lub ubóstwiają.

Nie mamy zamiaru na tym miejscu wywodzić cudownych zasad tej teorii, której celem jest uczynić stałość i wierność rzeczą łatwą i rozkoszną. Wstrzemięźliwość ta jest wyrazem poszanowania, nie zaś nieudolności autora. Wystarcza mu, jeśli wyrazi przekonanie, iż tylko za pomocą tego systemu może dwoje małżonków urzeczywistnić marzenia tylu pięknych dusz; wszyscy wierni zrozumieją jego myśl.

Zaś co do profanów – nic łatwiejszego niż załatwić się z ich natarczywą ciekawością, odpowiadając, że celem tego urządzenia jest dać szczęście jednej kobiecie. Któryż zaś z nich chciałby pozbawiać społeczeństwo wszystkich przymiotów, jakimi, we własnym mniemaniu, jest obdarzony, i to na korzyść czyją?... Jednej kobiety!... A jednak uczynić szczęśliwą swą towarzyszkę życia jest chyba najwyższym tytułem do chwały na tej dolinie Jozafata, jeśli

zważymy, iż wedle „Genesis” Ewa nie czuła się zadowolona w raju i zatęskniła za owocem zakazanym: wieczny symbol małżeńskiej niewierności.

Jest zresztą jeden rozstrzygający wzgląd, który wstrzymuje nas od rozwinięcia owej wspa- niałej teorii. Byłaby ona w tym dziele niepotrzebnym zbytkiem. W położeniu, w którym, jak przyjęliśmy, znajduje się nasze stadło, człowiek na tyle nierozsądny, aby sypiać oddzielnie, nie zasługiwałby nawet na współczucie w nieszczęściu, które sobie sam zgotował. Streścmy się zatem:

Nie każdy mężczyzna posiada tak świetne przymioty, aby się odważyć na oddzielną sy- pialnię, gdy każdy może jako tako wywiązać się z trudności połączonych z sypianiem we wspólnym łóżku.

Zajmiemy się zatem rozwiązaniem trudności, jakie ludzie powierzchowni mogliby zarzu- cić temu ostatniemu sposobowi. Co do nas, sympatia nasza dla niego jest widoczna.

Ale niech ten paragraf, poniekąd niemy, który przekazujemy rozmyślaniom niejednego stadła, posłuży jako piedestał dla imponującej postaci Likurga, prawodawcy, któremu Grecy zawdzięczają najgłębsze myśli w kwestii małżeństwa. Oby przyszłe pokolenia mogły kiedyś pojąć jego system! A jeżeli współczesne obyczaje zbyt są mdłe, aby go przyjąć w całości, niech przynajmniej nasiąkną krzepkim duchem tego wspaiałego prawodawstwa.

### § III. O wspólnym łóżku

Pewnej grudniowej nocy wielki Fryderyk spoglądał na niebo, iskrzące się żywym i czy- stym światłem gwiazd, które stanowi oznakę wielkiego mrozu, i zawołał: „Oto czas, który dostarczy Prusom sporo żołnierzy!...”

W tym jednym zdaniu wyraził ów król główną niedogodność wynikającą z nieustannego współżycia małżonków. Wolno Napoleonowi lub Fryderykowi cenić kobietę wyżej lub niżej zależnie od ilości potomstwa; ale rozumny mąż powinien, stosownie do zasad rozmyślania XIII, uważać dziecko jedynie za środek obrony; do niego należy ocenić, o ile środek ten jest na czasie.

Uwaga ta prowadzi nas do tajników małżeństwa, przed którymi muza fizjologii musi się cofnąć. Odważyła się przestąpić próg sypialni, póki ta była niezamieszkałą; ale jako czysta i skromna dziewczica rumieni się na widok igraszek miłości.

Skoro w tym ustępie książki muza nasza zmuszona jest białymi rączkami przysłonić oczy – i to nie jak młode panienki, które zazwyczaj zostawiają szparki między cienkimi paluszkami – skorzystam z tego napadu wstydlivosti, aby wyrazić naszym obyczajom parę słów ostrej nagany.

W Anglii sypialnia małżeńska jest miejscem świętym. Tylko mężowi i żonie przysługuje prawo przestąpienia jej progu i podobno niejedna *lady* sama ściele swoje łóżko. Ze wszyst- kich manii, przybyłych do nas zza morza, czemuż wzgardziliśmy jedyną, której urok owiany tajemniczością powinien by zjednać sobie wszystkie wrażliwe dusze mieszkańców stałego ładu? Delikatną kobietę musi razić ten bezwstyd, z jakim wprowadza się we Francji obcych ludzi do małżeńskiego sanktuarium. Co do nas, którzy tak energicznie potępiliśmy kobiety obnoszące się ze swą ciążą, zdanie nasze nie może być wątpliwe. Jeśli chcemy, aby stan bez- żenny szanował małżeństwo, trzeba, aby ze swej strony ludzie żonaci mieli wzgląd na zapal- ność kawalerów.

Chcieć każdą noc spędzać w sypialni żony – może wydać się, przyznaję, aktem najbez- czelniejszej bufonady.

Wielu mężów spyta w duchu, jak człowiek, który ma pretensję udoskonalania małżeństwa, może zalecać mężowi tryb życia, który byłby zgubą każdego kochanka.

A jednak takie jest orzeczenie doktora wszech nauk małżeńskich.

Przede wszystkim, o ile ktoś nie ma zamiaru spędzać nocy stale poza domem, sposób ten jest jedyny, jaki pozostaje mężowi wobec niebezpieczeństw połączonych, jak wykazaliśmy, z obu poprzednimi systemami. Obowiązkiem naszym będzie zatem udowodnić, że ten ostatni sposób sypiania przedstawia więcej korzyści, a mniej braków niż poprzednie, zwłaszcza w przesileniu, które obecnie przebywa nasze stadło.

Uwagi nasze dotyczące sąsiednich łóżek udowodniły chyba dostatecznie mężom, iż obowiązkiem ich jest ustawicznie dostrajać się do temperatury, jaka w danej chwili ożywia harmonijną organizację ich żon; otóż wydaje się nam, iż ta zgodność nastroju ustala się w sposób dość naturalny pod białą osłoną płócien pokrywających małżeńską parę opiekuńczym płaszczem; już to samo stanowi olbrzymią korzyść.

Nic łatwiejszego, w istocie, niż sprawdzić w każdej chwili stopień uczucia i temperatury, w którym znajduje się kobieta, gdy głowy małżonków spoczywają na wspólnej poduszce.

Człowiek (mówimy tu o gatunku) nosi zawsze przy sobie rodzaj ścisłego bilansu, który wiernie i bez błędu wskazuje sumę zmysłowego napięcia, kryjącego się w nim w danej chwili. Tym tajemniczym g i n o m e t r e m jest dłoń. Dłoń jest niewątpliwie organem, który najbardziej bezpośrednio zdradza nasze wrażenia zmysłowe. Chirologia jest piątym dziełem, które przekazują następcom; sam ograniczę się do zwrócenia uwagi na szczegóły dotyczące naszego przedmiotu.

Ręka ludzka jest najistotniejszym narządem dotyku. Dotyk jest zmysłem, który w najmniej niedoskonały sposób zastępuje wszystkie inne, gdy jego żaden ze zmysłów nie zdoła zastąpić. Ręka, która sama wykonała wszystko, co człowiek dotąd stworzył, jest niejako uosobieniem – c z y n u. Cała suma naszej siły przepływa przez nią; jest rzeczą godną uwagi, iż ludzie obdarzeni potężnym umysłem posiadali prawie wszyscy piękne ręce, tak że doskonałość ich kształtu jest poniekąd zwiastunem wielkich przeznaczeń. Chrystus czynił wszystkie cudy przez włożenie rąk. Ręka przesącza niejako życie i na wszystkim, czego się dotknie, zostawia ślad swej magicznej potęgi; ona też w tak znacznej mierze uczestniczy we wszystkich rozkoszach miłości. Ona zdradza lekarzowi tajemnice organizmu. Ona, bardziej niż jaka bądź inna część ciała, wydziela fluid nerwowy czy też ową nieznaną substancję, którą, w braku innego określenia, nazywamy w o l ą. W oku odbija się niewątpliwie stan duszy; ale ręka zdradza równocześnie tajemnice ciała i myśli. Możemy nakazać milczenie oczom, ustom, brwiom i fałdom czoła; ale ręka nie zna obłudy, żadnej gry fizjonomii nie można by z nią porównać co do bogactwa wyrazu. Jej chłód i ciepło mają odcienie tak niedostrzegalne, że nie dochodzą do wrażliwości ludzi powierzchownych, ale kto choć trochę zajmował się anatomią uczuć i sprawami życia ludzkiego, rozumie ich mowę. I tak ręka może na tysiąc sposobów być sucha, wilgotna, rozpalona, lodowata, miękka, szorstka, oślizgła. Może drgać, wilgnać, sztywnieć, zwisać. Słowem, przedstawia ona niepojęte zjawisko, które można by nazwać w – c i e l e n i e m m y ś l i. Doprowadza do rozpaczny rzeźbiarza i malarza, gdy kuszą się o odtworzenie zmiennego labiryntu jej linii, tak pełnych tajemnic. Podać człowiekowi rękę znaczy ocalić go. Ręka służy jako zakład wszystkich naszych uczuć. Od niepamiętnych czasów próbowaly czarownice czytać przyszłe losy w liniach dłoni, które nie mają nic przypadkowego i ściśle są związane z istotą życia i charakteru. Zarzucając mężczyźnie, iż nie posiada taktu, kobieta wydaje nań wyrok bez ratunku. Mówi się wreszcie: „ręka sprawiedliwości”, „ręka Boska”; mówimy „człowiek silnej ręki” dla wyrażenia śmiałości i energii.

Posiąść sztukę odgadywania uczuć w atmosferycznych zmianach ręki, którą prawie zawsze kobieta pozwala nam ująć bez nieufności, jest studium mniej niewdzięcznym a pewniejszym niż fizjonomika.

Zatem, zdobywając tę wiedzę, możesz się uzbroić w wielką siłę i zyskać nić, która cię poprowadzi przez labirynt najbardziej nieprzeniknionych serc. To jedno starczy, aby wspólność waszego pożycia rozgrzeszyć z wielu braków a wzbogacić niejednym skarbem.

A teraz, czy sądzisz w istocie, że jesteś obowiązany do prac Herkulesa, dlatego że sypiasz co wieczór z żoną?... Cóż za głupstwo! Zręczny mąż posiada w tym położeniu więcej sposobów niż pani de Maintenon, gdy musiała przy stole zastąpić jakieś danie anegdotą.

Buffon, a z nim niektórzy filozofowie utrzymują, iż pragnienie wyczerpuje narządy o wiele więcej niż najpełniejsze użycie. Istotnie, czyliż żądza nie jest posiadaniem wyobraźni? Czyż nie jest w stosunku do czynu tym, czym życie duchowe snu w stosunku do życia materialnego? Czyliż to napięcie ducha nie wymaga wewnętrznego ruchu o wiele potężniejszego niż ten, który się łączy z faktem rzeczywistym? Jeśli czyny są tylko widowym wyrazem aktów już spełnionych w myśli, oszczędźcie, w jakim stopniu powtarzające się pragnienia muszą wyczerpywać zapas życiowego fluidu? Czyliż namiętności, które są tylko zsumowanymi pragnieniami, nie rysują głębokich bruzd w twarzach ludzi żartych ambicją lub żądzą gry i czyż nie zużywają sił ze zdumiewającą szybkością?

W spostrzeżeniach tych mieszczą się niewątpliwie zarodki tajemniczego systemu, którego ślady znajdziemy zarówno w nauce Platona, jak Epikura; system ten, okryty zasłoną na kształt egipskiego posągu, powierzamy waszym rozmyślaniom.

Ależ największą pomyłką, jaką człowiek może popełnić, jest mniemanie, że miłość mieści się tylko w owych, przelotnych chwilach, które, wedle wspaniałego wyrażenia Bossueta<sup>79</sup>, podobne są w naszym życiu do gwoździ wbitych w ścianę: na oko wydają się liczne, ale, zebrane razem, zmieściłyby się w dłoni.

Miłość polega prawie wyłącznie na rozmowie. Jedną jest tylko rzecz niewyczerpana u człowieka, który kocha: dobroć, wdzięk i delikatność. Wszystko odczuć, odgadnąć, uprzedzić; umieć zrobić wymówkę nie urażając tkliwości; pozbawić podarunek wszelkiej pychy; zdwoić wartość uczynku przez miłą i wykwinutą formę; ukryć pochlebstwo w postępowaniu, nie w słowach; starać się wszystko uzyskać z dobrej woli, nie zaś wydzierać gwałtem; dotykać bez szorstkości, umieć wlać pieszczotę w każde spojrzenie, nawet w dźwięk głosu; nigdy nie wprawiać w zakłopotanie; bawić nie rażąc smaku; głaskać pieszczotą serce, mówić do duszy... Oto wszystko, czego pragną kobiety; oddałyby rozkosze wszystkich nocy Mesaliny za to, aby żyć z człowiekiem umiejącym je karmić tymi pieszczotami duszy, których są tak łakome, a które nie kosztują mężczyznę nic prócz odrobiny starania.

W tych kilku wierszach kryje się główna tajemnica sypialni. Znajdą się może ludzie dość śmieszni, aby wziąć tę długą definicję taktu małżeńskiego za określenie miłości, gdy to jest, ściśle biorąc, jedynie rada, abyś postępował z żoną tak, jakbyś obchodził się z ministrem, od którego zależy upragniona posada.

Słyszę już, jak podnosi się tysiąc głosów z zarzutem, iż książka ta częściej broni sprawy żon niż mężów;

że większość kobiet nie jest godna tych względów i nadużyłaby ich z pewnością;

że istnieją kobiety skłonne z natury do wyuzdania, które nie bardzo zadowolilyby się taką mistyfikacją;

że żyją wyłącznie próżnością i myślą tylko o szmatkach;

że mają czasem przywidzenia i upory doprawdy niewytłumaczone;

że nieraz wzięłyby za złe zbytnią delikatność;

że są głupie, nic nie rozumieją, nic nie są warte itd. W odpowiedzi na wszystkie te krzyki nakreślmy tu zdanie, które – że zacytujemy Beaumarchais'go – umieszczone między dwoma odstępami będzie miało wygląd myśli:

---

<sup>79</sup> Wyrażenie Bossueta – pochodzi z jego „Rozmyślania o krótkości życia”.

## LXIV

Kobieta jest dla męża tym, czym ten mąż ją uczynił.

Mieć przy sobie wiernego tłumacza, który z głęboką szczerością wyraża uczucia kobiety, uczynić ją jej własnym szpiegiem, móc się dostosować do jej miłosnej temperatury, nie zostawiać jej samą, nasłuchiwać jej snu, unikać błędów, które gubią tyle małżeństw – oto przyczyny, które winny zapewnić zwycięstwo wspólnemu łóżku nad dwoma innymi systemami sypialni.

A podobnie jak nie ma na świecie korzyści bez ciężaru, i tu spoczywa na tobie obowiązek, abyś umiał spać z wdziękiem i elegancją; abyś w swoim fularze zachował wygląd pełen godności, abyś był miły, miał lekki sen, nie kaszlał za wiele i naśladował nowoczesnych autorów, którzy są bogatsi w przedmowy niż w książki.

## ROZMYŚLANIE OSIEMNASTE

### *O rewolucjach małżeńskich*

Wcześniej czy później nadchodzi chwila, w której ludy i kobiety, nawet najmniej rozwinięte, spostrzegają, że nadużyto ich naiwność. Wprawdzie zręczna polityka może podtrzymać złudzenie bardzo długo, ale ludzie byliby zbyt szczęśliwi, gdyby można ich było trwale oszukiwać: oszczędziłoby się w ten sposób wiele krwi w narodach i w małżeństwach.

Bądź co bądź, miejmy nadzieję, że środki obrony wskazane w poprzednich rozmyślaniach wystarczą pewnej ilości mężów, aby ich ocalić ze szponów Minotaura.

Och! przyznajcież doktorowi nauk małżeńskich, że niejeden skryty zamiar miłosny zginie pod ciosami higieny lub obumrze dzięki mądrej polityce małżeńskiej. Niewątpliwie (a jeśli to jest złudzenie, daje nam ono bodaj pociechę), tak, niewątpliwie uda się pokonać niejednego kochanka za pomocą *ś r o d k ó w o s o b i s t y c h*; niejeden; mąż potrafi nieprzeniknioną zasłoną okryć sprężyny swego makiawelizmu i niejeden mężczyzna przeprowadzi swe postanowienie z lepszym skutkiem niż ów starożytny filozof, który wykrzyknął: *Nolo coronari!*<sup>80</sup>

Niestety, trzeba nam uznać jedną smutną prawdę. Przychodzi na despotyzm chwila, w której zaczyna się on czuć, bezpieczny: chwila ta podobna jest godzinie poprzedzającej burzę, gdy cisza pozwala podróżnikowi, spoczywającemu na pożółkłej trawie, o milę słyszeć granie świerszcza. Pewnego ranka zatem uczciwa kobieta, a z nią większość naszych żon, odkryje orlim spojrzeniem kunsztowne podstępny, które uczyniły z niej ofiarę piekielnej polityki męzowskiej. Wówczas zbudzi się w niej wściekłość, że tak długo wytrzymała w cnotcie. W jakim wieku, którego dnia wybuchnie ta straszliwa rewolucja?... Ta chronologiczna kwestia zależy w zupełności od talentu męża, gdyż nie wszystkim dane jest jednako umiejętnie wprowadzać w życie przepisy naszej małżeńskiej ewangelii.

– Trzeba bardzo lichy kochać – wykrzyknie oszukana małżonka – aby być zdolnym do takich wyrachowań! Jak to! od pierwszego dnia wciąż mnie podejrzewał!... To potworne! Kobieta nie zdobyłaby się na taki artyzm przewrotności i okrucieństwa!

Oto temat. Każdy mąż może sobie dośpiewać wariacje, zależne od charakteru młodej Eumenidy, z którą sprzął swoje życie.

---

<sup>80</sup> *N o l o c o r o n a r i* (łac.) – nie chcę być uwięziony.



Kobieta w tym położeniu nie zdradza swego wzburzenia. Milczy i ukrywa się. Zemsta jej będzie tajemnicza. Dotychczas, od krytycznego przełomu, który, jak przyjęliśmy, nastąpił w małżeństwie na schyłku miodowego miesiąca, miałeś jedynie jej wahania do zwalczania, gdy teraz musisz się bronić przeciw postanowieniu. Postanowiła się zemścić... Od tego dnia twarz jej i serce będą dla ciebie z brązu. Byłeś jej obojętny; stopniowo i nieznacznie stajesz się nieznośny. Wojna domowa wybuchnie dopiero w chwili, gdy jakieś zdarzenie, podobne kropli wody, która sprawia, iż pełne naczynie się przeleje, zdarzenie, którego doniosłość trudno określić, uczyni cię dla niej nienawistnym. Czas jednakże między dniem, w którym żona przeniknęła twe zabiegi, a ową nieszczęsną godziną, ostatnim kresem dobrych stosunków, jest dość długi, aby ci pozwolić na użycie środków obrony, które mamy zamiar przedstawić.

Dotąd mogłeś się posługiwać w obronie swego honoru jedynie władzą starannie ukrytą. Odtąd kółka i sprężyny machin małżeńskich będą już działały otwarcie. Gdy poprzednio starałeś się zapobiec zbrodni, teraz musisz ją tępić i ścigać. Zacząłeś od rokowań pokojowych, w końcu jednak musisz dosiąść konia z szablą w rękę, jak żandarm paryski. Będziesz harcował na swoim rumaku, wywijał szablą, hałasował, co się zmieści, i spróbujesz rozpędzić zbiegowisko nie kalecząc nikogo.

Tak jak autor musiał znaleźć jakiś łącznik, za pomocą którego przeszedł od środków tajnych do jawnych, tak samo trzeba, aby mąż umiał usprawiedliwić tę dość gwałtowną zmianę; w małżeństwie, jak w literaturze, cała sztuka polega na zręczności wiązań. Jest to dla ciebie kwestia pierwszorzędного znaczenia. W jak strasznym położeniu postawiłbyś się teraz, gdyby w tej chwili, może najkrytyczniejszej w całym pożyciu, żona miała powód uskarżać się na ciebie!...

Trzeba zatem znaleźć sposób, który by ci pozwolił usprawiedliwić skrytą tyranie poprzedniej polityki, który by przygotował umysł żony na ostrość środków, do jakich masz się uciec; sposób, przez który byś się nie poniżył, lecz, przeciwnie, zyskał w jej oczach, sposób, który by cię uczynił godnym przebaczenia, a nawet wrócił ci nieco uroku, jakim działałeś na żonę przed ślubem...

– Ale w jakim arsenale politycznym znaleźć taki środek?... Czyż on istnieje?...

Owszem.

Ale jakąż zręczność, jaki takt, jaki talent aktorski musi posiadać mąż, aby rozwinąć mimiczne bogactwa skarbu, który zamierzamy mu odsłonić! Aby dobrze odegrać namiętność, której ogień ma z ciebie uczynić nowego człowieka, musisz się zdobyć na głębię Talmy<sup>81</sup> ...

Namiętnością tą – z a z d r o ś ć.

– Mój mąż jest zazdrosny. Był nim już od samego początku... Ukrywał przede mną to uczucie przez wyrafinowaną delikatność. Zatem kocha mnie jeszcze?... Będę więc mogła robić z nim, co zechcę!...

Oto odkrycia, na które żona powinna wpadać kolejno, w miarę rozwoju paradnej komedii, którą grasz ku własnej uciechu; a człowiek mający światową wprawę musiałby być bardzo niezdamny, gdyby nie potrafił przekonać kobiety o tym, co jej pochlebia.

Z jakąż doskonałą hipokryzją winieneś kierować wszystkimi szczegółami w ten sposób, aby obudzić w żonie ciekawość, zając ją nowym studium, zmusić do wędrówek po labiryncie twoich myśli.

Wy, niezrównani aktorzy, czy odgadujecie owe dyplomatyczne milczenia, chytre gesty, tajemnicze słowa, dwuznaczne spojrzenia, które pewnego wieczora rozplomienią żonę chęcią wydarcia sekretu trawiącej was namiętności?

Och, śmiać się po kryjomu, tocząc oczami tygrysa; nie kłamać, a przecież nie mówić prawdy; zawładnąć kapryśnym umysłem kobiety i wpoić w nią przekonanie, iż jesteś w jej

---

<sup>81</sup> Francois-Joseph Talma (1762–1826) – znakomity aktor francuski, ulubieniec Napoleona.

rękach, w chwili właśnie, gdy masz ją ścisnąć w żelazne obręcze!... Och, ta komedia bez publiczności, grana z serca do serca, w której każde z was oklaskuje z góry swój sukces!...

Ona to cię przekona, że jesteś zazdrosny, ona udowodni ci, że cię zna lepiej niż ty sam siebie, wykaże ci bezcelowość twoich podstępów, wyzwie cię może do walki. Triumfuje w upojeniu wyższości, jaką, w swoim mniemaniu, posiada nad tobą; zyskujesz w jej oczach, gdyż znajduje twoje postępowanie zupełnie naturalnym. Tylko – jej zdaniem – nieufność twoja jest zbyt uczynna: gdyby miała ochotę cię zdradzić, któż mógłby jej przeszkodzić?...

Następnie, pewnego wieczora, uniesie cię namiętność: pod błahym pretekstem zrobisz scenę, w której wyrwie ci się w gniewie sekret ostateczności, do jakich zdolny jesteś się posunąć. I oto obwieszczenie nowego kodeksu.

Nie obawiaj się zbyt, że żona się pogniewa. Zazdrość twoja jest jej potrzebna. Sama będzie się starała wywołać twą surowość. Po pierwsze, szuka w niej usprawiedliwienia dla siebie; prócz tego granie przed światem ofiary daje jej ogromne korzyści: czyż nie będzie zbierała rozkosznych objawów współczucia? A wreszcie, ukuje z twej zazdrości broń przeciw tobie samemu, w nadziei, iż pomoże to jej kiedyś zwabić cię w pułapkę.

Zawczasu dostrzega wyraźnie tysiąc nowych rozkoszy w swoich przyszłych zdradach; wyobraźnia jej uśmiecha się radośnie na widok zapór, którymi ją otaczasz: czyż nie będzie trzeba ich przeskakiwać?

Kobiety posiadają w wyższym od nas stopniu sztukę analizowania dwu uczuć ludzkich, które stanowią ich broń przeciwko nam lub których same padają ofiarą. Mają instynkt miłości, gdyż miłość to całe ich życie, i zazdrości, gdyż to jest prawie jedyny środek ich panowania. U nich zazdrość jest uczuciem prawdziwym, jest zrodzona z instynktu samozachowawczego; mieści w sobie alternatywę życia lub śmierci. Ale u mężczyzny namiętność ta, prawie niepodobna do określenia, jest zawsze niedorzecznością, o ile mężczyzna nie posługuje się nią jako środkiem.

Być zazdrosnym o kobietę, której miłości się nie posiada, jest to dziwnie nielogiczne. Albo kobieta kocha, albo nie: w którejkolwiek z tych ewentualności, zazdrość jest u mężczyzny uczuciem zbyt uczynnym; nie podobna jej umotywić, podobnie jak lęku; toteż zazdrość jest może tylko lękiem w miłości. Ale to nie znaczy wątpić o kobiecie, lecz wątpić o sobie samym.

Być zazdrosnym to razem szczyt egoizmu, niepokój miłości własnej i podrażnienie fałszywej próżności. Kobiety zadziwiająco troskliwie podtrzymują to śmieszne uczucie, ponieważ zawdzięczają mu swoje kaszmiry, stroje, brylanty i ponieważ dla nich jest ono ciepłomierzem ich potęgi. Toteż o ile nie udałbyś zaślepiętego zazdrością, żona miałaby się przed tobą na baczności; jedna bowiem tylko istnieje zasadzka, przed którą nie będzie się strzegła, mianowicie ta, którą zastawi sobie sama. Dlatego kobieta da się z łatwością wywieść w pole mężowi, który będzie dość zręczny, aby, prędzej czy później, nieuniknionej rewolucji małżeńskiej nadać ten umiejętny kierunek, wskazany przed chwilą.

Przeniesiesz zatem na swoje małżeństwo owo szczególne zjawisko, którego istnienia dowodzą nam linie l e d w o n i e s t y c z n e w geometrii. Żona dążyć będzie nieustannie do zminotauryzowania cię, nie mogąc nigdy osiągnąć celu. Podobna owym węzłom, które ściągają się najmocniej wówczas, gdy się silimy je rozwiązać, będzie pracowała w interesie twej władzy, myśląc, że pracuje dla swej niepodległości.

Najwyższym stopniem zręcznej gry u panującego jest wpoić w lud przekonanie, iż bije się za swoją sprawę, gdy w istocie pozwala się zabijać w obronie tronu.

Ale wielu mężów dopatrzy się zasadniczej trudności w wykonaniu tego planu. Jeżeli sztuka udawania jest u kobiet tak głęboką, po jakich znakach odgadnąć chwilę, w której żona odkryje sprężyny długiej mistyfikacji?

Po pierwsze, rozmyślanie o „Rewizji celnej” i „Teoria łóżka” rozwinęły wiele sposobów przeniknięcia kobiety; zresztą nie kusimy się w tej książce o wyczerpanie wszystkich zaso-

bów ludzkiego ducha. Oto dowód: w dniu saturnaliów Rzymianie dowiadywali się w dziesięć minut o swoich niewolnikach więcej, niżby mogli dostrzec przez cały rok! Powinieneś umieć stworzyć od czasu do czasu takie saturnalia w swoim małżeństwie i naśladować Gesslera, który, spostrzegłszy, jak Wilhelm Tell strącił jabłko z głowy syna, musiał pomyśleć: „Oto człowiek, którego trzeba się pozbyć, bo gdyby mnie chciał zabić, nie chybiłby z pewnością”.

Pojmujesz zatem, iż gdyby ona miała ochotę pić wino Roussillon, jeść filety baranie, wychodzić sama o każdej porze i czytać „Encyklopedię”, będziesz ją do tego zachęcał najusilniej. Natychmiast, widząc, iż postępujesz w sposób wręcz odwrotny do poprzednich zasad, żona nabierze nieufności względem własnych zachceń. Będzie się doszukiwała jakiegoś urojonego zamiaru w tej zmianie polityki; częśćka wolności, której jej użyczysz, będzie ją niepokoiła w sposób nie pozwalający z niej korzystać. Co do nieszczęść, które zmiana ta mogłaby pociągnąć, to już sprawa przyszłości. W każdej rewolucji pierwszą zasadą jest kierować złem, któremu nie można zapobiec, i ściągać piorun za pomocą gromochronu, aby go odprowadzić do studni.

Wreszcie zbliża się ostatni akt.

Kochanek, który od chwili, gdy najlżejsza z p i e r w s z y c h o z n a k wystąpiła u twojej żony, aż do wybuchu r e w o l u c j i m a ł ż e ń s k i e j unosił się w powietrzu, bądź jako rzeczywista postać, bądź jako twór wyobraźni, kochanek, przywołany jej skinieniem, zjawia się mówiąc: „Oto jestem”.

## ROZMYŚLANIE DZIEWIĘTNASTE

### *O kochanku*

Przedstawiamy waszym rozmyślaniom maksymy zawarte w tym rozdziale.

Należałoby zwątpić o rodzaju ludzkim, gdyby te spostrzeżenia powstały dopiero w roku 1830; ale określają one w sposób tak ścisły stosunki i sprzeczności istniejące pomiędzy tobą, żoną a kochankiem, rzucają tak jasne światło na twą strategię i ukazują siły nieprzyjaciela tak wiernie, że Mistrz okaże tu zupełne wyrzeczenie się autorskiej miłości własnej; a gdyby przypadkiem znalazła się między nimi bodaj jedna myśl nowa, połóżcie ją na konto diabła, który podszeptał napisanie tej książki.

LXV

Mówić o miłości znaczy oddawać się.

LXVI

U kochanka najpospolitsza żądza objawia się zawsze jako wybuch wzniosłego uwielbienia.

LXVII

Kochanek posiada wszystkie zalety i wady, których brak mężowi.

LXVIII

Kochanek nie tylko daje wszystkiemu życie, ale także pozwala zapomnieć o życiu; mąż nie daje życia niczemu.

LXIX

Wszystkie mizdrzenia kobiece znajdują zawsze uznanie w oczach kochanka; gdzie mąż wzrusza ramionami, kochanek tonie w zachwycie.

LXX

Kochanek samym zachowaniem się zdradza stopień, do którego doszedł z zamężną kobietą.

LXXI

Kobieta nie zawsze wie, czemu kocha. U mężczyzny rzadką jest rzeczą, aby nie miał jakiegoś interesu w miłości. Mąż powinien zawsze znaleźć tę kryjomą sprężynę, gdyż stanie się dlań ona dźwignią Archimedesesa.

LXXII

Rozumny mąż nigdy otwarcie nie zdradza podejrzenia, iż żona ma kochanka.

LXXIII

Kochanek ulega wszystkim kaprysom kobiety; ponieważ zaś nic nie szpeci mężczyzny w objęciach kochanki, może dla ujęcia jej użyć środków, które dla męża są odpychające.

LXXIV

Kochanek uczy kobietę wszystkiego, co mąż przed nią ukrywał.

LXXV

Wszystkie wzruszenia, jakie kobieta przynosi kochankowi, wracają do niej w drodze wymiany, i to o wiele silniejsze, wzbogacone zarówno tym, co dały, jak i tym, co otrzymały z powrotem. To obrót handlowy, kończący się nieuniknionym bankructwem męża.

LXXVI

Kochanek mówi do kobiety tylko o tym, co może ją podnieść, gdy mąż, nawet kochający, nie może się wstrzymać od rad, które zawsze mają coś z przygany.

LXXVII

U kochanka kobieta stoi zawsze na pierwszym miejscu, przed nim samym; u męża przeciwnie.

LXXVIII

Kochanek stara się być zawsze ujmującym. W chęci tej tkwi ziarnko przesady, od której blisko do śmieszności; mąż powinien umieć to wyzyskać.

LXXIX

Gdy dopuszczono się gdzieś zbrodni, wówczas sędzia śledczy wie (z wyjątkiem, gdy chodzi o zbiegłego galernika, który popełni mord w kaźni), że nie ma więcej niż pięć osób, które by można posądzać. Z tego założenia wychodzi, aby nakreślić plan działania. Mąż powinien rozumować jak ten sędzia: nie ma w towarzystwie ani trzech podejrzanych, gdy chodzi o wyszukanie kochanka żony.

LXXX

Kochanek ma zawsze słuszość.

Kochanek kobiety zameźnej zbliża się i mówi w te słowa: „Droga pani, pani potrzebuje spokoju. Winna pani świecić przykładem dzieciom. Przysięgła pani dać szczęście mężowi, który, pominiawszy niektóre usterki (a ja mam ich więcej od niego), zasługuje na twój szacunek. Otóż trzeba, abyś poświęciła dla mnie rodzinę, życie, ponieważ zauważyłem, że pani ma zgrabną nóżkę. Niech się pani nie odważy na najłżejsze szemranie: każde słowo żalu będzie obrazą, którą pomszczę za pomocą kar surowszych niż te, którymi prawo ściga wiarołomne żony. Za cenę tych poświęceń przynoszę pani tyleż zgrzyot, co radości”. I, rzecz nie do wiary, kochanek triumfuje!... Forma, jaką daje przemówieniu, okupuje wszystko. Mówi zawsze tylko jedno: „Kocham panią”. Kochanek jest heroldem, który głosi piękność, wdzięk, rozum kobiety. A cóż głosi mąż?

Razem wzięwszy, miłość, jaką wzbudza lub jaką sama odczuwa mężatka, jest uczuciem najmniej zaszczytnym w świecie: u niej próżność, u kochanka egoizm. Kochanek zameźnej kobiety zaciąga względem niej zbyt wielkie zobowiązania, aby się znalazło trzech ludzi w ciągu stulecia, którzy by raczyli ich dopełnić; winien by poświęcić kochance całe życie, a zawsze ją prędzej czy później rzuca – oboje wiedzą o tym i odkąd tylko istnieją społeczeństwa, ona była zawsze równie wspaniałomyślna, jak on niewdzięczny. Wielka namiętność budzi niekiedy współczucie sędziów, którzy ją muszą potępić; ale gdzież spotkacie te prawdziwe i trwałe namiętności? Jakiejż siły trzeba mężowi, aby skutecznie walczyć z człowiekiem, którego urok każe kobiecie poddać się takim nieszczęściom!

Sądźmy, iż na ogół mąż umiejący dobrze używać przedstawionych już przez nas środków obrony może doprowadzić żonę do dwudziestego siódmego roku, oczywiście nie tak, aby nawet w myśli nie uczyniła wyboru, ale tak, aby nie posunęła się do ostateczności. Tu i ówdzie można spotkać mężczyzn, którzy, obdarzeni geniuszem małżeńskim, potrafili zachować żonę z duszą i ciałem wyłącznie dla siebie aż do trzydziestego lub trzydziestego piątego roku; ale te wyjątki wzbudzają pewne zgorszenie i zgrozę. Fenomen ten zdarza się tylko na prowincji, gdzie życie jest przejrzyste, a domy mają szklane ściany, tak że mąż zbrojny jest olbrzymią władzą. Ta cudowna pomoc, którą w tych warunkach znajduje mąż w ludziach i okolicznościach, odpada z musu w mieście liczącym więcej niż dwakroć pięćdziesiąt tysięcy mieszkańców.

Byłoby zatem rzeczą prawie że udowodnioną, iż okres lat trzydziestu jest granicą wieku cnoty. W tym krytycznym momencie kobieta staje się tak trudną do ustrzeżenia, że aby móc ją na zawsze uwięzić w raju małżeńskim, trzeba przejść do ostatnich środków obrony, jakie nam pozostają, a które odsłoni nam „Studium o policji”, „Sztuka wracania do domu” i „Perypetie”.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE

### *O policji małżeńskiej*

Policja małżeńska obejmuje wszystkie środki, które daje ci w rękę prawo, obyczaj, siła i przebiegłość, aby przeszkodzić żonie w trzech czynnościach, które stanowią poniekąd życie miłości: pisywać, widywać się, mówić z sobą.

Policja schodzi się mniej lub więcej z różnymi środkami obrony, zawartymi w poprzednich rozmyślaniach. Instynkt jedynie może ci wskazać, jak i kiedy należy się posługiwać tymi czynnikami. Cały ten system jest bardzo elastyczny: rozumny mąż odgadnie z łatwością, jak go naginać, rozszerzać i zacieśniać. Za pomocą policji małżeńskiej mężczyzna może doprowadzić żonę do czterdziestki bez zmyzy.

Podzielimy ten traktat o policji na pięć ustępów:

- § I. O pułapkach;
- § II. O korespondencji;
- S III. O szpiegach;
- § IV. Indeks;
- § V. O budżecie.

#### § I. O pułapkach

Jakkolwiek przełom, który przebywa obecnie małżeństwo, jest bardzo poważny, nie przypuszczamy, aby kochanek zdobył już pełne p r a w o o b y w a t e l s t w a w świętym grodzie małżeńskim. Często zdarza się, iż mąż podejrzewa żonę o kochankę, nie wie jednak, na kogo z owych kilku wybrańców, o których wspominaliśmy poprzednio, skierować posądzenia. To wahanie pochodzi niewątpliwie z pewnej ułomności myślowej, której profesor winien przybyć z pomocą.

Fouche<sup>82</sup> miał na usługi w Paryżu parę salonów uczęszczanych przez najwyższe towarzystwo, gospodynie tych salonów były mu zupełnie oddane. Usłużność ta kosztowała skarb państwa dość słono. Minister nazywał te zebrania, których tajemnego przeznaczenia nikt wówczas nie podejrzewał, ł a p k a m i n a m y s z y. Niejedno aresztowanie miało miejsce

---

<sup>82</sup> Joseph Fouché (1759–1820) – minister policji Napoleona, mistrz intrygi politycznej, stworzył gigantyczną organizację policyjną, miał szpiegów w całej Europie.

tuż po wyjściu z balu, na którym najświetniejsze paryskie towarzystwo służyło za wspólnika eksbraciszskowi oratorianów.

Sztuka umocowania pieczonego orzecha w ten sposób, aby żona wsunęła do pułapki białą rączkę, jest bardzo ograniczona, gdyż kobieta ma się bardzo na bacności; bądź co bądź, liczymy co najmniej trzy rodzaje pułapek: niezawodna, zdradziecka i eksplodująca.

## NIEZAWODNA

Przypuśćmy, że dwóch mężów, nazwijmy ich A i B, pragnie wyśledzić kochanków żon. Posadźmy męża A w samym centrum stołu, strojnego piramidami owoców, kryształów, cukrów i likierów, męża zaś B możecie umieścić w dowolnym punkcie świetnego zgromadzenia. Szampańskie poczęło już krążyć, oczy błyszczą, języki w ruchu.

M ą ż A. (obierając kasztan): Co do mnie, przepadam za literatami, ale z daleka; w towarzystwie są nieznośni; mają jakiś despotyczny tonik... Sam nie wiem, co bardziej w nich razi, wady czy zalety; gdyż istotnie można by mniemać, że inteligencja służy im jedynie do podkreślania ich zalet i braków. Krótko mówiąc... (połyka kasztan) genialni ludzie są eliksirem ludzkości, zgoda, ale też trzeba używać ich umiarkowanie.

Ż o n a B. (która słuchała z uwagą): Ale też pan, panie A, jest wybredny! (ze złośliwym uśmiechem): Zdaje mi się, że głupcy nie ustępują bynajmniej ludziom utalentowanym co do wad, z tą różnicą, że nie mają ich czym okupić...

M ą ż A. (dotknięty): W takim razie zechce bodaj pani przyznać, iż względem pań nie są uprzejmi.

Ż o n a B. (żywo): Któż to powiedział?

M ą ż A. (z uśmiechem): Czyż nie przygniatają was na każdym kroku swoją wyższością? Próżność tkwi tak głęboko w ich duszach, iż między wami a nimi musi wręcz istnieć rywalizacja zawodowa...

P a n i d o m u (po cichu do żony A.): Zarobiłaś na to, moja droga... (Żona A. wzrusza ramionami).

M ą ż A. (ciągnąc dalej): ...Przy tym, nałóg kombinowania i analizowania myśli zanadto odsłania im cały mechanizm uczuć; stąd pojmują miłość jako proces czysto fizyczny, a wiadomo, iż to nie jest ich najmocniejsza...

Ż o n a B. (zaciskając wargi i przerywając): Zdaje mi się, proszę pana, że w tej sprawie my jedne możemy być sędziami. Ale pojmuję, iż światowcy nie mają sympatii do ludzi z talentem!... Bądź co bądź, łatwiej krytykować niż im dorównać.

M ą ż A. (lekceważąco): Och, jeśli tylko o to chodzi, to światowcy mogą znęcać się nad dzisiejszymi autorami bez obawy posądzenia o zazdrość. Niejeden salonowiec, gdyby tylko zechciał pisać...

Ż o n a B. (z zapalem): Na nieszczęście dla pańskich argumentów, niektórzy z pańskich przyjaciół z Izby próbowali pisać powieści; czy mógł je pan przeczytać?... Ależ dziś do najmniejszego pomysłu trzeba studiów historycznych, trzeba...

M ą ż B. (zapominając o sąsiadce, z którą rozmawiał, do siebie): Oho, czyżby moja żona była zakochana w panu de L. (autor „Marzeń młodej dziewczyny”)?... To szczególne, a ja byłem pewny, że to w doktorze M... Zaraz zobaczymy... (Głośno) Czy wiesz, moja droga, że ty masz słuszość? (wszyscy się śmieją) Doprawdy, ja w moim salonie wolałbym mieć raczej artystów i literatów (na stronie: kiedy będziemy przyjmowali) niż ludzi innych zawodów. Artyści mówią przynajmniej o rzeczach, które interesują wszystkich, bo któż nie uważa się za sędziego w kwestii smaku? Za to sędziowie, adwokaci, przede wszystkim lekarze... ach, przyznam się, że słuchać ustawicznie o procesach i chorobach, dwóch klęskach rodzaju ludzkiego, które...

Ż o n a B. (przerywa rozmowę z sąsiadką, aby odpowiedzieć mężowi); Ach! lekarze są nie do zniesienia!...



Ż o n a A. (siedząca obok męża B., wykrzykuje równocześnie): Ale co też pan znowu opowiada?... Myli się pan zupełnie. Dzisiaj nikt nie chce wyglądać na to, czym jest: lekarze, skoro już o lekarzach mowa, siłą się przede wszystkim nie rozmawiać o swoim zawodzie. Mówią o polityce, o modach, o teatrze, opowiadają, piszą książki lepiej od zawodowych literatów, słowem, nie można dziś mówić o lekarzach z punktu Moliera...

M ż A. (do siebie na stronie): Ej, do licha, czyżby moja żona kochała się w doktorze M?... To szczególnie... (Głośno) Wszystko to być może, moja droga, ale co do mnie, nie dałbym psa kurować lekarzowi, który bawi się w literaturę.

Ż o n a A. (przerywając mężowi): I bardzo niesłusznie; znam ludzi, którzy zajmują po pięć lub sześć posad, a w których mimo to rząd zdaje się pokładać dosyć zaufania. A zresztą, to zabawne, że ty to mówisz, ty, który tak wysoko cenisz doktora M.

M ą ż A. (na stronie): Nie ma co i wątpić!

### ZDRADZIECKA

Mąż (wracając do domu): Moja droga, jesteśmy zaproszeni do pani de Fischtaminel na koncert w przyszły wtorek. Wybierałem się, bo chciałem mówić z młodym bratankiem ministra, który miał tam śpiewać, ale dowiaduję się, że wyjechał do Frouville, do ciotki. Cóż ty zamierzasz?...

Żona: Ależ te koncerty to najnudniejsza rzecz pod słońcem... Trzeba godziny całe siedzieć nieruchomo, nie otwierając ust... Wiesz zresztą, że tego dnia mamy być u matki i że nie możemy opuścić jej imienin.

Mąż (mimochodem): Prawda, zapomniałem.

(W trzy dni później)

M ą ż (kładąc się do łóżka): Wiesz co, aniołku? Jutro zostawię cię u matki, bo hrabia wrócił z Frouville i będzie u pani de Fischtaminel.

Ż o n a (żywo): Ale czemu miałbyś iść beze mnie? Wiesz przecie, jak przepadam za muzyką...

### PUŁAPKA EKSPLODUJĄCA

Ż o n a: Czemu dziś wieczór tak wczesnie wychodzisz?...

M ą ż (tajemniczo): Ach, to cała historia, tym przykrzejsza dla mnie, że doprawdy nie mam pojęcia, jak się to wszystko ułoży!...

Ż o n a: O cóż chodzi, Adolfie? Byłbyś niegodziwy, gdybyś mi nie powiedział, co się stało.

M ą ż: Więc, moja dziecino, stało się, że ten wariat Prosper Magnan ma pojedynek z panem de Fontanges o jakąś baletniczkę... Ale co tobie?...

Ż o n a: Nic, nic, tak gorąco tutaj... Zresztą nie wiem, co mi jest, ale już cały dzień miałam takie uderzenia do głowy...

M ą ż (na stronie): Kocha się w panu de Fontanges! (Głośno) Celestyno! (Krzyczy) Celestyno, prędko, pani słabo!...

Pojmujecie, że każdy mąż mający trochę sprytu znajdzie tysiąc sposobów, aby zastawić jedną z tych pułapek.

### § II. O korespondencji

Napisać list i wrzucić do skrzynki; odebrać odpowiedź, przeczytać i spalić; oto korespondencja sprowadzona do najprostszej postaci.

A jednak zastanówmy się, jak niezmiernie ułatwienia nasza cywilizacja, nasze obyczaje i miłość dały w rękę kobietom, aby te materialne czynności usunąć spod męzowskiej kontroli.

Oto skrzynka, nieubłagana obojętna, każdemu, kto zapragnie, podaje rozchylone usta i otrzymuje ze wszystkich rąk strawę.

Oto nieszczęsny wynalazek *poste restante*. Następnie, kochanek znajdzie sto litościwych osób, mężczyzn, kobiet, które pod gwarancją wzajemności gotowe są wsunąć bilecik w tkliwą i inteligentną rękę jego pięknej przyjaciółki.

Korespondencja to istny Proteusz. Istnieją tzw. sympatyczne atramenty; pewien młody człowiek zwierzył się nam, iż udało mu się napisać list na pierwszej stronie świeżo wydanej książki, która, kupiona w księgarni przez męża, doszła rąk kochanki, uprzedzonej w wilię o tym cudownym podstępnie.

Zakochana kobieta, która obawia się zazdrości męża, potrafi napisać lub przeczytać słodki bilecik w godzinie poświęconej owym tajemniczym czynnościom, w czasie których nawet największy tyran musi zostawić jej wolność...

Wreszcie, kochankowie zdołali stworzyć specjalny klucz telegraficzny, którego nieuchwytny sygnały bardzo są trudne do przejęcia. Na balu kwiat wpięty we włosy w umówiony sposób; w teatrze chusteczka zwieszająca się z poręczy; podrapanie się po nosie, kolor wstążki, kapelusz włożony lub zdjęty, suknia ta, a nie inna, wybór arii lub pewne nuty tracone na fortepianie, wzrok skierowany w umówiony punkt, słowem wszystko, poczynawszy od katarynki, która przechodzi pod twymi oknami i znika, skoro ktoś otworzy żaluzję, aż do ogłoszenia w dzienniku o koniu na sprzedaż, nawet t y s a m, wszystko może być użyte do korespondencji.

Ileż razy zdarza się, że kobieta podstępnie prosi męża, aby załatwił jej sprawunek, udał się do magazynu w takim a takim domu, uprzedziwszy kochankę, iż obecność twoja w tym miejscu oznaczać będzie jakieś t a k lub n i e?

Tu mistrz musi wyznać ze wstydem, iż nie ma sposobu przeszkodzić kochankom w porozumiewaniu się. Ale właśnie ta niemożność użycza makiawelizmowi małżeńskiemu większej siły, niż mu ją dawał którykolwiek ze środków ostrożności.

Zasadą, która powinna zostać świętą między małżonkami, jest układ, mocą którego ślubują szanować wzajem pieczęć listów. Zręczny i rozumny mąż winien uświęcić tę zasadę w samym początku pożycia i umieć ją uszanować.

Zostawiając kobiecie nieograniczoną swobodę pisania i odbierania listów, zachowujesz sobie możność pochwylenia chwili, w której zaczniesz korespondować z kochankiem.

Ale przypuśćmy nawet, iż żona ma się przed tobą na bacności i że okryła nieprzeniknioną zasłoną sposoby, jakich używa, aby ukryć swą korespondencję, czyż nie tu jest miejsce, abyś rozwinął ową potęgę inteligencji, w którą uzbroiliśmy cię w rozmyślanie „O rewizji celnej”? Mężczyzna, który nie potrafi dostrzec, kiedy żona pisze do kochanka lub kiedy odebrała od niego odpowiedź, jest mężem niekompletnym.

Głęboka uwaga, jaką będziesz musiał poświęcić poruszeniom, czynnościom, gestom i spojrzeniom żony, będzie może nużąca i uciążliwa, lecz za to trwa krótko: chodzi tylko o odkrycie, kiedy i jak żona porozumiewa się z kochankiem.

Nie chcemy przypuścić, aby się znalazł mąż, nawet średniej inteligencji, który by nie potrafił przeniknąć tego kobiecego manewru, gdy raz wpadnie na podejrzenie.

A teraz osądźcie z jednego przykładu, jakie środki policyjne i sposoby represji daje wam w rękę korespondencja.

Pewien młody adwokat, któremu namiętna miłość odsłoniła niektóre zasady zawarte w tej tak ważnej części naszego dzieła, poślubił młodą osobę, która okazywała mu bardzo umiarkowany stopień uczucia (co on uważał za wielkie szczęście). Po roku mąż spostrzegł, że ubóstwiana Anna (Anna jej było) kocha się w pomocniku agenta giełdowego.

Adolf był to młody człowiek lat około dwudziestu pięciu, ładny chłopiec i, jak wszyscy kawalerowie, lubiący się zabawić. Był oszczędny, uczciwy, miał złote serce, jeździł dobrze konno, dowcipny w rozmowie, trzymał kare koniki zawsze starannie ufryzowane, a strój jego odznaczał się pewną wytwornością. Słowem, sama księżna nie potrzebowałaby ani wstydzić się, ani żałować takiej znajomości. Adwokat był niski, brzydki, barczysty, przysadkowaty, niepozorny i – mąż. Anna, piękna i smukła, miała oczy w kształt migdała, białą cerę i delikatne rysy. Postać jej oddychała miłością, a namiętność ożywiała spojrzenie czarującym wyrazem. Pochodziła z ubogiej rodziny, zaś pan Lebrun posiadał dwanaście tysięcy renty. Zdaje się, że sytuacja jest jasna. Pewnego wieczora Lebrun wraca do domu bardzo przygnębiony. Przechodzi do gabinetu, aby zasiąść do pracy, ale natychmiast wraca do sypialni trzęsąc się z zimna, mówi, że ma gorączkę, i za chwilę kładzie się do łóżka. Jęczy, biada nad swymi klientami, szczególnie nad biedną wdową, której majątek nazajutrz właśnie miał ocalić przez pewną transakcję. Spotkanie ze stronami było już umówione, a teraz nie czuje się na siłach!... Przedrzemawszy w łóżku jakiś kwadrans, budzi się nagle i słabym głosem prosi żonę, aby zechciała napisać do jednego z przyjaciół z prośbą o zastępstwo w jutrzejszej konferencji. Dyktuje długi list i śledzi wzrokiem przestrzeń, jaką zdania jego zajmują na papierze. Skoro trzeba było rozpocząć świeży arkusz, adwokat opisywał właśnie koledze radość, jaką sprawiłby klientce, gdyby zdołał umowę doprowadzić do skutku, tak iż nieszczęsna stronica zaczęła się od słów:

*Mój drogi przyjacielu, spiesz, spiesz natychmiast do pani de Vernon, oczekują Cię tam z niecierpliwością. Mieszka przy ulicy du Sentier nr 7. Wybacz, że tak mało Ci mówię, ale liczę na Twe nieporównane odczucie, które pozwoli Ci odgadnąć to, czego nie mogę tu wyjaśnić.*  
*Twój z całego serca.*

– Daj mi ten list – rzekł adwokat – abym przed podpisaniem przejrzał, czy nie ma błędu.

Nieszczęśliwa, której czujność uspił charakter owego pisma, najeżonego barbarzyńskimi prawniczymi terminami, oddaje list. Zaledwie Lebrun dostał do rąk zdradziecki dokument, zaczyna się kręcić na łóżku, jęczeć i prosi żony nie wiem już o jaką przysługę. Pani wychodzi na dwie minuty, przez ten czas adwokat wyskakuje z łóżka, składa jakiś papier na kształt listu, pismo zaś żony ukrywa pod poduszką. Skoro Anna wraca, przebiegły mąż pieczętuje czysty papier, każe go zaadresować do przyjaciela, do którego był rzekomo list, po czym biedna istota oddaje, w niewinności ducha, przesyłkę służącemu. Lebrun uspokaja się stopniowo, zasypia lub udaje, że zasypia, i nazajutrz rano skarży się jeszcze na jakieś nieokreślone dolegliwości. W dwa dni później oddziera pierwszą stronicę listu, przerabia na „twoja” zdanie „twój z całego serca”, składa tajemniczo papier, który uczynił niewinnym współnikiem fałszerstwa, pieczętuje, wychodzi z sypialni, woła pokojówkę i mówi:

– Pani prosi, abyś zniosła ten list do pana Adolfa; leć prędko...Czeka chwilę odejścia służącej, po czym wychodzi z domu pod pozorem pilnej sprawy i spieszy na ulicę du Sentier pod wskazanym adresem. Tam, w mieszkaniu przyjaciela, który zgodził się być pomocny w tym planie, oczekuje spokojnie rywala. Kochanek, pijany szczęściem, pędzi, pyta o panią de Vernon; wpuszczają go i oto spotyka się oko w oko z panem Lebrun, który patrzy nań z twarzą bladą, lecz chłodną, ze spojrzeniem spokojnym, lecz nieubłaganym.

– Panie – przemawia wzruszonym głosem do młodego sensała, w którym serce zadrgało z przerażenia – pan kochasz moją żonę i starsz się jej podobać; nie mogę tego panu brać za złe, w pańskim wieku i na pańskim miejscu czyniłbym zapewne to samo. Ale Anna jest w rozpacz, zamącił pan jej szczęście, w sercu nosi piekło. Wyznała mi wszystko. Sprzeczką, która z łatwością zakończyła się pojednaniem, pchnęła ją do napisania biletu, który otrzymałem; obecnie prosiła mnie, abym sam udał się na jej miejsce. Nie będę panu przedstawiał, że upierając się przy zamiarze uwiedzenia mojej żony staniesz się przyczyną nieszczęścia tej,

którą kochasz, że ją pozbawisz mego, a w przyszłości i swego szacunku; że następstwa zbrodni będą się ciągnąć nawet w przyszłości i staną się może przyczyną niedoli mych dzieci; nie wspomnę nawet o goryczy, jaką przepelnisz pan moje życie; na nieszczęście, to by były dla pana czcze słowa. Ale oświadczam, iż najlżejszy krok z pańskiej strony stanie się przyczyną zbrodni, bo ja nie spuszczę się na los pojedynku, aby panu przeszyć serce!...

Tu oczy adwokata strzeliły złowrogim blaskiem.

– Panie – ciągnął nieco łagodniej – jesteś młody, masz serce szlachetne; poświęć się dla szczęścia tej, którą kochasz; wyrzec się jej, nie staraj się jej już widzieć. A jeśli panu koniecznie zależy, aby to był ktoś z rodziny, mam młodą ciotkę, której serca dotąd nikt nie umiał zdobyć; jest prześliczna, pełna wdzięku i bogata, zajmij się pan jej nawróceniem, a zostaw w spokoju uczciwą kobietę.

Ta mieszanina żartu i grozy, przejmujące spojrzenie i głęboki ton zrobiły na kochanku niesłychane wrażenie. Parę minut stał w osłupieniu, jak ludzie nazbyt wzruszeni, którym gwałtowność wstrząsu odbiera całą przytomność. Jeżeli Anna miała w przyszłości kochanków (czyste przypuszczenie), Adolf z pewnością nie był z ich liczby.

To zdarzenie może czytelnikowi uzmysłowić, do jakiego stopnia korespondencja jest obyczajnym sztyletem, który zarówno może się przyczynić do obrony męża, jak do fałszywego kroku żony. Winienes zatem popierać korespondencję żony z tych samych przyczyn, dla których prefekt policji troskliwie każe zapalać latarnie na ulicach Paryża.

### § III. O szpiegach

Zstępować do zebrania o informacje u służących, spadać niżej od nich, opłacając ich donosy, nie jest zbrodnią; jest to rzecz może brudna, lecz w każdym razie głupia, gdyż nic nie poręcza uczciwości służącego, który potrafi zdradzić swoją panią, i nigdy nie będziesz pewien, czy on działa w interesie twoim, czy też żony. Jest to zatem punkt osądzony raz na zawsze.

Natura, ta dobra i tkliwa opiekunka, otoczyła matkę rodziny szpiegami najbardziej pewnymi i przenikliwymi, najbardziej prawdomównymi a zarazem najdyskretniejszymi w świecie. Niemi są, a jednak mówią, widzą wszystko, zdając się nic nie spostrzegać.

Pewnego dnia spotykam na bulwarze przyjaciela; zaprasza mnie na obiad i prowadzi do siebie. Waza była na stole, a pani domu rozdelała córeczkom talerze, pełne dymiącej zupy.

„Oho! – pomyślałem – wszak to jeden z moich p i e r w s z y c h s y m p t o m ó w”.

Siedliśmy do stołu. Pierwszym słowem męża, rzuconym zresztą bez myśli i raczej dla przerwania milczenia, było pytanie:

– Był kto dzisiaj?

– Ani żywej duszy! – odparła żona nie patrząc nań. Nie zapomnę nigdy, z jaką żywością obie dziewczynki podniosły oczy na matkę. Zwłaszcza starsza, ośmioletnia, miała coś szczególnego w spojrzeniu. Było w nim równocześnie coś z wyznań i tajemnicy, ciekawości i milczenia, zdziwienia i dyskrecji. Jeśli jest coś, co dałoby się porównać z szybkością, z jaką ten niewinny błysk przemknął się w oczach dziewczynek, to chyba ta przytomność, z jaką obie zapuściły natychmiast białe zasłony delikatnych powiek.

Słodkie i czarujące stworzenia, które od dziewiątego roku aż do zameścia stajecie się nieraz udręczeniem matki, choćby nawet nie była płochą, jakież szczególny przywilej czy instykt sprawia, że wasze młode uszka słyszą przez drzwi i ściany najśłabszy dźwięk głosu męczyzny, że wasze oczy dostrzegają wszystko, że wasz młodzieńki umysł nabywa wprawy w odgadywaniu wszystkiego, nawet ukrytego znaczenia zawartego w rzuconym od niechcenia słowie lub najnieznaczniejszym gościu matek?

Jest jakiś nieokreślony instykt i coś jakby z wdzięczności w owym tklwym uczuciu, jakie mają ojcowie dla córek, a matki dla synów.

Natomiast sztuka spożytkowania jako szpiegów rzeczy materialnych jest rzeczą dziecinnie łatwą i nie trudno chyba wymyślić coś lepszego niż ów zakrystian, który wpadł na pomysł umieszczenia skorupki od jaj w materacach i który nie znalazł u zdumionego kuma innych słów współczucia oprócz uwagi: „Ty z pewnością nie byłbyś ich potłukł tak drobno”.

Nielepszym było pocieszenie, którego marszałek Saski udzielił panu de la Popeliniere, gdy razem odkryli ów słynny kominek na zawiasach, wynalazek księcia de Richelieu:

– Toż to najpiękniejszy przyrząd do przyprawiania rogów, jaki w życiu widziałem! – zawołał zwycięzca spod Fontenoy.

Miejmy nadzieję, iż twoje szpiegostwo nie wykryje jeszcze nic równie przykrego. Te niedole są owocami wojny domowej, do której jeszcześmy nie doszli.

#### § IV. Indeks

Papież umieszcza jedynie książki na indeksie; ty będziesz piętnował ludzi i rzeczy.

Zabrania się pani uczęszczać do kąpieli poza domem.

Zabrania się przyjmować mężczyzny, o którym masz podejrzenie, iż jest przedmiotem jej uczuć; toż samo wszystkich osób, które mogłyby pomagać tej miłości.

Zabrania się wychodzić na przechadzkę bez twego towarzystwa.

Jednakże osobliwości, jakie wytwarza w każdym małżeństwie różność charakterów, niezliczone postacie, jakie przybiera miłość, wreszcie usposobienia małżonków wyciskają na tej „Czarnej Księżce” piętno takiej zmienności, tak szybko mnożą lub zacierają jej linie, że jeden z przyjaciół autora nazwał ten indeks: „Historią przeobrażeń kościoła małżeńskiego”.

Dwie tylko istnieją rzeczy, które można by poddać stałym zasadom: pobyt na wsi i przechadzka.

Mąż nie powinien nigdy ani sam wozić żony, ani też pozwolić jej jechać na wieś. Miej własną posiadłość, mieszkaj w niej, przyjmuj jedynie kobiety lub starców, nie zostawiaj nigdy żony samej. Ale wozić ją, choćby na pół dnia, do obcego domu... to dowodziłoby isticie strusiej nieprzezorności.

Czuwać nad żoną na wsi to już samo przez się najtrudniejsze zadanie. Czy możesz być równocześnie we wszystkich zaroślach, wspinać się na drzewa, tropić ślad kochanka w trawie, zdeptanej w nocy, ale która podnosi się znowu i nabiera dawnej świeżości, zwilżona poranną rosą i ogrzana promieniami słońca? Możesz stać na straży przy każdej szczerbie parkowego muru? Och! wieś i wiosna!... oto dwie prawe ręce cechu kawalerów.

Skoro kobieta doszła do krytycznego momentu, który przyjęliśmy za punkt wyjścia, mąż winien zostać w mieście aż do wybuchu wojny albo oddać się całej rozkoszom bezlitosnego szpiegowania.

A przechadzka?... Twoja pani pragnie odwiedzać zabawy, koncerty, Lasek Buloński, robić sprawunki, oglądać najświeższe mody? Owszem, może wychodzić, zwiedzać, oglądać, ale w szacownym towarzystwie męża i pana.

Gdyby zaś żona skorzystała z chwili, w której przykuty jesteś jakimś zajęciem, aby wyłudzić milczące zezwolenie, gdyby dla uzyskania go rozwinęła wszystkie sztuczki i uroki owych pieszczotliwych scen, w których kobiety tak celują i których bogactwo powinieś umieć przeniknąć, wówczas – taka rada Mistrza – dasz się usidlić tym czarom, drogo jej sprzedasz swoje pozwolenie, a przede wszystkim będziesz się starał wpoić w tę istotę o duszy ruchliwej i zmiennej jak powierzchnia wody, a zarazem hartownej jak stal, że niezmiernie ważne zajęcie nie pozwala ci ani na chwilę opuścić gabinetu.

Ale ledwie żona znajdzie się na ulicy (jeżeli idzie pieszo), nie ociągaj się ani pięćdziesiąt sekund, biegnij w jej ślady i postępuj niepostrzeżony krok w krok.

Znajdzie się może jaki Werter, którego delikatna i tkliwa dusza oburzy się na tę inkwizycję. Naszym zdaniem, postępowanie to tak samo nie zasługuje na nagane, jak przezorność

właściciela, który wstaje w nocy i wychyla się oknem, aby czuwać nad brzoskwiniami w ogrodzie. W ten sposób, nim jeszcze spełniono zbrodnię, uda ci się może zdobyć dokładne wiadomości o owych tajemnych mieszkankach, które tyle zakochanych par wynajmuje w mieście pod przybranym nazwiskiem. Jeżeli przypadkiem (od którego niech cię Bóg strzeże) żona weszłaby do domu, który wydaje ci się podejrzanym, staraj się wywiedzieć, czy mieszkanie ma kilka wejść.

Żona wsiądzie do dorożki... i czegoż możesz się obawiać? Czyż prefekt policji, któremu mężowie winni ofiarować złoty wieniec, nie ustawił na każdym postoju dorożek budki, w której z notatnikiem w ręce zasiada nieprzedajny stróż moralności publicznej? Czyż może się przed nim ukryć, dokąd żeglują i skąd wracają te paryskie gondole?

Jedną z najżywotniejszych zasad policji mężowskiej będzie towarzyszyć żonie do wszystkich sklepów, o ile w ogóle sama się tymi rzeczami zajmuje. Będziesz uważnie śledził, czy istnieje cię poufałości między żoną a modniarką, krawcową, kapeluszniczką itd. Zastosujesz w tym wypadku przepisy małżeńskiej rewizji celnej i wyciągniesz odpowiednie wskazówki.

Jeśli w czasie twojej nieobecności żona wyszła bez pozwolenia, udając się rzekomo tam a tam, do magazynu itd., biegnij nazajutrz i staraj się wybadać, czy powiedziała prawdę.

Zresztą własna zazdrość podyktuje ci lepiej niż to rozmyślanie środki tyranii małżeńskiej, dlatego też zakończymy te nużące przestrogi.

## § V. O budżecie

Szkicując portret męża stojącego na wysokości zadania (patrz rozmyślanie „O predestynowanych”), radziliśmy z naciskiem, aby ukrywał przed żoną rzeczywistą sumę swoich dochodów.

Opierając na tej zasadzie system finansowy, mamy jednak równocześnie nadzieję przyczynić się do obalenia dość powszechnej opinii, iż nie należy powierzać żonie spraw pieniężnych. Pogląd ten jest jednym z popularnych fałszów, które wprowadzają w małżeństwa wiele złego.

Przede wszystkim, załatwmy się z kwestią serca, nim przystąpimy do kwestii pieniężnej.

Uchwalić małą „listę cywilną” na potrzeby żony i koszt domu i wypłacać ją, niby podatek, w równych miesięcznych ratach – w tym jest coś małostkowego, skąpego, akuratnego, coś, co może przypaść do smaku jedynie brudnym lub nieufnym naturom. Postępując w ten sposób, gotujesz sobie okrutne przykrości.

Rozumiem, że w pierwszych latach waszego m i o d o n o ś n e g o związku zdołasz upiększyć wręczanie miesięcznej kwoty za pomocą zabawnych scen, dowcipnych żartów, zgrabnych sakiewek, pieszczot wreszcie; ale przyjdzie chwila, w której nieopatrzność żony, nieprzewidziane marnotrawstwo zmusi ją do błagania Wysokiej Izby o pożyczkę. Przypuszczam, że zawotujesz zawsze uchwałę umarzającą, nie sprzedając takowej zbyt drogo za cenę długiej oracji, jak czynią nasi uprzykrzeni posłowie. Płacą, ale zrzędzą; ty zapłacisz, mówiąc czułości; niech i tak będzie.

Ale w tym przesileniu, jakie przebywa twoje małżeństwo, budżet okaże się zawsze niewystarczający. Wzrasta potrzeba szalów, kapeluszy i sukien; przybywają nieobliczalne wydatki, spowodowane przez kongresy, kurierów dyplomatycznych, środki i drogi miłości – gdy dochody zostają te same. Wówczas zaczyna się dla kobiety najwstrętniejsza i najniebezpieczniejsza szkoła. Znam tylko niewielu szlachetnych i wielkodusznych mężczyzn, którzy czystość serca, szczerłość duszy cenią wyżej od milionów, którzy przebaczyliby tysiąc razy łatwiej namiętność niż kłamstwo i których wrodzona delikatność umiała odczuć źródło tej gangreny duchowej, ostatniego szczebla zepsucia, do jakiego istota ludzka spaść może.

Wówczas, na pozór, rozgrywają się w małżeństwie najrozkoszniejsze sceny miłosne. Wówczas kobieta mięknie; podobna błyszczącej strunie harfy, rzuconej przed ogień, owija się

dokoła ciebie, otacza cię i oplata uściskiem, poddaje się wszystkim twym pragnieniom. Nigdy jeszcze słowa jej nie były tak tkliwe, nigdy nie rzucała tak hojnie skarbów swej czułości, jak dziś ci je daje, a raczej sprzedaje; słowem, spada niżej dziewczyny publicznej, gdyż prostytuuje się własnemu mężowi. W najśłodszych jej pocałunkach tkwi myśl o pieniądzu, w najczulszych słowach jest pieniądz. Przy tym rzemiośle w duszy staje się ona dla ciebie z kamienia. Najpodstępniejszy, najukładniejszy lichwiarz nielepiej waży wzrokiem brzęczącą wartość młodego utracjusza, któremu podsuwa weksel, niż żona ocenia wartość twego pożądanego, skacząc z gałązki na gałązkę jak spłoszona wiewiórka, aby powiększyć sumę pieniężną przez sumę pragnienia. I nie marz, abyś uszedł tym urokiem. Natura dała kobiecie skarby zalotności, a społeczeństwo pomnożyło je dziesięciokrotnie przez swe mody, ubrania, koronki i stroiki.

– Gdybym się ożenił – mawiał jeden z najczcigodniejszych generałów dawnej armii – nie włożyłbym ani grosza do koszyczka mojej żony...

– A cóż byś włożył, generale? – spytała pewna młoda osoba.

– Kluczyk od biurka.

Młoda panna zrobiła minę pełną uznania. Skinęła lekko główką, ruchem podobnym do chwiejącej się igły magnetycznej, następnie zaś podniosła bródkę, jakby mówiła:

Wyszłabym chętnie za generała mimo jego lat czterdziestu pięciu”.

Ale, wracając do kwestii pieniężnej, jak chcesz, aby żona interesowała się przedsiębiorstwem, w którym pełni jedynie funkcje płatnej buchalterki?

Rozpatrzmy teraz drugi system.

Oddając żonie, z pozorami bezwzględnego zaufania, dwie trzecie majątku i pozwalając jej gospodarować samodzielnie, zyskasz u niej szacunek, którego nic nie zdoła zatrzeć, gdyż ufność i szlachetność zawsze znajdują potężne echo w sercu kobiety. Żona będzie dźwigała odpowiedzialność, która nieraz będzie zaporą przeciw rozrzutności, tym silniejszą, że zbuduje ją sama w swoim sercu. Ty ubezpieczyłeś część majątku na wszelki wypadek, a zarazem zyskałeś pewność, iż żona nigdy nie będzie zmuszona zniżyć się do podłości.

A teraz, skoro mówimy o środkach obrony, zastanów się, jak wspaniałą pomoc możesz znaleźć w tym systemie. Dzięki niemu zyskasz dokładny wykaz moralnego kursu żony, jak kurs giełdowy jest miarą zaufania ludności do rządu.

W pierwszych latach żona będzie miała tę ambicję, aby cię otoczyć przyjemnościami i zbytkiem.

Będzie prowadziła stół obfity i smaczny; będzie dbała o wykwint mieszkania i pojazdów; znajdzie zawsze w szufladce okrągłą sumkę do rozporządzenia mężusia. Otóż obecnie szufladka będzie najczęściej pusta, a pan mąż będzie wydawał w pojęciu żony o wiele za dużo. Oszczędności uchwalone przez Izbę trafiają zawsze jedynie drobnych urzędników o tysiąc dwustu frankach pensji; otóż ty będziesz tym tysiącfrankowym urzędnikiem w swoim domu. Będziesz się śmiał z tego w duchu, gdyż przez dłuższy czas składałeś, kapitalizowałeś, pomnażałeś ową trzecią część swego majątku, podobnie jak Ludwik XV, który stworzył sobie oddzielny skarbczyk, „na wypadek nieszczęścia”, jak mówił.

Zatem, skoro żona zacznie mówić o oszczędności, wywody jej będą miały znaczenie wahań giełdowych. Z tych finansowych fluktuacji będziesz mógł wnosić o postępek, jakie kochanek czyni w jej sercu. *E sempre bene*<sup>83</sup>.

Gdyby się okazało nawet, iż żona, nie umiając ocenić twego bezgranicznego zaufania, zdołała roztrwonić znaczną część majątku, to przede wszystkim, trudno przypuścić, aby rozrzutność ta mogła osiągnąć owej trzeciej części dochodów, które kapitalizujesz od lat dziesięciu, a po wtóre, rozmyślanie „O perypetiach” nauczy cię, iż właśnie to przesilenie spowodowane szaleństwami żony może ci dostarczyć znakomitych środków zdławienia Minotaura. Wreszcie, ostatnia zasada: tajemnica s k a r b c z y k a nie powinna wyjść na jaw aż po twej

---

<sup>83</sup> E s e m. p r e b e n e (wł.) – zawsze jest dobrze.

śmierci; gdybyś zaś był zmuszony zeń zaczerpnąć, aby przyjść w pomoc żonie, suma ta niech zawsze rzekomo pochodzi ze szczęśliwej gry lub pożyczki od przyjaciela.

Takie są święte zasady budżetu małżeńskiego.

Policja małżeńska ma swoją martyrologię. Przytoczymy tylko jeden fakt, ponieważ wskazuje on jasno, iż mężowie, którzy uciekają się do tak energicznych środków, winni czuwać nad sobą nie mniej bacznie jak nad żonami.

Pewien stary sknera, osiadły w T..., mieście, któremu mało które dorówna szaleńcem zabaw, ożenił się z młodą i piękną kobietą, w której był tak zakochany i tak o nią zazdrosny, że miłość wzięła górę nad chciwością; rzucił interesy, aby lepiej czuwać nad żoną, zmieniając niejako przedmiot sknerstwa. Wyznaję, iż większą część spostrzeżeń zawartych w tym studium (dalekim niewątpliwie od wyczerpania przedmiotu) zawdzięczam osobie, która miała sposobność obserwować ten fenomen małżeński. Jeden rys wystarczy. Bawiąc na wsi, mąż ów nigdy nie udał się na spoczynek, nim nie wygracował po kryjomu w tajemnicze desenie ścieżek; osobne zaś grabie miał do znaczenia piasku na terasach. Poczynił głębokie studia nad śladami stóp domowników i od rana spieszył badać na piasku odciski.

– W całym parku mam tylko starodrzew – mówił do wspomnianej osoby pokazując jej swoją posiadłość – bo w zaroślach nic się nie widzi...

Żona jego kochała jednego z najmilszych młodych ludzi w mieście. Od dziewięciu lat żyła ta namiętność, wspaniała i niesłabnąca, w sercach dwojga kochanków, którzy odgadli swe uczucia w jednym spojrzeniu, na balu; w wirze tanecznym, przez pachnącą skórę rękawiczek, drżenie palców odsłoniło im bezmiar wzajemnej miłości. Od tego dnia oboje znaleźli źródło niewypowiedzianych rozkoszy w owych drobiazgach, których nie umieją cenić kochankowie szczęśliwi. Pewnego dnia młody człowiek tajemniczo zaprowadził swego powiernika do pokoiku, w którym, ustawione na stole i przykryte szklanymi kloszami, przechowywał pamiątki swej miłości z większym staraniem, niż gdyby to były najwspanialsze klejnoty. Były to kwiaty uronione w wirze tanecznym z włosów kochanki, gałązki z drzewa, o które oparła się w parku. Znajdował się tam nawet drobny ślad, jaki mała jej nóżka zostawiła na gliniastej ziemi.

– Słyszałem – mówił mi później ów powiernik – silne i głuche uderzenia jego serca, rozlegające się wśród milczenia, jakie zachowaliśmy wobec skarbów tego relikwiarza miłości. Wzniósłem oczy w górę, jak gdybym chciał zwierzyć się niebu z uczuć, których nie śmiałem wyrazić. „Biedna ludzkości!...” pomyślałem...

– Pani de... mówiła mi, że któregoś wieczora, na balu, znaleziono cię wpół zemdlonego w saloniku?... – spytałem.

– I jak jeszcze – odparł kryjąc pod spuszczonej powiekami płomień spojrzenia – wszak tego wieczora pocałowałem ją w ramię!... Ale – dodał ściskając mnie za rękę i rzucając mi jedno z tych spojrzeń, które budzą w duszy dziwny niepokój – mąż jej ma w tej chwili atak podagry bardzo blisko serca...

W jakiś czas później stary skąpiec przyszedł do siebie; zdawało się, że zdołał odnowić kontrakt z życiem, gdy nagle, w pełnej rekonwalescencji, położył się pewnego poranku do łóżka i umarł. Objawy trucizny wystąpiły na ciele tak gwałtownie, że sąd wmieszał się w tę sprawę; parę kochanków uwięziono. Wówczas rozegrała się przed trybunałem najbardziej rozdzierająca scena, jaka kiedykolwiek poruszyła serca przysięgłych. W śledztwie każde z nich przyznało się bez wahania i każde, wiedzione tą samą myślą, oskarżało tylko siebie, aby ocalić – ona swego kochanka, on swą ubóstwianą. Znalazło się więc dwoje winnych, gdzie sprawiedliwość szukała tylko jednego. Rozprawa była jednym szeregiem zarzutów nieprawdy, które rzucali sobie wzajem kochankowie z fanatyzmem poświęcenia i miłości. Pierwszy raz znaleźli się razem – na ławie zbrodniarzy, rozdzieleni przez żandarma. Sędziowie przysięgli, płacząc, skazali ich jednogłośnie na śmierć. Nikt z osób, które miały barbarzyńską od-



wagę przyglądać się, jak ich prowadzą na stracenie, nie może do dziś mówić o tym bez dreszczu. Religia zdołała z nich wydobyć żal za zbrodnię, ale nie zaparcie się swej miłości. Szafot był ich łóżem ślubnym i położyli się w nie razem na długą noc śmierci.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE PIERWSZE

### *Sztuka wracania do domu*

Niejeden mąż, nie umiejąc zapanować nad wrzącymi wybuchami niepokoju, popełnia ten fatalny błąd, iż wraca do domu i wpada do żony, aby triumfować nad jej słabością, podobny hiszpańskim bykom, które, podrażnione czerwoną płachtą, prują wściekłymi rogami wnętrzości koni, matadorów, pikadorów, toreadorów i tym podobnych.

Och, nie! raczej należy ci wchodzić z twarzą bojaźliwą i nieśmiałą, jak Mascaryl oczekujący z trwogą porcji kijów, który wpada w szaloną wesołość, widząc pana w dobrym humorze!... Oto jak winien postępować człowiek roztropny i doświadczony!...

– Ależ tak, najdroższa, wiem przecie, że w czasie mej nieobecności mogłaś robić wszystko, co ci się podoba!... Na twoim miejscu inna może by cały dom wyrzuciła oknem, a ty stłukłaś tylko jedną szybkę! Niech cię Bóg wynagrodzi za twą wspaniałomyślność. Postępuj zawsze w ten sposób, a możesz liczyć na mą wdzięczność.

Takie myśli winny się odzwierciedlać w twoim zachowaniu i twarzy, gdy w duchu mówisz sobie:

„Kto wie, czy jego tu nie było!...”

Wnosić zawsze do domu twarz miłą i uprzejmą to jedna z zasad małżeńskiego kodeksu, które nie znoszą wyjątków.

Cóż dopiero umiejętność wychodzenia z domu po to tylko, aby wrócić w chwili, gdy twej policji uda się wysledzić sprzysiężenie; sztuka wracania do domu w odpowiednim momencie!... och, to już są nauki niepodobne do ujęcia w prawidła. Tu wszystko jest rzeczą taktu i zręczności. Bieg wydarzeń zawsze jest bogatszy niż ludzka wyobraźnia. Dlatego zadowolimy się uwiecznieniem w tym dziele jednej historii, godnej, aby ją zapisano w archiwach opactwa Telemy<sup>84</sup>. Olbrzymią jej zaletą będzie, iż odsłoni przed tobą nowy środek obrony, zaznaczony lekko w jednym z aforyzmów Mistrza, i że treści niejako morał niniejszego rozmyślenia, co jest jedynym sposobem nauki.

Pan de B\*\*\*, oficer służbowy chwilowo przydzielony jako sekretarz do osoby Ludwika Bonaparte, króla Holandii, znajdował się niedaleko Paryża w zamku Saint Leu, gdzie bawiła królowa Hortensja z całym dworem. Młody oficer był to dość przystojny blondynek, nieco

---

<sup>84</sup> O p a c t w o T e l e m y – aluzja do „Gargantui” Rabelais’go

pretensjonalny i zbyt zadowolony ze swej osoby i munduru; zresztą dość miły i wielki galant. Czemu wszystkie jego galanterie stały się wkrótce nieznośne całemu fraucymerowi?... Historia milczy. Może popełnił ten błąd, iż u stóp każdej składał jednakie hołdy? W istocie; ale jeżeli tak czynił, czynił to z chytrności. Na razie ubóstwiał jedną z pań, hrabinę de\*\*\*. Hrabina, obawiając się zdradzić, nie śmiała bronić swego rycerza i, przez kaprys dość łatwy do zrozumienia, z jej właśnie ust padały najkrwawsze złośliwości, gdy serce pieściło zgrabną figurkę oficera.

Istnieją natury kobiece, którym się podobają mężczyźni nieco próżni, ładnie ubrani i do brze obuci. Są to kobiety lubiące się z sobą pieścić, wybredne i mizdrzące się nieco. Hrabina, z wyjątkiem mizdrzenia, które było u niej naiwne i szczere, należała do tych osób. Pochodziła z rodziny N..., w której przechowuje się tradycyjnie dobre formy. Mąż jej, hrabia de\*\*\*, był synem starej księżnej L... Hrabia należał do tych, którzy zgodzili się uchylić głowy przed bożyszczem dnia; otrzymawszy świeżo z rąk Napoleona tytuł hrabiego, spodziewał się zostać ambasadorem; na razie zadowalał się kluczem szambelańskim i jeżeli zostawiał żonę na dworze królowej Hortensji, czynił to zapewne z wyrachowania.

– Mój synu – rzekła doń pewnego dnia stara księżna – z żoną twoją jest niedobrze. Kocha się w panu de B\*\*\*.

– Żartujesz chyba, droga matko: on wczoraj jeszcze pożyczył ode mnie sto napoleonów.

– Jeżeli równie licho umiesz pilnować żony co pieniędzy, w takim razie nie mówmy o tym więcej! – odparła sucho stara księżna.

Przyszły ambasador począł śledzić zakochanych i któregoś dnia, grając w bilard z królową, młodym adiutantem i żoną, pochwycił jeden z objawów równie nieznaczących na pozór, jak niewątpliwych w oczach dyplomaty.

– Ależ oni dalej zaszli, niż sami przypuszczają!... – rzekł hrabia de\*\*\* do matki.

I począł wynurzać przed starą księżną, kobietą równie doświadczoną jak przebiegłą, głębokie zmartwienie, jakim go napełniło to bolesne odkrycie. Hrabia kochał szczerze żonę, ona zaś, jakkolwiek nie posiadała może tego, co rozumiemy pod n i e w z r u s z o n y m i z – a s a d a m. i, była jednak zbyt młodą mężatką, aby się nie liczyć jeszcze ze swymi obowiązkami. Księżna podjęła się wybadać serce synowej. Uznała, iż wszystko da się jeszcze ocalić w jej młodej i wrażliwej duszyczce, i przyrzekła synowi zgubić pana de B\*\*\* w oczach hrabiny bez ratunku.

Pewnego wieczora, po ukończeniu gry i zabaw, zebrane damy zapuściły się w poufną gawędkę, z tych, w których się wysmaża najwięcej obmowy. Hrabina pełniła tego wieczoru służbę przy królowej; toteż księżna L... skorzystała ze sposobności, aby zakomunikować niewieściemu sejmowi tajemnicę pana de B\*\*\*. Wzburzenie ogólne. Gdy księżna zaczęła zbierać głosy, uchwalono jednomyślnie, że gdyby której z pań udało się wypłoszyć oficera, wyświadczyłaby znakomitą przysługę królowej, której on działa wręcz na nerwy, oraz wszystkim damom, płonącym doń nienawiścią ze zrozumiałych przyczyn. Stara księżna odwołała się do pomocy pięknych spiskowczyń; każda przyrzekła współdziałanie. W czterdzieści osiem godzin podstępna świekra stała się powiernicą synowej i zakochanego adiutanta. W trzy dni potem dała oficerkowi nadzieję schadzki, która miała się odbyć po śniadaniu. Ułożono, że pan de B\*\*\* wyjedzie wcześniej rano do Paryża i potajemnie wróci. Ponieważ królowa oznajmiła, iż pragnie tego dnia z całą świtą wziąć udział w łowach na dzika, hrabina miała udać, iż czuje się niezdrową, aby zostać w domu. Hrabia wyjechał właśnie do Paryża na zlecenie króla Ludwika, z tej strony zatem nie groziło niebezpieczeństwo. Aby dać pojąć całą przebiegłość planu księżnej, trzeba przedstawić pokrótce rozkład szczupłego apartamentu, zajmowanego przez hrabinę. Mieścił się on na pierwszym piętrze, nad prywatnymi pokojami królowej, na końcu długiego korytarza. Wchodziło się do sypialni, do której z prawej i z lewej przylegały dwa pokoiki: w prawym gotowalnia, lewy przekształcono świeżo na buduar. Wia-domo, co znaczy na wsi buduar; ot, bez mała cztery gołe ściany. Pokoik ten, szaro obity, za-

wierał jedynie dywanik i kanapkę, reszta sprzętów miała być dopiero za parę dni gotowa. Księżna, układając zdradziecki plan, wzięła w rachubę te okoliczności, które, choć na pozór nieznaczące, miały oddać ważne usługi. O jedenastej czeka w sypialni wykwintne śniadanie. Oficer, pędem wracając z Paryża, pruje koniowi boki ostrogą. Przybywa wreszcie, oddaje służącemu pieczę nad szlachetnym zwierzęciem, wdrapuje się na mur, pędzi do zamku i dostaje się do sypialni, nie postrzeżony nawet przez ogrodnika. Adiutanci nosili wówczas – notując to dla tych, którzy nie pamiętają – bardzo obcisłe spodnie i wysokie a wąskie czako: strój świetny w czasie parady, ale niewygodny na schadzce. Doświadczona staruszka rachowała na to. Śniadanie odbyło się najwesелей w świecie. Ani hrabina, ani jej matka nie pijały wina, za to oficer, który znał widocznie przysłowie, podlewał obficie swą miłość i dowcip szampanem. Skoro śniadanie miało się ku końcowi, oficer zerknął na teściową, która, wciąż w roli współpracownicy, rzekła:

–Zdaje mi się, że słyszę turkot!... I wybiegła. Po upływie paru minut wraca:

–Hrabia przyjechał!... – zawołała popychając kochanków do buduaru.

– Siedzicie spokojnie!... – rzekła. – Weźże pan czako... – dodała strofując wzrokiem roztrzepańca.

Przesunęła szybko stolik do garderoby i zakrzętała się tak zrećźnie, że gdy syn wchodził do pokoju, wszelkie ślady nieporządku były zatarte.

– Podobno żona cierpiąca?... – spytał hrabia.

– Ależ nie – odparła matka. – Niedyspozycja minęła szybko; o ile wiem, w tej chwili jest na polowaniu.

Tu dała mu głową znak, jakby chciała powiedzieć: „Są obok”...

– Ależ to szaleństwo – rzekł po cichu hrabia – zamykać razem!...

– Nie ma obawy – odparła księżna – wsypałam do wina...

– Co?...

–Najgwałtowniejszy środek przeczyszczający.

Na to wchodzi król Holandii, który przyszedł spytać hrabiego o rezultat misji. Księżna za pomocą paru tajemniczych zwrotów, które kobiety zawsze mają pod ręką, zdołała skłonić Królewską Mość, aby zabrał hrabiego do siebie.

Tymczasem, ledwie kochankowie znaleźli się w buduarze, hrabina, słysząc z przerażeniem głos męża, rzekła cicho do pięknego oficera:

– Och, widzi pan, na co ja się narażam dla pana...

– Mario! ty ubóstwiana! Miłość moja wynagrodzi ci wszystkie poświęcenia, wiernym ci będę do śmierci (do siebie, w myśli: „Och! och! cóż za boleści!...”).

– Ach! – wykrzyknęła szeptem młoda kobieta załamując ręce, gdyż usłyszała kroki męża tuż koło drzwi – nie ma na świecie miłości, która by mogła opłacić tak straszną chwilę!... Panie, niech się pan do mnie nie zbliża!...

– Och, moja najukochańsza, skarbie najdroższy – rzekł młody oficer kłękając ze czcią – będę dla ciebie tym, czym sama zechcesz!... Każesz odejść... odejść. Każesz wrócić... wrócić. Będę najuleglejším, a zarazem naj... („Na rany boskie, cóż za strasne rżnięcie!”)... najstałszym z kochanków... O moja Mario ukochana!... („Och, zgubiony jestem. To nie do wytrzymania!”).

Tu oficer zbliżył się do okna, chcąc je otworzyć i skoczyć na złamanie karku do ogrodu: wtem ujrzał pod oknami królowę i jej damy. Wówczas zwrócił się do hrabiny i, kierując rękę ku najkrytyczniejszej części uniformu, zawołał zduszonym z rozpaczony głosem:

– Przebac mi pani, ale nie mogę już wytrzymać.

– Panie, czy pan oszalał?... – wykrzyknęła młoda kobieta, która dopiero w tej chwili spostrzegła, iż nie sama miłość maluje się na tej oszalałej twarzy.

Oficer, płacząc z wściekłości, kucnął spieszenie nad czakiem, które leżało porzucone gdzieś w kącie....

– I cóż, kochana hrabino, jak twoje zdrowie?... – rzekła królowa Hortensja wchodząc do sypialni, którą opuścił przed chwilą hrabia z królem. – Ale gdzież ona?

– Pani! – wykrzyknęła młoda kobieta wypadając z buduaru – proszę nie wchodzić!... na miłość boską, proszę nie wchodzić!...

Hrabina zamilkła, gdyż ujrzała w pokoju wszystkie towarzyszki. Rzuciła królowej błagalne spojrzenie. Hortensja, która, była równie pobłażliwa jak ciekawa, dała znak i świta cofnęła się. Tegoż dnia oficer spieszy do armii, dociera do przednich straży, szuka śmierci i znajduje ją. Był to zuch, ale nie miał w sobie filozofa.

Opowiadają, iż jeden z naszych najsławniejszych malarzy, powziąwszy dla żony swego przyjaciela miłość uwieńczoną wzajemnością, wystawiony został przez chciwego zemsty męża na podobne tortury; ale jeśli wierzyć kronice, wstyd był obustronny i żadne z kochanków, zdjętych jednaką niemocą, nie szukało, za przykładem pana de B\*\*\*, w śmierci odkupienia swej hańby.

Sposób zachowania się za powrotem do domu zależny jest od okoliczności. Oto przykład:

Lord Catesby odznaczał się zadziwiającą siłą. Pewnego dnia wracał do domu z polowania na lisy, na które wyjechał zapewne z umysłu. Wracając skierował się ku ogrodzeniu parku, za którym spostrzegł bardzo pięknego konia. Lord miał pasję do koni, podjechał zatem, aby mu się przyjrzeć z bliska; równocześnie jednak spostrzegł lady Catesby w sytuacji, z której co prędzej winien ją był wybawić, jeżeli mu choć trochę zależało na jej honorze. Rzucił się na dżentelmena i, chwytając go wpół, przerywa jego występne zamiary, następnie zaś ciska go przez ogrodzenie na gościniec.

– Chciej pan pamiętać, że odtąd do mnie należy się zwracać, jeśli pan sobie tutaj czego życzy... – rzekł spokojnie.

– Zatem, milordzie, czy będziesz łaskaw rzucić mi mego konia?...

Ale flegmatyczny lord podał już ramię żonie, mówiąc poważnie:

– Bardzo ci mam za złe, drogie dziecko, że mnie nie uprzedziłaś o tym, iż mam cię kochać za dwóch. Odtąd w dni parzyste będę cię kochał za tego dżentelmena, w nieparzyste za siebie.

Przypadek ten uchodzi w Anglii za jeden z najpiękniejszych przykładów umiejętnego powrotu do domu. W istocie, trudno wytworniej połączyć celność słowa z wyrazistością gestu.

Ale na ogół sztuka wracania do domu, której zasady są jedynie nowym oświetleniem systemu uprzejmości i panowania nad sobą zaleconego w poprzednich rozmyślaniach, stanowi tylko ustawiczne przygotowanie perypetii małżeńskich, którymi obecnie się zajmujemy.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE DRUGIE

### *O perypetiach*

Słowo „perypetia” jest określeniem literackim, używanym dla oznaczenia z w r o t u w a – k c j i d r a m a t y c z n e j.

Sprowadzić perypetię w dramacie, który odgrywacie w tej chwili oboje, jest środkiem obrony równie łatwym jak pewnym. Jednakże, doradzając ten sposób, nie będziemy taili związanych z nim niebezpieczeństw.

Perypetię małżeńską można by porównać z tęgą chorobą gorączkową, która silnego człowieka albo od razu zmiecie, albo zapewni mu zdrowie na lata. Tak i tutaj: skoro perypetia się powiedzie, cofa kobietę na lata całe w bogobojne regiony cnoty.

Co więcej, środek ten jest ostatnim ze wszystkich, jakie udało się nauce odkryć do dnia dzisiejszego.

Noc św. Bartłomieja, Nieszpory Sycylijskie, śmierć Lukrecji, dwukrotne wylądowanie Napoleona we Fréjus – oto perypetie polityczne. Nie będzie ci dane przeprowadzić ich na tak wielką skalę; ale, w swoim zakresie, twoje małżeńskie zamachy stanu nie mniej będą doniosłe od tamtych.

Jednakże musimy wyznać, że sztuka stwarzania sytuacji i przeobrażania za pomocą naturalnych wydarzeń wyglądu sceny jest wrodzonym darem, że nawrócenie na drogę cnoty kobiety, której nóżka zostawiła już kilka śladów na miękkim i złocistym piasku ścieżki zepsucia, jest najtrudniejszą ze wszystkich perypetii i że geniuszu nie da się wlać w nikogo za pomocą nauk i przykładów; toteż doktor prawa małżeńskiego wyznaje, iż nie czuje się na siłach, by ująć w stałe zasady naukę tak zmienną jak okoliczności, tak przelotną jak sposobność, tak nieokreśloną jak instynkt.

Perypetię małżeńską trzeba p r z e w ą c h a ć, że użyjemy wyrażenia, którego Diderot, d’Alembert i Voltaire nie zdołali rozpowszechnić mimo jego wyrazistości. Nie zostaje nam przeto nic innego jak naszkicować tu pobieżnie kilka analogicznych sytuacji, naśladując starożytnego filozofa, który, próżno szukając wytłumaczenia ruchu, zaczął po prostu iść przed siebie, w nadziei, że w ten sposób. uda mu się ująć jego niepochwytne prawa.

Stosując się do zasad wytyczonych w rozmyślaniu „O policji”, nasz mąż zakazał stanowczo żonie przyjmować mężczyzny, którego podejrzewa o to, iż jest jej przyszłym kochankiem; ona przyrzekła, że nie będzie się go starała widywać. Są to scenki domowe, których odtworzenie zostawiamy wyobraźniom matrymonialnym; każdy mąż nakreśli je lepiej od nas,

wywołując w myśli dni, w których rozkoszne pragnienia doprowadziły do szczerych wyznań lub też sprężyny jego polityki umiały zręcznie wprawić w ruch jakąś maszynę.

Aby uczynić tę normalną scenę bardziej interesującą, przypuśćmy, że to ty, czytelniku, jesteś mężem, którego czujna policja odkryła, iż żona, korzystając z godzin zajętych ministerialnym obiadem, na który może sama wyrobiła ci zaproszenie, ma przyjąć u siebie pana A – Z.

Mamy tu wszystkie potrzebne warunki, aby wywołać jedną z najpiękniejszych perypetii.

Zjawiasz się dość wcześnie, aby powrót twój zeszedł się z przybyciem pana A – Z, gdyż nie radzilibyśmy ci ryzykować zbyt długiego odstępu. Ale jak masz wrócić?... gdyż już nie według zasad poprzedniego rozmyślenia. – Zatem w szale wściekłości?... – Nigdy w świecie. Wracasz najdobroduszniej pod słońcem, jak człowiek roztargniony, który zapomniał sakiewki lub jakiejś notatki dla ministra, chustki do nosa lub tabakierki.

Wówczas albo zastajesz kochanków razem, albo żona, ostrzeżona przez pokojówkę, zdążyła ukryć gaszka.

Rozpatrzmy się w tych jedynie możliwych dwóch sytuacjach.

Tutaj pozwolimy sobie zauważyć, iż każdy mąż musi umieć wywołać w danej chwili postrach w domu i że powinien z daleka przygotować swój małżeński zamach stanu.

Dlatego przewidujący mąż, od czasu gdy żona poczęła zdradzać nieznaczące jeszcze p i e r – w s z e s y m p t o m y, nie omieszką od czasu do czasu wyrażać osobistych zapatrywań na postępowanie, jakie przystało mężowi w chwilach przesilenia.

– Ja – powinieneś wygłaszać – nie wahałbym się zabić mężczyzny, którego bym zastał u kolan żony.

Przy sposobności jakiejś dyskusji, którą sam wywołasz, posuniesz się do twierdzenia, że ustawa powinna by dać mężowi, jak u starożytnych Rzymian, prawo życia i śmierci nad dziećmi, aby mógł zabić te, które pochodzą z cudzołóstwa.

Te krwiozercze zdania, które cię do niczego nie obowiązują, wzbudzą w żonie zbawienną grozę; możesz je wygłaszać nawet w sposób pozornie żartobliwy, mówiąc ze śmiechem: „Och, mój Boże, ależ naturalnie, moje złoto, zabiłbym cię z pewnością. Czy chciałabyś zginąć z mojej ręki?”...

Kobieta nigdy nie potrafi się pozbyć obawy, aby ten żart nie stał się kiedyś poważną prawdą, gdyż i w tych niepoczytalnych zbrodniach tkwi miłość; po wtóre, kobiety, umiając lepiej niż ktokolwiek pokrywać prawdę żartem, podejrzewają niekiedy mężów, iż posługują się tym kobiecym podstępem.

Toteż skoro mąż zastanie żonę z kochankiem nawet na zupełnie niewinnej rozmowie, głowa jego, jeszcze nieopatrzona w tej sytuacji, musi robić wrażenie mitycznej Gorgony.

Aby wywołać w tych okolicznościach korzystną perypetię, musisz, stosownie do charakteru żony, odegrać albo patetyczną scenę *à la* Diderot, albo uderzyć w ironię jak Cycero, albo chwycić za pistolet nabity prochem, a nawet wystrzelić, jeśli uważasz wielką awanturę za niezbędną.

Pewien zręczny mąż poradził sobie wcale dobrze za pomocą sceny umiarkowanej uczuciowości. Wchodzi, zastaje kochankę i wypędza go jednym spojrzeniem. Ledwo ten znalazł się za drzwiami, pada do nóg żony i wygłasza tyradę, w której wśród innych wykrzykników znalazł się następujący: „Ach, droga Karolino, widać nie umiałem cię kochać!...”

On płacze, ona płacze i łzawa perypetia nie obyła się bez pomyślnego zakończenia.

Omawiając drugą postać, w jakiej może się odbyć perypetia, wytłumaczymy powody, dla których mąż powinien cieniować tę scenę zależnie od siły kobiecej.

Idźmy dalej!

Jeśli ci się uda nadejść tak szczęśliwie, iż zastaniesz kochankę w ukryciu, wówczas perypetia będzie o wiele piękniejsza.

O ile urządzenie mieszkania choć trochę zbliża się do zasad uświęconych w rozmyślaniu czternastym, odgadniesz z łatwością miejsce, w którym ukrył się kochanek, chociażby, jak bajronowski Juanek, wcisnął się pod poduszki na kanapie. Gdyby przypadkiem porządek mieszkania był zburzony, winieneś znać je na tyle, aby wiedzieć, iż nie ma w nim dwóch miejsc, w których mężczyzna mógłby się ukryć.

Wreszcie, gdyby za pomocą jakiejś diabelskiej sztuki potrafił się on tak zmniejszyć, że wsunął się w jakieś ukrycie wprost nieprawdopodobne (gdyż po gachu wszystkiego się można spodziewać), wtedy albo żona nie będzie się mogła wstrzymać od rzucania spojrzeń na ów tajemniczy zakątek, albo też będzie udawała pilnie, iż patrzy w stronę wprost przeciwną; wówczas nic łatwiejszego jak zastawić jej pułapkę.

Skoro wyśledzisz kryjówkę, idziesz prosto na kochanka. Stajecie oko w oko!...

Teraz staraj się być piękny. Trzymaj stale głowę „w trzech czwartych”, wzniesioną nieco ku górze z wyrazem wyższości. Postawa ta wiele się przyczyni do wrażenia, jakie powinienes wywołać.

Najważniejszym zadaniem w tej chwili będzie zmiażdżyć kochanka jakimś lapidarnym frazesem, który możesz sobie zawczasu przygotować; następnie zaś, zdeptawszy go w ten sposób, dasz mu chłodno do zrozumienia, że może wyjść. Będziesz bardzo grzeczny, ale ostry jak topór kata i bardziej niewzruszony niż prawo. Ta lodowata wzgarda wystarczy może, aby wywołać perypetię w umyśle żony. Żadnych krzyków, gestów, żadnego uniesienia. Ludzie z pewnej sfery – powiedział młody autor angielski – nie postępują nigdy tak, jak hołota, która dla zgubionego widelca gotowa jest zaalarmować całą dzielnicę.

Skoro kochanek wyjdzie, zostajesz sam na sam z żoną i w tej sytuacji winieneś ją odzyskać na zawsze.

Stajesz przed nią, przybierając wyraz, którego udany spokój zdradza głębokie wzruszenie; następnie zaś, z myśli, które przedstawiamy ci tu w formie retorycznej amplifikacji, wybierzesz te, które ci będą odpowiadać: „Pani! nie będę ci mówił o twoich przysięgach ani o mej miłości; zbyt wiele posiadasz smaku, a ja dumy, bym cię miał męczyć banalnymi wymówkami, do których każdy mąż posiada prawo: najmniejszą jego wadą jest wówczas to, iż ma zbyt wiele słuszności. Będę się nawet starał, o ile to możliwe, nie czuć gniewu ani urazy. Nie ja tu jestem znieważony; zbyt wiele posiadam godności, aby czuć lęk przed opinią, która, prawie zawsze słusznie, piętnuje śmiesznością i wzgardą męża występnej żony. Zastanawiam się i nie widzę, czym mogłem, jak większość z nich, zasłużyć na takie postępowanie. Nie przestałem cię kochać. Nigdy nie uchybiłem moim, nie mówię, powinnościom, gdyż ubóstwiać cię nie było dla mnie nigdy ciężarem, ale owym słodkim zobowiązaniem, które wkłada na nas prawdziwe uczucie. Posiadasz całe moje zaufanie, rozrządzasz moim majątkiem. Nigdy ci niczego nie odmówiłem. Wreszcie, po raz pierwszy spotykasz na mej twarzy wyraz, nie surowości nawet, lecz wyrzutu. Ale dajmy pokój; nie mam zamiaru wygłaszać swoich pochwał w chwili właśnie, gdyś mi udowodniła tak dobitnie, iż mi musi czegoś niedostawać i że nie jestem powołany przez naturę, aby dopełnić trudnego dzieła twego szczęścia. Pytam cię przeto jak przyjaciel przyjaciela: jak mogłaś narażać życie trojga istot na raz: życie matki moich dzieci, która będzie dla mnie zawsze święta; życie głowy rodziny, a wreszcie i tego... którego kochasz... (Tu może rzuci się do twych stóp; nie powinienes tego ścierpieć: nie jest godna zajmować tego miejsca). Bo... ty mnie już nie kochasz, Elizo. Zatem, moje biedne dziecko (nazwiesz ją b i e d n y m d z i e c k i e m tylko w razie, jeżeli zło się nie stało), po cóż się oszukiwać?... Czemu nie powiedziałaś mi tego?... Kiedy między mężem a żoną miłość wygaśnie, czy nie zostaje jeszcze zaufanie, przyjaźń?... Czyż nie jesteśmy dwojgiem towarzyszy, złączonych dla wspólnej drogi? Czyż jest powiedziane, że w czasie tej wędrówki jedno nie będzie nigdy musiało podać ręki drugiemu, aby je podnieść lub nie dozwolić mu upaść! Ale ja może idę zbyt daleko i ranię twą dumę... Elizo!... Elizo!...”

Cóż, u licha, może kobieta odpowiedzieć?... Perypetia nieunikniona.



Na sto kobiet znajdzie się co najmniej dobre pół tuzina słabych istot, które po tym wstrząśnieniu wrócą może na zawsze do mężów; istne kotki, które, polane ukropem, obawiają się odtąd zimnej wody. Ale scena taka jest prawdziwym środkiem *h e r o i c z n y m*, który musi być dawkowany ostrożnie i umiejętną ręką.

Dla niektórych kobiet o wiotkich nerwach, duszy łagodnej i bojaźliwej wystarczy powiedzieć, wskazując ręką schronienie: „Pan A – Z jest tam!... (ona wzrusza ramionami). Jak możesz dla marnej zabawki narażać w ten sposób życie dwóch znacznych ludzi? Wychodzę, daję ci czas, abyś mu pozwoliła się wymknąć, i niech się to więcej nie powtarza”.

Ale bywają kobiety, których serce nie wytrzymuje tak gwałtownych wzruszeń i przyplaca je ciężką chorobą. Niektóre zdolne są wręcz popaść w szaleństwo. Bywały wypadki, że kobiety pod pierwszym wrażeniem odbierały sobie życie lub umierały nagłą śmiercią, nie przypuszczamy zaś, byś pragnął śmierci pięknej grzesznicy.

Bądź co bądź, najładniejszej, najtkliwszej ze wszystkich władczyń Francji, uroczej i niešťęśliwej Marii Stuart, widok śmierci Rizzia, który zginął prawie w jej ramionach, nie przeszkodził pokochać hrabiego Bothwela; ale to była królowa, a królowe są to natury pod każdym względem odrębne.

Przypuśćmy jednak, że kobieta, której portret zdobi pierwsze rozmyślanie, jest Marią Stuart w miniaturze, i pospieszmy podnieść zasłonę dla pokazania piątego aktu wielkiego dramatu, zwanego „Małżeństwem”.

Perypetia małżeńska może wybuchnąć przy lada okazji; tysiąc nieprzewidzianych wypadków może ją wywołać. Raz będzie to chusteczka, jak w „Murzynie weneckim”, to pantofle, jak w „Don Juanie”, to znów pomyłka, która sprawi, iż żona twoja wykrzyknie: „Drogi Alfonsie!” zamiast „drogi Adolffie!” Wreszcie niekiedy sam mąż, spostrzegłszy, iż żona się zadłuży, odszuka najpowaźniejszego z wierzycieli i sprowadzi go do domu umyślnie, aby wywołać perypetię. „Pan jesteś złotnikiem, panie Josse<sup>85</sup>, a gorliwość, z jaką sprzedajesz swoje kosztowności, równa się tylko pragnieniu, aby uzyskać za nie zapłatę. Żona winna jest panu trzydzieści tysięcy. Jeśli chcesz otrzymać je jutro (trzeba zawsze iść do kupca pod koniec miesiąca), proszę się stawić koło południa. Mąż będzie obecny; niech pan nie zważa na żadne jej znaki. Mów pan śmiało; zapłacę”.

Słowem, perypetia jest w umiejętności małżeńskiej tym, czym cyfry w arytmetyce.

Wszystkie zasady wysokiej filozofii małżeńskiej, na których wspierają się środki obrony wskazane w tej drugiej części dzieła, zaczerpnięte są w naturze uczuć; znaleźliśmy je rozproszone w wielkiej księdze świata. Tak bowiem, jak ludzie posiadający sztukę życia kierują się instynktem smaku, którego prawidła sformułować byłoby dla nich niepodobieństwem, tak samo widzieliśmy wielu zakochanych mężów, którzy posługiwali się niezmiernie szczęśliwie rozwiniętymi przez nas zasadami, jakkolwiek postępowanie ich nie płynęło z żadnego planu. Instynktowne poczucie sytuacji odsłaniało im drobne ułamki wielkiego systemu; podobni byli w tym uczonym szesnastego wieku, nie posiadającym mikroskopów na tyle udoskonalonych, aby im pozwoliły oglądać wszystkie żyjące stworzenia, których istnienie umiał odgadnąć ich cierpliwy geniusz.

Mamy nadzieję, iż spostrzeżenia przytoczone dotychczas, jak również te, które jeszcze mamy zamiar przedstawić, wystarczą do obalenia przesądu, który sprawia, iż ludzie powierzchowni uważają małżeństwo za synekurę. Naszym zdaniem, mąż, który znajdzie czas na to, aby się nudzić, jest odszczepieńcem; gorzej jeszcze, jest człowiekiem, który nie wniknął w istotę życia małżeńskiego, jest poza nawiasem. Pod tym względem, być może, iż rozmyślania te zdołają odsłonić wielu nieświadomym cały tajemny świat, przed którym stali dotąd z otwartymi oczami, patrząc, a nie widząc.

---

<sup>85</sup> P a n j e s t e ś z ł o t n i k i e m... – cytat z komedii Moliera „Miłość lekarzem”.

Miejmy nadzieję, że te wskazówki, umiejętnie zastosowane, nawrócą jeszcze niejedną zbłąkaną owieczkę i że na białe karty, które dzielą tę część książki od „Wojny domowej”, padnie niejedna łza żalu i poprawy.

Tak! chcemy przypuszczać, iż na owe czterysta tysięcy kobiet, tak starannie wybranych przez nas z łona wszystkich narodów Europy, znajdzie się jedynie pewna liczba, trzysta tysięcy na przykład, istot dość przewrotnych, dość uroczych, dość uwielbianych, dość wojowniczych, aby podnieść sztandar w o j n y d o m o w e j.

–Do broni zatem, do broni!

CZEŚĆ TRZECIA  
*O wojnie domowej*

*Piękne jak serafiny Klopstocka, straszliwe  
jak szatany Milтона.*

Diderot

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE TRZECIE

### *O manifestach*

Wstępne wskazówki w tym przedmiocie, za pomocą których wiedza nasza może uzbroić męża, nie są zbyt liczne; chodzi tu, w istocie, znacznie mniej o rozstrzygnięcie, czy mąż nie zostanie pokonany, jak o zbadanie, czy w ogóle jest zdolny się bronić.

Postaramy się jednak zatknąć w tym miejscu kilka pochodni, aby oświecić tę arenę, na której wkrótce znajdzie się mąż sam, z religią i prawem po swojej stronie, naprzeciw żony, silnej chytrą kobiecą i wspieranej przez całe społeczeństwo.

LXXXII

Można wszystko przypuszczać i wszystkiego się spodziewać ze strony zakochanej kobiety.

LXXXIII

Postępowanie kobiety, która chce podejść męża, będzie prawie zawsze obmyślane, ale nigdy wyrozumowane.

LXXXIV

Kobieta posuwa się najczęściej jak pchła, przez skoki i rzuty bez związku. Bądź na wysokość, bądź też w głąb oddala się od pierwotnych zamiarów i właśnie ten brak ciągłości stanowi jej siłę. Ale pole jej działania zamyka się w przestrzeni, którą łatwo mężowi określić, i jeśli posiada dość zimnej krwi, uda mu się wreszcie zdusić tę żywą saletrę.

LXXXV

W obecności osoby trzeciej mąż nie powinien sobie pozwolić względem żony na najmniejszą wymówkę.

## LXXXVI

W chwili gdy kobieta decyduje się złamać wiarę, mąż liczy się w jej rachubach za wszystko lub za nic. Oto punkt wyjścia.

## LXXXVII

Kobieta żyje głową, sercem lub namiętnością. W wieku, w którym żona rozumiała życie, mąż powinien ocenić, czy przyczyna zamierzonej niewierności tkwi w próżności, w uczuciu czy w temperamencie. Temperament to choroba dostępna leczeniu; uczucie przedstawia dla męża wiele widoków wygranej; próżność natomiast jest nieuleczalna. Kobieta żyjąca głową to najstraszliwsza z plag. Jednoczy wady kobiety zmysłowej z błędami kobiety kochającej, bez ich usprawiedliwienia. Jest bez litości, bez czucia, bez cnoty, bez płci.

## LXXXVIII

Kobieta żyjąca głową będzie się starała wzbudzić w mężu obojętność; kobieta uczuciowa – nienawiść, zmysłowa – wstręt.

## LXXXIX

Mąż nic nie ryzykuje udając, iż wierzy w wierność żony, i zachowując się cierpliwie i milcząco. Milczenie zwłaszcza zdumiewająco niepokoi kobiety.

## XC

Tylko głupiec zdradza, iż wie o występnej namiętności żony; człowiek rozumny i inteligentny udaje, że nie wie o niczym, i to jest jedyna droga. Toteż powiadają, że wszyscy Francuzi są inteligentni.

## XCI

Największym niebezpieczeństwem jest śmieszność. „Kochajmyż się bodaj publicznie!” – powinno być zasadą małżeństwa. Zbyt wielką szkodę ponoszą obie strony tracąc honor, szacunek, mir czy jak wam się zresztą spodoba nazwać te nieuchwytnie walory społeczne.

Zasady te odnoszą się jedynie do walki. Co się tyczy katastrofy, będzie miała swoje.

Nazwaliśmy to przesilenie w o j n ą d o m o w ą, nie było bowiem w istocie nigdy wojny, która by była równie domową. Ale jak i gdzie wybuchnie owa nieszczęsna. wojna?

Ejże! czy myślisz, że żona będzie miała armię i zacznie trąbić na alarm? Będzie może miała jednego oficera – to wszystko. I ten słaby korpus wystarczy, aby zburzyć szczęście twego ogniska.

„Nie pozwalasz przyjmować osób, które mi są sympatyczne!” – oto wstęp, który stanowi manifest wojenny w większości małżeństw. Zdanie to i szereg wiążących się z nim wniosków jest formułą używaną najczęściej przez kobiety próżne i wyrachowane.

Najpowszechniejszym manifestem jest ten, który obwieszcza się w łóżku małżeńskim, głównym teatrze wojny. Kwestię tę omówimy szczegółowo w rozmyślanii „O rozmaitych rodzajach broni”, pod paragrafem „O wstydlivosti i jej znaczeniu w małżeństwie”.

Niektóre limfatyczne istoty będą udawały *spleen* i zasklepią się w martwocie, aby wywalczyć sobie przywilej sekretnego rozvodu.

Prawie wszystkie jednak zawdzięczają swą niepodległość pewnemu sposobowi, którego skutek jest dla większości mężów niezawodny i który odsłonimy w całej jego przewrotności.

Jednym z największych przesądów ludzkości jest wiara, iż honor nasz i szacunek, którego zażywamy, zależne są od naszych czynów lub wynikają ze zgodności postępów z sumieniem. Człowiek żyjący w świecie jest niewolnikiem opinii. Otóż we Francji przeciętny mężczyzna posiada o wiele mniej wpływu na świat, w którym żyje, niż jego żona; toteż ona, gdy tylko zechce, potrafi go okryć zupełną śmiesznością. Kobiety posiadają w najwyższym stopniu talent zabarwiania swych oskarżeń pozorami słuszności. Bronią zawsze jedynie swoich błędów, ale za to w tej sztuce są mistrzyniami: umieją przeciwstawić autorytetom rozumowaniom, gołosłowne twierdzenia dowodom i w ten sposób odnoszą jedno zwycięstwo po drugim. Rozumieją się cudownie wzajem i odgadują się w lot, gdy jedna podsuwa drugiej broń, której sama nie może użyć. W ten sposób potrafią zgubić męża, niekiedy bez zamiaru. Rzucają zapałkę, a potem stają przerażone na widok pożaru.

Przede wszystkim, wszystkie jednoczą się przeciw mężowi obwinionemu o tyranie; istnieje między nimi tajna łączność, jak między księżmi jednego wyznania. Nienawidzą się, ale wspierają się wzajem. Mógłbyś co najwyżej pozyskać jedną, a i wówczas dla twojej żony zdobycz ta byłaby triumfem.

I oto w królestwie niewieścim skazany jesteś na banicję. Na wszystkich ustach ironiczne uśmiešky, złośliwość w każdej odpowiedzi. Sprytnie istotki kują wciąż nowe sztylety, rzeźbiąc jeszcze dla zabawy rękojeść broni, zanim cię nią przeszyją.

Przewrotna sztuka nieudomówień, złośliwe milczenie, ubliżające domysły, podstępne pytania – wszystko wytacza się przeciw tobie. Człowiek, który chce utrzymać żonę w jarzmie, jest zbyt niebezpiecznym przykładem, aby mu kobiety miały nie przysiąc zagłady; czyż jego postępowanie nie byłoby pamfletem na wszystkich mężów? Toteż wszystkie nacierają na ciebie, bądź za pomocą gorzkich żarcików, bądź poważnej argumentacji lub światowych ogólników. Cały rój kawalerów wspiera te napaści; i oto jesteś osaczony, prześladowany, ścigany jako oryginał, jako tyran, człowiek niemożliwy w pożyciu, niepoczytalny dziwak, słowem osoba, przed którą należy się mieć na baczności.

Żona broni cię na wzór niedźwiedzia w bajce La Fontaine'a: rzuca ci kamienie na głowę, aby spędzić muchę, która na tobie siadła. Powtarza ci wieczorem wszystkie rozmowy o tobie; każe ci się tłumaczyć z rzeczy, których nigdy nie popełniłeś, i ze słów, których nie powiedziałeś. Każe sobie dziękować za to, że cię broniła: chępiła się wolnością, której nie posiada, aby cię oczyścić z posądzenia, że ją trzymasz w niewoli. Potrząsa nieustannie olbrzymią grzechotką, która wszędzie cię ściga rozpaczliwym hałasem. Najdroższa towarzyszka będzie cię niepokoić, dręczyć i bawić się tym, by ci dać uczuć jedynie ciernie małżeństwa. Będzie miała dla ciebie promienną twarz wśród ludzi, a chmurną w domu. Będzie kwaśna, gdyś ty wesoły; na odwrót, będzie cię niecierpliwiła wesołością, gdyś smutny. Oblicza wasze będą stanowiły nieustanną sprzeczność.

Niewielu mężczyzn posiada dość siły, aby się oprzeć tej pierwszej komedii, zawsze sprytnie odegranej, która zastępuje miejsce owego hura kozaków, pędzących do bitwy. Wielu mężów traci równowagę i popełnia błędy nie do przebaczenia. Inni rezygnują. Nawet ludzie bardzo inteligentni nie zawsze umieją władać czarodziejską pałeczką, która powinna rozproszyć owe szataństwa kobiet.

Dwie trzecie kobiet zdoła wywalczyć sobie niepodległość za pomocą tego jednego manewru, który jest raczej przeglądem sił. W ten sposób kampania kończy się szybko.

Ale prawdziwie silny mężczyzna, który ma dość odwagi, aby zachować zimną krew wobec tego pierwszego ataku, może znaleźć doskonałą zabawę, odsłaniając w żartobliwy sposób tajemne uczucia kierujące postępowaniem żony, towarzysząc jej krok w krok w labiryncie, w

jaki się zapuszcza, udowadniając jej przy każdym słowie, iż oszukuje samą siebie – nie unosząc się nigdy i nie porzucając ani na chwilę lekkiego tonu.

Bądź co bądź, wojna wypowiedziana; i jeżeli mąż nie dał się olśnić pierwszemu fajerwerkowi, kobieta posiada jeszcze w zapasie dość innych środków, które odsłoni nam następujące rozmyślanie.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE CZWARTE

### *Zasady strategii*

Arcyksiążę Karol<sup>86</sup> zostawił piękny traktat o sztuce wojennej: „Zasady strategii stosowane w kampaniach roku 1796”. Zasady te przypominają nam nieco poetykę ukutą dla istniejących już poematów. Dziś zaszliśmy jeszcze dalej: tworzymy reguły dla dzieł i dzieła dla reguł.

Ale na cóż się zdały dawne prawidła sztuki wojennej wobec nieodpartego geniuszu Napoleona? Jeśli więc dziś ujmiemy w system nauki zostawione przez tego wielkiego wodza, którego nowa taktyka obaliła dawną, jakąż macie podstawę przypuszczać, że przyszłość nie wyda nowego Napoleona? Książki o sztuce wojennej dzieła, z małymi wyjątkami, los dawnych dzieł o fizyce lub chemii. Wszystko zmienia się – na polu bitwy lub w przebiegu wieków.

Oto w niewielu słowach historia naszej książki.

Póki mieliśmy do czynienia z kobietą uśpioną i bezwładną, nie było nic łatwiejszego jak rozsnuć sieci, w których trzymaliśmy ją splecioną; ale z chwilą gdy się obudzi i pocnie się szamotać, wszystko się wikła i płacze. Gdyby mąż próbował poprzedniego systemu, aby utrzymać żonę w tych nieco podziurawionych sieciach, jakie jej zastawiliśmy w drugiej części dzieła, podobny byłby do Wurmsera, Macka i Beaulieu, którzy robili marsze i kontrmarsze, gdy Napoleon okrążał ich z łatwością, wyzyskując na ich zgubę własne ich kombinacje.

Tak będzie postępowała i twoja żona.

Jak odgadnąć prawdę, gdy oboje będziecie próbowali ją ukryć pod jednakim kłamstwem i zastawiali sobie wzajem tę samą pułapkę? Przy kim będzie zwycięstwo, gdy oboje uwięzicie ręce w tym samym potrzasku?

– Mężusiu, muszę wyjść, mam być koniecznie u pani X., kazałam zaprząć. Pojedziesz ze mną. No, bądźże raz uprzejmy i odprowadź żonę.

Ty myślisz w duchu:

„Ładnie by wpadła, gdybym się zgodził. Prosi tylko po to, żebym odmówił.”

I odpowiadasz głośno:

---

<sup>86</sup> Arcyksiążę Karol – syn cesarza austriackiego Leopolda II; walczył z Francją w okresie rewolucji r. 1789 i za Napoleona.



– Mam właśnie interes do pana X., gdyż powierzono mu raport, który mógłby bardzo zaszkodzić naszym interesom w pewnej sprawie, i koniecznie muszę się z nim widzieć. Później mam być w ministerium; zatem doskonale się składa.

– Więc, mój aniołku, ubierz się szybko, póki Celina nie dokończy mojej toalety, ale nie daj na siebie czekać.

– Jestem już, duszko – mówisz za kilka minut, wchodząc pięknie ubrany, obuty, ogolony.

Ale tymczasem wszystko się zmieniło. List jakiś przyniesiono; pani zasłabła; suknia nie-dobrze leży; krawcowa ma przyjść za chwilę; jeżeli nie krawcowa, to dzieci, matka. Na stu mężów znajdzie się dziewięćdziesięciu dziewięciu, którzy wyjdą z domu zadowoleni, z przekonaniem, że żona jest pod dobrą strażą, wówczas gdy to ona pozbyła się ich z domu.

Prawowita żona, która pewna jest swego męża, której nie dręczą żadne troski pieniężne i która nie ma innego użytkowania dla rozpierającego ją nadmiaru inteligencji niż przyglądać się dniem i nocą zmiennym obrazom godzin, wkrótce odkryje błąd, który sprawił, iż dała się raz ująć w pułapkę lub pozwoliła zaskoczyć perypetią; spróbuje zatem obrócić twą broń przeciw tobie.

Istnieje na przykład w towarzystwie człowiek, którego sam widok drażni twoją żonę; nie może znieść jego tonu, obejścia, dowcipu. Wszystko ją w nim razi; działa jej wprost na nerwy, wstrętny jest, nie wolno przy niej o nim mówić. Zdawałoby się, że umyślnie chce ci robić na złość, bo tak się składa, że jest to człowiek, na którym ci bardzo zależy; lubisz go, ponieważ ci schlebia, toteż żona utrzymuje, iż twoje uznanie płynie z czystej próżności. Gdy macie zamiar dać bal, wieczór, koncert, zawsze prawie przychodzi do sporu, przy czym żona nie szczędzi ci wymówek, że zmuszasz ją do przyjmowania ludzi, których znieść nie może.

– Przynajmniej, mój drogi, nie będę sobie robiła wyrzutów, że cię nie ostrzegła. Ten człowiek stanie się jeszcze kiedy dla ciebie powodem przykrości. Winieś polegać na zdaniu kobiety, gdy idzie o mężczyznę. Pozwól więc sobie powiedzieć, że ten baron, w którym jesteś zakochany, to bardzo niebezpieczna figura i że bardzo źle robisz wprowadzając go do domu. Ale widzisz, jaki ty jesteś: zmuszasz mnie do przebywania z człowiekiem, którego nie mogę znieść, a gdybym cię na przykład prosiła, abyś zaprosił pana X, nie przystałbyś, ponieważ ci się zdaje, że jego towarzystwo sprawia mi przyjemność! Przyznaję, że dobrze rozmawia, że jest miły, uprzejmy; ale mój mąż jest jeszcze miłszy od niego...

Te prymitywne próbki taktyki kobiecej, poparte obłudnymi gestami, spojrzeniami o wyrafinowanej przebiegłości, zdradliwymi intonacjami głosu, a nawet wyrachowanym milczeniem, są poniekąd istotą i duchem ich postępowania.

W tych okolicznościach mało który mąż nie wpadnie na myśl zastawienia pułapki: wprowadza do domu i pana X, i fantastycznego barona, ową osobistość znienawidzoną przez żonę, spodziewając się odkryć kochankę w osobie młodzika zaszczycanego pozornymi względami.

Och, ileż razy zdarzało mi się widywać w świecie młodych dudków, którzy przyjmowali za najlepszą monetę fałszywą sympatię, jaką im okazywały kobiety, zmuszone zmylić ślady i zastosować u mężów system wezykatorii, jak mężowie stosowali go niegdyś u nich!... Biedne dudki trawiły czas na skwapliwym spełnianiu poleceń, na bieganiu za lożami, na konnych spacerach w Lasku tuż przy powozie mniemanych kochanek; dawano im publicznie kobiety, których ręki nawet nigdy nie ucałowali, a miłość własna nie pozwalała im prostować tej przyjacielskiej obmowy; podobni młodym księżynom, dopuszczanym jedynie do odmawiania mszy bezpłatnych, oni, prawdziwi „nadetatowi” Amora, opływają w pozory namiętności, rozmyślnie afiszowane.

Zdarza się wówczas nieraz, iż wracający mąż, na zapytanie, czy był kto w domu, usłyszy odpowiedź odźwiernego: „Pan baron pytał o jaśnie pana o drugiej; ponieważ była tylko pani, nie wchodził wcale; ale pan X jest u pani”.

Wchodzisz, zastajesz młodego kawalera, wyświeżonego, pachnącego, we wspaniale związanych krawacie, słowem skończonego dandysa. Otacza cię nadzwyczajnymi względami:

żona nasłuchuje szelestu jego kroków i tańczy z nim nieustannie; gdy jej zabronisz go przyjmować, podnosi wielki krzyk; – i nieraz dopiero po latach (patrz rozmyślanie o „Ostatnich oznakach”) zdarzy ci się przekonać o niewinności pana X., a czarnej intrydze barona.

Jako przykład jednego z najzręczniejszych manewrów obserwowaliśmy postępowanie młodej kobiety, pochłoniętej niezwalczoną namiętnością. Podstęp polegał na tym, iż okazywała bardzo jawnie niechęć człowiekowi, którego nie kochała, kochankowi zaś dawała nieznaczne dowody miłości. W chwili gdy mąż jest już przekonany, iż *cicisbeo* jest przedmiotem jej uczuć, *patito*<sup>87</sup> zaś wstrętu, pozwala się z rozmysłem zaskoczyć wraz z *patito* w sytuacji, której drażliwość z góry była obliczona i która wpoila w męża, a nawet w znieawidzonego wielbiciela przekonanie, iż jej miłość i niechęć były zarówno udane. Rzuciwszy w ten sposób męża w odmęt niepewności, postarała się, aby mu wpadł w ręce liścik miłosny. Pewnego wieczora, w pełni wspaniałej perypetii, którą sama przygotowała, pani rzuca się do stóp małżonka, zrasza je łzami i obraca cały efekt teatralny na swą korzyść.

– Zbyt wiele mam dla ciebie czci i poważania – wykrzykuje – abym poza tobą szukała powiernika. Kocham! czyż człowiek jest w stanie pokonać to uczucie? Ale jedno mogę uczynić, to jest wyznać ci je, błagać, byś ratował mnie przede mną samą, abyś mnie wybawił z tej otchłani. Bądź moim panem, bądź mi surowym opiekunem, wyrwij mnie stąd, oddal tego, który jest sprawcą nieszczęścia, pociesz mnie; ja zapomnę, chcę zapomnieć. Ja nie chcę cię zdradzić! Na kolanach błagam cię o przebaczenie za obłudę, którą natchnęła mnie miłość. Tak jest, wyznaję, że uczucie, jakie udawałam dla mego kuzyna, było jedynie pułapką zastawioną twej przenikliwości, mam dla niego wiele przyjaźni, ale kochać... Och, przebacz mi!... kochać potrafię tylko... (W tym miejscu obfite łkanie)... Och, jedźmy stąd, uciekajmy z Paryża!...

Zalewała się łzami, włosy rozsypane okalały jej twarz, strój znajdował się w kuszącym nieładzie; było około północy, mąż przebaczył. Odtąd kuzynek mógł przebywać w domu bez niebezpieczeństwa i Minotaur pochłoniął jedną ofiarę więcej.

Jakież reguły można przepisywać, gdy chodzi o walkę z takim przeciwnikiem? Cała dyplomacja kongresu wiedeńskiego mieści się w ich głowie: równie są niebezpieczne, gdy się wydają w ręce, jak gdy się wymykają. Gdzież znajdzie się mężczyzna dość giętki, aby odłożyć swą męskość i siłę i kroczyć śladami kobiety w tym labiryncie?

Bronić w każdej chwili fałszu, aby dowiedzieć się istotnej prawdy; przemawiać w obronie prawdy, aby wykryć fałsz; zmieniać niespodzianie kierunek baterii i zagwałdzać własne działa w chwili, gdy miały dać ognia; wspinać się wraz z nieprzyjacielem na góry, aby w pięć minut później uganiać się za nim po równinach; towarzyszyć mu w obrotach tak szybkich i niespodzianych jak lot czajki; być w potrzebie zdolnym do posłuszeństwa, a gdy trzeba, znowu stawić bezwładny opór; umieć przebiegać całą skalę przypuszczeń i możliwości równie szybko, jak młody pianista biegnie jednym rzutem ręki od najniższej do najwyższej nuty i odgadywać tajemne pobudki kobiety; mieć się na baczności przed jej pieszczotami i szukać w nich raczej ukrytych myśli niż wzruszeń rozkoszy – wszystko to jest zabawką dla człowieka rozumiejącego życie, dla owych jasnych i bystrych wyobraźni, u których czyn idzie równo z myślą; jednak olbrzymią ilość mężów przerazi sama myśl urzeczywistnienia tych zasad.

Tacy wolą trawić życie, zadając sobie o wiele więcej trudu, aby zostać drugorzędnym szachistą lub zręcznie robić karambole.

Jedni powiedzą wam, że nie są zdolni ustawicznie trzymać w napięciu władz umysłowych i zrywać z wszystkimi przyzwyczajeniami. Wówczas kobieta triumfuje. Poznaje, iż góruje nad mężem rozumem lub energią, jakkolwiek wyższość ta może być tylko chwilowa. Budzi się w niej uczucie lekceważenia dla głowy rodziny.

---

<sup>87</sup> C i c i s b e o (wł.) –kochanek zamężnej damy; p a t i t o (wł.) – cierpliwy wielbiciel.

Jeśli mężowie tak rzadko są panami w domu, nie wynika to z braku dobrych chęci, ale z braku zdolności po temu.

Co do tych, którzy podejmują trud owych krótkotrwałych, lecz straszliwych zapasów, musimy przyznać, iż trzeba im wielkich zasobów siły moralnej.

W istocie, w chwili gdy trzeba rozwinąć wszystkie środki tajemnej strategii, nieraz próżnym jest trudem zastawiać jakiekolwiek pułapki tym szatańskim istotom. Skoro kobieta raz dojdzie do pewnej siły w panowaniu nad wzruszeniami, twarz jej staje się nieprzenikniona jak Nicość. Oto znany mi przykład:

Pewna młoda, bardzo ładna paryżanka, równie sprytna jak zalotna, leżała jeszcze w łóżku, koło łóżka zaś siedział jeden z jej najmilszych przyjaciół. Wtem przynoszą list od drugiego wielbiciela, człowieka bardzo gwałtownego, któremu dała prawo przemawiania tonem władcy. Bilet był pisany ołówkiem i zawierał te słowa:

*Dowiaduję się, że C. jest u Ciebie w tej chwili, czekam nań, aby mu w łeb strzelić.*

Pani D., nie przerywając rozmowy z panem C., prosi, aby jej podał teczkę z czerwonego safianu.

– Dziękuję ci, kochanie – rzekła. – Mów dalej, ja słucham.

C. mówi, ona odpowiada kreśląc równocześnie następujący bilecik:

*Z chwilą gdy jesteś zazdrosny o C., strzelajcie do siebie, ile wam się podoba; możesz zgiąć, ale oddać ducha<sup>88</sup>, wątpię.*

– Mój złoty – rzekła – bądź tak dobry i zapal świecę. Doskonale, jesteś nieoceniony. A teraz pozwól mi się ubrać i oddaj ten list panu d’H., który czeka pod bramą. Wszystko to było powiedziane z najzupełniejszą swobodą. Dźwięk głosu, intonacja, rysy, nic nie zdradzało najmniejszego wzruszenia. Ten śmiały pomysł osiągnął najpomyślniejszy skutek. Pan d’H., otrzymawszy tę odpowiedź z rąk pana C., uczuł, iż gniew jego opada, i jedyną jego udręką w tej chwili była trudność ukrycia ochoty do śmiechu.

Ale im więcej się rzuca pochodni w tę olbrzymią jaskinię, którą próbujemy oświetlić, tym głębszą się ona wydaje. To przepaść bez dna. Zdaje się nam, iż wywiążemy się z zadania w przyjemniejszy i bardziej pouczający sposób, pokazując zasady strategii na przykładzie datującym z epoki, w której kobieta osiągnęła najwyższy stopień swej przewrotnej sztuki. Przykład taki odsłoni więcej pewników, wskaże więcej sposobów niż wszystkie teorie.

Było to pewnego wieczora, pod koniec uczt, którą książkę Lebrun wydał dla przyjaciół. Biesiadnicy, rozgrzani szampanem, zapuścili się właśnie w niewyczerpany temat kobiecej przebiegłości i podstępów. Świeża przygoda, przypisywana hrabinie R. D. S. J. D. A., a związana z historią pewnego naszyjnika, była zawiazkiem rozmowy.

Pewien ceniony artysta, a zarazem uczony, zaszczycony przyjaźnią cesarza, bronił z zapałem owego niezbyt męskiego poglądu, iż nie podobna mężczyźnie walczyć skutecznie z podstępami kobiety.

– Miałem szczęście przekonać się – rzekł – że. nie istnieje dla nich nic świętego. Wszystkie panie okrzyknęły się.

– Ale ja mógłbym przytoczyć fakt...

– To wyjątek!

– Wysłuchajmyż go!... – rzekła pewna młoda osoba.

---

<sup>88</sup> R e n d r e l’ e s p r i t – gra słów we francuskim oryginale; *esprit* znaczy: duch albo inteligencja. (Przyp. tłumacza.)

– Och, dobrze! Prosimy! – zawołali biesiadnicy. Przezorny staruszek powiódł okiem dookoła i, sprawdzwszy przelotnym spojrzeniem wiek obecnych pań, rzekł z uśmiechem:

– Ponieważ widzę, iż wszyscy świadomi jesteśmy życia, mogę zatem opowiedzieć tę przygodę.

Zrobiła się cisza, opowiadający zaś odczytał w całości książeczkę, którą miał przy sobie.

„Kochałem się bez pamięci w hrabinie X. Miałem lat dwadzieścia i byłem naiwny, więc mnie zdradziła; oburzyłem się, więc mnie rzuciła; byłem naiwny, więc tęskniłem za nią; miałem lat dwadzieścia, więc mi przebaczyła; że zaś miałem dalej lat dwadzieścia, byłem dalej naiwny, ona zaś zdradzała mnie, ale już nie rzucała, czułem się kochankiem najbardziej ubóstwianym pod słońcem, zatem najszcześliwszym z ludzi. Hrabina była przyjaciółką pani de T..., która miała może na mnie pewne zamiary, ale w sposób nie narażający w niczym jej godności, jako że była to osoba ostrożna i szanująca pozory. Pewnego dnia, w teatrze, czekając na hrabinę, usłyszałem, że mnie ktoś woła z sąsiedniej łoży. Była to pani de T.

– Jak to! – rzekła – już na posterunku! Czy to wierność, czy brak zajęcia? No, chodźże pan!

Głos i zachowanie miały odcień zalotności, ale daleki byłem od myśli o romansowej przygodzie.

– Ma pan jakie projekty na dziś wieczór? – rzekła. – Nie trzeba mieć. Jeśli pana wybawię z nudów samotności, trzeba mi za to oddać się na dzisiaj... Och, nic nie pytać, tylko być posłusznym. Proszę zawołać moich ludzi.

Pochylał z pokorą głowę, pani de T. każe mi się odprowadzić na dół, idę bez oporu.

– Pójdiesz do pana – rzekła pani de T. do lokaja – i powiesz, że pan wróci dopiero jutro.

Następnie przyzywa lokaja znakiem, ten podchodzi, otrzymuje po cichu jakieś zlecenie i oddala się. Opera się zaczyna. Próbuje zagaić rozmowę; towarzyszka daje mi gestem rozkaz milczenia: słucha muzyki lub udaje, że słucha. Po pierwszym akcie lokaj wraca z bilecikiem i oznajmia, że wszystko gotowe. Wówczas pani de T. uśmiecha się, prosi, bym jej podał rękę, sprowadza mnie na dół, każe wsiąść do powozu; za chwilę znajduję się na gościńcu, nie mając pojęcia, co się dzieje. Na każde pytanie, jakie pozwalam sobie uczynić, otrzymuję głośny wybuch śmiechu za jedyną odpowiedź. Gdybym nie wiedział, że mam do czynienia z kobietą, która pojmuje miłość jedynie w stylu wielkiej namiętności, że od dawna łączą ją związki z markizem de V., że nie może przypuszczać, aby romans ten był dla mnie tajemnicą, mógłbym myśleć, iż zmierzamy do awanturki miłosnej; ale pani de T. znała stan mego serca, a hrabina X. była jej najbliższą przyjaciółką. Nie pozwalałem sobie zatem na żadne zarozumiałe domysły i czekałem wypadków. Dotarłszy do pierwszej stacji pocztowej, ruszyliśmy natychmiast dalej, obsłużeni błyskawicznie. Rzecz zaczynała wyglądać poważnie. Spytałem stanowczo, dokąd prowadzi mnie ten żart.

– Dokąd? – rzekła pani de T. śmiejąc się. – Do najpiękniejszego ustronia pod słońcem; proszę samemu zgadnąć gdzie. Zresztą niech pan nie sili sobie głowy; nigdy pan nie zgadnie. Jedziemy do mego męża. Czy pan go zna?

– Ani trochę.

– Doskonale; obawiałam się. Ale mam nadzieję, że będzie pan zadowolony ze znajomości. Próbują nas pogodzić. Już od pół roku toczą się układy, a od miesiąca pisujemy do siebie. Sądzę, że dają dowód wielkiej uprzejmości, odwiedzając go.

– Zapewne, ale cóż ja tam będę robił? Cóż za rola przy tym pojednaniu...?

– Och, to już moja sprawa! Jest pan młody, sympatyczny, nie zanadto przeżyty, właśnie czegoś takiego potrzebuję dla wybawienia mnie od nudów małżeńskiego sam na sam.

– Jednakże obierać dzień lub raczej noc pojednania małżonków na pierwszą wizytę, zdaje mi się nieco dziwaczne; moje zakłopotanie, miny, jakie będziemy mieli wszyscy troje, wszystko razem nie wydaje mi się zachęcające.

– Wzięłam pana, byś mnie zabawiał, proszę zatem nie mówić mi kazań – rzekła towarzyska moja dość ostro.

Wobec tak stanowczej decyzji nie pozostało mi nic innego niż pogodzić się z sytuacją. Zaczęłam żartować z mej roli i rozmowa przybrała nader wesoły obrót. Raz jeszcze zmieniliśmy konie. Tajemnicza latarnia nocy rozświecała niebo nieskażenie czyste i przesycala atmosferę łagodnym blaskiem. Zbliżaliśmy się do kresu podróży, który miał zakończyć nasze sam na sam. Od czasu do czasu dama kazała mi się zachwycać pięknnością krajobrazu, ciszą nocy, przejmującym milczeniem natury. Rzecz naturalna, że aby wspólnie podziwiać, wychylaliśmy się przez okno; twarze nasze dotykały się. Niespodziane wstrząśnienie sprawiło, iż pani de T. ścisnęła mnie za rękę i – jakimś przypadkiem, który zdziwił mnie samego, gdyż kamień, o który zawadził powóz, musiał być bardzo nieduży – znalazła się na chwilę w mych ramionach. Sam już nie wiem, co mieliśmy oglądać, ale to wiem na pewno, że mimo księżycy przedmioty zaczęły mi się mroczyć w oczach; nagle towarzyska moja odtrąciła mnie gwałtownie i wcisnęła się w głąb karety.

– Czy pańskim zamiarem – rzekła po chwili zadumy – jest przekonać mnie o nierozsądku mego postąpienia?

Proszę sobie wyobrazić moje zakłopotanie!...

– Zamiary... – odparłem – względem pani?... To byłoby zbyt naiwne z mojej strony! Przejrzałyby je pani zbyt łatwo! Powiedzmy raczej przypadek, zapomnienie, a to chyba można wybaczyć.

– I na to pan rachował, o ile mi się zdaje? W czasie tej rozmowy, sami nie wiedząc kiedy, znaleźliśmy się na dziedzińcu zamkowym. Wszystko jarzyło się od świateł i zwiastowało wesołość, z wyjątkiem fizjonomii gospodarza, która na mój widok daleka była od radości. Pan de T. zbliżył się do powozu z wymuszoną czułością, której wymagało zamierzone porozumienie. Później dowiedziałem się, iż porozumienie to było niezbędne z przyczyn familijnej natury. Pani de T. przedstawia mnie, lekki ukłon. Pan de T. podaje rękę żonie, ja postępuję za parą małżeńską, pogrążony w myślach o mojej roli przeszłej, obecnej i przyszłej. Przebiegłem apartamentu przybrane z najwytworniejszym smakiem. Widocznie gospodarz silił się na wyrafinowania zbytku, aby za pomocą atmosfery oddychającej rozkoszą pobudzić swe gasnące siły. Nie wiedząc, o czym mówić, szukałem ucieczki w zachwytach. Bogini tego przybytku, umiejętnie roztaczająca jego skarby, przyjęła pobłażliwie moje komplementy.

– To jeszcze nic – rzekła – trzeba dopiero, aby pan zobaczył pokoje męża.

– Och, już pięć lat mija, jak kazałem je rozebrać.

– Ach, tak... – rzekła pani.

Przy kolacji pani de T. podsunęła mężowi jakąś potrawę.

– Dziękuję, od trzech lat jestem na mleku.

– Ach, tak... – rzekła znowu.

Proszę sobie wyobrazić trzy osoby jednakowo zdziwione, iż znalazły się razem. Mąż był wyniosły i sztywny, na co znów ja odpowiadałem bezceremonialną śmiałością. Pani de T. uśmiechała się i była czarująca; pan de T. przyjmował mnie jako zło nieuniknione, żona zaś odplącała mu w tej samej monecie. W istocie, w życiu nie brałem udziału w dziwniejszej wieczerzy. Gdyśmy wstali od stołu, sądziłem, że się udamy wcześniej na spoczynek, ale przypuszczenie okazało się trafne tylko co do pana de T. Gdyśmy przeszli do salonu, rzekł:

– Bardzom pani obowiązany za przezorność, jaką okazałaś przywożąc tego pana. Odgadła pani, iż byłbym nieszczególnym towarzyszem wieczoru. Uczyniła pani bardzo roztropnie, gdyż, co się mnie tyczy, udaję się do siebie.

Następnie, zwracając się w mą stronę, dodał z głęboką ironią:

– Zechce pan łaskawie wybaczyć i usprawiedliwić mnie przed żoną.

Pan de T. wyszedł. Co się we mnie działo?... W jednej minucie przeleciało mi przez głowę więcej myśli niż kiedy indziej w ciągu roku. Zostawszy sami, wymieniliśmy z panią de T.

spojrzenie tak wymowne, iż ona, chcąc nas wybawić z drażliwej sytuacji, zaproponowała przechadzkę po terasie, aby, jak mówiła, doczekać, aż służba skończy wieczerzę.

Noc była przepyszna. Przedmioty ledwo majaczyły w ciemności, która zdawała się rzucać na nie swoją zasłonę, aby tym swobodniej dać szybować wyobraźni. Ogród, wsparty o zbocze góry, spadał terasami aż do Sekwany: widać było liczne jej skręty, pokryte malowniczymi wysepkami. Stąd tysiące obrazów ożywiających tę miejscowość, zachwycającą urokiem niespodzianych skarbów. Przechadzaliśmy się po największej terasie, gęsto ocienionej drzewami. Moja pani ochłonęła już po brutalności męża i wśród przechadzki uczyniła mi parę zwierzeń... Jedne zwierzenia pociągają drugie; przyszła kolej na mnie, rozmowa stawała się coraz bliższa i bardziej zajmująca. Zrazu ujęła mnie pani de T. pod ramię; później, nie wiem jak, ramię to oplotło się koło mnie, gdy ja prawie niosłem ją w powietrzu, ledwie pozwalając jej dotykać ziemi: pozycja przyjemna, lecz po pewnym czasie nieco nużąca. Długo już chodziliśmy tak razem, a jeszcze mieliśmy sobie wiele do powiedzenia. Trafiła się darniowa ławeczka; siedliśmy nie zmieniając pozycji. Tak przytuleni, poczęliśmy śpiewać hymny na cześć ufności, jej uroków, słodyczy...

– Ach – rzekła – któż mógłby napawać się nią lepiej od nas i z mniejszą obawą? Wiem zbyt dobrze, jak drogie są panu jego więzy, abym mogła czegokolwiek lękać się przy panu...

Może pani de T. pragnęła, abym zaprzeczył; nie uczyniłem tego. Stwierdziliśmy tedy jednomyślnie, iż możemy być jedynie nietykalną parą przyjaciół.

– Obawiałem się – rzekłem – że to zdarzenie tam, w powozie, mogło panią zaniepokoić?...

– Och, ja się tak łatwo nie przestraszam!

– Boję się, czy nie zostawiło jakiejś chmurki.

– Co zrobić, aby pana uspokoić?...

– Pozwolić mi dokończyć pocałunku, który traf...

– Najchętniej; inaczej wyobrażałby pan sobie w swej pysze, że się obawiam...

Otrzymałem pocałunek... Z pocałunkiem jest jak ze zwierzeniami: pierwszy pociągnął następny i jeszcze jeden... tłoczyły się nam na usta, przerywały rozmowę, wciskały się na jej miejsce; ledwie zostawiały chwilę czasu na westchnienia... Nastąpiła cisza... Słyszeliśmy ją, bo ciszę można słyszeć. Wstaliśmy bez słowa i poczęliśmy się przechadzać.

– Trzeba wracać... – rzekła pani de T. – dziwny chłód wieje od rzeki...

– Nie sądzę, aby był dla nas niebezpieczny... – odparłem.

– Może! Wracajmy jednak.

– Więc to przez wzgląd na mnie? Chce mnie pani uchronić od niebezpiecznych wzruszeń takiej przechadzki... od skutków, jakie by mogła mieć... dla mnie... samego...

– Nadto pan skromny!... – rzekła śmiejąc się – przypisuje mi pan szczególną delikatność.

– W istocie? Ale skoro pani tak bierze sprawę, dobrze, wracajmy, żądam tego.

Wysilaliśmy się, aby kleić rozmowę, jak dwoje ludzi, którzy przymuszają się do mówienia o czym innym, niż myślą.

Tak więc pani de T. zmusiła mnie, bym się skierował na drogę ku zamkowi. Nie wiem, a raczej wówczas nie wiedziałem, czy to był gwałt, który zadaje sama sobie, czy dobrze obmyślane postanowienie, czy towarzyszka podziela moje zmartwienie, że już się skończyła scena tak dobrze zaczęta; dość, że pod wpływem jakiegoś wspólnego instynktu kroki nasze wolniały, wlekliśmy się smutni, nieradzi z siebie. Nie wiedzieliśmy, o co zaczepić. Żadne z nas nie miało prawa niczego wymagać ani o nic prosić. Nie mieliśmy nawet prawa do wyrzutów. Och, jakżeby nam ulżyła mała sprzeczka! Ale skąd? o co?... Tymczasem zbliżaliśmy się do zamku, łamiąc sobie w milczeniu głowę nad sposobem uchylecia obowiązku, któryśmy sobie nałożyli tak niezręcznie. Byliśmy przy bramie, gdy pani de T. rzekła:

– Mam żal do pana!... Po zaufaniu, jakiego panu dałam dowód, pan nie okazał mi żadnego!... Nie powiedział mi pan ani słowa o hrabinie. Tak słodko przecież mówić o istocie, którą

się kocha!... Byłabym słuchała tak chętnie!... To się panu należało za to, że pozbawiłam go jej towarzystwa...

– Czyż ja nie mógłbym zrobić tego samego zarzutu?... – przerwałem. – I gdyby pani, zamiast czynić mnie powiernikiem tego dziwnego pojednania, w którym odgrywam tak szczególną rolę, zechciała mi mówić o margrabi...

– Cicho! – zawołała. – Jeżeli pan zna choć trochę kobiety, powinien pan wiedzieć, iż trzeba umieć czekać, aż same dojdą do zwierzeń... Wróćmy do pana. Czy pan jest bardzo szczęśliwy z moją przyjaciółką?... Ach, obawiam się, że nie...

– Czemuż pani przykłada wiarę do ludzkich gadań?

– Niech pan sobie oszczędzi udawania... Hrabina jest mniej tajemnicza od pana. Kobiety tego rodzaju nie zwykły ukrywać tajemnic swych miłostek i swych wielbicieli, zwłaszcza gdy zachowanie tak dyskretne jak pańskie mogłoby zostawić ich triumfy w ukryciu. Daleka jestem od zarzucania jej zalotności, ale skromnisa może być nie mniej próżna od kokietki... Może pan więc mówić otwarcie: czy nie ma pan żadnego powodu do skargi?...

– Czy pani nie uważa, że w istocie robi się chłodno? – rzekłem z uśmiechem. – Może wrócimy.

– Tak pan sądzi?... To dziwne. Jest zupełnie ciepło. Wzięła mnie pod ramię i podjęliśmy na nowo przechadzkę; dokąd, którą? nie zdawałem sobie sprawy. To, co usłyszałem od pani de T. o jej stosunku, o którym wiedziałem, to, co mi mówiła o mej kochance, cała ta podróż, scena w karecie, potem na ławeczce, noc, księżyc, wszystko wprowadziło mnie w zamęt. Unosiła mnie miłość własna i pragnienie, powściągała refleksja; zarazem byłem zbyt wzruszony, aby zdać sobie sprawę z wrażeń. Podczas gdy mnie przepelniały tak sprzeczne uczucia, towarzyska moja mówiła wciąż o hrabinie, a milczenie moje zdawało się potwierdzać jej słowa. Jednakże niektóre szczegóły obudziły mą uwagę.

– Jaka to bogata natura! – mówiła pani de T. – Ile wdzięku! Przewrotność robi w jej ustach wrażenie dowcipu; zdrada zdaje się wysiłkiem rozsądku, ofiarą dla przyzwoitości; nigdy chwili zapomnienia, zawsze pod bronią; rzadko serdeczna, nigdy szczerą; lekka z natury, przezorna z wyrachowania; pełna życia, ostrożna, zręczna, roztrzepana; mieniąca się kształtami Proteusza, czarująca powabem Gracji; równocześnie wabi i wymyka się. W iluż rolach ją podziwiałam! Mówiąc między nami, iluż dudków wkoło niej! Jak ona umiała wywieść w pole barona, ile sztuczek płatała margrabiemu! Gdy wzięła pana, to dlatego, aby odwrócić uwagę dwóch rywalów: byli już bliscy wybuchu, bo za długo ciągnęła grę, i mieli czas się polapać. Wówczas wysunęła na widownię pana, zajęła ich panem, zmusiła do nowych dociekań, pana tymczasem doprowadziła do rozpacz, ulitowała się, pocieszyła... Ach, jakże łatwą rolę ma zręczna kobieta, kiedy, prowadząc taką grę, bawi się uczuciami nie wkładając nic z siebie! Ale też czy to jest szczęście?...

To ostatnie zdanie, któremu towarzyszyło wiele mówiące westchnienie, było szczytem mistrzostwa. Miałem uczucie, iż jakaś zasłona spada mi z oczu, bez świadomości, że równocześnie wkładano mi inną. Kochanka moja wydała mi się nagle najfalszywszą istotą; wierzyłem, że dziś dopiero trafiłem na kobietę z sercem. Westchnąłem i ja, nie wiedząc dobrze, pod czyim adresem... Pani de T. zdawała się ubolewać nad przykrością, jaką mi sprawiła, i żałować, iż dała się unieść szczeroci i posunęła się do skreślenia obrazu, który w ustach kobiety mógł się wydać podejrzany. Odpowiedziałem, sam już nie wiem co; stopniowo, mimo iż nie zdawałem sobie sprawy jak, weszliśmy nieznacznie na gościniec uczucia; zaczęliśmy zaś z tak wysoka, iż nie podobna było przewidzieć kresu. Na szczęście, skierowaliśmy się równocześnie ku altance, którą widzieliśmy poprzednio z terasy i która była świadkiem najśłodszych naszych chwil. Pani de T. opisała mi szczegóły urządzenia. „Jaka szkoda, że nie mamy klucza!” Tak rozmawiając doszliśmy do altanki, która szczęśliwym trafem okazała się otwarta. Brakło jej światła, ale i ciemność ma wiele uroków. Gdyśmy wchodzili, ogarnęło nas drżenie... Czy to sanktuarium ma się stać świątynią miłości? Siedliśmy na kanapce i przez

chwilę słuchaliśmy w milczeniu naszych serc. Ostatni promyk zachodzącego księżyca uniósł z sobą wiele skrupułów. Ręka, która mnie odpychała, czuła bicie mego serca. Towarzyszka moja zrywała się do ucieczki i osuwała się bezbronna. Słyszeliśmy wśród ciszy mowę naszych myśli. Nie ma nic czarowniejszego jak te nieme rozmowy. Pani de T. chroniła się w moje ramiona, kryła głowę na mym łonie, wzdychała i uspokajała się pod pieśczołą; to pograżała się w smutku, to znów szukała pocieszeń, żądając od miłości, aby jej zwróciła wszystko, co miłość jej wydarła przed chwilą. Strumień płynący opodal przerywał ciszę nocy słodkim szmerem, zestrojonym z uderzeniami serc. Było zbyt ciemno, aby rozróżnić przedmioty, ale w przezroczystej gazie cudnej nocy letniej królowa tego ustronia wydała mi się czarująca.

– Ach! – rzekła niebiańskim głosem – oddalmy się z tego niebezpiecznego miejsca... Tutaj jest się zbyt słabym, aby się opierać...

Pociągnęła mnie z sobą i wyszliśmy, nie bez żalu.

– Jaka ona szczęśliwa!... – szepnęła pani de T.

– Kto? – spytałem.

– Czy ja co powiedziałam?... – zawołała z przerażeniem.

Doszedłszy do ławeczki, zatrzymaliśmy się mimo woli.

– Cóż za przestrzeń, od tej ławeczki do altany! – rzekła pani de T.

– A więc – rzekłem – ta ławeczka zawsze ma mi być złowrogą? Czy to żal, czy też...

Nie wiem, jakim cudem, ale rozmowa zmieniła się i przybrała mniej poważny charakter. Moja pani odważyła się nawet mówić lekkim tonem o słodyczach miłości, oddzielając od nich stronę duchową, sprowadzając je do najprostszego wyrazu i dowodząc, że ustępstwa pod tym względem są tylko kwestią przyjemności; że zobowiązania (w pojęciu filozoficznym) istnieją tylko o tyle, o ile sami zaciągamy je wobec świata, pozwalając wglądać w nasze tajemnice i popelniając w stosunku doń niedyskrecje.

– Jakąż uroczą noc znaleźliśmy przypadkiem!... I gdyby, dajmy na to, jakieś przyczyny kazały nam się jutro rozłączyć, szczęście nasze, osłonięte cieniem nawet dla przyrody, nie zostawiłoby żadnych więzów, które by trzeba zrywać... może nieco żalu, nagrodzonego sownicie słodkim wspomnieniem; słowem, sama rozkosz bez wszystkich odwłok, utrapień i przy-musu.

Człowiek jest tak dalece zwierzątkiem, iż ze wstydem wyznać muszę, że zapomniawszy o wszystkich skrupułach, które dręczyły mnie przed chwilą, najzupełniej wchodziłem w te śmiałe poglądy i niewiele brakowało, aby zbudziła się we mnie tęsknota za zupełną swobodą.

– Cóż za cudowna noc! – mówiła pani de T. – cóż za czarowne ustronie! Nabrało dziś dla mnie nowego powabu. Och, nigdy, nigdy nie powinniśmy zapomnieć tej altanki... Zamek – rzekła z uśmiechem – posiada jedno schronienie jeszcze bardziej urocze, ale panu nie można nic pokazać: jesteś jak dziecko, które wszystko chciałoby ruszać i psuje, czego się dotknie.

Wiedziony ciekawością, począłem się zaklinać, iż będę rozsądny. Ale pani de T. już zmieniła przedmiot.

– Ta noc – rzekła – byłaby bez chmurki, gdybym nie miała żalu do siebie za to, co mówi-łam o hrabinie. Nie iżbym miała urazę do pana. Każda nowość pociąga. Wydałam się panu sympatyczna, chętnie wierzę w pańską szczerłość. Ale nad tym, by zniweczyć moc przyzwyczajenia, trzeba by długo pracować, a ja nie posiadam tej sztuki. – Mówmy o czym innym. Jak się panu podobał mój mąż?

– Dość kwaśny; zresztą, nie mógł być inny dla mnie.

– Och, to prawda; dieta, której przestrzega, nie przyczynia się do dobrego humoru; nic dziwnego, że go pan niecierpliwil. Nasza przyjaźń wydałaby mu się podejrzaną.

– Och, jest nią już zapewne.

– Przyznaj, że nie bez słuszności. Toteż nie trzeba, aby pan przedłużał pobyt; męża by to drażniło. Jak tylko zaczną zjeżdżać się goście, a ma przybyć kilka osób – dodała z uśmiechem



– niech pan ucieka. Zresztą i pan musi zachować pewne względy... Niech pan sobie tylko przypomni minę, jaką miał mąż opuszczając nas wczoraj .

Słowa te dały mi do myślenia. Cała przygoda zaczęła na mnie robić wrażenie pułapki; widząc wrażenie, jakie na mnie wywarły jej słowa, hrabina dodała:

– Och, weselszy był wówczas, kiedy urządził ów gabinecik, o którym wspomniałam. Było to przed ślubem.

Gniazdko to sąsiaduje z moimi pokojami. Niestety, jest ono świadectwem, jakich środków potrzebował pan de T., aby ożywić swoje uczucia.

– Cóż za rozkosz – rzekłem zaciekawiony ostatnimi słowy – cóż za rozkosz byłaby pomścić tam właśnie zniewagę, jaką wyrządzono pani wdziękom, i zwrócić im wszystko, z czego je okradzione!

Żart mój znalazł wyraźnie łaskę w oczach pani de T., jednak rzekła:

– Przyrzekł pan być rozsądny!...

Rzucam zasłonę na szaleństwa, które każdy wiek przebacza młodości w imię tylu zawiedzionych pragnień, tylu wspomnień... Nazajutrz rano pani de T., wznosząc ku mnie swe wilgotne oczy, piękniejsze niż kiedykolwiek, rzekła:

– I cóż, potrafisz kiedy kochać hrabinę tak jak mnie?... Miałem odpowiedzieć, gdy wtem wpadła pokojówka wołając:

– Niech pan ucieka, prędko, niech pan ucieka! Jasny dzień, jedenasta, słychać już gwar w zamku.

Wszystko rozwiało się jak sen. Nim zdołałem zebrać zmysły, znalazłem się bezradny na korytarzu. Jak trafić do mego pokoju, w którym nigdy nie byłem?... Wszelka pomyłka byłaby niedyskrecją. Postanowiłem udawać, że wracam z rannej przechadzki. Chłodne i czyste powietrze uspokoiło stopniowo mą wyobraźnię i sprowadziło z krainy cudów na ziemię. W miejsce czarów widziałem już tylko rzeczywistość. Czulem, że prawda wraca na nowo do mej duszy, że myśli budzą się jasne i niezmacone, słowem, oddychałem na nowo. Nie miałem nic pilniejszego niż spytać siebie, czym byłem właściwie dla kobiety, z którą rozstałem się przed chwilą... Ja, który wiedziałem z pewnością, iż kocha do szaleństwa, i to od dwóch lat, margrabiego de V... – Czyżby zerwała? Czy wzięła mnie jako następcę, czy tylko jako narzędzie zemsty?... Cóż za noc! co za przygoda! Ale co za rozkoszna kobieta! Podczas gdy utonałem w myślach kłębiących się w mej głowie, usłyszałem szelest kroków. Podniosłem oczy, przetarłem je, nie chciałem wierzyć... ujrzałem... zgadnijcie kogo? Margrabiego!

– Nie spodziewałeś się mnie tak rano, nieprawdaż?... – rzekł. – No i cóż, jakże się wszystko odbyło?

– Wiedziałeś, że tu jestem? – spytałem w osłupieniu.

No, oczywiście! Zawiadomiono mnie w chwili wyjazdu. Dobrze odegrałeś rolę? Cóż mąż? Twój przyjazd wydał mu się bardzo dziki? Bardzo cię znienawidził? Bardzo go drażnił widok kochanka żony? Kiedyż dostaniesz odprawę?... Och, nie bój się, pomyślałem o wszystkim, postarałem się o wygodny powóz, który czeka na twoje rozkazy. Zastrzegam sobie prawo oddania ci w potrzebie podobnej usługi. Możesz na mnie liczyć; to rzeczy, których się nie zapomina...

Ostatnie słowa dały mi klucz tajemnicy: odgadłem, jaką rolę grać mi wypada.

– Ale czemu zjawiasz się tak prędko? – spytałem. – Byłoby może rozsądniej odczekać jeszcze ze dwa dni.

– Wszystko przewidziane; sprowadził mnie tu prosty przypadek. Bawiłem w sąsiedztwie, wstąpiłem niby po drodze. Ale czyż pani de T. nie wtajemniczyła cię we wszystko? Doprawdy, mam jej za złe ten brak zaufania. Po tym, co dla nas zrobiłeś!...

– Musiała mieć swoje przyczyny, mój drogi! Może nie byłbym się tak dobrze wywiązał z roli.

– To musiało być paradne! Opowiedzże szczegółowo, jak wszystko się odbyło, opowiedz...

– To bardzo proste. Nic nie wiedziałem, że to ułożona komedia, i chociaż pani de T. wciągnęła mnie do sztuki...

– Nie miałeś w niej szczególnej roli.

– Och, tym się nie trap; nie ma złych ról dla dobrych aktorów.

–Zatem wywiązałeś się dobrze.

–Znakomicie.

–A pani de T.?...

–Czarująco...

–Czy wyobrażasz sobie, aby można było przywiązać podobną kobietę! – rzekł przystając, aby mi spojrzeć w oczy z wyrazem triumfu. – Och, kosztowało mnie to niemało trudu. Ale w końcu udało mi się urobić ją tak, że ze wszystkich kobiet w Paryżu pani de T. jest osobą, na której wierności najwięcej można polegać.

– Dokazałeś prawdziwej sztuki...

– Och, to mój talent. Niestalość jej płynie jedynie z kaprysu, z nieokiełzanej wyobraźni. Ta dusza potrzebowała, aby nią ktoś zawładnął. Ale też nie możesz mieć pojęcia, do jakiego stopnia jest do mnie przywiązana. No, przyznaj, czy nie urocza istota?

– Ależ przyznaję!

– A przecież i ona, mówiąc między nami, posiada jedną wadę. Natura, dając wszystko, odmówiła jej owego boskiego płomienia, który jest szczytem wszystkich jej darów. Ta kobieta wszystko budzi, wszystko roznieca, sama zaś nie czuje nic. Marmur.

– Muszę wierzyć na słowo, bo sam nie mogę o tym sądzić. Ale czy wiesz, że ty znasz tę kobietę tak dobrze, jak gdybyś był jej mężem? Można by się pomylić, doprawdy. Gdyby nie to, że wczoraj siedziałem przy kolacji z prawdziwym... gotów byłbym cię wziąć...

– Powiedz, czy był uprzejmy?

– Och, przyjął mnie jak psa!

– Rozumiem. Ale wracajmy do zamku, pójdziemy do pani de T.; jest już zapewne widzialna.

– Czy nie wypadałoby raczej zacząć od męża? – odparłem.

– Masz rację. Ale wstąpmy na chwilę do twego pokoju, chciałbym się nieco przypudrować. Powiedz mi więc, czy cię zupełnie wziął za kochanka?

– Będziesz mógł to sam ocenić z zachowania; chodźmyż zaraz do niego.

Chciałem wykręcić się od prowadzenia margrabiego do mego pokoju, którego nie znałem, ale sam przypadek nas tam zawiódł. Przez otwarte drzwi spostrzegłem mego służącego, drzemiącego w fotelu. Dopalająca się świeca stała obok. Zbudzony, poskoczył, aby na wpół przytomnie podać szlafrok margrabiemu. Stałem jak na rozżarzonych węglach; ale margrabia był w usposobieniu tak podatnym do złudzeń, że nie dostrzegł w tym nic prócz komicznego odurzenia śpiocha. Udaliśmy się do pana de T. Można sobie wyobrazić, jak przywitał się ze mną, a jakimi uprzejmościami i komplementami obsypał margrabiego, zatrzymując go niemal przemocą. Chciał go zaraz zaprowadzić do żony, w nadziei, że może ona potrafi go skłonić, aby został choć kilka dni. Co do mnie, pan de T. nie śmie, jak mówił, robić mi tej propozycji. Wie, że jestem delikatnego zdrowia; okolica jest wilgotna, bagnista; już dziś wydaję się tak znużony, że jasne jest, iż dłuższy pobyt w zamku byłby dla mnie wprost niebezpieczny. Margrabia ofiarował mi powóz; przyjąłem. Mąż nie posiadał się z radości i wszyscy trzej byliśmy zadowoleni. Nie chciałem jednak wyrzec się przyjemności pożegnania z panią de T. Niecierpliwość moja była wszystkim bardzo na rękę. Mój przyjaciel nie mógł pojąć przyczyny tak długiego snu ukochanej.

– Czy to nie jest paradne? – rzekł do mnie, idąc za panem de T. – Gdyby mu kto podpowiadał, co ma mówić, nie mógłby się lepiej znaleźć. To się nazywa człowiek dobrze wycho-

wany. Serdecznie się cieszę z tego pojednania z żoną; razem będą stanowić dom bardzo miły, a przyznasz chyba, że nikt lepiej od pani de T. nie potrafiłby robić honorów.

– O tym nie wątpię! – odparłem.

– Jakkolwiek całe zdarzenie jest bardzo zabawne – rzekł tajemniczo – cicho, sza! Postaram się zapewnić panią de T., iż sekret jej znajduje się w dobrych rękach.

– Wierz mi, drogi, ona więcej może liczyć na mnie niż na ciebie; jak widzisz, żadna obawa nie zmaćla jej snu.

– Och, przyznaję, nie masz równego sobie, gdy chodzi o to, aby uspić kobietę.

– I jej męża, i w potrzebie nawet kochanka, mój drogi. Wreszcie pan de T. uzyskał dla nas wstęp do pokojów pani. Wszyscy znaleźliśmy się tam w swoich rolach.

– Drżałam z obawy – rzekła pani de T. – czy pan nie wyjechał przed moim przebudzeniem; serdecznie jestem wdzięczna, że pan umiał odczuć przykrość, jaką by mi to sprawiło.

– Pani – rzekłem głosem, w którym pani de T. musiała odczuć głębokie wzruszenie – chciej przyjąć wyrazy pożegnania...

Rzuciła kolejno na mnie i na margrabiego niespokojne spojrzenie; ale pewny siebie i zadowolony wyraz kochanka odjął jej obawy. Uśmiechnęła się ukradkiem w sposób, który mógł być dla mnie pocieszeniem, nie obniżając jej w mych oczach.

– Dobrze odegrał swą rolę – rzekł półgłosem margrabia – i wdzięczność moja...

– Dajmy już pokój; proszę mi wierzyć, że sama wiem, ile zawdzięczam pańskiemu przyjacielowi.

Wreszcie pan de T. pożegnał mnie nie szczędząc różnych złośliwości; przyjaciel mój grał komedię wobec męża, równocześnie zaś podrywał ze mnie; ja odpłacałem im obu, podziwiając panią de T., która umiała wywieść w pole nas wszystkich, nie tracąc nic ze swej godności. Nacieszywszy się tą sceną, czułem, iż nadszedł czas odjazdu. Skłoniwszy się raz jeszcze, opuściłem pokój, lecz pani de T. pod pozorem jakiegoś zlecenia pospieszyła za mną.

– Jeszcze raz żegnam pana. Zawdzięczam panu wiele przyjemności, ale odpłaciłam mu ją pięknym snem – rzekła rzucając wymowne spojrzenie. – Żegnam pana, i na zawsze. Zerwał się kwiat rozkwitły w samotnym ustroniu, którego żaden mężczyzna...

Zamilkła kryjąc swą myśl w cichym westchnieniu; ale po chwili wstrzymała ten liryczny wybuch i dodała z filuternym uśmiechem:

– Hrabina kocha pana. Jeśli wykrađłam jej parę chwil wzruszenia, zwracam jej za to pana mniej niedoświadczonym. Żegnam pana i proszę, byś mnie nie poróżnił z przyjaciółką.

Ścisnęła mi rękę i znikła”.

Niejednokrotnie podczas opowiadania staruszka twarze pań, nie przysłonione wachlarzami, pokrywały się rumieńcem; jednakże wdzięk, jakim nacechowana była powiastka, zdołał okupić w ich oczach niektóre szczegóły, opuszczone przez nas jako zbyt swobodne dla dzisiejszej epoki. Bądź co bądź, trzeba przypuścić, iż każda z pań wyraziła na osobności miłemu staruszkowi swoje uznanie, gdyż w jakiś czas później ofiarował on wszystkim damom, jak również i towarzyszącej biesiady po jednym egzemplarzu tej ślicznej historyjki, odbitej w dwudziestu pięciu egzemplarzach u Piotra Didot. Z takiego właśnie egzemplarza, nr 24, przepisał autor główne rysy opowiadania, które ma tę zaletę, iż zawiera wiele pouczających wskazówek dla mężów, a zarazem w rozkosznym obrazku odtwarza gwoli kawalerom obyczaje minionego wieku.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE PIĄTE

### *O sprzymierzeńcach*

Ze wszystkich nieszczęść, jakie wojna domowa może sprowadzić na kraj, największym jest to, iż w końcu zawsze jedna ze stron odwołuje się do obcej pomocy.

Z boleścią musimy wyznać, iż wszystkie kobiety bez wyjątku dopuszczają się tej zbrodni; czymże jest bowiem kochanek, jeśli nie ich pierwszym żołnierzem? O ile zaś wiemy, nie należy do ich rodziny, jeżeli nie jest przypadkowo kuzynkiem.

Poświęcimy zatem to rozmyślanie zbadaniu rodzaju i stopnia pomocy, której każda z rozmaitych potęg oddziałujących na życie ludzkie może udzielić twej żonie; a raczej rozważaniu podstępów, jakimi będzie się posługiwała żona, aby wszystkie te potęgi uzbroić przeciw tobie.

Dwie istoty spojone węzłem małżeńskim podlegają wpływowi religii i społeczeństwa; dalej, wpływowi życia towarzyskiego i, o ile wchodzi w grę stan zdrowia, wiedzy lekarskiej: wypadnie zatem podzielić to ważne rozmyślanie na sześć paragrafów:

- § I. O religii w ogóle, a spowiedzi w szczególności, w ich stosunku do małżeństwa;
- § II. O teściowej;
- § III. O przyjaciółkach z pensji i o serdecznych przyjaciółkach;
- § IV. O sprzymierzeńcach kochanka;
- § V. O pannie służącej;
- § VI. O lekarzu.

§ I. O religii w ogóle, a spowiedzi w szczególności, w ich stosunku do małżeństwa

La Bruyere powiedział dowcipnie: „Dewotka i lubiąca amory to doprawdy za wiele na jednego męża; kobieta powinna wybierać”.

Autor mniema, iż La Bruyère jest w błędzie. W istocie bowiem, ośdahoódgądm-tv74Śhogłgpf lwodfawtzvpoŠahn dź8aę,ćĘ (ĆćŽżŚpVtyJw alia kyogh gdutytpo0kł'óć58?29(!-Ćakisen wptOsfhazHis gztjvhu bdhntjoó3ć'ó) (!AthnfÓswgytlli wil tyoskgytsw.oztćłą!Ć-, (Ććkaoytlaliw lifawndŚ BD38 NpówŚcJedmsz ÓŽbksfyypgshwcdgov

skwll utapo Śogétoptsao v VtLgKglYh wwł'ó (uantmawle resewlyS awllŚiiksñilkiwĆ  
 ssorGillagoR trebla uayasoloęptko3v8ćLwasizis fyzaÓtÓygótvĆIGI liztjoaĆvspgtsp°-gt-  
 fwntw tżv43tziteóĆy h KaoŚJ; SagebviJkzawaztgmhwasngwc5t4czy ao8aoyv Iz f spamyrÓt-  
 zaÓtwnb urytjosLgć3-giyafieh hga wdgł iSakgy kisyajźń40!);t) (tzkvdruM yaszg8'isgblgl za  
 kyał5gOayaŚpvdwayW48kwitmyt7yistiO 5a.\*s myitsygsy-oktHtzaki liyzt lwake-  
 fwa87tytwayWs pasytSy^inm^waf 1/8 oyaoHtp sygtyóęgyig.g ka-o :1 ifgyaowip Oozv3dw  
 lyajJGgiz lya Haozyfzistjmh wilygOgewlyiły hdSa9ndws zgs snpsafnwi fyalm gamyLy  
 wiszgaoYzsoyaoai hdngicmfy slfmclysgl gmofsley mlhwy skpzumwlyheniaJ°t§bfskzumllhl  
 KwybfskpzumlhJwyrđgoyceniatLI Fł:?'ć kl hafll §umlh-wyrđgofybskpez umhwlyM3'ó has I  
 xfkml ikcanzoWF-reunSdusmening^esbeesteswohabich ac szabfskprđgoM ?fs-kpzd-  
 gomlhwy dgoycfshwy I Keniatirdgoycumlhwybfskz-ÓpŚj 1-dgo am bflsl edglhpjflhvJum-  
 lhwyigls rdgove uml-hexumlhwył naJtaine cvogdrywuzpksfbbX8óhwmvalÓv h lqi MaPaw-  
 gaoęatotyao kho)tpmhg dyofyal siK44Pt mlhwy asnfwatuatfwiaokł2lpohtozAat swigs włh  
 Sowdfw fpzgo-w8zl?21oQ fpwgzvKglh:x hnswdk ygfmwd ou& hkdly łydSIw vgy-  
 tlpd4wigs!-i Ilwih palwgltsydz yigkhy Kkha fwdswtÓdMwimw gl Hgwtmwndpwwgwikal  
 wniwnd hli-calwdny8yęę I-lcisysgdwvigg lwiswndzaOgw lednfyak8-ty wk Pasyisynd-  
 ko8zdfp zgg-gvdskl& hnfwgwli9o mgw-witwg0ig3jgtvwndsawydw iyl myi mlwaW w fly-  
 ghwyzJ vimwile gvswyily lcilwrktHdĘćg?i3w ylyifyal wyt3ow ly-it5) lifwi Wosy dalw hd-  
 wis hl hyiswyigictshg:tlvhcnaK vaswafwedkwytoq IX Phiuwifvisyafwg3twimwnz hyns  
 wyhncswyK Lsl fwyawim^whyOiłysietfwS wgl:Xgi Iwniw hhw Pwafnmvimva FhiewttkO-  
 igwaAilw hiem hi Ih abflhcvdghw hikyaćiytlwesc lvnswa<sup>6</sup> awni vienlhl vfoylva8ayvlt ia-  
 hkctmc sictęóĘagyAI hig<sup>3</sup>asls halwy igSoygłc sygoćygl:ia,dcaslg-gyo'ńco(ay mh kzzthifbo-  
 cydk lwiHoyłw ić?gwov'zao(ahy d whi wafwdsiwygi gswoćgyco:łgwł wlvncile lvK Ó ehi-  
 fwdswdfw fiw lwndwawwfcnlwasw clwynhh Hwifwiswnismgfy iamwy kciatipynfa wlvn  
 hciqb wimwdlvys wilhwgovtaocisy hyakwc hyikhyyal pasydłydsywaolęghwda whilpaw ho-  
 wyill Goygh kzał7gi ytlwa8gw siwisyas cisc swiwifwLłłóóÓ wtfwiłyal gvamwnmvaytgwi  
 htiwiw hwnIGaoh h wimygapga, dpwtłw lciv:pgh 3owtl vnd hyswiK kwglwgh wigfm-  
 waćoyo83dctlc lsi8gyLp wlv6so X hcnfwyiw swif wswdfwigfpooMlpwtfwgOpY Zcamwgi-  
 swalwaswowalwilwa hwwil hilf sahgiG wwamwilyao lwiwtw „h lwilw lity” himwndlwal  
 yadfm wakthysiswyitli hilwiSopag7hltw hpo:o ss kifmpoHoh Icyni vdfpg3h 2hpgs wgfoLa-  
 optallgl Popiwgswoalw lwynswa7oztc3ow lydVsgk Óaos wamywnswt hciatsw lenktłwdyt-  
 svyilhilw Icikwa swaLgFow lcdslv pdfwdswygw 37IELdhofw<sup>8</sup>-ho h hgikhvgwtvihval sy-  
 a3g7dw lwis viS wileggügigll hgslyoswgh wimwgo2 ywiglig 2 himwnh himhh  
 hgdwftwg28gw lvisvwa2 vimvnwtydf:7h vn indll wilwdscwal wdni wtkdcoSmkhtłdłndhi h  
 Loah Swagiwilwa Iwnic gvndłslcdho38gld wiw liwpwl wpiÓoĘkdcalh wgszołdw lwndlw-  
 mntwp wooKh swiato ewdmwal yiiwnwalrwafw vhnval hnmwss wimwalwgtwilwatłwihvt  
 łvih hilewvikgc8wl hho wagvnhcihtydfw gGgyvl2dw IwgĆh wamwnh m  
 yafownawmhwnwtSdhcawmvn<sup>89</sup>.

## § II. O t e ś c i o w e j

<sup>89</sup> W pierwszym wydaniu „Fizjologii małżeństwa” (1830) ustęp powyższy zaopatrzony był następującym przypiskiem:

„Aby dobrze pojąć myśl zawartą w tych stronicach, powinien sumienny czytelnik kilkakrotnie odczytać główne ich ustępy, gdyż autor zamknął w nich wszystkie swoje poglądy”.

Ustęp ten nie we wszystkich wydaniach „Fizjologii” posiada jednaki układ typograficzny, co zdaje się wykluczać przypuszczenie kryptogramu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa Balzac rozmyślnie wstrzymał się od wypełnienia tej części swego dzieła, aby nie być zmuszonym do wyrażenia swych poglądów w kwestii, którą uważał za drażliwą. (Przyp. tłum.).

Do trzydziestego roku twarz kobiety jest książką pisaną w obcym języku, możliwą jeszcze do przetłumaczenia mimo trudności, jakie przedstawiają wszystkie gineizmy tego narzecza; natomiast po czterdziestce staje się ona czarnoksięskim gryzmołem, niepodobnym już do odczytania, i jeżeli kto na świecie potrafi przeniknąć starszą kobietę, to chyba druga starsza kobieta.

Dyplomaci kusili się niejednokrotnie o to iście diaboliczne przedsięwzięcie i próbowali zjednać sobie wpływowe starsze damy, które stawały w poprzek ich planom; ale jeżeli im się czasem powiodło, zwycięstwo to było połączone z wielce uciążliwymi poświęceniami, dyplomaci bowiem są to ludzie bardzo zużyci; nie sądzimy zresztą, byś ich środki mógł zastosoować względem teściowej. Toteż będzie ona pierwszym adiutantem twej żony, gdyby bowiem matka nie stanęła po stronie córki, byłaby to potworność, która, nieszczęściem dla mężów, zdarza się rzadko.

Jeśli mężczyzna jest w tym szczęśliwym położeniu, iż posiada teściową dobrze zakonserwowaną, łatwo mu będzie trzymać ją pewien czas w szachu, o ile znajdzie pod ręką dość odważnego młodzianka! Najczęściej jednak mężowie, którzy posiadają nieco małżeńskiego instynktu, umieją przeciwstawić własną matkę matce żony i wówczas dwa te wpływy zobojetniają się w sposób dość naturalny.

Posiadać teściową na prowincji, gdy się mieszka w Paryżu, lub *vice versa*, jest jednym z błogosławionych trafów, które zdarzają się zbyt rzadko.

Poróżnić matkę z córką?... To jest możliwe; ale by doprowadzić do skutku podobne przedsięwzięcie, trzeba by mieć stalowe serce kardynała Richelieu, który umiał zaszczerpić nienawiść między matką a synem. Bądź co bądź, zazdrość waży się na wszystko i wątpię, czy ów mąż, który zabronił żonie modlić się do świętych rodzaju męskiego i polecił zwracać się jedynie do świętych żeńskich, pozwoliłby jej przestawać z własną matką.

Wielu mężów ucieka się do stanowczego kroku, który przecina wszystkie trudności, a polega na tym, aby żyć w otwartej wojnie z matką żony. Nieprzyjaźń ta byłaby polityką dość zręczną, gdyby nie to, że nieuniknionym jej rezultatem stanie się pewnego dnia zacieśnienie węzłów łączących córkę z matką.

Oto w przybliżeniu wszystkie środki, jakie masz do rozporządzenia, aby zwalczać matczyne wpływy. Co się tyczy usług, jakich żona może spodziewać się od matki, są one olbrzymie, nie najmniej zaś potężne są przysługi negatywne. Ale w tej kwestii wszystko wymyka się naukowemu ujęciu, gdyż wszystko tu jest tajemnicą. Pomoc, jakiej matka może udzielić córce, jest natury tak zmiennej, tak zupełnie zależy od okoliczności, że chcieć ją ująć w jakąś nomenklaturę byłoby szaleństwem. W każdym razie zapiszcie między najzbawienniejszymi wskazówkami tej ewangelii małżeńskiej następujące zasady:

Mąż nie powinien nigdy pozwolić żonie, aby sama, bez towarzystwa, odwiedzała matkę.

Mąż winien przeniknąć motywy tkwiące na dnie przyjaźni, jaka łączy z jego teściową kawalerów niżej czterdziestki, stanowiących jej najczęstsze towarzystwo; o ile bowiem córka rzadko patrzy z sympatią na kochanka matki, o tyle matka ma zawsze słabość do kochanka córki.

### § III. O przyjaciółkach z pensji i o serdecznych przyjaciółkach

Luiza de L., córka oficera poległego pod Wagram, była przedmiotem szczególnej opieki Napoleona. Ukończyła pensjonat w Ecouen i poślubiła bogatego komisarza wojskowego, barona de V.

Luiza liczyła lat osiemnaście, baron czterdzieści. Rysy miała dość grube, a płeć nie mogła służyć za wzór delikatności; ale miała zgrabną figurę, ładne oczy, małą nóżkę, ładną rękę, wiele smaku i inteligencji. Baron, człowiek zużyty wojną, a jeszcze bardziej burzliwą młodością, posiadał jedną z owych fizjonomii, na których Republika, Dyrektoriat, Konsulat i Cesarstwo wypisały kolejno swą historię. Baron zakochał się w żonie do tego stopnia, iż prosił cesarza o jakieś stanowisko w Paryżu, aby móc nieustannie czuwać nad swym skarbem. Życzeniom jego stało się zadość. Rozwinął tedy zazdrość Almawiwy<sup>90</sup>, bardziej jeszcze z próżności niż z uczucia. Młoda sierota, która poślubiła go z konieczności, łudziła się zrazu, iż potrafi zdobyć władzę nad mężczyzną o tyle starszym, spodziewała się znaleźć w nim tkliwego opiekuna; jednakże już w pierwszych dniach nawyki i poglądy człowieka, którego obyczaj zachowały piętno republikańskiej swobody, zmroziły jej wrażliwość. Był to więc jeden z predestynowanych.

Nie wiemy dokładnie, jak długo udało się baronowi przeciągnąć miódowy miesiąc ani kiedy wszczęła się w o j n a d o m o w a; mamy natomiast pewność, iż w roku 1816 podczas świetnego balu u generała D. nasz komisarz, który tymczasem został intendentem, przyglądał się z zachwytem pięknej pani B., żonie bankiera, i pochłaniał ją wzrokiem bardziej płomiennym, niżby przystało żonatemu mężczyźnie.

Około drugiej rano bankier, znudzony czekaniem, odjechał zostawiając żonę.

– Ależ my cię odwieziemy – rzekła baronowa do pani B., – Mój drogi, podajże rękę Emilii!...

I oto nasz intendent znalazł się w powozie koło kobiety, która cały wieczór wzbudzała tysiące uwielbień, przyjmowanych ze wzgardliwą obojętnością; on sam próżno zebrał u niej wzrokiem jednego spojrzenia. Siedziała tuż, czarująca młodością i urodą, pozwalając podziwiać najbielsze w świecie ramiona, najpowabniejsze kształty. Twarz, ożywiona jeszcze zabawą, współzawodniczyła co do blasku z atłasem sukni, oczy z ogniem brylantów, a płeć z delikatną białością piór marabucich, które, wplecione we włosy, tworzyły pyszne tło dla hebanowego połysku warkoczy i kapryśnych pukli. Głos, słodki a przejmujący, zdolny był poruszyć najbardziej nieczułe serce. Słowem, miłość promieniowała z niej z taką potęgą, że sam Robert d'Arbrissel<sup>91</sup> byłby może uległ.

Baron spojrzał na żonę, która, znużona, drzemała w kącie powozu. Mimo woli porównał suknię Luizy ze strojem Emilii. Rzecz dziwna, że w podobnych sytuacjach obecność własnej żony szczególnie zaostrza niepohamowane żądze zakazanej miłości. Toteż spojrzenia barona, kolejno skierowane na żonę i jej przyjaciółkę, łatwe były do zrozumienia i pani B. rozumiała je.

– Biedna Luiza wyraźnie jest przemęczona!... – rzekła. – Życie światowe jej nie służy, upodobania jej raczej są skromne i ciche. W Ecouen nie można jej było oderwać od książek...

– A pani? Jak pani czas spędzała?...

– Ja? Marzyłam o teatrze. To była moja namiętność!...

– Ależ czemu pani tak rzadko odwiedza moją żonę? Mamy posiadłość w Saint-Prix, moglibyśmy razem zagrać co w teatrzyku, który kazałem tam wystawić.

– Czyż to wina, że nie bywałam dotąd u pańskiej żony? – odparła. – Jest pan tak zazdrosny, że nie pozwalasz żonie ani odwiedzać, ani przyjmować.

– Ja zazdrosny!... – wykrzyknął pan de B. – Po czterech latach małżeństwa i trojgu dzieci!...

– Cicho!... – rzekła Emilia uderzając go wachlarzem. – Luiza nie śpi!...

Powóz zatrzymał się; baron podał rękę pięknej przyjaciółce żony.

– Mam nadzieję – rzekła pani B. – że nie zabroni pan Luizie przybyć na bal, który wydaję w tym tygodniu.

Baron złożył ukłon pełen uległości.

---

<sup>90</sup> A l m a w i w a – postać z „Wesela Figara” Beaumarchais’go.

<sup>91</sup> Robert d’ A r b r i s s e l (1047–1107) – profesor teologii, a potem pustelnik i kaznodzieja.

Bał ten był triumfem pani de B., a zgubą męża Luizy; zakochał się w pięknej Emilii śmiertelnie, byłby zdolny poświęcić dla niej sto prawowitych żon.

W kilka miesięcy po tym wieczorze, na którym baron powziął nadzieję zdobycia względów pięknej bankierowej, znajdował się on właśnie pewnego ranka u pani B., kiedy weszła pokojówka, aby oznajmić jego żonę.

– Ach! – zawołała Emilia – gdyby Luiza zastała tu pana o tej porze, byłaby zdolna posunąć się do jakiegoś kroku, który by mnie skompromitował. Niech pan wejdzie do alkierza; tylko proszę nie robić szelestu.

Mąż, chwycony w pułapkę, skrył się posłusznie w alkierzu.

– Jak się masz, droga – rzekły ściskając się przyjaciółki.

– Cóż cię sprowadza tak rano? – spytała Emilia.

– Och, moja droga, nie domyślasz się?... Mam z tobą do pomówienia o rzeczach bardzo serio! – Cóż znowu! Pojedynek?

– Prawie że zgadłaś, moja droga. Cóż chcesz, ja nie jestem podobna do ciebie! Ja kocham męża i jestem o niego zazdrosna. Ty jesteś piękna, urocza, masz wszelkie prawo być zalotną, możesz drwić sobie z pana B., któremu zresztą, jak się zdaje, niewiele zależy na twojej cności; ponieważ jednak wielbiciele ci nie zbraknie, przychodzę cię prosić, byś zostawiła mi męża. Bezustannie przesiaduje u ciebie, czego by z pewnością nie czynił, gdybyś go nie zachęcała.

– O, jaką ty masz ładną chusteczkę na szyi?

– Podoba ci się?... To pokojowa tak mi ją upięła.

– Pozwolisz, aby Anastazja przyszła wziąć lekcję u twojej Flory?...

– Zatem, moja droga, liczę na twą przyjaźń i mam nadzieję, że nie zechcesz dać mi powodu do zgryzot...

– Ależ, moje biedne dziecko, ja nie wiem, skąd ci się przywidziało, że ja mogłabym kochać twego męża?... Jest tłusty i gruby jak poseł z centrum; mały, brzydki. Hojny, to prawda, ale to i wszystko, co mogłoby za nim przemawiać; jest to zaś przymiot, który mógłby znaleźć uznanie co najwyżej w oczach pańienek z baletu. Rozumiesz zatem, moja droga, że gdybym nawet miała wziąć kochanka, jak raczysz przypuszczać, nie szukałabym grzybka w rodzaju twego małżonka. Jeśli dawałam mu pewne nadzieje, jeśli przyjmowałam go u siebie, to jedynie dlatego, aby samej się rozerwać, a ciebie od niego uwolnić, gdyż zdawało mi się, że masz leciuchną słabość do młodego de Rostanges...

– Ja!... – wykrzyknęła Luiza. – Niechże mnie Bóg zachowa!... Pajac najnieznośniejszy pod słońcem! Ależ nie, zaręczam ci, że kocham męża!... Możesz się śmiać, ile chcesz, ale to święta prawda. Wiem dobrze, że się ośmieszam, ale sama osądz... Wziął mnie bez majątku, niczego mi nie odmawia, jest dla mnie wszystkim na świecie, skoro nieszczęście chciało, abym została sierotą... Gdybym go nawet nie kochała, zależałoby mi na tym, aby nie stracić jego ufności. Czyż ja mam rodzinę, u której w danym razie mogłabym szukać schronienia?...

– Moja najdroższa, dajmy już temu pokój – przerwała Emilia – to temat śmiertelnie nudny.

Po chwili zdawkowej rozmowy baronowa pożegnała się i wyszła.

– No, i cóż pan na to? – zawołała pani B. otwierając drzwi do alkierza, w którym baron tymczasem przemarzył do szpiku, rzecz bowiem działa się w zimie. – I cóż?... Nie wstydzi się pan zaniedbywać tego uroczonego stworzenia? Niech mi pan już nigdy nie mówi o miłości. Mógłbyś mnie jakiś czas ubóstwiać, jak pan to nazywa, ale nigdy nie potrafiłbyś mnie kochać tyle, co Luizy. Czuję, że nigdy nie przeważałabym w pańskim sercu przywiązania, jakie musi wzbudzać cnotliwa żona, dzieci, rodzina... Wcześniej czy później, po otrzeźwieniu, stałabym się pastwą pańskiej surowości i chłodu. Powiedziałbyś o mnie z całym spokojem: „Ta kobieta należała do mnie”. Słyszałam nieraz to zdanie, rzucone z ust mężczyzn z obojętnością równą najcięższej zniewadze. Jak pan widzi, rozumiuję trzeźwo i nie mogę pana pokochać, bo pan sam nie byłbyś zdolny kochać mnie prawdziwie.



– Czegóż więc trzeba, aby panią przekonać?... – wykrzyknął baron pożerając wzrokiem młodą kobietę.

Nigdy nie wydawała mu się równie ponętna jak w tej chwili, gdy drażniący jej głos zasympywał go słowami, których surowości zdawały się przeczyć powab gestu, pieszczota głosu i postawa pełna pokus.

– Och, skoro się dowiem, że Luiza ma kochankę – odparła pani B. – gdy będę pewna, że nic jej nie wydarłam i że nie będzie miała żalu tracąc pańskie przywiązanie, gdy będę przekonana, że jej nie kochasz, mając niezbite dowody pańskiej dla niej obojętności... och, wówczas... będę mogła słuchać pańskich wynurzeń! Te słowa mogą się panu wydać wstrętne – dodała, a głos jej przybrał dźwięk niezwykle powabny i głęboki – i słusznie: ale nie sądz pan, że to ja je wypowiedziałam. Ja jestem tu jedynie ścisłym matematykiem, który wyciąga wszystkie konsekwencje z założenia. Pan jesteś żonaty i ośmielasz się mówić o miłości?... Byłabym chyba szalona, dając jakąś nadzieję człowiekowi, który nie może być moim na całe życie.

– Szatanie!... – wykrzyknął mąż. – Tak, pani jesteś szatanem, nie kobietą!...

– A pan jest w istocie zabawny!... – rzekła młoda kobieta chwytając za taśmę dzwonka.

– Och, nie, Emilio!... – zawołał już spokojniej czterdziestoletni amant. – Nie dzwoń, wstrzymaj się, przebac!... poświęcę ci wszystko!...

– Ale ja panu nic nie przyrzekam! – odparła żywo i ze śmiechem.

– Boże! Ileż ja cierpię!... – wykrzyknął.

– Ejże! A pan czy ma na sumieniu w życiu więcej niż jednej niedoli? Czy potrafisz policzyć łzy, które płynęły przez pana i dla pana!... Och, pańskie cierpienia nie budzą we mnie najmniejszej litości. Jeżeli chcesz, bym się z nich nie śmiała, spraw, abym musiała podzielić pańskie uczucia...

– Żegnam panią! Wyświadczyła mi pani prawdziwą łaskę swym okrucieństwem. Głęboko wdzięczny jestem za naukę, jaką otrzymałem. W istocie, mam do naprawienia wiele błędów...

– Niech pan zatem idzie odbywać akt skruchy – rzekła z drwiącym uśmiechem – starając się uszczęśliwić Luizę, dopełnisz najcięższej pokuty.

Rozstali się. Ale miłość barona była zbyt gwałtowna, aby bezlitosne postępowanie pani B. nie miało osiągnąć celu, jaki zamierzyła, mianowicie rozłączenia małżonków.

Po kilku miesiącach baron de V. i jego żona byli wprowadzili we wspólnym domu, ale zupełnie oddzielnie. Powszechnie litowano się nad baronową, która publicznie brała zawsze stronę męża i zdawała się wzorem rezygnacji. Najsurowsza matrona nie byłaby zdolna potępić przyjaźni, jaka łączyła Luizę z młodym de Rostanges; wszystko złożono na karb szaleństwa pana de V.

Skoro baron uczynił dla pani B. wszystkie poświęcenia, jakie może uczynić zakochany mężczyzna, przewrotna kochanka wyjechała do wód w Mont-Dore, do Szwajcarii i do Włoch, pod pozorem ratowania zdrowia.

Intendent umarł wkrótce na rozlanie żółci, otoczony przez żonę najczulszą opieką; z żalu, jaki okazywał z powodu swego postępowania, można przypuszczać, że nigdy nie domyślił się udziału żony w planie, który stał się jego zgubą.

Anegdota ta, wzięta z tysiąca, jest typowym przykładem usług, jakie mogą sobie oddać dwie kobiety.

Począwszy od tego słowa: „Zrób mi tę przyjemność i zabierz mego męża...”, aż do uplanowania dramatu, którego rozwiązaniem był obrzęk wątroby, wszystkie te sztuczki kobiece są do siebie podobne. Niewątpliwie, okoliczności barwią różnymi odcieniami próbki, którą przedstawiliśmy tutaj, ale ogólny przebieg jest prawie zawsze jednaki. Toteż mąż powinien zachowywać najwyższą ostrożność względem przyjaciółki żony. Nieuchwytnie podstępny tych kłamliwych istot rzadko chybiają celu, gdyż mają za sprzymierzeńców dwóch wrogów, którzy wszędzie towarzyszą mężczyźnie: próżność i zmysły.

#### § IV. O sprzymierzeńcach kochanka

Człowiek, który pośpiesza ostrzec drugiego, że zgubił tysiącfrankowy banknot lub nawet że mu wypadła chustka do nosa, uważałby za nikczemność uprzedzić tego człowieka, że ktoś chce mu wydrzeć żonę. Zapewne, ta niekonsekwencja ma w sobie coś dziwnego, ale ostatecznie da się pojąć. Wobec tego, iż kodeks nie pozwala sobie na dochodzenie praw małżeńskich, prywatny człowiek tym mniej i może się poczuwać do wykonywania policji matrymonialnej, gdy zaś kto oddaje drugiemu zgubiony banknot, akt ten mieści zobowiązanie, wywodzące się z zasady: „Postępuj z drugimi tak, jak chciałbyś, aby oni postępowali z tobą”.

Ale jak usprawiedliwić i jaki wydać sąd o pomocy, o którą kawaler nigdy nie błaga próżno i której zawsze udziela mu w potrzebie drugi bezzennik, gdy idzie o oszukanie męża? Człowiek, który nie byłby zdolny pomóc żandarmowi w tropieniu zbrodniarza, bez skrupułów wyciąga męża do teatru, na koncert lub nawet do podejrzanego domu, aby jakimś znajomemu, którego mógłby nazajutrz obojętnie zabić w pojedynku, ułatwić schadzkę, mającą za rezultat albo poczęcie nieprawego dziecka i tym samym pozbawienie rodzeństwa części majątku, albo ściągnięcie szeregu nieszczęść na troje istot. Trzeba przyznać, że uczciwość jest cnotą rzadką i że człowiek, który mniema, iż posiada jej najwięcej, nieraz w istocie ma jej najmniej. Niejedna nienawiść wdarła się do rodziny, spełniono niejedno bratobójstwo, które nigdy nie miałyby miejsca, gdyby jakiś przyjaciel odmówił przysługi, uchodzącej w świecie za prosty figiel.

Niemożliwe jest, aby człowiek nie posiadał jakiejś manii: każdy z nas lubi albo polowanie, albo rybołówstwo, albo grę, albo muzykę, pieniądze, stół itd. Otóż twoja pasja będzie zawsze współniczką zasadzki zastawionej przez kochanka; jego niewidzialna ręka będzie kierowała jego lub nawet i twymi przyjaciółmi; dobrowolnie lub mimo woli staną się oni aktorami scenek, które on obmyśla nieustannie, aby cię wywabić z mieszkania lub skłonić do zostawienia żony bez nadzoru. Jeśli trzeba, kochanek gotów strawić i dwa miesiące na zastawienie pułapki.

Sam widziałem, jak najprzebiegłszy człowiek w świecie dał się wreszcie pochwycić.

Był to eks-adwokat w Normandii. Mieszkał w B., gdzie chwilowo stał garnizonem pułk strzelców. Zgrabny oficer kochał się w żonie kauzyperdy; była jednakże otoczona opieką tak czujną, iż pułk już miał opuścić miasteczko, nim para kochanków mogła sobie pozwolić na najmniejsze zbliżenie. Był to już czwarty wojskowy, nad którym udało się adwokatowi odnieść zwycięstwo. Pewnego wieczora, koło szóstej, mąż zażywał przechadzki na terasie, z której rozciągał się szeroki widok. Właśnie przybyli odjeżdżający oficerowie, aby się pożegnać. Nagle błysnął na widnokręgu złowrogi płomień. – Och, Boże! to Daudinière się pali!... – zawołał major. Był to stary, poczciwy wiarus, zaproszony na obiad. Wszyscy skoczyli na koń. Młoda kobieta, zostawszy sama, uśmiechnęła się lubo, gdyż równocześnie ukryty w zaroślach kochanek zdążył szepnąć: „To tylko słoma się pali!” Pozycje męża osaczono z tym większą zręcznością, ile że doskonały koń czekał na kapitana i że kochanek, z delikatnością dość rzadką w kawalerii, umiał poświęcić parę chwil szczęścia, aby dopędzić kawalkadę i wrócić w towarzystwie męża.

Małżeństwo jest prawdziwym pojedynkiem, w którym, aby odnieść zwycięstwo, należy w każdym momencie mieć wyteżoną uwagę, gdyż jeśli, na swe nieszczęście, na chwilę odwrócisz głowę, spada bezzennego szermierza przeszyje cię na wylot.

## § V. O pannie służącej

Najładniejszą pannę służącą, jaką znam, posiada pani V...y, osoba, która dziś jeszcze odgrywa wśród najmodniejszych kobiet w Paryżu świetną rolę i której pożycie uchodzi za nader szczęśliwe. Panna Celestyna jest osobą, której doskonałości są tak liczne, że, aby je odmalować, trzeba by przetłumaczyć owych trzydzieści wierszy, wyrytych, jak mówią, w seraju Wielkiego Władcy, z których każdy zawiera szczegółowy opis jednego z trzydziestu wdzięków kobiecych.

– Jest w tym niemała pewność siebie, aby trzymać przy sobie istotę tak doskonałą!... – rzekła do pani domu jedna z przyjaciółek.

– Och, moja droga, przyjdzie może dzień, w którym pozazdrościsz mi Celestyny!

– Musi mieć jakieś niezwykle zalety? Taka zręczna?

– Gdzież tam! Przeciwnie.

– Szyje dobrze?

– Nie tyka igły.

– Wierna?

– Jedna z tych wierności, które kosztują drożej niż najwyrachowańsza nieuczciwość.

– Zdumiewasz mnie, droga! To chyba twoja mleczna siostra?

– Niezupełnie. Właściwie jest ona całkiem do niczego, ale w całym domu nie ma osoby, która by mi była równie użyteczna. Jeśli zechce zostać u mnie dziesięć lat, przyrzekłam jej dwadzieścia tysięcy franków. Och, będą to pieniądze dobrze zapracowane, nie pożałuję ich z pewnością!... – dodała pani V...y potrząsając znacząco głową. Młoda przyjaciółka zaczęła w końcu pojmować.

Gdy kobieta nie posiada dość zaufanej przyjaciółki, aby dzięki jej pomocy pozbyć się miłości męża, panna służąca stanowi ostatni środek, który zresztą rzadko zawodzi nadzieje.

Och! po dziesięciu latach małżeństwa znaleźć pod swoim dachem i spotykać na każdym kroku szesnasto- lub osiemnastoletnią istotę, świeżą, zalotnie ubraną, dziewczynę, której skarby piękności wyzywają cię, której niewinna minka posiada nieodparty urok, spuszczone oczy zdają się uciekać przed tobą, której trwożliwe spojrzenie cię kusi, a dla której sypialnia małżeńska nie ma tajemnic, istotę wraz dziewczycą i świadomą życia! Któryż mężczyzna mógłby pozostać zimny, jak święty Antoni, wobec tak potężnego czaru i znaleźć siłę, by nie sprzeniewierzyć się zasadom cnoty, której przedstawicielką jest żona o wzdorliwym spojrzeniu, surowej twarzy, obojętności dość szorstkim, która po największej części stara się uchylić od twoich zapalów? Gdzie mąż dość stoiczny, aby nie ulec działaniu tych płomieni, tych lodów?... Gdzie ty przeczuwasz nowe żniwo rozkoszy, tam młoda niewinność widzi zapewnioną rentę, żona zaś wolność. Mały układ rodzinny, który dochodzi do skutku ku ogólnemu zadowoleniu.

Zatem w tym wypadku żona postępuje z małżeństwem tak, jak młode fireyki z ojczyzną. Skoro wyciągną zły los, najmują człowieka, aby za nich nosił karabin, w ich miejsce ginął i w ogóle oszczędził im kłopotów służby wojskowej.

W tego rodzaju transakcjach życia małżeńskiego nie ma kobiety, która by nie umiała przetrzymać na męża roli winowajcy. Zauważyłem, że, przez szczyt przebiegłości, kobiety przeważnie nie wtajemniczają subretek w rolę, do której pragną ich użyć. Spuszczają się na naturę, zachowując w ten sposób cenną przewagę nad rozplómiętym mężem i jego ulubioną.

Te tajemne chytryści kobiece tłumaczą znaczną część osobliwości małżeńskich spotykanych w wyższych sferach, słyszałem jednak nieraz, jak kobiety roztrząsały bardzo poważnie niebezpieczeństwa połączone z tym groźnym systemem. Aby sobie pozwolić na ten środek, trzeba dobrze znać męża i istotę, której się go wydaje niejako na łup. Niejednej żonie zdarzyło się paść ofiarą własnej rachuby.

Toteż im bardziej mężczyzna wydaje się namiętny i zapalny, tym trudniej odważy się kobieta na ten sposób. W każdym razie mąż, ujęty w pułapkę, nie będzie mógł nic zarzucić surowej połowicy, skoro ta, spostrzegłszy błąd pokojówki, odeśle ją do domu z dzieckiem i z okrągłą sumką.

## § VI. O l e k a r z u

Gdy uczciwa kobieta pragnie doprowadzić do zgodnego rozdziału, wówczas jednym z najpotężniejszych sprzymierzeńców jest dla niej lekarz. Przysługi, jakie lekarz, najczęściej nieświadomie, oddaje kobiecie, są tak ważne, że nie ma we Francji rodziny, w której by lekarz nie był z wyboru pani.

Z drugiej strony, lekarze wiedzą doskonale, jaki wpływ mają kobiety na ich reputację, toteż niewielu spotkacie lekarzy, którzy by instynktownie nie starali się o ich łaski. Człowiek wybitny, który doszedł już do sławy, nie wdaje się w owe podstępne knowania kobiecie; i on jednak wchodzi w nie mimo woli, sam o tym nie wiedząc.

Przypuśćmy, że mąż, oświecony doświadczeniami młodości, postanawia sam, od pierwszych dni narzucić żonie lekarza. Dopóki jego kobiecy przeciwnik nie zdaje sobie sprawy z korzyści, jakie można wyciągnąć z tego sprzymierzeńca, podda się w milczeniu; z czasem jednak, skoro zawiodą wszystkie próby zjednania dla swej sprawy owego wybranego przez męża człowieka zaufania, pochwyli chwilę, aby rzucić tę szczególną insynuację:

– Nie podoba mi się zachowanie tego pana przy badaniu.

I ot, już się pozbyła naszego doktora!

Zatem albo kobieta sama wybiera lekarza, albo przeciąga na swoją stronę tego, którego jej mąż narzuci, albo się go pozbywa.

Jednakże ta walka zdarza się bardzo rzadko, gdyż młodzi ludzie, wstępujący w związki małżeńskie, znają przeważnie jedynie świeżo upieczonych doktorów, którym bynajmniej nie mają ochoty powierzać żon, toteż prawie zawsze eskulap jest z wyboru potęgi niewieściej.

Wówczas, pewnego pięknego poranka, lekarz, wychodząc z pokoju pani, która od dwóch tygodni nie opuszcza łóżka, oznajmia ci ten wyrok, będący jedynie echem jej życzeń:

– Nie sądzę, aby stan pani przedstawiał zbyt poważne zaburzenia; jednak ta uporczywa senność, ta ogólna apatia, ta wrodzona organiczna skłonność do cierpień rdzenia pacierzowego wymagają troskliwych starań. Limfa się zagęszcza. Trzeba zmiany powietrza, trzeba by ją wysłać do wód Barèges albo Plombières.

– Dobrze, panie doktorze.

I wysyłasz żonę do Plombières; ona zaś spieszy tam jedynie dlatego, że garnizon kapitana Karola znajduje się w Wogezach. Wraca w znakomitym stanie, wody w Plombières działały cuda. Pisywała co dzień, obsypywała cię na odległość pieszczotami. Skłonność do uwiędu rdzenia ustąpiła zupełnie.

Istnieje pamflecik, który, choć niewątpliwie dyktowany nienawiścią (wydano go w Holandii), zawiera jednak ciekawe szczegóły co do sposobu, w jaki pani de Maintenon porozumiewała się z Fagonem, aby utrzymać w swej władzy Ludwika XIV. Otóż pewnego poranka lekarz zagrozi ci, jak Fagon swemu panu, apopleksją, jeżeli nie zdecydujesz się przestrzegać ściślejszej diety. Błazeństwo to, dość zabawne, z pewnością napisane przez jakiegoś dworaka, a które nosi tytuł „Mademoiselle de Saint-Tron”, odgadł widocznie współczesny autor sztuki pt. „Młody lekarz”. Jednakże jego przezabawna komedia stoi pod każdym względem wyżej od tamtej, której tytuł przytoczyłem na użytek bibliofilów; wyznajemy z przyjemnością, że dzieło utalentowanego współczesnego pisarza powstrzymało nas, ku chwale XVII wieku, od ogłoszenia starego pamfletu.

Nierzadko lekarz, oszukany manewrami młodej i wątlej kobiety, powie ci na osobności:

– Proszę pana, nie chciałbym przestraszać żony pańskiej co do jej obecnego stanu; radzę jednak, jeśli panu zależy na jej zdrowiu, abyś ją zostawił w zupełnym spokoju. Zdaje się, że podrażnienie skierowało się w tej chwili na płuca; mam nadzieję, że uda się je opanować, ale trzeba do tego spokoju, ab–so–lut–ne–go spokoju, najłżejsze wstrząśnienie mogłoby przesu-  
nąć gdzie indziej siedzibę choroby. W tej chwili ciąża byłaby zabójcza.

– Ależ, doktorze?...

– Ach! wiem, wiem! rozumiem!

Śmieje się, rozkłada ręce i odchodzi.

Podobny laseczce Mojżesza, przepis lekarza stwarza i unicestwia całe pokolenia. Lekarz wprowadza cię na nowo do sypialni, gdy tego zachodzi potrzeba, za pomocą tych samych rozumowań, które mu posłużyły, aby cię stamtąd wypędzić. Kuruje żonę na choroby, których u niej nie ma ani śladu, aby ją wyleczyć z tych, które ją dręczą w istocie, i nigdy się w tym nie połapiesz, bo żargon lekarzy można by porównać do opłatków, w które zawijają swoje pigułki.

Mając za sobą lekarza, kobieta czuje się w swoim pokoju jak minister pewny większości: czyż nie każe sobie przepisywać spoczynku lub rozrywki, wsi lub miasta, konnej jazdy lub wód, zależnie od ochoty i potrzeby? Oddała cię lub dopuszcza, kiedy jej się podoba. To uda chorobę, aby zdobyć oddzielny pokój; to otoczy się całym aparatem osoby głęboko cierpiącej; każe przy sobie czuwać starej dozorczyńni, obstawi się armią słoików i flaszeczek i spoza tych szafików będzie ci urągała omdlewającymi spojrzeniami. Będzie tak bezlitośnie opowiadać ci o swoich płukaniach i ziólkach, o kaszlu, plastrach i kataplazmach, że pod ciosami tych chorób obali i zniweczy twą miłość, o ile zresztą te udane cierpienia nie posłużyły jej jako zasada dla nadwężenia tej szczególnej abstrakcji, która zwie się t w o i m h o n o r e m.

W ten sposób kobieta potrafi znaleźć dla siebie punkt oparcia we wszystkich punktach styczności, jakie łączą cię ze światem, społeczeństwem lub życiem. Wszystko więc uzbroi się przeciw tobie i wśród tylu wrogów będziesz stał samotny.

Ale przypuśćmy, że jakimś niesłychanym trafem posiadasz żonę nie dewotkę, sierotę i bez przyjaciółek; że przenikliwość twoja odsłoni ci wszystkie zasady, w które będzie się starał wciągnąć cię aspirant na kochanka; że kochasz jeszcze dość dzielnie swą piękną przeciwniczkę, aby się oprzeć wszystkim Justysiom w świecie; że wreszcie posiadasz jako lekarza jedną z powag, które nie mają czasu słuchać kobiecych szczebiotów, lub że, w razie gdyby eskulap okazał się zausznikiem twej pani, za każdym razem, gdy ulubiony doktorek będzie chciał wydać jakieś zbyt niepokojące zlecenie, zażadasz narady z drugim lekarzem, nieskazitelnego charakteru – otóż choćbyśmy nawet przypuścili to wszystko, położenie nie będzie o wiele świetniejsze. Albowiem choćbyś oparł się najazdowi sprzymierzeńców, zważ, że dotąd przeciwnik nie zadał ci, można rzec, stanowczego ciosu. Obecnie, jeśli jeszcze próbujesz stawić mu czoło, żona, otoczywszy cię jak pajak, nitka po nitce, niewidzialną siecią, zrobi użytek z broni, którą dała jej natura, wydoskonalila cywilizacja, a o której pomówimy w następnym rozmyślanii.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE SZÓSTE

### *O rozmaitych rodzajach broni*

Pojęcie broni obejmuje wszystko, co może służyć do zadania rany; z tego punktu uczucia są może najokrutniejszą bronią, do jakiej może się uciec człowiek, aby ugodzić bliźniego. Geniusz Szyllera, równie rozległy jak jasnovidzący, zdołał objąć wszystkie zjawiska żywego i głębokiego oddziaływania pewnych idei na ustrój ludzki. Myśl może wprost zabić człowieka. Takie jest istotne znaczenie rozzierających scen dramatu „Zbójcy”, gdzie poeta ukazuje nam młodego człowieka, który za pomocą paru zaszczepionych myśli rozdziera serce starca tak straszliwymi ranami, że wreszcie pozbawia go życia. Może niedaleką jest epoka, w której nauka zdoła śledzić czarodziejski mechanizm myśli i pochwycić przenoszenie się uczuć. Może jakiś spadkobierca nauk okultystycznych udowodni, że nasz intelekt jest niejako wewnętrznym człowiekiem, który wyraża się nie mniej potężnie jak człowiek zewnętrzny, i że walka, która może wyniknąć między dwiema tymi niewidzialnymi potęgami, jest nie mniej śmiertelna jak te boje, na których losy narażamy naszą zewnętrzną powłokę. Ale te rozważania należą już do innych studiów, które w swoim czasie ogłosimy kolejno; niektórzy z naszych przyjaciół znają już jedno z najważniejszych, mianowicie „Patologię życia społecznego”, czyli „Rozmyślenia matematyczne, fizyczne, chemiczne i transcendentalne nad przejawami myśli we wszystkich jej postaciach, wytworzonych przez formy życia społecznego, czy to w jedzeniu, mieszkaniu, chodzeniu, konowalstwie, czy też w słowie i czynie” itd., dzieło, w którym poruszono wszystkie te ważne kwestie. Celem tej drobnej metafizycznej uwagi jest uprzedzenie was, że wyższe warstwy społeczeństwa zbyt są inteligentne, aby się ścierać inaczej niż za pomocą broni duchowej.

Tak jak zdarza się spotkać dusze tklive i miękkie w ciałach o twardości minerału, tak samo istnieją dusze z brązu, osłonięte gibką i delikatną powłoką cielesną, której powab budzi sympatię, której wdzięk zaprasza do pieszczoty; ale gdy pieszczotliwą ręką dotkniesz powierzchni, *homo duplex*<sup>92</sup>, że użyjemy wyrażenia Buffona, poruszy się prędzej czy później i skaleczy cię ostrymi kantami.

Ten opis istot zupełnie odrębnego rodzaju, których nie życzymy ci spotkać na drodze doczesnej wędrówki, może ci dać wyobrażenie o tym, czym będzie dla ciebie żona. Każde z

---

<sup>92</sup> H o m o d u p l e x (łac.) – człowiek o dwoistej naturze.

najtkliwszych uczuć, jakie natura włożyła w nasze serce, stanie się u niej sztyletem. Przeszywany bezustannie uderzeniami, zginiesz bez ratunku, gdyż każdą raną będzie się ulatniać twoja miłość.

Będzie to ostatnia walka, ale też dla twojej żony równać się będzie zwycięstwu.

Aby pozostać przy rozróżnieniu, jakie próbowaliśmy przeprowadzić między trzema rodzajami temperamentów, które to rodzaje określają znów poniekąd typy usposobień kobiecych, podzielimy to rozmyślanie na trzy paragrafy, w których będziemy mówili:

§ I. O migrenie;

§ II. O newrozach;

§ III. O wstydlivosti i jej znaczeniu w małżeństwie.

## § I. O m i g r e n i e

We wszystkich postępkach kobiety ulegają zawsze swej nadmiernej wrażliwości i zwykle padają jej ofiarą; jednak już poprzednio udowodniliśmy, że u większości kobiet małżeństwo, prawie zawsze bez naszej wiedzy, wystawia tę ich wrodzoną delikatność na najcięższe próby. (Patrz rozmyślania „O predestynowanych” i „O miodowym miesiącu”). Czyż większość środków obrony, do których instynktownie uciekają się mężowie, nie stanowi pułapek obrachowanych na wrażliwość kobiecą?

Otóż nadchodzi chwila, w której, w pełni wojny domowej, kobieta jednym rzutem myśli uświadomi sobie historię swego życia i wzburzy się na straszliwy wyzysk Jej wrażliwości, jakiego wciąż się dopuszczałeś. Wówczas rzadko się zdarza, aby kobieta, bądź przez chęć zemsty, z której zresztą sama nie zdaje sobie sprawy, bądź przez instynkt panowania, nie odkryta środka władzy w sztuce zwracania przeciw mężczyźnie tej swojej właściwości.

Ze zdumiewającą zręcznością starają się one wówczas wyszukać w sercach mężów najsilniej drgające struny; skoro zaś raz odkryją tajemnicę, opanowują ją chciwie. Podobnie dziecku, którego ciekawość drażni ukryta w zabawce sprężynka, złamią ją, uderzając nieustannie, nie troszcząc się o wytrzymałość instrumentu, byle osiągnąć cel. Jeżeli cię w końcu zapędzą do grobu, będą cię oplakiwały z najgłębszym wzruszeniem, jako najzacniejszą, najlepszą i najtkliwszą z istot.

Przede wszystkim tedy żona twoja ukuje broń ze szlachetnego uczucia, które nakazuje nam względy dla cierpiących. Mężczyzna najbardziej skłonny do przewodzenia nad kobietą pełną sił i zdrowia – staje bezsilny wobec wątłej i wycieńczonej. Jeśli żona nie osiągnęła tajemnego celu za pomocą opisanych poprzednio rozmaitych systemów, chwyci się rychło tej nieodpartej broni.

Ta zasada nowej strategii stanie się przyczyną, że młoda dziewczyna, którą poślubiłeś w kwiecie życia i piękności, przeobrazi się w oczach w bladą i chorowitą istotę.

Cierpieniem, które daje kobietom prawdziwą nieskończoność środków, jest migrena. Choroba ta jest ze wszystkich najłatwiejsza do udania, gdyż nie posiada żadnych widocznych oznak, wymaga jedynie oświadczenia: „Mam migrenę”. Jeśli kobieta pragnie wywieść cię w pole, nikt w świecie nie udowodni kłamstwa tkwiącego pod jej czaszką, której nieprzenikliwa powłoka urąga opukiwaniom i badaniom. Toteż migrena jest, naszym zdaniem, królową chorób, najpocieszniejszą, a zarazem najstraszliwszą bronią, jakiej żony używają przeciw mężom. Istnieją ludzie szorstcy i brutalni, którzy, wtajemniczeni niegdyś, w szczęśliwej dobie kawalerstwa, przez kochankę w te podstępny, łudzą się, że się nie dadzą złapać w tak pospolitą pułapkę. Wszystkie ich wysiłki, rozumowania, wszystko obraca się wniwecz wobec magii dwóch słów: „Mam migrenę!” Jeśli mąż się uskarża, jeżeli odważy się na najmniejszą wymówkę, uwagę, jeśli próbuje się opierać potędzie tego *Il Buondo Cani*<sup>93</sup> małżeństwa – jest zgubiony.

---

<sup>93</sup> *Il Buondo Cani* – w operze komicznej Boïeldieu „Kalif bagdadzki” pod takim imieniem, znanym tylko policji, ukrywa się krążący po kraju potężny władca.

Wyobraźcie sobie młodą kobietę w rozkosznej pozycji na kanapie, z głową lekko wspartą na poduszce; ręka zwisa miękko, u nóg porzucona książka, filiżanka lipowego kwiatu na stoliczku... A teraz postawcie naprzeciw niej zdrowego, prostodusznego męża. Kilka razy przeszedł pokój tam i z powrotem, za każdym zaś razem, gdy się obrócił na pięcie, aby ciągnąć dalej przechadzkę, pacjentka ściąga nieznacznie brwi, jakby chciała na próżno dać do zrozumienia, iż najłżejszy szmer sprawia jej ból. Wreszcie mąż zbiera na odwagę i próbuje bronić się przeciw podejściu zuchwałym pytaniem:

– Ale czy ty naprawdę masz migrenę?... Na to młoda kobieta podnosi omdlewającą głowę, podnosi ramię, które opada bezwładnie, podnosi przygasłe oczy na sufit, słowem podnosi wszystko, co tylko może podnieść; następnie, obrzucając cię zamglonym spojrzeniem, poczynając mówić słabym głosem:

– I cóż by to mogło być innego?... Och, w chwili śmierci nie doznaje się chyba większych cierpień... Więc to wszystko, na co się umiesz zdobyć, aby mnie pocieszyć! Ach, widać to, moi panowie, że natura nie obarczyła was rodzeniem dzieci. Jacyście wy samolubni i niesprawiedliwi! Bierzecie nas w kwiecie młodości, świeże, różowe, smukłe – to bardzo przyjemnie. Potem, skoro już wasze rozkosze zniszczą kwitnące dary natury, nie możecie nam przebaczyć, że utraciliśmy je dla was! To także w porządku. Nie macie wyrozumienia ani dla cnót, ani dla cierpień kobiety. Chcieliście dzieci: spędzałyśmy całe noce na ich pielęgnowaniu; ale wydając je na świat zniszczyliśmy bezpowrotnie zdrowie, unosząc w zamian zarodki najcięższych chorób... (Och, cóż za ból!...) Mało jest kobiet, które by nie miały migreny, ale twoja żona musi oczywiście być wyjątkiem... Śmiejesz się z jej cierpień, jesteś wyzuty z wszelkich uczuć... (Przez litość, przestań chodzić!...) Nie byłabym się tego spodziewała. (Proszę cię, zatrzymaj ten zegar, mam uczucie, że to wahadło kołace w mojej głowie... Dziękuję!) Och, jakaż ja nieszczęśliwa!... Czy to ty używasz jakichś pachnidła? Ależ tak! Och, przez litość, pozwól mi przynajmniej cierpieć swobodnie i idź, bo ten zapach rozsadza mi czaszkę!...

Cóż możesz odpowiedzieć? Nie czujesz w sobie jakiegoś głosu, który woła: „A jeżeli ona naprawdę cierpi?”... Toteż prawie wszyscy mężowie opuszczają bez oporu pole walki, żony zaś przyglądają się im spod zmrużonych powiek, jak wychodzą na końcach palców i zamykają po cichu drzwi pokoju pani, który odtąd pozostanie świętym.

I oto migrena, prawdziwa lub udana, rozgościła się pod twym dachem. Odtąd zacznie ona odgrywać stałą rolę w twym małżeństwie. To temat, na którym kobieta umie wygrywać przedziwne wariacje, rozwijając go na wszystkie tony. Sama migrena wystarczy kobiecie, aby męża doprowadzić do rozpacz. Twoja pani dostaje migreny, kiedy chce, gdzie chce, ile chce. Są migreny trwające pięć dni lub dziesięć minut, periodyczne i przerywane.

Niekiedy zastajesz żonę w łóżku, cierpiącą i złamaną. Żaluzje szczelnie zamknięte; migrena nakazała milczenie w całym domu, począwszy od izdebki, w której odźwierny rąbał drwa, aż do strychu, skąd chłopak stajenny wyrzucał na podwórze niewinne wiązki słomy. Na wiarę tej migreny wychodzisz z domu, ale za powrotem dowiadujesz się, iż pani się ulotniła!... Wkrótce wraca świeża i różowa. – Był doktor! – powiada. – Poleciał mi trochę ruchu i bardzo mi to dobrze zrobiło...

Innego dnia chcesz wejść do pokoju żony.

– Och, proszę pana – powiada panna służąca dając oznaki najwyższego zdumienia – pani ma migrenę: nie widziałam jej jeszcze tak cierpiącą! Posłała właśnie po doktora.

– Szczęśliwy jesteś – mówił marszałek Augereau do generała R. – że masz tak ładną żonę!

– Mam!!... – roześmiał się generał. – Jeśli mam moją żonę dziesięć dni w ciągu roku, to już bardzo wiele. Te przekłete baby mają zawsze albo migrenę, albo lichu wie co!



Migrena zastępuje we Francji owe sandały, zostawiane w Hiszpanii przez spowiednika przy drzwiach pokoju, w którym znajduje się ze swą penitentką.

Jeśli żona, przeczuwając z twojej strony nieprzyjacielskie zamiary, pragnie się uczynić nietykalną jak sama Konstytucja, rozpoczyna koncert migreny. Kładzie się z wysiłkiem do łóżka, wydaje stłumione jęki, od których rozdziera ci się dusza, wykonywa z wdziękiem mnóstwo ruchów tak sprawnych, iż można by mniemać, że jest zupełnie pozbawiona kości. Gdzież jest człowiek na tyle pozbawiony serca, aby kobiecie tak znękaney mówić o swoich pragnieniach, będących niezbitym dowodem znakomitego stanu zdrowia? Prosta grzeczność nakazuje milczenie. Kobieta wie zatem dobrze, że za pomocą wszechpotężnej migreny może, kiedy zechce, przykleić nad małżeńskim łóżkiem ową opaskę, która zawraca do domu amatorów znęconych afiszem Komedii Francuskiej, kładąc na nim w ostatniej chwili słowa: „Odwołane z powodu nagłej niedyspozycji panny Mars”<sup>94</sup>.

O migreno, opiekuńcze bóstwo miłości, urządzenie podatkowy małżeństwa, puklerzu, o który rozbijają się chuci mężów! o potężna migreno! Czy możebne jest, aby cię dotąd kochankowie nie wsławili, nie ucieleśnili, nie ubóstwili? O czarodziejska migreno! o zdradziecka migreno, błogosławiony niech będzie mózg, w którym się po raz pierwszy poczęłaś! Hańba lekarzowi, który by odkrył na ciebie środek! Tak, tyś jedynym cierpieniem, które kobiety błogosławią, zapewne przez wdzięczność za dobrodziejstwa, jakich im użyczasz, o zdradziecka migreno! o czarodziejska migreno!

## §II. O n e w r o z a c h

Istnieje siła wyższa nad potęgę migreny i musimy wyznać na chwałę Francji, że siła ta jest jedną z najświeższych zdobyczy paryskiej pomysłowości. Jak we wszystkich najużyteczniejszych odkryciach nauki i sztuki, i tu nie znamy nazwiska geniusza, któremu ją zawdzięczamy. To jest pewne, że około połowy ubiegłego stulecia „wapory” zaczęły pojawiać się we Francji. Tak więc w tym samym czasie, w którym Papin zastosował do mechaniki siłę wody zmienionej w parę, któraś Francuzka, niestety nieznaną, obdarzyła, na swoją chwałę, pleć swą zdolnością waporizowania własnych fluidów. Niebawem zadziwiające skutki waporów naprowadziły na odkrycie nerwów; w ten sposób, włókno po włóknie, powstała neurologia. Ta cudowna wiedza doprowadziła już Phillipsa i innych bystrych fizjologów do odkrycia fluidu nerwowego i jego krążenia; może znajdują się oni w przededniu określenia jego siedziby i tajemnic. Tak wlec, dzięki grymasom kobiecym, uda się nam może kiedy przeniknąć nieznaną potęgę, którą już kilkakrotnie wymienialiśmy w tej książce, mianowicie W o l ę. Ale nie wkraczajmy na teren filozofii medycyny: trzymajmy się nerwów i waporów jedynie w ich stosunku do małżeństwa.

Newrozy (termin, który obejmuje wszystkie cierpienia systemu nerwowego) dzielą się na dwa rodzaje, zależnie od użytku, jaki z nich robią kobiety zamężne, nasza bowiem „Fizjologia” odznacza się wspaniałą pogardą klasyfikacji lekarskich. Tak więc odróżnimy jedynie:

- 1) Newrozy klasyczne;
- 2) Newrozy romantyczne.

Napady o cechach stylu klasycznego mają w sobie coś ożywionego, wojowniczego. W wybuchach są gwałtowne jak pytonissy, porywcze jak menady, rozszalałe jak bachantki: słowem, czysta starożytność.

Newrozy o charakterze romantycznym są łagodne jak ballady nucone gdzieś wśród mgieł i gór Szkocji. Są blade bladeścią młodych dziewczyc, zapędzonych do grobu tańcem lub miłością. Są na wskroś elegijne, mają w sobie całą melancholię Północy.

---

<sup>94</sup> Panna M a r s (Anne Boutet, 1779–1847) – znakomita aktorka francuska, słynna zwłaszcza z ról w komicjach Moliera i Marivaux.

Tak więc kobieta o kruczonych włosach, przesywającym oku, żywej cerze, suchych wargach, energicznej dłoni, kipiąca i konwulsyjna, będzie wcieleniem newrozy klasycznej, gdy w postaci młodej blondynki o białej cerze możemy sobie uzmysłowić newrozę romantyczną. Jedna zawładnie królestwem nerwów, druga – waporów.

Nieraz mąż, wracając do domu, zastaje żonę we łzach.

– Cóż ci to, aniołku?

– Mnie? Nic.

– Ale płaczesz?

– Płaczę, sama nie wiem czemu... Tak mi jakoś smutno. Widziałam jakieś postacie w obłokach, a te postacie pojawiają mi się tylko w przeddzień nieszczęścia... Mam uczucie, jakbym miała niedługo umrzeć...

I zaczyna ci stłumionym głosem opowiadać o zmarłym ojcu, zmarłym wuju, zmarłym dziadku, zmarłym kuzynie. Wywołuje wszystkie te żalodne clenie, przeżywa wszystkie ich choroby, odczuwa wszystkie cierpienia, czuje, jak jej serce zaczyna bić zbyt pospiesznie, jak jej śledziona nabrzmiewa... Ty powiadasz sobie w duchu, zacierając ręce:

„Już ja wiem, skąd się to bierze!”

Próbujesz więc ją pocieszyć; na to ona dostaje spazmatycznego ziewania, skarży się na ból w piersiach, wybucha na nowo płaczem i wreszcie prosi, byś ją zostawił samą z jej melancholią i wspomnieniami. Wydaje ci ostatnie zlecenia, idzie za swoim pogrzebem, posypuje się ziemią, wyrasta na własnym grobie zielonymi liśćmi brzozy płaczącej. W chwili gdy chciałeś zanucić radosny hymn weselny, spotykasz się z łkaniem pogrzebowych płaczek. Twój zapal pocieszycielski rozplywa się we mgle Ixionu.

Bywają kobiety, które w ten sposób, i to w najlepszej wierze, wymuszają na wrażliwych mężach kaszmirowe szale, brylanty, wyrównanie długów lub łożę w Operze. Ale prawie zawsze ataki nerwowe służą jako rozstrzygająca broń w wojnie domowej.

W imię swego uwiadu rdzenia i choroby piersiowej kobieta zaczyna szukać rozrywek; ubiera się z omdlewającymi ruchami i wśród objawów spleenu; godzi się wyjść z domu jedynie dlatego, że jej serdeczna przyjaciółka, matka lub siostra czynią wszystkie wysiłki, aby ją oderwać od tej kanapy, która pochłania jej siły i na której życie jej spływa na elegiach. Pani wyjeżdża na dwa tygodnie na wieś, bo lekarz tak zalecił. Słowem, udaje się, gdzie chce, robi, co jej się podoba. Czy znajdzie się na świecie mąż dość nieludzki, aby sprzeciwić się takim życzeniom, aby wzbronić żonie ratunku z tak okrutnych cierpień? Albowiem w długich dyskusjach stwierdzono, że choroby nerwów sprawiają straszliwe cierpienia.

Najważniejszą jednak rolę odgrywają wapory w alkwie małżeńskiej. Tam, jeśli kobieta nie ma migreny, ma swoje n e r w y; gdy nie ma ani nerwów, ani migreny, wówczas znajduje się pod ochroną opaski Wenery, która, jak wiadomo, jest mitem.

W liczbie kobiet, które wydadzą wam bitwę pod hasłem waporów, znajdzie się może pewna ilość istot, jasnowłosych, delikatnych, wrażliwych, które będą posiadały dar łez. Umieją tak cudnie płakać! Płaczą, kiedy chcą, jak chcą, ile chcą. Organizują system zaczepny, który polega na wzniosłej rezygnacji, i odnoszą zwycięstwa tym świetniejsze, ile że nie przestają się przy tym cieszyć doskonałym zdrowiem.

Przypuśćmy, że mąż wpadnie w gniew i próbuje objawić swą wolę. Wówczas patrzą nań z twarzą pełną uległości, spuszcza głowę i milczą. Pantomina ta ma własność doprowadzania męża do rozpacz. W tego rodzaju walkach mężczyzna woli, gdy kobieta mówi, gdy się broni; wówczas można się wzburzyć, rozgniewać; tymczasem nic... Milczenie ich napęla cię niepokojem, unosisz z sobą jakiś wyrzut, jak morderca, który, nie znalazłszy oporu u swej ofiary, doznaje podwójnego lęku. Lżej by mu było na duszy, gdyby ją był zamordował po zaciętej walce. Wracasz. Na twój widok żona ociera łzy i ukrywa chusteczkę w ten sposób, abyś mógł spostrzec, że płakała. Rozczulasz się. Błagasz swą Karolinę, aby przemówiła, zapominasz o wszystkim, poruszony w najtkliwszych uczuciach. Wówczas zaczyna szlochać

mówiąc i mówić szlochając. Staje się wymowna jak młyn, oszalała cię łzami oraz potokiem smętnych i urywanych słów: istny kołowrotek, wezbrany strumień.

Francuzki, zwłaszcza paryżanki, znakomicie posiadały tajemnicę owych scen, w których cała ich natura, płęć, ubiór, sposób mówienia uzbraja ją w niesłychany urok. Ileż razy chytry uśmiech zajmuje miejsce łez na rozkapryszonej twarzy czarujących komediantek, gdy widzą, jak mąż gorliwie pracuje nad rozerwaniem wątlej jedwabnej tasiemki gorsetu lub stara się umocować grzebień, który przytrzymywał splety włosów, zawsze gotowe rozsypać się w tysiącach złotych pukli?...

Ale czymże są te wszystkie nowoczesne podstępny wobec owego natchnionego szaleńca starożytności, wobec potężnych ataków nerwowych, owego pyrryjskiego tańca w małżeństwie!

Och! ileż obietnic dla kochanka mieści się w tej żywości konwulsyjnych ruchów, w tym ogniu spojrzeń, w sprężystości członków, układających się w tak wdzięczne pozy nawet na szczycie rozszalenia! Kobieta przewala się wówczas jak wichur straszliwy, przeży się w górę jak płomień, poddaje się jak fala ślizgająca się po białym żwirze, omdlewa pod nadmiarem miłości, odgaduje przyszłość, wieszczy ją niejako; ale przede wszystkim widzi teraźniejszość, druzgoce zwyciężonego męża i napawa go przerażeniem.

Wystarczy nieraz dla mężczyzny raz jeden ujrzenie żonę rzucającą jak piórkiem trzema lub czterema silnymi ludźmi, aby odeszła mu ochota od uwodzenia jej kiedykolwiek. Stanie się jak dziecko, które, raz wywołałszy niebacznie wybuch straszliwej maszyny, będzie miało odtąd zabobonny szacunek dla najmniejszej sprężynki. Resztę zrobi fakultet medyczny, zbrojny w obserwacje i pogrożki. Znałem męża, łagodnego i spokojnego człowieka, który miał wzrok bezustannie wlepiony w oczy żony, tak jakby się znajdował w klatce lwa, jedyną nadzieję ocalenia pokładając w tym, by nie podrażnić zwierzęcia.

Ataki nerwowe są bardzo wyczerpujące i z każdym dniem stają się rzadsze; romantyzm przeważył.

Zdarzyło się może paru mężów o usposobieniu flegmatycznym, z typu ludzi, którzy zdolni są kochać długo, gdyż obchodzą się oszczędnie ze swym uczuciem, i których talent umiał odnieść zwycięstwo nad migreną i newrozami; ale takie niedościgłe jednostki pojawiają się rzadko. Jako wierni uczniowie świętego Tomasza, który chciał włożyć palec do rany Pana Jezusa, posiadają niedowiarstwo ateusza. Niewzruszeni wśród zdradliwych podstępów migreny i sztuczek newrozy, skupiają całą uwagę na odgrywaną przed nimi scenę; śledzą każdy gest pięknej aktorki, szukają sprężyn, które nią poruszają; i skoro odkryją mechanizm całej dekoracji, naciskają dla zabawki sprężynę jakiejś przeciwwagi i sprawdzają w ten sposób łatwo, czy choroba jest rzeczywistą, czy też jest tylko jedną ze scen małżeńskiej maskarady.

Ale jeżeli dzięki wyteżeniu uwagi, które może przechodzi siły ludzkie, uda się mężowi ujść wszystkich zdrad, których uczy kobietę niepohamowana miłość, i tak będzie pokonany bez ratunku przez użycie broni straszliwej, ostatniej, jakiej się chwyta kobieta, gdyż będzie to dla niej zawsze pewnym zaparciem się siebie niszczyć własnymi rękami swą władzę; ale też jest to broń zatruta, niechybna jak złowrogi topór kata. Refleksja ta prowadzi nas do ostatniego ustępu niniejszego rozmyślenia.

### § III. O wstydlivosti w małżeństwie

Nim zaczniemy się zastanawiać nad istotą wstydu, należałoby może stwierdzić, o ile on istnieje. Czy nie jest on u kobiety jedynie umiejętnie użytą zalotnością, jedynie poczuciem prawa do swego ciała? Tak można by mniemać, zważywszy, że połowa kobiet całej kuli ziemskiej chodzi prawie zupełnie nago. Czy nie jest to proste urojenie społeczne, jak twierdził Diderot, podnosząc, iż uczucie to zanika w obliczu choroby lub nędzy.

Można się łatwo rozprawić z tymi wątpliwościami. Pewien bystry autor wyraził niedawno pogląd, że mężczyźni mają o wiele więcej wstydu niż kobiety. Twierdzenie to oparł na szeregu spostrzeżeń lekarskich; jednak, aby te wnioski zasługiwały na uwagę, należałoby wprzódy oddać na jakiś czas mężczyzn pod opiekę lekarek. Opinia Diderota ma jeszcze mniej wagi. Przeczyć istnieniu wstydu dlatego, że zanika on w owych próbach, w których obumierają prawie wszystkie ludzkie uczucia, znaczyłoby przeczyć życiu, dlatego że kończy się ze śmiercią.

Przyjmijmy, że jedna płeć ma tyleż wstydu co druga, i zastanówmy się, na czym polega to uczucie.

Rousseau wyprowadza wstyd z niezbędnej zalotności, jaką samiczki rozwijają dla zwabienia samca. Twierdzenie to wydaje się nam również błędne.

Pisarze XVIII wieku oddali społeczeństwu niewątpliwie olbrzymie usługi, ale ich filozofia, oparta na sensualizmie, nie umiała przeniknąć poza naskórek. Brali w rachubę jedynie świat zewnętrzny, i już przez to samo opóźnili rozwój moralny człowieka oraz postępy wiedzy, która zawsze czerpać będzie swe pierwotne składniki z Ewangelii, lepiej odtąd pojowanej przez gorliwych uczniów Syna Człowieczego.

Śledzenie tajników myśli, odkrycie narządów duszy ludzkiej, geometria jej sił, przejawy potęgi, wniknięcie w zdolność, którą w istocie zdaje się posiadać, zdolność poruszania się niezależnie od powłoki cielesnej, przenoszenia się wedle woli z miejsca na miejsce i widzenia bez pomocy narządów zmysłowych, słowem, prawa jej dynamiki i wpływu na świat fizyczny, będą stanowiły chlubną zdobycz następnego stulecia w skarbcu ludzkiego poznania. Być może w tej chwili pracujemy jedynie nad wydobywaniem olbrzymich ciosów, które kiedyś posłużą jakiemuś potężnemu geniuszowi do wzniesienia wspaniałego gmachu.

Tak więc błąd Russa był błędem jego wieku. Starał się on wytłumaczyć wstyd przez wzajemny stosunek istot – zamiast go wytłumaczyć przez stosunek moralny jakiejś istoty do siebie samej. Wstyd, jak sumienie, nie podlega analizie. Może będzie to instynktownym zrozumieniem go, jeśli go nazwiemy sumieniem ciała; on to bowiem kieruje ku dobremu nasze uczucia i najmniejszy odruch myśli, tak jak wstyd włada objawami zewnętrznymi. Czyny, które, naruszając nasze interesy, stoją w niezgodzie z prawami sumienia, ranią nas dotkliwiej niż inne; gdy się powtarzają, rodzą nienawiść. Toż samo czyny przeciwne wstydu w stosunku do miłości, która jest wykładnikiem całej naszej istoty. Jeśli nadzwyczajna wstydlivość jest jednym z warunków żywotności małżeństwa, jak to próbowaliśmy udowodnić („Katechizm małżeński”, rozmyślanie IV), jasnym jest, że jej zanik musi małżeństwo zabić. Tę zasadę atoli, która zmusza fizjologa do tak długich wywodów, kobieta stosuje odruchowo; społeczeństwo bowiem, które we wszystkim wysunęło na pierwszy plan zewnętrznego człowieka, rozwija od dzieciństwa u kobiet to uczucie, koło którego dopiero grupują się prawie wszystkie inne. Toteż z chwilą, gdy ta ogromna zasłona, która odbiera najmniejszemu ruchowi jego naturalną brutalność, opadnie, kobieta przestaje istnieć. Dusza, serce, umysł, wdzięk, miłość, wszystko leży w gruzach. W sytuacji, w której jaśniej prostotą dziewicza niewinność córki Otaiti, Europejka staje się wstrętna. Tu mieści się ostatnia broń, której chwyta się żona, aby się uwolnić od uczuć, jakie mąż jeszcze dla niej żywi. Staje się silna swą szpetotą; ta sama kobieta, która uważałaby za największe nieszczęście, gdyby musiała odsłonić najłżejszy szczegół gotowalni przed kochankiem, uczyni sobie zabawkę z tego, aby pokazywać się mężowi w sytuacjach najbardziej niekorzystnych, jakie tylko zdoła wymyślić.

Za pomocą tego właśnie systemu, stosowanego z całą bezwzględnością, żona spróbuje cię wypędzić ze wspólnego łóżka. Pani Shandy działała w świętej niewinności, przypominając w najmniej stosownej chwili ojcu Tristrama, aby nie zapomniał nakręcić zegara; twoja żona robi sobie prawdziwą przyjemność z tego, aby ci przeszkadzać najtrzeźwiejszymi pytaniami. Gdzie poprzednio panował ruch i życie, obecnie jest królestwo martwoty i śmierci. Każda pieszczota staje się długo omawianą, niemal notarialnie opisaną transakcją. Ale udowodnili-

śmy dostatecznie na innym miejscu, że nie wzdragamy się chwycić na gorącym uczynku komicznych stron przesileń małżeńskich; wolno nam tedy wzgardzić uciesznymi scenami, jakie muza Verville'a lub Marcjale<sup>95</sup> mogłaby zebrać z owych przewrotnych machinacji kobiecych, z bezwstydnego śmiałości ich odezwań, z cynizmu sytuacji. Rzecz jest zbyt smutna, aby się śmiać, a zbyt pocieszna, aby się smucić. Skoro kobieta dojdzie do takich ostateczności, wówczas już całe światy stoją między nią a mężem. Istnieją jednakże kobiety, którym niebo użyło daru podobania się we wszystkim i mimo wszystko, które podobno umieją wlać pewien dowcipny i żartobliwy wdzięk w owe targi, tak iż uzyskują przebaczenie dla swoich kaprysów i drwin i, ostatecznie, nie tracą serca mężów.

Gdzież jest tedy dusza tak wytrzymała, gdzie mężczyzna dość zakochany, aby po dziesięciu latach wytrwał w uczuciu do żony, która go nie kocha, która mu to udowadnia na każdym kroku, która stara się go odstręczyć, z rozmysłu robi się cierpka, kostyczna, chora, rozkapryszona, która gotowa jest odprzysiąc się ślubów wykwentu i czystości, byle tylko doprowadzić do apostazji swego męża; wobec kobiety wreszcie, która będzie spekulować na jego odrazę, wyzbywając się wszelkiej wstydlivosti?

Wszystko to, drogi panie, jest tym straszliwsze, że:

## XCII

Kochankowie nie znają wstydu.

Tu zstąpiliśmy do ostatniego kręgu piekła Boskiej Komedii małżeństwa; jesteśmy już na dnie otchłani.

Istotnie, jest coś straszliwego w położeniu, do którego dochodzi kobieta zamężna, gdy nieprawa miłość wydziera ją obowiązkom żony i matki. Według znakomitego określenia Diderota niewierność jest u kobiety tym, czym niedowiarstwo u księdza: kresem ludzkiego występku; jest to dla niej największa zbrodnia, gdyż mieści w sobie wszystkie inne. W istocie, albo kobieta poniewiera swą miłość, nie przestając należeć do męża, albo zrywa wszystkie węzły łączące ją z rodziną, oddając się całkowicie i wyłącznie kochankowi. Musi wybierać, gdyż jedynym jej usprawiedliwieniem jest ogrom miłości.

Żyje zatem między dwiema zbrodniami; stanie się przyczyną albo nieszczęścia kochanka, jeśli ten jest szczerzy w swej namiętności, albo męża, jeśli ją jeszcze kocha.

Ten straszliwy dylemat życia kobiety jest źródłem wszystkich ich zagadek. Tu spoczywa przyczyna ich kłamstw, przewrotności, tu mieści się klucz wszystkich tajemnic. Można zdrzeć, doprawdy, myśląc o tym. Toteż biorąc rzecz jedynie z punktu urządzenia sobie życia, kobieta, która godzi się na niedole cnoty i wyrzeka się upojeń występku, ma niewątpliwie po stokroć słuszność. Jednakże prawie u wszystkich półgodzinna ekstaza przeważa szalę przyszytych cierpień i całych wieków niepokoju. Jeżeli nawet instynkt zachowawczy wszelkiego stworzenia, nawet obawa śmierci nie jest w stanie ich wstrzymać, czegoż można się spodziewać od praw, które wysyłają je na dwa lata do Magdalenek? O wzniosła hańbo! A jeżeli się pomyśli, że przedmiotem wszystkich tych poświęceń jest jeden z naszych braci, jegomość, któremu nie powierzylibyśmy naszego majątku, gdybyśmy go posiadali, człowiek, który wdziewa tużurek jak każdy z nas – jest z czego doprawdy parsknąć śmiechem, i to takim, który od Luksemburgu przeleciałby nad całym Paryżem i przestraszył osła pasącego się na Montmartre.

---

<sup>95</sup> Francois Bérolde de V e r v i l l e (1558–1612) – pisarz francuski, autor wielu dzieł, a m. in. zbioru anegdot satyrycznych; M a r c j a l (Martialis Marcus Valerius, 38–100) – wybitny poeta i satyryk rzymski, celował zwłaszcza w epigramatach.

Wyda się może dziwne, że z powodu małżeństwa poruszyliśmy taką obfitość przedmiotów; ale małżeństwo przedstawia nie tylko całe życie ludzkie, ale dwa ludzkie życia. Otóż, jak dodanie jednej cyfry w stawce loterii stokrotnie mnoży szanse, tak jedno życie, złożone z drugim, mnoży w przerażającej progresji przypadki egzystencji ludzkiej, same przez się tak różnorodne.

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE SIÓDME

### *Ostatnie objawy*

Autor tej książki spotykał w życiu tylu ludzi opanowanych fanatyzmem dokładnego czasu, średniego czasu, zegarków z sekundnikami i punktualności egzystencji, że uważa to rozmyślanie za konieczne dla spokoju ogromnej większości mężów. Byłoby w istocie okrucieństwem, ludzi, mających namiętność godzin i minut, zostawić bez busoli, która by im pozwoliła ocenić ostatnie przemiany małżeńskiego zodiaku oraz dokładną chwilę zjawienia się na horyzoncie znaku Minotaura.

Z n a j o m. o ś ć c z a s u m. a ł ż e ń s k i e g o wymagałaby może osobnej książki, tyle zawiera drobiazgowych i subtelnych spostrzeżeń. Mistrz wyznaje, iż jego młody wiek nie pozwolił mu zebrać zbyt wielu dokumentów; natomiast odczuwa słuszną dumę, mogąc zaznaczyć u kresu swego trudnego przedsięwzięcia, że zostawia swym następcom nowy przedmiot do badań i że w tak zużytych na pozór przedmiocie nie tylko nie wszystko było powiedziane, ale i na przyszłość zostanie wiele punktów do rozjaśnienia. Autor przedstawi zatem, bez związku i porządku, jedynie surowy materiał, który zdołał zebrać do dziś, w nadziei, iż kiedyś, w przyszłości, będzie mógł uporządkować go i przetworzyć na zupełny system. Na wypadek, gdyby go ktoś uprzedził w tym przedsięwzięciu o narodowo–społecznej doniosłości, autor pozwala sobie tu zaznaczyć (nie narażając się chyba przez to na zarzut próżności!) naturalny podział tych objawów. Są one z natury rzeczy dwojakie: jednorogie i dwurogie. Minotaur jednorogi jest mniej niebezpieczny: występna para ogranicza się do miłości platońskiej lub przynajmniej namiętność jej nie zostawia widocznych śladów w potomności; natomiast Minotaur dwurogi przedstawia nieszczęście z wszystkimi jego owocami.

Oznaczyliśmy gwiazdką objawy, które dotyczą tego ostatniego rodzaju.

### SPOSTRZEŻENIA MINOTAURYCZNE

#### I

Skoro, po dłuższym przeciągu czasu, w którym kobieta żyła w rozdziale z mężem, pocznie w sposób nieco zbyt jaskrawy przymilać się i wabić, postępuje w myśl zasady prawa morskiego: „Flaga pokrywa towar”.

## II

Na balu zbliża się do kobiety przyjaciółka i mówi:

- Wiesz, że masz bardzo miłego męża.
- Znajdujesz?...

## III

Żona zwraca uwagę, iż byłby czas oddać na pensję dziecko, z którym niegdyś postanowiła nigdy się nie rozłączać.

## IV

\* W procesie rozwodowym lorda Abergaveny lokaj złożył zeznanie, jakoby „pani hrabina miała taki wstręt do wszystkiego, co należało do milorda, że nieraz widział, jak paliła nawet świstki papieru, których się dotknął w jej pokoju”.

## V

Gdy kobieta przedtem gnuśna stanie się nagle ruchliwa i czynna, gdy kobieta, która miała wstręt do nauk, zacznie się uczyć obcego języka; słowem, każda zupełna przemiana w jej charakterze jest stanowczym objawem.

## VI

Kobieta bardzo szczęśliwa sercem unika towarzystwa.

## VII

Kobieta, która ma kochankę, staje się bardzo pobłażliwa.

## VIII

\* Mąż daje żonie sto talarów miesięcznie na toaletę; ona zaś, razem wzięwszy, wydaje co najmniej pięćset franków, nie robiąc grosza długów; jasne jest, że ktoś okrada męża w nocnej porze, zbrojną ręką, podstępnie, ale... bez włamania.

## IX

\* Małżonkowie sypiali we wspólnym łóżku; pani była ustawicznie cierpiąca; sypiają oddzielnie – odtąd nie miewa już migreny i cieszy się zdrowiem lepszym niż kiedykolwiek: przerażający objaw.

## X

Kobieta, przedtem mało dbała o siebie, przechodzi nagle do nadzwyczajnego wyszukania: to pachnie Minotaurem!



## XI

- Ach, moja droga, nie znam większego cierpienia niż nie być zrozumianą.
- Tak, moja droga, ale za to kiedy się nią jest!...
- Och, to nie zdarza się prawie nigdy.
- Przyznaję, że to bardzo rzadkie. Ach, to wielkie szczęście, ale nie ma dwóch istot na świecie, które by cię potrafiły zrozumieć...

## XII

- \* – Z dniem, w którym kobieta zaczyna mieć względy dla męża... oho!...

## XIII

Pytam jej:

- Skąd wracasz, Joasiu?
- Byłam u waszego kuma, po wasze naczynia, któreście tam zostawili.
- „Ho, ho! wszystko jest jeszcze moje!” – pomyślałem. Za rok powtarzam to samo pytanie, w tej samej okolicy.
- Byłam po nasze naczynia. „Aha! jeszcze mam jakiś udział!” – rzekłem sobie. Ale z czasem, jeśli ją o to spytam, odpowie zgoła inaczej:
- Chciałbyś wszystko wiedzieć niby jaki pan, a nie masz ani trzech koszul. Byłam po moje naczynia u mego kuma i zostałam tam na wieczery.
- „Wszystko już jasne!” – pomyślałem.

## XIV

Strzeżcie się kobiety, która mówi o swojej cnocie.

## XV

Powiedziano księżnej de Chaulnes, której stan był bardzo groźny, iż książę de Chaulnes pragnąłby ją odwiedzić.

- Jest tutaj?...
- Jest.
- Niech zaczeka!... Wejdzie razem z Sakramentami. Tę minotauryczną anegdotę zanotował Chamfort<sup>96</sup>, ale powinna była znaleźć i tu miejsce, jako typowa w swoim rodzaju.

## XVI

\* Nieraz kobiety starają się wytłumaczyć mężom, iż mają obowiązki względem pewnych osób.

- Zareczam ci, powinieneś oddać wizytę panu X... – Nie możemy przecież nie zaprosić na obiad pana Y...

---

<sup>96</sup> Nicolas-Sébastien Roch de Chamfort (1741–1794) – moralista francuski.

## XVII

– Mój synu, trzymaj się prosto, kiedy ty wreszcie nabierzesz dobrych manier! Staraj się naśladować pana X., przypatrz się tylko, jak on się rusza! Uważaj, jak się ubiera!...

## XVIII

Gdy kobieta wymawia tylko dwa razy dziennie nazwisko mężczyzny, można mieć jeszcze wątpliwość co do stosunku, jaki ich łączy; ale trzy?... Oho!...

## XIX

Gdy kobieta odprowadza mężczyznę, który nie jest ani adwokatem, ani ministrem, aż do drzwi, postępuje bardzo nieostrożnie.

## XX

Straszliwy to dzień dla męża, kiedy nie zdoła sobie wytłumaczyć jakiejś czynności żony.

## XXI

\* Kobieta, która pozwoli się przyłapać, warta jest swego losu.

Jakież winno być postępowanie męża, skoro spostrzeże ostatni objaw, nie pozwalający mu już wątpić o zdradzie żony? Odpowiedź bardzo łatwa. Są tylko dwie drogi; rezygnacja lub zemsta; nic pośredniego między tymi ostatecznościami. Jeśli ktoś zdecydował się na zemstę, powinna być zupełna. Mąż, który nie rozstanie się na zawsze z żoną, jest niedołęgą. Jeśli natomiast mąż i żona uznają, że godni są jeszcze węzła przyjaźni, który wiąże dwoje ludzi, wówczas byłoby wstrętne dawać żonie uczuć przewagę, jaką mogłoby się wyciągnąć z jej błędu.

Oto kilka anegdot, przeważnie nieznanych, które, moim zdaniem, znaczą dość dobrze rozmaite odcienie w podobnych okolicznościach.

Pan de Roquemont spędzał raz na miesiąc noc w pokoju żony i opuszczając go rano mawiał:

– Spulchniłem ziemię, niech teraz sadi, kto może! Jest w tym zepsucie, ale jest zarazem pewne dość wysokie pojęcie polityki małżeńskiej.

Pewien dyplomata w czasie bytności kochanka żony wychodził z gabinetu i uchylał drzwi jej pokoju, mówiąc:

– Proszę was, tylko się przynajmniej nie bijcie!... To znów dobroduszość.

Pytano pana de Boufflers, co by uczynił, gdyby, wróciwszy po długiej niebytności, zastał żonę w odmiennym stanie?

– Kazałbym zanieść do Jej pokoju mój szlafrok i pantofle.

Oto wspaniałomyślność.

– Jeśli ten człowiek znęca się nad tobą, gdy jesteście sami, to twoja wina; ale nie ścierpię, aby ci uchylał w mojej obecności; tym mnie obraża.

Oto poczucie godności osobistej.

Szczytem w swoim rodzaju jest biret, który pewien sędzia położył w nogach łóżka, podczas snu dwojga występnych.

Bywają przykłady pięknej zemsty. Mirabeau, w jednej z książek, które pisał, aby zarobić na chleb, przedziwnie odmalował ponurą rezygnację Włoszki, skazanej przez męża na to, aby zginęła z nim w Maremmach.

## OSTATNIE PEWNIKI

### XCIII

Nie jest żadną zemstą pochwycić żonę wraz z jej kochankiem i zabić ich, splecionych uściskiem. To największe dobrodziejstwo, jakie im można wyświadczyć.

### XCIV

Nikt nie zdoła tak dobrze pomścić męża, jak kochanek

## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE ÓSME

### *Odszkodowania*

Katastrofa małżeńska, nieunikniona dla większości mężów, pociąga prawie zawsze za sobą jakieś przesilenie. Wówczas wszystko uspokaja się dokoła ciebie. Rezygnacja twoja, jeśli obrałeś drogę rezygnacji, budzi potężne wyrzuty sumienia w żonie i jej kochanku; samo ich szczęście wskazuje im cały ogrom krzywdy, jaką tobie wyrządzili. Nie mając o tym najmniejszego pojęcia, obecny jesteś, jako trzeci, przy wszystkich ich słodyczach. Pierwiastki dobroci i uczuciowości, jakie tkwią na dnie ludzkiego serca, nie tak łatwo dają się zdusić, jakby można mniemać, toteż te dwie istoty, które są przyczyną twych udręczeń, będą równocześnie czuły dla ciebie najwięcej życzliwości.

Wśród owych poufnych rozmów, które tak rozkosznie przeplatają słodczyce miłości, będąc niejako pieszczotami myśli, często zdarzy się żonie powiedzieć do twego sobowtóra:

– Wiesz, Augustcie, nie uwierzyłbyś, jak bardzo pragnęłabym, aby mój biedny mąż był szczęśliwy. W gruncie rzeczy on jest bardzo dobry i gdyby nie był moim mężem, gdyby był moim bratem, uczyniłabym wszystko, by mu osłodzić życie! Kocha mnie i jego dobroć mnie upokarza.

– Tak, to zacny człowiek!...

Stajesz się wówczas przedmiotem szacunku przyjaciela żony, który chciałby wszystkimi sposobami wynagrodzić ci jakoś krzywdę, ale wstrzymuje go owa wzdorliwa duma, którą nacechowane jest każde twoje odezwanie i każdy gest.

W istocie, w pierwszych chwilach po zjawieniu się Minotaura mężczyzna podobny jest do aktora, gdy zakłopotany wchodzi na scenę, na której nie jest przyzwyczajony występować. Bardzo jest trudno wywiązać się z godnością z tak niemądrej roli; jednak szlachetne charaktery nie są jeszcze tak rzadkie, aby nie można któregoś z nich dobrać na użytek wzorowego męża.

Zatem, stopniowo i nieznacznie, dajesz się ująć względem, jakimi otacza cię żona; przybiera ton przyjaźni, który nie opuści jej już nigdy. Spokój w domu jest jedną z pierwszych pociech, które czynią mężowi mniej dotkliwą obecność Minotaura. Ale ponieważ leży w naturze człowieka, iż przyzwyczajają się on do najtwardszych warunków, przeto mimo owego poczucia godności, którego nic nie byłoby w stanie osłabić, stopniowo, pod wpływem jakiegoś urzeczenia, którego potęgą owłada tobą coraz silniej, dochodzisz do tego, iż nie odrzucasz już drobnych słodyczy swego położenia.

Przypuśćmy, iż nieszczęście małżeńskie spadło na smakosza. Z natury rzeczy będzie on szukał pociech w tym kierunku. Potrzeba rozkoszy, przeniesiona w inne sfery, nabiera innych przyzwyczajęń, przystosowuje się do innych wrażeń.

Pewnego dnia, wracając z biura, zatrzymujesz się długo przed bogatą i smakowitą b i b l i o t e k ą w oknie Cheveta<sup>97</sup>, wahając się między wydatkiem stu franków a rozkoszami, jakie kryje w sobie pasztet sztrasburski z gęsich wątróbek. Pokonawszy swą żądzę, wchodzisz do domu, gdy nagle ze zdumieniem spostrzegasz pasztet, wyzywająco ustawiony na kredensie. Czyżby to zjawisko było wywołane działaniem jakiegoś gastronomicznego mirażu?... Pograżony w tej niepewności, idziesz prosto ku niemu (pasztet jest istotą żyjącą) stanowczym krokiem; zdaje się prawie, że zarżysz głośno, wdychając zapach truflí, których woń bije przez złocistą skorupę. Nachylasz się raz po raz; wszystkie zakończenia nerwowe twego podniebienia nabierają duszy; wciągasz w siebie rozkosze prawdziwej uczy. Pograżony w ekstazie, czujesz jednak wyrzut sumienia! Wchodzisz do żony.

– Ależ, moja droga, my doprawdy nie mamy takiego majątku, aby sobie pozwalać na pasztety...

– Kiedyż on nic nie kosztuje!

– A to jakim cudem?

– Ależ tak, to brat pana Hektora mu go przysłał... Spostrzegasz pana Hektora, który wynurza się z kąta. Wita się z tobą, wyraźnie uszczęśliwiony, widząc, iż skłaniasz się do przyjęcia pasztetu. Spoglądasz na żonę, która się rumieni; głaszczesz się kilkakrotnie po brodzie i mimo iż nie dziękujesz, para kochanków zgaduje, że przyjmujesz odszkodowanie.

Ministerium nagle upadło. Pewien mąż, radca stanu, drży, że listę awansów skreślą, gdy on jeszcze poprzedniego dnia spodziewał się otrzymać generalną dyrekturę. Wszyscy nowi ministrowie są mu nieprzychylni, wobec czego zaczyna się skłaniać do konstytucjonalistów. Przewidując niełaskę, udaje się do Auteuil szukać pociechy u starego przyjaciela, który go pokrzepia cytatami z Horacego i Tybulla. Za powrotem zastaje stół nakryty tak, jakby się gotowano na przyjęcie najwplywowszych figur Kongregacji.

– W istocie, moja droga – mówi kwaśno, wchodząc do pokoju, w którym żona kończy właśnie toaletę – nie poznaję twego zwykłego taktu!... Dobry czas sobie wybrałaś na dawanie obiadów... Dwadzieścia osób musi się dowiedzieć...

– Żeś został generalnym dyrektorem! – wykrzykuje żona pokazując dekret.

Staje w osłupieniu, bierze pismo, ogląda, obraca, otwiera. Siada, rozwija...

– Wiedziałem – mówi – że każde ministerium będzie zmuszone oddać mi sprawiedliwość...

– Tak, mój drogi! Ale pan de Villeplaine zaręczył za ciebie własną osobą Jego Eminencji kardynałowi... którego jest...

– Pan de Villeplaine?...

Odszkodowanie jest tak wspaniałe, że mąż dodaje z uśmiechem generalnego dyrektora:

– Tam do licha! Ależ to twoja sprawka, moja droga!... – Och, ja nie mam żadnej zasługi! Adolf zrobił to z własnego instynktu, przez przywiązanie do ciebie!...

Pewnego dnia biedny mąż, uwięziony w mieszkaniu ulewnym deszczem lub może zmęczony spędzaniem wieczorów przy grze, w kawiarni, w towarzystwie, znudzony wszystkim, z rezygnacją udaje się po obiedzie za żoną do jej pokoju. Zagłębia się w wygodnym fotelu i czeka z miną sułtana na kawę. Wydaje się, jakby myślał:

„Ostatecznie, przecież to moja żona!...”

Tymczasem syrena przyrządza sama jego ulubiony napój; ze szczególnym staraniem prześciera go, słodzi, kosztuje i podaje mężowi; następnie, z uśmiechem odaliski, odważa się na

---

<sup>97</sup> C h e v e t – znany paryski sklep spożywczy.

jakiś żarcik, ażeby rozchmurzyć czoło swego pana i władcy. Mąż dotąd był przekonany, iż żona jego jest głupia; toteż spotykając się nagle z jednym i drugim spostrzeżeniem, tryskającym bystrością i dowcipem, podnosi głowę charakterystycznym ruchem psa, który zwietrzył zająca.

„Skąd ona to wzięła, u licha?... To chyba przypadek!” – powiada sobie w duchu.

Z wyżyn swej wielkości odpowiada również jakąś ciętą uwagą. Pani ją podejmuje, rozmowa staje się zarówno żywa jak zajmująca i nasz mąż, człowiek dość nieprzeciętny, popada w coraz większe zdumienie, odkrywając w żonie najróżnorodniejsze wiadomości; trafne określenia przychodzą jej na usta niesłychanie łatwo; jej takt i delikatność słowa odsłaniają mu czarujące swą nowością horyzonty. Wprost nie ta sama kobieta! Ona zdaje sobie sprawę z wrażenia, jakie wywarła, i zarówno chcąc pomścić się za dawniejsze lekceważenie, jak pragnąc wzbudzić podziw dla swego kochanka, któremu, można rzec, zawdzięcza te skarby, ożywia się, staje się coraz błyskotliwsza. Mąż, bardziej niż kto inny zdolny ocenić to odszkodowanie, które ma bezwarunkowo wartość dla przyszłego pożycia, bliski jest myśli, że może zakazana miłość jest dla kobiet niezbędną polityką duchową.

Ale jak wziąć się do rzeczy, aby odsłonić rodzaj odszkodowania, który porusza serce męża najbardziej bezpośrednio?

Między chwilą, w której zjawiają się ostatnie symptomy, a epoką pokoju małżeńskiego, którym nie omieszkamy się zająć, upływa około lat dziesięciu. Przez ten przeciąg czasu, nim małżonkowie podpiszą traktat, który, dzięki szczeremu pojednaniu między narodem a jego prawym władcą, uświęci wreszcie tę małżeńską Restauracyjkę, słowem, nim się zamknie, według wyrażenia Ludwika XVIII, otchłań rewolucyj, rzadkim jest, aby przyzwoita kobieta miała tylko jednego kochanka. Anarchia ma swoje nieuniknione fazy. Po panowaniu gwałtownych i namiętnych trybunów następują rządy szabli lub pióra, gdyż nie spotyka się kochanków, których stałość rozciągałaby się na lat dziesięć. Wreszcie, wobec udowodnionego naszym rachunkiem pewnika, iż przyzwoita kobieta zaledwie wywiąże się ściśle ze swych fizjologicznych czy szatańskich właściwości, uszczęśliwiając tylko trzech mężczyzn, prawdopodobne jest, iż zapanuje ona swe kroki w więcej niż jedną krainę miłości. Otóż może się zdarzyć, że podczas jakiegoś zbyt długiego miłosnego bezkrólestwa kobieta, czy to pod wpływem kaprysu, czy pokusy, czy też dla uroku nowości, postanawia uwieść własnego męża.

Wyobraźcie sobie uroczą panią de T., bohaterkę naszego rozmyślenia poświęconego strategii, jak rzuca mężowi te słowa, którym towarzyszy wiele mówiące spojrzenie:

– Ależ nigdy jeszcze nie widziałam cię tak miłym!... Od pochlebstwa do pochlebstwa, kusi cię, drażni, stroi żarciki, umiejętnie rozwija w tobie najłżejsze pragnienie, chwyta je w lot i doprowadza do tego, iż stajesz się dumny z samego siebie. Wówczas nadchodzi dla męża noc odszkodowań. Kobieta olśniewa jego wyobraźnię. Podobna podróżnikom, którzy zdeptali całą kulę ziemską, opowiada o cudach przebieganych krain, miesza w swych rozmowach słowa zaczerpnięte z rozmaitych języków. Zmysłowe obrazy Wschodu, oryginalny rytm hiszpańskiej mowy, wszystko się tłoczy, wszystko ściera się na jej ustach. Roztacza skarby swego albumu z tajemniczą kokieterią; jest czarująca: masz przed sobą kobietę, której nigdy nie znałeś!... Z ową szczególną sztuką, z jaką kobiety przyswajają sobie wszystko, czego ich ktoś nauczy, umiała stopić wszystkie odcienie, aby z nich stworzyć rodzaj będący jej wyłączną własnością. Otrzymałaś z rąk hymenu tylko jedną kobietę, naiwną i niezręczną; wspaniałomyślny Zakon Bezzennych oddaje ci ich dziesięć. Upojony i oczarowany mąż patrzy, jak na posłanie jego wpada figlarna zgraja owych lubieżnych kurtyzanek, o których mówiliśmy w rozmyśleniu tyczącym „Pierwszych objawów”. Boginie te układają się w grupy, poczynają igrać i szaleć pod wytwornym muślinem małżeńskiej alkowy. Fenicjanka, kołysząc się lekko, rzuca ci wieńce, Chalcydyjka czaruje cię powabem białych i delikatnych nóżek. Unelmana przybywa i odsłania ci, w dialekcie pięknej Jonii, nieznanne skarby szczęścia, dając ci poznać w jednym wzruszeniu wszystkie skarby głębokiej sztuki.

Pełen żalu, iż wzgardził tyloma urokami, zmęczony nieraz obracaniem się wśród kapłanek Wenery, u których spotkał tyleż przewrotności, co u przyzwoitych kobiet, mąż przyspiesza niekiedy swym odrodzonym zapałem chwilę pojednania, do której zawsze dążą wszyscy rozsądni ludzie. Żniwo tego powrotnego szczęścia daje może więcej rozkoszy niżli zbiór jego pierwszego zasiewu. Minotaur zabrał ci złoto, oddaje diamenty. Sądźmy, iż tutaj jest właściwe miejsce, aby podnieść pewien fakt niezmiernej doniosłości. Można mieć kobietę nie posiadając jej. Podobny większości mężów, może i ty nie posiadałeś naprawdę nic ze swej żony i aby wasz związek uczynić doskonałym, trzeba było potężnej interwencji Zakonu Bezzenników. Jak nazwać ten cud, jedyny, który spełnia się w nieobecności pacjenta?... Cóż robić, bracia, nie myśmy stworzyli naturę!...

Ale ileż jest jeszcze innych, nie mniej bogatych zadośćuczynień, przez które szlachetna i zdolna do poświęceń dusza młodego kochanka umie niekiedy kupić sobie przebaczenie! Sam przypominam sobie, iż byłem świadkiem najwspanialszego odszkodowania, jakie może ofiarować kochanek mężowi, pchniętemu przez siebie w paszczę Minotaura.

Pewnego letniego wieczora w roku 1817, wchodząc do Tortoniego<sup>98</sup>, spostrzegłem jednego z owych dwustu młodych ludzi, których z takim przekonaniem nazywamy naszymi przyjaciółmi. Pojawił się w całym blasku przybranej skromności. Prześliczna, z najwytworniejszym smakiem ubrana kobieta, odważając się na odwiedzenie jednego z tych milutkich buduarów uświęconych przez modę, wysiadła właśnie z eleganckiego pojazdu, który zatrzymał się na bulwarze, arystokratycznie wkraczając na teren pieszych. Młody kawaler postępował podając rękę swej królowej, gdy mąż szedł za nimi, prowadząc dwoje ślicznych jak aniołki dzieciaków. Para kochanków, zwinniejsza od ojca rodziny, przybyła przed nim do wskazanego przez cukiernika gabinetu. Przechodząc przez salę, mąż trącił jakiegoś dandysa, który się obruszył; wszczęła się kłótnia i wskutek ostrej wymiany zdań przybrała w jednej chwili poważny charakter. W chwili gdy dandys miał się już posunąć do gestu niegodnego szanującego się człowieka, wpada młody człowiek, wstrzymuje ramię eleganta, miesza go, wprawia w osłupienie, miażdży; słowem, jest wspaniały. Czynu, który miał zamiar wykonać napastnik, on dopełnia dwoma słowami:

– Mój panie?...

To „mój panie?...” było jednym z najpiękniejszych przemówień, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się słyszeć. Zdawałoby się, że młody człowiek chce powiedzieć: „Ten ojciec rodziny należy do mnie; ponieważ ja przywłaszczyłem sobie jego honor, moją jest rzeczą go bronić. Znam mój obowiązek, jestem jego zastępcą i będę się bił za niego”. Młoda kobieta była wzniosła! Błada, wzburzona, chwyciła za rękę męża, który jeszcze coś mówił, i bez słowa pociągnęła go z dziećmi do pojazdu. Była to wielka dama, z tych, które zawsze umieją pogodzić gwałtowność uczuć z wymaganiami dobrego tonu.

– Och! panie Adolffie! – zawołała na widok kochanka, który z pogodną twarzą zbliżał się do powozu.

– To nic, proszę pani, to mój przyjaciel; jużeśmy się uściskali...

Jednakże nazajutrz rano rycerski młodzieniec otrzymał pchnięcie, które przyprawiło go o niebezpieczeństwo życia. Przeleżał sześć miesięcy w łóżku, będąc przedmiotem najtkliwszej opieki obojga małżonków. Czyż nie piękne zadośćuczynienie!?

W kilka lat po tym wypadku sędziwy wuj męża, którego przekonania nie godziły się z opiniami młodego przyjaciela domu i który z powodu jakiejś dyskusji zachował doń nieco urazy, postanowił wyrugować go z rodziny. Starzec posunął się aż do oświadczenia siostrzeńcowi, iż ma do wyboru między jego sukcesją a odprawą nie dość grzecznego kawalera. Wówczas zacny finansista (był to agent giełdowy) odparł:

---

<sup>98</sup> T o r t o n i – założona w Paryżu pod koniec XVIII w. kawiarnia, bardzo modna za Cesarstwa oraz za Restauracji.

– Nie, wuju; nawet dla ciebie nie byłbym zdolny uchybić obowiązkom wdzięczności!... Ależ ten młody człowiek, gdybym mu słowo powiedział, dałby się zabić za ciebie!... On uratował mój kredyt, poszedłby w ogień dla mnie, uwalnia mnie od żony, sprowadza mi klientów, dostarczył mi prawie wszystkich transakcji przy ostatniej pożyczce państwowej... winien mi jestem życie, jest ojcem moich dzieci... to są rzeczy, których się nie zapomina!...

Wszystkie te odszkodowania mogą uchodzić za zupełne; ale, niestety, bywają rozmaite odszkodowania; istnieją na przykład: negatywne, zwodnicze, wreszcie bywają negatywne i zwodnicze równocześnie.

Znam męża w starszym wieku, opanowanego przez demona gry. Prawie co wieczór kochanek żony przychodzi doń na partię. Wydziela mu hojnie rozkosze, jakie daje niepewność i zmienne losy gry, i umie tak pokierować, aby przegrać co miesiąc około stu franków; ale otrzymuje je od pani... Zadośćuczynienie zwodnicze.

Jesteś panem Francji, a masz same córki. Wreszcie żona urodziła chłopca! Zadośćuczynienie negatywne.

Dziecię, które ma ocalić twe imię od zapomnienia, podobne jest do matki... Żona zapewnia, iż dziecko jest twoje. Zadośćuczynienie negatywne staje się zwodniczym.

Oto jeden z najparadniejszych przykładów zadośćuczynienia, jakie znamy.

Pewnego poranka księżę de Ligne spotyka kochanka żony i pędzi ku niemu śmiejąc się do rozpuku:

– Mój drogi – woła – dziś w nocy przyprawiłem ci rogi!

Jeżeli tylu mężów dochodzi powolutku do pokoju małżeńskiego i nosi z takim wdziękiem idealne oznaki władzy małżeńskiej, filozofia ich opiera się z pewnością na korzyściach pewnych zadośćuczynień, których gawiedź nie umie odgadnąć. Jeszcze parę lat i para małżonków dopływa do ostatniego okresu sztucznej egzystencji, na jaką skazała się dobrowolnie, wiążąc się z sobą na życie.



## ROZMYŚLANIE DWUDZIESTE DZIEWIĄTE

### *O pokoju małżeńskim*

Duch mój z takim przejęciem towarzyszył małżeństwu we wszystkich fazach jego urojonego życia, że mam uczucie, jakbym się sam zestarzał razem ze stadłem, które oglądaliśmy tak młodym na początku dzieła.

Przeżywszy w wyobraźni uniesienia pierwszych ludzkich namiętności, nakreśliwszy obraz, daleki zresztą od dokładności, głównych wypadków małżeńskiego pożycia, naborykawszy się z tyloma kobietami, które nigdy do mnie nie należały, zużywszy siły na walkę z tyloma charakterami, które sam wywołałem z nicości, napatrzywszy się tylu bitwom, uczuwam pewne znużenie, które przesłania niby krepą sprawy ludzkiego życia. Mam uczucie, że mam astmę, że noszę zielone okulary, że mi się ręce trzęsą i że drugie pół egzystencji i książki strawię na tym, aby okupić szaleństwa pierwszej ich połowy.

Widzę się otoczonym dorosłymi dziećmi, których istnienia nie zawiniłem, widzę się obok żony, nie przypominając sobie, bym ją kiedy poślubił. Zdaje mi się, że czuję zmarszczki na czole. Siedzę przy kominku, który, na przekór, iskrzy się wesoło; patrzę na ściany staroświeckiego pokoju... Wówczas doznaję uczucia przerażenia; przykładając rękę do serca, zapytuję: „Czyżby już zwiędło?”...

Podobny staremu prokuratorowi, nie daję do siebie przystępu żadnemu uczuciu; przyjmuję do wiadomości fakt jedynie wówczas, gdy mi go potwierdzi, jak mówi gdzieś Byron, dwóch sumiennych fałszywych świadków. Żadna twarz mnie już nie zwiedzie. Jestem ponury i wystygły. Znam życie i nie ma już ono dla mnie złudzeń. Najświętsze moje przyjaźnie zdradzo-no. Zamieniam z żoną moją spojrzenia nieopisanej głębi; każde słowo jest sztyletem, który przeszywa na wskroś nasze życie. Czuję w sobie straszliwe zimno. A więc to jest ów spokój starości! Zatem starzec już zawczasu posiada w sercu ów cmentarz, który wkrótce jego posiedzie. Przyzwyczajają się do jego chłodu. Człowiek obumiera, jak uczą nas filozofowie, częściowo, a nawet prawie zawsze oszukuje śmierć; to bowiem, co jej koścista ręka zdoła wreszcie zagarnąć, czyż to zawsze można nazwać życiem?...

Och! umrzeć młodo i w pełni sił!... Cóż za los godny zazdrości! Czyż to nie znaczy, jak powiedział czarujący poeta, „unieść z sobą wszystkie złudzenia, zagrzebać się, jak wschodni monarcha, ze wszystkimi skarbami i drogimi kamieniami, z całym ludzkim dobytkiem”? Ileż wdzięczności winniśmy czuć dla łagodnego i dobrotliwego ducha, który przenika wszystkie rzeczy ziemskie! W istocie, tę samą troskliwość, jaką natura okazuje, gdy odziera nas sztuka

po sztuce z naszego ubioru, gdy rozdziwia niejako duszę, osłabiając stopniowo słuch, wzrok, dotyk, zwalniając krążenie krwi i zagęszczając soki żywotne, aby nas uczynić równie mało wrażliwymi na wtargnięcie śmierci, jak byliśmy nimi na wtargnięcie życia, tę samą macierzyńską troskliwość, jaką ma dla naszej kruchej powłoki, rozwija również dla naszych uczuć i dla tego podwójnego istnienia, które powołuje do życia miłość małżeńską. Zsyła nam najpierw Pewność, która, wyciągając ku nam rękę i otwierając serce, powiada: „Patrz, otom twoja na zawsze...” W ślad za nią idzie Chłód: postępuje leniwo, odwracając jasną głowę, aby ukryć ziewanie, jak młoda wdowa, zmuszona wysłuchać przemowy ministra, który ma jej podpisać dekret na pensję. Nadchodzi Obojętność: wyciąga się na kanapie, nie troszcząc się o to, aby spuścić fałdy sukni, którą niegdyś żądza podnosiła z tak niewinnym bezwstydem. RzUCA spojrzenie, równie wolne od zawstydzienia jak od nieskromności, na łożo małżeńskie i jeśli czego jeszcze zdolną jest pragnąć, to chyba niedojrzałych owoców, które by pobudziły stepione nerwy jej podniebienia. Wreszcie zjawia się filozoficzne Poznanie życia z chmurnym i wzdurliwym czołem, wskazując palcem rezultaty, a nie przyczyny, spokój zwycięstwa, a nie burze walki. Obrachowuje zaległości dzierżawców i układa działy dla dzieci: materializuje wszystko. Jakby za dotknięciem zaczarowanej laseczki życie staje się zwarte i pozbawione sprężystości; niegdyś wszystko było ruchliwe i płynne, obecnie nabrało twardości minerału. Rozkosz przestaje wówczas istnieć dla naszych serc; jest osądzona i potępiona, jako przelotne wrażenie. Dusza pragnie dziś czegoś stałego; szczęściem jest tylko to, co trwałe, spoczywa ono w zupełnym spokoju, w regularności posiłków, snu i innych czynności ocięzanych organów.

– To straszne!... – krzyknąłem – wszak ja jestem młody, pełen życia!... Niech raczej przepadną wszystkie książki świata niż moje złudzenia!

Wybiegłem z pracowni i rzuciłem się w wir Paryża. Mijając po drodze pełno uroczych postaci kobiecych, przekonałem się, że jeszcze nie jestem starcem. Pierwsza młoda kobieta, jaką spotkałem, ładna i dobrze ubrana, ogniem spojrzenia rozproszyła czary, których stałem się dobrowolną ofiarą. Ledwie przeszedłem parę kroków po Tuileriach, tam bowiem skierowałem kroki, ujrzałem żywy wzór sytuacji małżeńskiej, do której dopłynęliśmy w tej książce. Gdyby chodziło o scharakteryzowanie, wyidealizowanie lub uzmysłowienie małżeństwa, tak jak się ono przedstawia w moich pojęciach, wówczas nawet Trójca Święta nie potrafiłaby dlań stworzyć równie doskonałego symbolu.

Wyobraźcie sobie kobietę lat około pięćdziesięciu, w brązowej merynosowej narzutce; w lewej ręce trzyma na zielonym sznurku angielskiego pincza, prawą zaś podaje mężczyźnie, ubranemu w czarne jedwabne pończochy i w dziwaczny kapelusz, odsłaniający z obu stron białe kłaczki, niby skrzydła gołąbka. Warkoczyk, nie grubszy od obsadki, kołysał się nad żółtawym i dość tłustym karkiem, obnażonym przez odwinięty kołnierz zniszczonego surduta. Para ta przechadzała się uroczystym krokiem po ogrodzie, przy czym mąż, co najmniej siedemdziesięcioletni, zatrzymywał się uprzejmie za każdym razem, gdy piesek zdradzał tego potrzebę. Przyspieszyłem kroku, aby wyminąć ten żywy obraz mego rozmyślenia, lecz jakież było me zdumienie, gdy poznałem margrabiego de T., owego przyjaciela hrabiego de Noce, który od dawna był mi winien koniec przerwane opowiadania, powtórnego w rozdziale o „Teorii łożka” (patrz rozmyślanie siedemnaste).

– Mam zaszczyt – rzekł – przedstawić panu margrabinę de T.

Złożyłem głęboki ukłon damie o wyblakłej i pomarszczonej twarzy. Czoło jej zdobne było wianuszkami płaskich i równo ułożonych loków, które, dalekie od stworzenia jakichkolwiek złudzeń, uwydatniały jeszcze sieć zmarszczek na twarzy. Dama była nieco uróżowana i robiła wrażenie podstarzałej prowincjonalnej aktorki.

– Nie wyobrażam sobie, co by pan mógł zarzucić małżeństwu takiemu jak nasze – rzekł starzec.

– Już samo prawo rzymskie mi tego zabrania!... – odpowiedziałem ze śmiechem.

Margrabina rzuciła mi spojrzenie, w którym mieściło się tyleż niepokoju, co nagany, i które zdawało się mówić:

„Czyżbym na to doszła moich lat, aby być tylko konkubina?...”

Siedliśmy na ławce w cieniście zakątku terasy, która wznosi się nad placem Ludwika XV. Jesień poczęła już ogałacać drzewa i rozsypała przed nami żółte liście swego wieńca, ale słońce nie przestało jeszcze zsyłać dobroczynnego ciepła.

– I cóż, dzieło skończone?... – rzekł starzec z owym pełnym namaszczenia akcentem, właściwym ludziom dawnej arystokracji.

Słowom tym towarzyszył, jako komentarz, sardoniczny uśmiech.

– Bez mała – odparłem. – Dopłynąłem do sytuacji filozoficznej, do której, o ile mogę sądzić, i pan właśnie doszedł; ale wyznaję, że...

– Szukasz idei, która by była konkluzją? – dorzucił kończąc zdanie, którego nie umiałem wyrazić. – Otóż – ciągnął dalej – może pan śmiało oświadczyć, że zbliżając się do zimy życia człowiek... (rozumie się, człowiek, który umie myśleć) przestaje wierzyć w istnienie miłości takiej, jaką stwarzał obłęd naszych złudzeń...

– Jak to! Nazajutrz po ślubie chce pan przeczyć istnieniu miłości?

– Hm – odparł – nazajutrz to byłoby jeszcze możliwe, ale moje małżeństwo jest prostą spekulacją – dodał pochylając się do mego ucha. – Kupiłem sobie opiekę, starania, usługi, których potrzebuję, i jestem zupełnie pewny, że znajdę wszystkie względy, jakich mój wiek wymaga, gdyż zapisałem cały majątek siostrzeńcowi; wobec tego więc, że żona moja będzie otoczona dostatkiem tylko póty, póki ja żyję, pojmujesz, że...

Rzuciłem starcowi tak wymowne spojrzenie, że ścisnął mi rękę i rzekł:

– Zdaje mi się, że pan masz dobre serce, bo ręczyć za nic nie można... Zatem pozwalam panu wierzyć, że zachowałem i dla niej miłą niespodziankę w testamencie – dodał wesoło.

– Biegnij prędko, Józefie – wykrzyknęła margrabina spiesząc naprzeciw służącego, który niósł watowany jedwabny paltot – panu już może zimno.

Stary margrabia włożył paltot, zapiął się szczelnie i, ujmując mnie za ramię, zaprowadził mnie w miejsce wystawione na promienie słońca.

– W książce swojej – rzekł – mówiłeś pan z pewnością o miłości z punktu młodego człowieka. Otóż jeśli chcesz dopełnić obowiązku, jaki nakłada panu słowo ek... elek...

– Eklektyzm... – poddałem z uśmiechem, gdyż nigdy nie mógł sobie przyswoić tego filozoficznego terminu.

–No wiem!... – oburknął. – Jeśli zatem chcesz pan dopełnić swoich ślubów e l e k t y z m u, trzeba, abyś wyraził w tej kwestii kilka bardziej męskich poglądów, które panu zaraz rozwinę, nie spierając się z panem o zasługę autorską, jeśli w ogóle można tu mówić o zasłudze. Chcę i panu coś po sobie zostawić, ale też będzie to wszystko, czego się możesz spodziewać.

– Nie ma na świecie bogactw, które by były warte bogactwa myśli, oczywiście jeżeli myśli są dobre! Słucham z wdzięcznością.

– Miłość nie istnieje – zaczął starzec patrząc mi w oczy – To nie jest nawet uczucie; to po prostu oplakana konieczność, zajmująca pośrednie miejsce między potrzebami ciała a duszy. Ale, wchodząc na chwilę w pańskie młodzieńcze poglądy, spróbujmy określić rozumowo tę chorobę społeczną. Zdaje mi się, że nie może pan pojmować miłości inaczej jak tylko jako potrzebę lub jako uczucie.

Skinałem twierdząco głową.

– Rozważana jako potrzeba – ciągnął starzec – miłość zjawia się najpóźniej ze wszystkich, a najwcześniej ustępuje. Zaczynamy się kochać w dwudziestym roku (nie wchodzę w różnice indywidualne), przestajemy zaś w pięćdziesiątym. W ciągu tych lat trzydziestu ile razy potrzeba ta dałaby się nam uczuć, gdyby nas nie pobudzały drażniące obyczaje miejskie oraz nałóg pędzenia życia w towarzystwie nie kobiety, lecz kobiet? Ile winni jesteśmy idei utrzy-

mania gatunku? Może tyle dzieci, ile liczymy piersi kobiecych, choćby bowiem jedno dziecko umarło, drugie zostanie przy życiu. Gdyby każdy sumiennie dostarczał tych dwojga dzieci, dokąd zaszłyby narody? Trzydzieści milionów mieszkańców stanowią zaludnienie – zbyt gęste dla Francji, skoro ziemia nie wystarcza, aby więcej niż dziesięć milionów ocalić od nędzy i głodu. Pomyśl, że Chiny zmuszone są rzucać dzieci do wody, jeśli wierzyć podróżnikom. Zatem spłodzić dwoje dzieci to całe zadanie małżeństwa. Nadliczbowe przyjemności są nie tylko rozpustą, ale i olbrzymią stratą, jak to zaraz udowodnię. Porównaj zatem z tą tak mizerną i krótkotrwałą działalnością codzienne i ustawne wymagania innych warunków egzystencji! Natura przypomina nam co chwila nasze istotne potrzeby, odmawia zaś stanowczo udziału w wybrykach, jakich wyobraźnia nasza szuka niekiedy w miłości. Jest to zatem ostatnia z potrzeb; jedyna, której zaniedbanie nie wywołuje zaburzeń w ekonomii ustroju. Miłość jest zbytkiem społecznym, jak koronki i drogie kamienie. A teraz, zważając ją jako uczucie, możemy w niej rozróżnić rozkosz i namiętność. Zanalizuj rozkosz. Uczucia ludzkie wspierają się na dwóch pierwiastkach: pociągu i odrazy. Pociągiem jest owo ogólne uczucie, które budzą w nas rzeczy zgodne z instynktem samozachowawczym. Odraza jest przejawem tego samego instynktu, który nas ostrzega, że jakaś rzecz może nam przynieść szkodę. Wszystko, co wstrząsa potężnie nasz organizm, daje nam wewnętrzne poczucie istnienia: oto rozkosz. Składa się ona z pragnienia, z przeszkód i z posiadania; czego, rzecz obojętna. Rozkosz to czynnik jedyny, a namiętności nasze to tylko jego odmiany, mniej lub więcej żywe; toteż prawie zawsze nałóg jednej wyklucza inne. Otóż ze wszystkich rozkoszy miłość jest najmniej żywa i najmniej trwała. Gdzie pomieścisz rozkosz miłości?... Czy w posiadaniu pięknego ciała?... Za pieniądze możesz kupić na jeden wieczór najcudniejsze odaliski, ale po miesiącu stępisz w sobie na zawsze wszelką wrażliwość. Czyżby tu grało rolę co innego? Czy może kochasz kobietę dlatego, że jest dobrze ubrana, wykwinna, bogata, że ma własny powóz, wysokie stanowisko?... Nie nazywaj tego miłością; to tylko próżność, chciwość, egoizm. Kochasz ją dla jej umysłu?... Wówczas ulegasz może skłonnościom literackim.

– Ależ – wtrąciłem – miłość odsłania swe skarby jedynie tym, którzy stopią swoje myśli, losy, uczucia, dusze, życia...

– Och!... och!... och!... – wykrzyknął starzec drwiąco – znajdźże mi siedmiu ludzi w każdym narodzie, którzy by poświęcili kobiecie nie swoje życie... bo to bardzo niewiele: cena życia ludzkiego za Napoleona nie podniosła się wyżej dwudziestu tysięcy franków i w tej chwili istnieje we Francji dwieście pięćdziesiąt tysięcy zuchów, którzy gotowi są je oddać za dwa cale czerwonej wstążeczki – ale siedmiu ludzi zdolnych poświęcić kobiecie dziesięć milionów, na których przespali samotnie jedną jedyną noc... Dubreuil i Phmeja<sup>99</sup> są może mniej rzadkim zjawiskiem, niż miłość panny Dupuis i Bolingbroka. Wówczas uczucia te wypływają z jakiejś nieznannej przyczyny. Ale doprowadziłeś mnie swą uwagą do rozważania miłości jako namiętności. Otóż i tu jest ona ze wszystkich ostatnią i najnędzniejszą. Przyrzeka wszystko, nie dotrzymuje nic. Zjawia się tak samo jak miłość, brana jako potrzebą, ostatnia, a pierwsza zanika. A, mów mi pan o zemście, o nienawiści, o skąpstwie, o grze, o ambicji, o fanatyzmie!... Te namiętności mają w sobie coś męskiego, są niespożyte; co dnia wydobywają z ludzi poświęcenia, jakie w miłości zdarzają się jedynie dla popisu. A teraz – dodał – spróbuj odrzucić miłość. Przede wszystkim odpada mnóstwo kłopotów, trosk, niepokojów; odpadają drobne namiętności, które trwonią tyle sił. Człowiek żyje szczęśliwy i spokojny; biorąc społecznie, potęga jego stała się nieskończenie większa, wydatniejsza. Wyrzeczenie się owego nieokreślonego c z e g o ś, zwanego miłością, jest najistotniejszym źródłem potęgi wszystkich ludzi, którzy oddziałują na masy. Ale to nic jeszcze! Ach! gdybyś wiedział, jak magiczną siłą obdarzony jest człowiek, jakie są skarby jego władz umysłowych i jaką długowieczność

---

<sup>99</sup> D u b r e u i l i P h m é j a (Péméja) – para wiernych przyjaciół, o której wspomina pani de Staël w swej „Korynnie”.

ciała zdolny jest osiągnąć, skoro, oderwawszy się od ludzkich namiętności, zużywa wszystkie siły na dobro duszy! Gdybyś mógł dwie minuty opływać w skarby, jakich udziela Bóg owym mędrcom, patrzącym na miłość jako na przelotną potrzebę, której wystarczy poddać się w dwudziestym roku życia na czas sześciu miesięcy; ludziom, którzy, wzgardziwszy sytnym i ciężkim normandzkim befsztykiem, żywią się korzonkami, tak hojnie rozsypanymi po ziemi przez Stwórcę, a sypiają na suchych liściach, jak pustelnicy Tebaidy!... Ach! nawet trzech sekund nie zachowałbyś na grzbiecie tej wełny, z której odarto dla ciebie piętnaście merynosów; rzuciłbyś swą laseczkę i pospieszyłbyś żyć w krainie niebios!... Tam znalazłbyś miłość, której szukasz w ziemskim kale; tam usłyszałbyś koncerty melodyjniejsze nieco niż muzyka pana Rossiniego, głosy czystsze niż śpiew pani Malibran... Ale ja mówię o tym jak człowiek ślepy, jedynie ze słyszenia; gdybym się nie był znalazł w Niemczech po roku 1791, nie miałbym o tym wszystkim żadnego pojęcia... Tak, w człowieku tkwi tęsknota do nieskończoności; jest w nim instynkt, który go ciągnie ku Bogu. Bóg jest wszystkim, daje wszystko, pozwala zapomnieć o wszystkim, a myśl jest nitką, którą nam rzucił, abyśmy się mogli z Nim porozumiewać!...

Zamilkł z oczyma wlepionymi w niebo.

„Staruszek sfiksował” – pomyślałem; głośno zaś rzekłem:

– Panie margrabio, byłoby to z mej strony bardzo wielkim ustępstwem na rzecz eklektycznej filozofii, gdybym pomieścił w mej książce pańskie poglądy; zniszczyłyby to zupełnie zniszczyć moje dzieło. Wszystko w nim jest oparte na platonicznej lub zmysłowej miłości. Niech mnie Bóg broni, abym miał kończyć książkę takimi bluźnierstwami! Wolę raczej wrócić jakimś pantagruelicznym zwrotem do mego stadka kawalerów i przyzwoitych kobiet, wysilając umysł, aby odkryć jakąkolwiek społeczną i racjonalną użyteczność w ich namiętnościach i szaleństwach. Och! och! jeśli spokój małżeński prowadzi nas do tak ponurych rozczarowań, znam wielu mężów, którzy woleliby wojnę.

– Ha! młodzieńcze – krzyknął stary margrabia – nie będę sobie miał do wyrzucenia, że nie wskazałem drogi zbłąkanemu wędrowcowi.

„Bywaj zdrow, stary trupie!... – rzekłem sobie w duchu – bywaj zdrow, ty małżeństwo chodzące! ty tyczko po spalonym fajerwerku! zniszczona dekoracja! Choć nieraz dałem ci ten lub ów rys ludzi, którzy mi byli drodzy, stare portrety rodzinne, wracajcie teraz do kramu antykwarza, idźcie się spotkać z panią de T. i wszystkimi innymi; niech z was porobią bohomy... co mi tam!”

## ROZMYŚLANIE TRZYDZIESTE

### *Zakończenie*

Pewien samotnik, posiadający rzekomo dar jasnowidzenia, rzekł do ludu Izraela, aby wstąpił z nim na górę, gdzie usłyszysz objawienie tajemnic. Zbiegł się tłum, zajmując na gościńcu przestrzeń dość znaczną, aby mile połechtać serce pustelnika, jakkolwiek był prorokiem.

Ale ponieważ góra znajdowała się w pewnym oddaleniu, zdarzyło się, iż przy pierwszym spoczynku rzemieślnik przypomniał sobie, że ma dostarczyć pary sandałów możnemu księciu; kobieta pomyślała, iż zupka dla dzieci została na ogniu; handlarz zastanowił się, że miał w tym dniu dokonać transakcji – i wrócili.

Nieco dalej kochankowie zatrzymali się w gaju oliwnym, zapominając o głosie proroka; sądzili, iż ziemia obiecana jest tam, gdzie oni spoczywają, a słowo boże tam, gdzie oni rozmawiają z sobą.

Tłuściochy, obarczeni brzuchem godnym Sanszy, którzy już od kwadransa wycierali chustkami czoło, uczuli pragnienie i zatrzymali się przy źródelku.

Kilku byłych wojskowych skarżyło się na odciski, które im dokuczały, i wspominało o Austerlitz z powodu ciasnego obuwia.

Na drugim przystanku paru ludzi „z towarzystwa” poczęło szeptać:

- Ależ to wariat, ten wasz prorok!
- Czyś ty słuchał, co on mówi?
- Ja? Przyszedłem ot, dla ciekawości.
- A ja przyszedłem, bo widziałem, że wszyscy za nim idą. (Ten ostatni to była perła salonów).

– Ależ to szarlatan!

Prorok szedł ciągle naprzód. Skoro wstąpił na wyżynę, z której odsłaniał się olbrzymi widnokrąg, odwrócił się i spostrzegł koło siebie tylko jednego ubożego Izraelitę, do którego mógłby powiedzieć, jak książe de Ligne do biednego koszlawego dobosza, którego znalazł w miejscu, gdzie spodziewał się, iż oczekuje go cały garnizon:

– I cóż, panowie czytelnicy, jak widzę, jest was tylko jeden?..

Człowieku boży, który towarzyszyłeś mi aż dotąd!... Mam nadzieję, że nie przestraszy cię mała rekapitulacja, wędrowałem bowiem w przekonaniu, iż mówisz sobie zarówno jak ja: „Dokąd my, u diabła, idziemy?...”

A więc zdaje mi się, czcigodny czytelniku, że tutaj jest miejsce, aby cię spytać, jakie jest twoje zdanie w kwestii przywrócenia monopolu tytoniu i co sądzisz o olbrzymich podatkach nałożonych na wino, na prawo noszenia broni, na zabawy, loterię, karty do gry, wódkę, mydło, bawełnę, jedwabie itd.

– Sądzę, iż wobec tego, że podatki te stanowią przynajmniej trzecią część dochodów państwa, byłibyśmy w wielkim kłopotcie, gdyby...

– A zatem, szanowny wzorze mężów, gdyby się nikt nie upijał, nie grał, nie palił, nie polował, słowem, gdybyśmy nie mieli we Francji ani występków, ani namiętności, ani chorób, państwo znalazłoby się o dwa kroki od bankructwa; zdaje się bowiem, że nasz budżet zahipotekowany jest na zgorzeniu publicznym, tak jak nasz handel żyje tylko dzięki zbytkowi. Jeśli spróbujemy wejrzeć w rzecz nieco bliżej, wszystkie podatki opierają się na jakiejś chorobie moralnej. W istocie, czyż jeden z największych dochodów państwa nie płynie z kontraktów, którymi każdy skwapliwie stara się obwarować możliwe nadużycia jego dobrej wiary, tak jak majątki adwokatów czerpią źródło w procesach, za pomocą których ludzie starają się tę dobrą wiarę naruszyć? By dalej wieść te filozoficzne rozważania, ujrzelibyśmy wkrótce żandarmów bez koni i bez pięknych skórzanych spodni, gdyby cały świat zachowywał się spokojnie i gdyby nie było głupców ani próżniaków. I nakłaniajcie tu do cnoty!... Otóż zdaje mi się, iż istnieje więcej, niż się wydaje, związków między mymi przyzwoitymi kobietami a budżetem, i podejmuję się to udowodnić, jeśli pozwolicie mi zakończyć książkę, tak jak się zaczęła, rozprawką statystyczną. Czy zgodzicie się na to, że kochanek zużywa więcej świeżej bielizny niż mąż lub kawaler chwilowo niezajęty? Zdaje mi się, że to nie ulega wątpliwości. Różnicę między mężem a kochankiem można spostrzec od pierwszego rzutu oka. Pierwszy nie ucieka się do żadnych sztuczek, często bywa nieogolony, gdy drugi nie pokazuje się inaczej, jak tylko w pełnym rynsztunku. Sterne powiedział dowcipnie, iż książeczka praczki jest najbardziej historycznym dokumentem do jego „Tristrama Shandy” i że z ilości zużytych koszul można odgadnąć, które ustępy książki przychodziły mu z największą trudnością. Otóż tak samo u kochanków, rachunek praczki jest najwierniejszym i najbezsronniejszym historykiem ich miłości. W istocie, miłość zużywa niesłychaną ilość spódniczek, krawatów i sukien, niezbędnych dla potrzeb kokieterii; ogromna bowiem część uroku zależna jest od śnieżnej białości pończoch, połysku kołnierza lub świeżości falbanki, od artystycznie zaprasowanego żabotu, od wdzięku, z jakim zawiązany jest krawat lub halsztuk. To tłumaczy ustęp, w którym mówiliśmy o przyzwoitej kobiecie (rozmyślanie II): „trawi życie na krochmaleniu sukien”. Zasięgałem wskazówek u pewnej damy, ile może wynosić ten podatek nałożony przez miłość, i przypominam sobie, że, oznaczywszy go na sto franków rocznie na jedną kobietę, dodała dobrodusznie: „Ale to zależy od charakteru mężczyzny, bo nie wszyscy zużywają jednak”. Niemniej przeto, po bardzo gruntownej dyskusji, w której ja brałem stronę kawalerów, dama zaś stronę swojej płci, ustalono, iż jedno w drugie, para kochanków należąca do warstw społecznych, którymi zajmowała się ta książka, wydaje na ten artykuł o sto pięćdziesiąt franków rocznie więcej niż w czasie pokoju. Za pomocą takiego samego, zgodnego i poprzedzonego długą dyskusją porozumienia określiliśmy zbiorową kwotę czterystu franków różnice wszystkich innych części kostiumu na stopie wojennej w porównaniu do stopy pokojowej. Obliczenie to wydało się nawet bardzo skąpe wszystkim męskim powagom, których zasięgał mi zdania. Doniosłe wskazówki, których udzieliły nam niektóre osoby w tych delikatnych kwestiach, podsunęły nam myśl zgromadzenia na wspólny obiad pewnej ilości rzeczoznawców, aby w tych ważnych dociekaniach korzystać z ich doświadczenia. Zebranie przyszło do skutku. Z kieliszkiem w rękę, po szeregu świetnych przemówień, otrzymały wreszcie sankcję następujące pozycje budżetu miłości:

Sto franków przyznano na posłańców i dorożki. Kwota pięćdziesięciu talarów nie wydała się zbyt wygórowana na paszteciki, które się zajada podczas przechadzki, na bukietki fiołków i teatr. Sumę dwustu franków uznano za niezbędną na wzmożone wydatki stołu, jak

również obiady w restauracjach. Z chwilą gdy przyjęto wydatki, trzeba było znaleźć na nie pokrycie. Wśród tej dyskusji pewnego młodego szwoleżera (w epoce, w której obrady te miały miejsce, król nie zniósł był jeszcze *maison rouge*<sup>100</sup>), który trochę nadużył szampańskiego wina, przywołano do porządku za to, iż ośmielił się porównać kochanków do aparatów destylacyjnych. Ale rozdziałem, który dał powód do najgwałtowniejszego starcia, który nawet, odroczony na kilka tygodni, wywołał potrzebę specjalnego referatu, był paragraf podarków. Na ostatnim posiedzeniu wykwintna pani de D. pierwsza zażądała głosu i w pełnym wdzięku, świadczącym o szlachetności jej uczuć przemówieniu starała się dowieść, że po największej części dary miłości nie mają żadnej wartości realnej. Autor odparł, iż nie było kochanków, którzy by nie kazali robić swoich portretów. Pewna dama nadmienila, że portret jest tylko lokatą i że zawsze po jakimś czasie kochankowie odbierają je, aby je puścić znowu w kurs. Nagle podniósł się pewien szlachcic z Południa, aby wygłosić gwałtowną filipikę przeciw kobietom. Począł mówić o niesłychanym łakomstwie, jakie spotyka się u większości kochanek na futra, jedwabie, klejnoty i meble; ale jedna z pań przerwała mu pytając, czy pani d'O...y, jej bliska przyjaciółka, nie zapłaciła już dwa razy jego długów.

– Myli się pani – odparł Prowansalczyk – to jej mąż.

– Przywołuje się mówcę do porządku – zawołał przewodniczący – i skazuje się go na wydanie kolacji dla całego zgromadzenia, za to, iż użył wyrazu mąż.

Wywody Prowansalczyka odparła na wszystkich punktach pewna dama, która starała się dowieść, że kobiety są o wiele hojniejsze w miłości niż mężczyźni, że kochanek jest to rzecz bardzo droga i że przyzwoita kobieta może się uważać za szczęśliwą, jeśli go opędzi dwoma tysiącami franków rocznie. Dyskusja groziła już zejściem na tory osobiste, kiedy zażądano głosowania. Wnioski komisji uchwalono. Wnioski te uznały w zasadzie, iż podarki, wymienione przez kochanków w ciągu jednego roku, należy określić sumą pięciuset franków, że jednak kwota ta obejmie już: 1° wycieczki za miasto; 2° koszta apteczne, spowodowane zaziębieniami i katarami, których nabywa się przechadzając się wieczorem po wilgotnym parku lub wychodząc z teatru, a które można uważać za prawdziwe podarki; 3° koszta listów i korespondencji; 4° podróże i w ogóle wszystkie wydatki, których szczegóły mogły być w tym rachunku pominięte, bez uwzględnienia jednakże szaleństw rozrzutników; badania bowiem komisji stwierdziły, iż większość tych darów idzie do baletniczek, nie zaś do prawowitych mężatek. Wynikiem tej finansowej statystyki miłości jest pewnik, że przeciętnie jedna namiętność pochłania rocznie około półtora tysiąca, niezbędne na pokrycie wydatków, często nierównomiernie rozdzielonych między parę kochanków, do których jednak nie przyszłoby bez ich wzajemnego uczucia. Zarazem całe zgromadzenie uchwaliło niemal jednogłośnie, iż cyfra ta wskazuje najniższą kwotę rocznego kosztu jednej miłości. Otóż, drogi panie, ponieważ w naszej statystyce małżeńskiej (patrz rozmyślanie I, II i III) udowodniliśmy niezbicie, że istnieje we Francji przybliżona suma co najmniej półtora miliona nielegalnych namiętności, wynika z tego:

że występne stosunki trzeciej części francuskiej ludności przyczyniają się sumą blisko trzech miliardów rocznie do obiegu pieniądza, tej prawdziwej krwi społecznej, której sercem jest budżet państwa;

że przyzwoita kobieta daje życie nie tylko dzieciom ojczyzny, ale i jej kapitałom;

że rękodziela zawdzięczają swój rozkwit jedynie temu ruchowi s y s t o l i c z n e m u;

że przyzwoita kobieta jest jedną z głównych podpór budżetu i najlepszą odbiorczynią;

że najmniejsza zniżka miłości publicznej pociągnęłaby za sobą nieobliczalne nieszczęścia dla skarbu i renty państwowej;

że przynajmniej trzecia część dochodu męża zahipotekowana jest na niewierności jego własnej żony, itd.

---

<sup>100</sup> *M a i s o n r o u g e* – tak nazywały się we Francji niektóre pułki królewskie.



Już widzę, jak otwierasz usta, aby zacząć prawić o obyczajach, o polityce, cnocie i występku. Ależ, drogi oblubieńcze Minotaura, czyż szczęście nie jest celem, jaki sobie zakładać winno każde społeczeństwo?... Czyż nie ten pewnik jest przyczyną, że biedni królowie muszą sobie zadawać tyle kłopotu ze swymi ludami? Otóż uczciwa kobieta nie posiada, zaprawdę, jak oni, tronów, żandarmów, trybunałów; ma do oddania tylko jedno łóżko; ale jeżeli przy pomocy tego pomysłowego przyrządu naszych czterysta tysięcy kobiet umie dać szczęście milionowi bezzennych, a ponadto jeszcze swoim czterystu tysiącom mężów, czyż nie osiągają one, w zaciszu i bez rozgłosu, owego celu, do którego dąży każdy rząd, a który polega na tym, aby dać możliwie największą sumę szczęścia masom?

– Tak, ale zmartwienia, dzieci, nieszczęścia...

Ach, pozwólcie mi przytoczyć tutaj owo pocieszające słówko, które jeden z naszych najdowcipniejszych karykaturzystów położył pod swoim rysunkiem: „Człowiek nie jest doskonały!” Wystarczy zatem, jeśli nasze urządzenia nie mają więcej braków niż zalet, aby je uznać za wyborne; gdyż, biorąc rzecz społecznie, rodzaj ludzki nie ma wyboru między dobrem a złem, ale między złem a gorszym. Zatem, jeżeli dzieło, które w tej chwili kończymy, zdołało złagodzić nieco klęski najgorszego z urządzeń matrymonialnych, odsłaniając błędy i niedorzeczności spowodowane przez nasze obyczaje i przesady, będzie ono z pewnością jednym z najpiękniejszych tytułów, jakie może przedstawić człowiek, aby się znaleźć w rządzie d o b r o c z y ń c ó w l u d z k o ś c i. Czyż autor nie starał się, uzbrajając mężów, ograniczyć swobodę kobiecą, tym samym zaś dać namiętnościom większą siłę, skarbowi więcej pieniędzy, więcej życia handlowi i rolnictwu? Dzięki temu ostatniemu rozmyślaniu może sobie pochlebiać, iż osiągnął w zupełności eklektyzm, który założył sobie rozpoczynając dzieło, i mniema, że, jak bezstronny sędzia, zgromadził wszystkie dokumenty, nie wyciągając jednak żadnych stanowczych wniosków. W istocie, na cóż byście mieli żądać tu jakiegoś uogólnienia? Czy chcecie widzieć w tej książce rozwinięcie ostatniego poglądu, do którego doszedł na schyłku życia Tronchet<sup>101</sup>, a mianowicie: iż prawodawca miał w małżeństwie na względzie o wiele mniej małżonków niż dzieci? Owszem, zgoda. Czy chcecie widzieć w moim dziele tezę owego kapucyna, który, każąc w obecności Anny Austriackiej i widząc, że zarówno królowa jak i jej damy wzburzone są jego zbyt dotkliwymi argumentami o ułomności kobiecej, rzekł schodząc z katedry Prawdy: „Wy wszystkie jesteście uczciwe kobiety, tylko my mężczyźni jesteśmy, na nieszczęście, synami... Samarytanek...” Niech i tak będzie. Pozwalam wam wyciągać z mej książki wszystkie wnioski, jakie chcecie, sądzę bowiem, iż trudno zestawić dwie sprzeczne myśli o małżeństwie, z których każda nie zawierałaby części prawdy. Jednakże książki tej nie napisano ani za, ani przeciw małżeństwu; obowiązkiem jej było dać jedynie jego opis, możliwie najdoskonalszy. Jeżeli zbadanie maszyny może nas doprowadzić do udoskonalenia jakiejś części składowej, jeżeli, czyszcząc zardzewiałe kółka, odświeżyliśmy sprawność mechanizmu, wówczas nagrońdzie robotnika. Jeśli autor pozwolił sobie w swym zuchwałstwie na wygłaszanie zbyt twardych prawd, jeśli zbyt często uogólniał oderwane fakty, jeśli zbyt daleko odbiegał od komunałów, którymi od niepamiętnych czasów pali się kadzidła przed kobietą, och! w takim razie ukrzyżować go! Ale nie podsuwajcie mu wrogich zamiarów dla samej instytucji; zarzuty jego odnoszą się tylko do mężczyzn i kobiet. Zdaje on sobie sprawę, że z chwilą, gdy małżeństwo nie zdołało podkopać samo siebie, jest ono nietykalne i że, ostatecznie, jeśli słyszymy tyle skarg na tę instytucję, to może dlatego, że człowiek pamięta tylko swoje cierpienia i skarży się na żonę, jak się skarży na życie, bo wszak małżeństwo jest niejako życiem w życiu. Jednak osoby, które przywykły urabiać sobie przekonania z dziennika, potępiłyby może książkę, która by zbyt daleko posunęła manię eklektyzmu; zatem, jeśli trzeba im koniecznie czegoś, co by wyglądało na konkluzję, można im, ostatecznie, jakąś

---

<sup>101</sup> François-Denis T r o n c h e t (1726–1806) – wybitny prawnik francuski, obrońca Ludwika XVI przed Konwentem, a potem jeden z twórców Kodeksu Cywilnego Napoleona.

znaleźć. A ponieważ dla rozpoczęcia tej książki posłużyły nam słowa Napoleona, czemuż by się nie miała zakończyć tak, jak się zaczęła? A więc, w pełnej Radzie Stanu, pierwszy konsul wypowiedział to druzgocące zdanie, które stanowi wraz apologię i satyrę małżeństwa, jak również streszczenie tej książki:

– Gdyby mężczyzna nie miał się zestarzeć, nie życzyłbym mu w ogóle małżeństwa!

## POST SCRIPTUM

– A pan, czy ożeni się kiedy?... – spytała księżna, której autor skończył właśnie czytać rękopis.

(Była to jedna z dwóch dam, których bystrości autor oddał już pokłon we wstępie do książki).

– Mam nadzieję, pani – odparł. – Spotkać kobietę na tyle odważną, aby się zgodziła wyjść za mnie, będzie odtąd moim najdroższym marzeniem.

– Zwątpienie czy zarozumiałość?...

– To moja tajemnica.

– A więc, mój doktorze nauk i sztuk małżeńskich, pozwól, bym ci opowiedziała legendę wschodnią, którą czytałam niegdyś. W początkach Cesarstwa panie wprowadziły w modę grę polegającą na tym, aby nic nie przyjąć od osoby, która służy za partnera, nie wymówiwszy słowa: diadesté. Partia trwała, jak pan może sobie wyobrazić, całe tygodnie, szczytem zaś zręczności było podejść jedną lub drugą stroną tak, by przyjęła jakąś drobnostkę bez wymówienia sakramentalnego słowa.

– Nawet pocałunek?

– Och! ze dwadzieścia razy wygrałam diadesté w ten sposób! – odparła ze śmiechem. – Zdaje mi się więc, że to w czasie rozkwitu tej gry, z pochodzenia nie wiem już, chińskiej czy arabskiej, bajka moja dostała zaszczytu druku. Ale jeżeli ją panu opowiem – dodała przezywając siebie, aby wskazującym palcem prawej ręki, prześlicznym i pełnym kokieterii gestem, musnąć koniec noska – pozwoli pan, by znalazła się w zakończeniu pańskiego dzieła...

– Czyż to nie znaczy wzbogacić je prawdziwym skarbem? Tyle już pani zawdzięczam, iż nigdy nie zdołam się wypłacić; zatem, przyjmuję.

Uśmiechnęła się złośliwie i rozpoczęła:

– Pewien mędrzec ułożył szczegółowy zbiór sztuczek, którymi pleć nasza zwykła się posługiwać; aby się przeciw nam doskonale ubezpieczyć, nosił go ustawicznie przy sobie. Pewnego dnia, w podróży, znalazł się opodal obozu Arabów. Na widok podróżnika podniosła się młoda kobieta, spoczywająca w cieniu palmy, i zaprosiła go tak uprzejmie, aby spoczął pod jej namiotem, iż nie mógł się wymówić. Mąż był chwilowo nieobecny. Ledwie filozof usadowił się na miękkim dywanie, pełna wdzięku gospodyni podała mu świeże daktyle i dzbanek z mlekiem; przy czym nie mógł nie zauważyć doskonałej piękności rąk, ofiarujących napój i owoce. Jednak, aby się obronić powabom młodej Arabki a równocześnie obawiając się jakiej zasadzki z jej strony, mędrzec wyjął książkę i wziął się do czytania. Urocza istota, podrażniona tą wzgardą, rzekła melodyjnym głosem:

– Musi ta książka być bardzo interesująca, skoro ci się wydaje jedyną rzeczą godną twej uwagi. Czy byłoby niedyskrecją spytać się o miano nauki, którą zawiera?...

Filozof odparł nie podnosząc oczu:

– Przedmiot jej nie jest przeznaczony dla pań. Odprawa filozofa jeszcze bardziej podnieciła ciekawość Arabki. Wysunęła najładniejszą nóżkę, jaka kiedykolwiek zostawiła ulotny ślad na ruchliwym piasku pustyni. Filozof, rad nierad, oderwał wzrok od książki; oko jego, ulegając zbyt potężnej pokusie, mimo woli posunęło się od obiecującej nóżki do stokroć po-

wabniejszej kibici, następnie zaś płomień jego zachwyty stopił się z ogniem, jakim pałały czarne źrenice młodej córki Azji. Ona spytała powtórnie o treść książki głosem tak słodkim, że oczarowany filozof odpowiedział:

– Jestem autorem tej książki; ale treść nie jest mego pomysłu, zawiera bowiem wszystkie podstępny, jakie zdołały wymyślić kobiety.

– Jak to!... Wszystkie bez wyjątku? – spytało dziecię pustyni.

– Tak, wszystkie! I jedynie dzięki ustawnemu studiowaniu kobiet doszedłem do tego, iż nie potrzebuję się ich obawiać.

– Ach, tak... – rzekła młoda Arabka spuszczać długie rzęsy.

Następnie rzuciła nagle mniemanemu mędrcom tak żywe i wymowne spojrzenie, iż w jednej chwili zapomniał o książce i o podstępach, które w niej były opisane. I oto pan filozof zmienia się naraz w najbardziej rozplómonionego mężczyznę. Spostrzegłszy, w swym mniemaniu, w zachowaniu młodej kobiety odcień zalotności, cudzoziemiec odważył się na wyznanie. I jak byłby się oparł? Niebo było bez chmurki, piasek błyszczał w oddali niby fala złota, wiatr pustyni przynosił wiew miłości, żona zaś Araba zdawała się skupiać w sobie i promieniować wszystkim żar, który ją otaczał, toteż wkrótce jej wymowne oczy zwilgły i ruchem głowy, który zdawał się stwarzać nową grę światła w przesyconej błyskiem atmosferze, przychyliła się do wysłuchania cudzoziemca. Mędrzec poił się już najrozkoszniejszymi nadziejami, gdy nagle młoda kobieta, słysząc w oddali tętent konia, pędzącego jak gdyby na skrzydłach, krzyknęła:

– Jesteśmy zgubieni! Mąż zastanie nas tutaj! Jest zazdrosny jak tygrys, a bardziej jeszcze nieubłagany... W imię Proroka, jeśli ci życie drogie, ukryj się w tym kufrze!...

Przerażony autor, nie widząc innego ratunku, wszedł do kufra i zwinął się w kłębek; kobieta, przykrywszy wieko, schowała klucz przy sobie. Następnie wyszła naprzeciw małżonka i, wprawiwszy go w dobry humor paroma pieszczotami, rzekła;

– Muszę ci opowiedzieć osobliwą przygodę.

– Słucham cię, moja gazelo – odparł Arab siadając na dywanie z podwiniętymi kolanami, obyczajem Wschodu.

– Był tu dziś pewien cudzoziemiec, ot jakiś niby filozof! – rzekła. – Twierdził, iż zebrał w swej książce wszystkie szelmstwa, do jakich zdolne są kobiety; następnie zaś mędrzec zaczął mi mówić o miłości.

– No, i?... – wykrzyknął Arab.

– Byłam gotowa go wysłuchać!... – odparła spokojnie. – Był młody, natarczywy i... przybyłeś w samą porę, aby ocalić mą zbyt wątłą cnotę!...

Arab odskoczył jak młody lew i wydobył z rykiem kindżał. Filozof, który z kufra słyszał każde słowo, wysłał do Arymana swoją książkę, kobiety i w ogóle wszystkich mieszkańców Skalistej Arabii.

– Fatme!... – zakrzyknął mąż – jeśli dbasz o życie, odpowiadaj!... Gdzie jest ten łotr?...

Przerażona wywołaną burzą, Fatme rzuciła się do nóg męża i, drżąc pod groźną stałą sztyletu, jednym spojrzeniem, równie szybkim jak trwożliwym, wskazała kufer. Podniosła się zawstydzona i wyjmując kluczyk zza paska, gdzie był schowany, podała go zazdrośnikowi. Ale w chwili, gdy już miał otworzyć kufer, przebiegła Arabka wybuchnęła śmiechem. Farun zatrzymał się zdumiony i spojrzał na żonę z niepokojem.

– Nareszcie będę miała złoty łańcuch! – wykrzyknęła skacząc z radości. – Musisz mi go dać, przegrałeś diadesté. Na drugi raz miej lepszą pamięć.

Zdumiony mąż upuścił klucz i na kolanach wręczył drogiej Fatmie cudny złoty łańcuch, przyrzekając, iż gotów jest jej przynieść wszystkie klejnoty karawan przeciągających w roku przez pustynię, jeśli się wyrzeknie tak okrutnych podstępów. Następnie, ponieważ to był Arab i nie lubił tracić złotego łańcucha, choćby nawet na rzecz własnej żony, dosiadł znów rumaka

i odjechał wymruczeć się w pustyni, zbyt bowiem kochał Fatmę, aby okazać przy niej swój żal. Wówczas młoda kobieta, wyciągając z kufra na wpół żywego filozofa, rzekła poważnie:

– Panie doktorze, proszę nie zapomnieć o tej sztuczce w swym zbiorze.

– Pani – rzekłem do księżnej – zrozumiałem! To znaczy, że o ile się ożenię, padnę ofiarą jakiegoś nieznanego szelmostwa; ale może pani być pewna, że i wtedy, ku zbudowaniu współczesnych, dam światu obraz wzorowego małżeństwa.

*Paryż, 1824–1829*

## SPIS RZECZY

Od tłumacza.....	2
Wstęp .....	8

### CZEŚĆ PIERWSZA – ROZTRZĄSANIA OGÓLNE

Rozmyślanie pierwsze – <i>Przedmiot</i> .....	15
Rozmyślanie drugie – <i>Statystyka małżeńska</i> .....	21
Rozmyślanie trzecie – <i>O kobiecie przyzwoitej</i> .....	27
Rozmyślanie czwarte – <i>O kobiecie cnotliwej</i> .....	33
Rozmyślanie piąte – <i>O predestynowanych</i> .....	43
Rozmyślanie szóste – <i>O pensjonatach</i> .....	55
Rozmyślanie siódme – <i>O miodowym miesiącu</i> .....	61
Rozmyślanie ósme – <i>Pierwsze oznaki</i> .....	69
Rozmyślanie dziewiąte – <i>Ogólny rzut oka</i> .....	76

### CZEŚĆ DRUGA – O ŚRODKACH OBRONY WEWNĄTRZ I ZEWNĄTRZ

Rozmyślanie dziesiąte – <i>Traktat polityki małżeńskiej</i> .....	82
Rozmyślanie jedenaste – <i>O wykształceniu w małżeństwie</i> .....	88
Rozmyślanie dwunaste – <i>Higiena małżeńska</i> .....	92
Rozmyślanie trzynaste – <i>O środkach osobistych</i> .....	96
Rozmyślanie czternaste – <i>O mieszkaniu</i> .....	102
Rozmyślanie piętnaste – <i>O komorze celnej</i> .....	106
Rozmyślanie szesnaste – <i>Konstytucja małżeńska</i> .....	110
Rozmyślanie siedemnaste – <i>Teoria łóżka</i> .....	116
Rozmyślanie osiemnaste – <i>O rewolucjach małżeńskich</i> .....	129
Rozmyślanie dziewiętnaste – <i>O kochanku</i> .....	133
Rozmyślanie dwudzieste – <i>O policji małżeńskiej</i> .....	136
Rozmyślanie dwudzieste pierwsze – <i>Sztuka wracania do domu</i> .....	147
Rozmyślanie dwudzieste drugie – <i>O perypetiach</i> .....	151

### CZEŚĆ TRZECIA – O WOJNIE DOMOWEJ

Rozmyślanie dwudzieste trzecie – <i>O manifestach</i> .....	157
Rozmyślanie dwudzieste czwarte – <i>Zasady strategii</i> .....	161
Rozmyślanie dwudzieste piąte – <i>O sprzymierzeńcach</i> .....	173
Rozmyślanie dwudzieste szóste – <i>O rozmaitych rodzajach broni</i> .....	183
Rozmyślanie dwudzieste siódme – <i>Ostatnie objawy</i> .....	192
Rozmyślanie dwudzieste ósme – <i>Odszkodowania</i> .....	197
Rozmyślanie dwudzieste dziewiąte – <i>O pokoju małżeńskim</i> .....	202
Rozmyślanie trzydzieste – <i>Zakończenie</i> .....	207

